



UUK

ZBIGNIEW NIENACKI

PAN SAMOCHODZIK I ZŁOTA RĘKAWICA

Wydawnictwo POJEZIERZE
Olsztyn — Białystok, 1986



SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
ROZDZIAŁ PIERWSZY	3
ROZDZIAŁ DRUGI	17
ROZDZIAŁ TRZECI.	38
ROZDZIAŁ CZWARTY	54
ROZDZIAŁ PIĄTY	71
ROZDZIAŁ SZÓSTY	86
ROZDZIAŁ SIÓDMY	104
ROZDZIAŁ ÓSMY	118
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.	131
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	145
ROZDZIAŁ JEDENASTY	162
ROZDZIAŁ DWUNASTY	180
ZAKOŃCZENIE	196

ROZDZIAŁ PIERWSZY

STARY POMOST W IŁAWIE • ZAGADKOWA DZIEWCZYNA •
TELEGRAM, KTÓREGO NIE WYŚLAŁEM • BAJECZKA Z BA-
JECZKĄ • ŻŁOTA RĘKAWICA • WYZWANIE DO WALKI • MÓJ
PATENT STERNIKA • LIST Z OSTRÓDY • W SZOPIE NAD JE-
ZIOREM RUDA WODA • HISTORIA JACHTU „SZKWAŁ” • CZY
ZOSTANĘ ARMATOREM? • TAJEMNICA DZIENNIKA JACH-
TOWEGO

Był 20 czerwca, dzień słoneczny i nieco wietrzny, ale bardzo upalny. Niemal przez cały ten dzień opalałem się na dachu kabiny jachtu, który łagodnie kołysał się na fali, przycumowany do pomostu zbudowanego na pustych, pływających beczkach w pobliżu mostu nad kanałem, łączącym w Iławie Wielki Jeziorak z Małym Jeziorakiem. Kiedyś pomost ten należał do klubu żeglarskiego LOK, lecz władze miejskie klub przenieśli w inne miejsce, a tu miał powstać reprezentacyjny ośrodek wypoczynkowy kolejarzy. Na razie tylko rozebrano na brzegu stare szopy, pomost stał się bezpieczny, a że znajdował się w pobliżu restauracji „Czapla”, służył teraz za miejsce postoju dla żeglujących po Jeziorakach jachtmanów oraz za „pirs pasażerski”. Na chwiejnych deskach ustawiały się tłumy spoconych, objuczonych walizami wczasowiczów, którzy przyjeżdżali z najdalszych okolic Polski, aby niewielką motorówką, dobijającą do pomostu co pół godziny, przedostać się do ośrodków wypoczynkowych na Wielkiej Żuławie, o której powiadają, że jest jedną z największych wysp w Polsce, a może nawet w Europie.

Na pomoście czekało ciągle po sto, a nawet więcej ludzi w najróżniejszym wieku. Upał doskwierał, przy brzegu nie było ani jednego drzewka dającego cień, motorówka zaś zabierała za każdym razem tylko dziesięć osób. Należało więc długo czekać na swoją kolejkę, co dla ludzi zmęczonych niekiedy wielogodzinną jazdą pociągiem wydawało się ponad siły — niektórzy próbowali wepchnąć się na motorówkę przed innymi. W tej sytuacji raz po raz wybuchały głośnie awantury. Po brzegu roznosił się także wrzask matek, które upominały dzieci, aby nie wpadły do wody z chwiejnego pomostu. Cały ten teren przypominał wielkie ko-

czowisko. Spoceni upałem wczasowicze otwierali walizy i posilali się, kupowali lody „Bambino” i śmiecili, bez przerwy śmiecili, brodzili po kostki w śmieciach.

Ale to dość obrzydliwe miejsce położone było w samym centrum miasta i mógł tu łatwo trafić nawet ktoś, kto po raz pierwszy znalazł się w Iławie. I dlatego właśnie tutaj postanowiłem zaokrętować swoją załogę złożoną z warszawiaków, którzy mieli przybyć wieczornym pociągiem. Aż w głowie huczało mi od kłótni i wrzasków, mdło mi się robiło od widoku śmieci, ale odpłynąć stąd nie mogłem. Odejść — także nie, bo na jachcie znajdował się dość cenny sprzęt żeglarski i turystyczny. Skazany więc byłem na słuchanie kłótni, płaczu dzieciaków i upomnień matek, a także — co nie było rzadkością — wesołych śpiewów tych wczasowiczów którzy uznają, że piwo najlepiej gasi pragnienie.

Minęła godzina osiemnasta, przybył chyba pociąg z Warszawy, ponieważ pomost zappełnił się dodatkowymi gromadami objuczonych ludzi. Spoglądali na mnie z zazdrością — w czyściutkim żeglarskim stroju wylegiwałem się beztrąsko na dachu kabiny, a oni pocili się w swoich garniturach i mieli za sobą podróż w przepelnionym pociągu. We mnie zaś narastał niepokój, nie widziałem bowiem wśród nich żadnej znajomej twarzy. Nikt z członków mojej załogi się nie zjawił.

Po dwóch godzinach pomost opustoszał, motorówka zabrała ostatnich wczasowiczów, a kierujący nią młody człowiek oświadczył mi, że to już ostatni jego rejs. Jeśli ktoś jeszcze zjawi się na pomoście, to niech się stara dostać na Wielką Żuławę wynajętą gdzieś łódką albo niech zanocuje w hotelu czy na prywatnej kwaterze. Jemu — to znaczy: kierującemu motorówką — też się należy odpoczynek.

O dziesiątej wieczorem zdałem sobie ostatecznie sprawę, że moja załoga nie przyjechała, choć przecież umówiliśmy się na dzisiaj, i to właśnie tutaj. Wiatr zdechł zupełnie, jezioro stało się gładkie i jachtem kołysały tylko fale wzbudzone przez szalejące w pobliżu ślizgacze — nie mogłem więc nawet opuścić tego obrzydliwego miejsca. Czekala mnie noc na jachcie zacumowanym w pobliżu ruchliwej ulicy, przy brzegu usłanym resztkami jedzenia i papierami, w sąsiedztwie jazgotliwych motorówek. Wściekły, gniewnie pomrukując pod nosem, zląłem z dachu do kokpitu, wsunąłem się do kabiny i rad nierad zabrałem się do przyrządzania kolacji. „Pewnie przyjadą nocnym pociągiem” — pocieszałem się.

W pewnej chwili usłyszałem odgłos kroków na deskach pomostu i mimo zapadającego zmroku, przez szyby bocznego bulaja, zobaczyłem wysoką młodą pannę z ogromną walizą. „Może czekać tu do rana” — pomyślałem z satysfakcją, zły na swoją załogę, która też się chyba spóźniła na pociąg, podobnie jak ta panna spóźniła się na motorówkę.

Ale w gruncie rzeczy jestem człowiekiem poczciwym, wyszedłem więc z kabiny i zawołałem:

— Na Wielką Żuławę już się pani dziś nie dostanie. Motorówka półtorej godziny temu ruszyła w ostatni rejs.

Dziewczyna niemal upuściła do wody swoją ciężką walizę.

— O, Boże! Co ja zrobię? Jechałam z Warszawy autostopem, ci panowie zrobili mi głupi kawał i wysadzili mnie w Ostródzie, mówiąc, że to Iława. A pan nie mógłby mnie przewieźć swoim jachtem na wyspę?

Wskazałem na gładkie jezioro, w którym odbijały się już refleksy światła ulicznych.

— Pani widzi, że nie ma wiatru. . .

Podniosła rękę do twarzy, jakby za chwilę miała się rozplakać.

— Cały dzień nic nie jadłam, pić mi się chce. . . — jęknęła. — Gdzie ja nocleg znajdę? Miasto pęka od wczasowiczów. Pieniądzy nie mam, moja mama jest właśnie na Żuławie i tam na mnie czeka. Kupiłam sobie wisiorek z serduszkami za pieniądze, które dała mi na bilet, i dlatego wyruszyłam autostopem. A oni zrobili mi głupi kawał. . .

Paniuszka wyglądała na dwadzieścia parę lat i, moim zdaniem, powinna była odznaczać się większym rozsądkiem, to znaczy: albo nie kupować wisiorka za pieniądze przeznaczone na bilet kolejowy, albo zorientować się, że Ostróda to nie Iława. Ale ładnej dziewczynie łatwo się wybacza brak rozsądku, a ona była naprawdę bardzo ładna. Wysoka, szczupła, smagła brunetka z włosami przyciętymi na pazia. Nosila długą, bardzo kolorową spódnice w wielkie słoneczniki i śliczną, ręcznie haftowaną bluzeczkę. Już samo to, że nie miała na sobie połatanych i powycieranych dzinsów oraz powyciąganego swetra albo ortalionowej kurteczki — budziło moją sympatię. A że jestem wrażliwy na urodę kobiecą i serce mam czułe na ludzkie kłopoty, po chwili namysłu chrząknąłem głośno i oświadczyłem:

— Właśnie jem kolację. Jeśli pani jest głodna i chce się napić herbaty, to proszę wstąpić na łajbę.

Zawahała się. Obrzuciła mnie i mój jacht uważnym spojrzeniem. Zapewne matka niejednokrotnie ją ostrzegęła, aby nie przyjmowała zaproszeń od mężczyzn, których nie zna.

— Pan mieszka sam? — zapytała ostrożnie.

— Jestem kapitanem — powiedziałem z dumą. — Ale moja załoga nie zgłosiła się dziś na jacht. Nie wiem, co się stało. Może spóźnili się na pociąg?

Zdecydowała się. Bo i cóż jej mogło grozić? Jacht stał w dość ludnym miejscu, w samym sercu miasta. Podjęła ogromną walizę i ostrożnie, w swych delikatnych, raczej balowych pantofelkach, zrobiła krok na pokład dziobowy jachtu.

— Och! — zawołała z odrobiną przestachu, gdy jachtem lekko zakołysało. Ale wolną ręką chwyciła się stalowej liny, topsztagu, i odważnie postawiła drugą nogę na pokład.

Chciałem jej pomóc, wziąć od niej walizkę, lecz stwierdziła:

— Nie, nie, dziękuję. Nie jestem taką niezdara, na jaką być może wyglądam.

— Wygląda pani na damę — powiedziałem szczerze. — I nawet trochę się dziwię, że podróżowała pani autostopem.

— Bo jestem lekkomyślna — przyznała się.

Otworzyłem przed dziewczyną drzwi kabiny i wskazałem jej miejsce na koi, tuż obok stolika, który rozkładałem na skrzyni mieczowej jachtu.

Podaliśmy kubek gorącej herbaty, kilka kromek chleba posmarowanych smalcem i usiadłem naprzeciwko niej, na drugiej koi.

Jadła z ogromnym apetytem, w milczeniu rozglądając się po kabinie.

— Ładnie tu — stwierdziła, gdy skończyła jeść. — Ile osób może mieszkać na tym jachcie?

— W kabinie tylko dwie, bo tu, jak pani widzi, są tylko dwie koje. Natomiast w kokpicie, zauważyła pani pewnie, są przy burtach takie szerokie ławy, a raczej skrzynie. Otóż w tych skrzyniach kryją się materace i śpiwory. Rozkłada się materac na wieku skrzyni i śpi. W ten sposób mieszkać tu mogą aż cztery osoby.

— A jeśli pada deszcz, to tamci mokną.

— W achterpiku leży płachta brezentowa. Narzuca się ją na bom, tworząc coś w rodzaju namiotu.

Była wszystkiego bardzo ciekawa. Zauważyła, że ściany przy kojach zabudowane są przeróżnymi szafkami. Zaczęła je otwierać, zaglądać do wnętrza.

— O, ma pan radio! — ucieszyła się.

— Tak. Ale nie lubię hałasu — stwierdziłem sucho.

— A tu co jest? — otworzyła inną szafkę.

— To bardzo ważne moje papiery.

— A tutaj ma pan książki? O, przeważnie wiersze — zdziwiła się. — Pan lubi poezję.

— To poezja ludowa Warmii i Mazur. Teraz się nią trochę interesuję — uciałem, nie chcąc się wdawać w dłuższe wyjaśnienia.

Za bulajami jachtu zapadała już noc. Świeciły latarnie uliczne na drodze do mostu i po drugiej stronie jeziora, na skwerze przy pomniku Stefana Żeromskiego.

— Jak panu na imię? — zapytała.

— Tomasz. A pani?

— Czy to nie wszystko jedno? — roześmiała się. — Przyjaciele nazywają mnie Bajeczką. Bardzo lubię, gdy się w ten sposób do mnie zwracają.

— Bajeczka — powtórzyłem, z przyjemnością obserwując ładne rysy jej twarzy, pięknie haftowaną bluzkę i długą śliczną spódnicę w ogromne słoneczniki.

— Strasznie się objadłam — oświadczyła nagle i wygodnie wyciągnęła się na koi, zrzucając z nóg pantofelki. — Niech pan sobie wyobrazi, że cały dzień spędziłam w podróży.

— Chyba nie ma pani zamiaru tutaj nocować? — powiedziałem.

— A dlaczego by nie? Przecież ma pan aż cztery wolne łóżka. A rano przyplynie motorówka i dostanę się na wyspę.

— No, tak — chrząknąłem zażenowany — ale czy to wypada, pani i ja, tylko we dwoje. . .

— Pan ma staroświeckie poglądy? — zapytała. — A może pan się mnie boi?
— Oczywiście, że nie — zaprotestowałem.
— Mam do pana zaufanie. Poezja czyni człowieka dobrym — stwierdziła z przekonaniem — a pan lubi wiersze. I może również sam je pisze?
— Nie — zaprzeczyłem. — Natomiast szukam człowieka, który napisał pewien bardzo piękny i interesujący wiersz. Nie wiem, jak się nazywa, ale posiadam informacje, że mieszka lub mieszkał w tej okolicy. Chciałbym go bliżej poznać.
— I od dawna szuka pan tego człowieka? — zapytała, dyskretnie poziewując.
— Od stycznia — stwierdziłem.
Roześmiała się cichutko i obrzuciła mnie wesołym spojrzeniem.
— Z czego się pani śmieje? — naburmuszyłem się. — Uważa mnie pani za dziwaka?
— O, nie, nie dlatego — spoważniała. — Po prostu śmieszna wydała mi się myśl, że pan, człowiek na pewno inteligentny, od stycznia szuka jakiegoś poety i do tej pory go pan nie znalazł. Coś mi tu nie pasuje.
Wzruszyłem ramionami.
— To nie jest takie proste. Powiem pani jeszcze, że nie sam go szukam, jest nas parę osób. Właśnie na nich tu czekam. Mieli dziś przyjechać z Warszawy, zupełnie nie rozumiem, dlaczego ich nie ma.
— Może im się odwidziało wspólne poszukiwanie poety? Mają ciekawsze zajęcia? — powiedziała.
— Pani się myli. To są wprawdzie bardzo różni ludzie, ale ta sprawa bardzo nas z sobą związała. Nie wierzę, aby nagle zrezygnowali z poszukiwań i nawet mnie o tym nie powiadomili. Ten rejs, który miał się dziś rozpocząć, w gruncie rzeczy zorganizowałem tylko dla nich. Wierzę, że poprzez poezję ludzie mogą odnaleźć siebie samych, uczynić swoje życie sensowniejszym, ciekawszym.
— Bardzo pięknie pan mówi — westchnęła, znowu ziewając dyskretnie. — Ale to musiałyby być naprawdę wspaniała poezja. Czy może mi pan pokazać ów wiersz?
Sięgnąłem do szafki nad koją, wyjąłem papierową teczkę, a z niej — przepisany na maszynie wiersz. Podałem go dziewczynie, a ona zbliżyła kartkę do palącej się pod sufitem bateryjnej lampki i czytała chwilę w milczeniu. Potem przeczytała głośno te zwrotki, które jej się najbardziej spodobały.

*Ojczyzno moja, ponad tonią
żurawi zwątpień krzyk jesieni.
Do starych gniazd dostępu bronią
trzcin szable. Aż się los odmieni.
I znowu polski rycerz dumnie
podejmie złotą rękawicę.
Widziałem ją w blaszanej trumnie,*

*gdzie wróg rozbitą miał przyłbicę.
I wy wróćcie tu łabędziem
w łopocie żagli białych skrzydeł,
mój grób z brzoźowym krzyżem będzie
jak z Grottgerowych malowideł.*

— Jaki ten wiersz ma tytuł? — spytała.

— Nie ma tytułu. Sam go nazwałem: „Złota rękawica” — odrzekłem.

— I pan nie wie, kto go napisał?

— No właśnie! — ożywiłem się. — Wiadomo tylko, że autor mieszkał i być może jeszcze mieszka w tych okolicach.

— Czy tak trudno odnaleźć poetę? — zdziwiła się.

— Trudno, bo to nie był zawodowy poeta. Musimy pytać o niego we wszystkich wioskach nad tym jeziorem. Może był z zawodu cieślą jak Michał Kajka, a może rybakiem czy rolnikiem. To ludowy poeta, proszę pani.

Popatrzyła na mnie jak gdyby z nowym zaciekawieniem.

— Jest pan bardzo miłym, ciekawym i sympatycznym człowiekiem. Zapewne i pana przyjaciele są równie mili. Jaka szkoda, że się do nich nie zaliczam i że na Wielkiej Żuławie czeka na mnie mama.

— A może powie pani jutro swojej mamie, że spędzi wczasy na jachcie? Będą dwie panie, trzynastoletni chłopiec i ja. Myślę, że wygospodarowalibyśmy miejsce do spania i dla pani. To będzie wspaniała przygoda — rzekłem z nadzieją w głosie.

Wyraz niechęci nagle pojawił się na jej ładnej, smagłej twarzy.

— Nie lubię przygód. Przeżyłam kilka i nie pozostawiły mi przyjemnych wspomnień. Myślę też, że nie nadaję się do koczowniczego życia na jachcie. Mam dwadzieścia dwa lata i jedynym moim wielkim marzeniem jest mieć własne mieszkanie, pokój z kuchnią, gdzie mogłabym gotować obiady dla kogoś bardzo miłego, sympatycznego, kogoś, kto poważnie traktuje życie. Nie mam wielkich życiowych celów i ambicji, proszę pana. A raczej: powoli przestaję je mieć. Pan zaś — stwierdziła — jest dorosłym mężczyzną z duszą chłopca, który uwielbia przygody. To nie mój typ. Proszę się nie obrazić, ale nawet nie lubię tego rodzaju ludzi.

Zrobiło mi się przykro.

— Dobranoc — powiedziałem. — Życzę miłych snów.

I wycofałem się z kabiny, zamykając za sobą drzwiczki.

— Dobranoc — usłyszałem głos Bajeczki.

Rozłożyłem materac na drewnianej ławie i wśliznąłem się do śpiwora. Nad głową miałem żagiel zwinięty na bomie, który leżał na dwunożnym, podobnym do cyrkla, wsporniku. A wyżej było niebo pełne gwiazd.

Noc zapadła ciepła, ale męczył mnie hałas. Na pobliskiej ulicy ciągle jeździły samochody, od strony restauracji „Czapla” dochodził nieustanny gwar głosów i śpiewy, na jeziorze, mimo późnej pory, warczały głośno ślizgacze. I na dodatek to mdłe, trupie światło jarzeniówek, odbijających się w czarnej toni.

W uszy wsadziłem sobie woskowe kulki, aby odgrodzić się od hałasu. I chyba zaraz zasnąłem, przez chwilę tylko rozmyślając o dziewczynie, która kazała się nazywać Bajeczką. Twierdziła, że nie lubi przygód, a jednocześnie tak lekko-myślnie pieniądze przeznaczone, na bilet kolejowy wydała na kupno pozłacanego serduszka. Sprawiała wrażenie sprytnej, inteligentnej, a pozwoliła, aby ją oszukano, wysiadła w Ostródzie myśląc, że to Hawa. . .

Obudziłem się o piątej rano, słońce świeciło mi prosto w twarz. Jachtem kołysało, ktoś wszedł na pokład dziobowy.

Zerwałem się z postania i zobaczyłem Kikę.

— Ładnie nas pan urządził, panie Tomaszu — powiedziała z pretensją w głosie, tupiąc gumiakami na sklejce pokładu.

— Psssst — syknąłem i wskazałem na drzwi kabiny. — Tam jest pewna dziewczyna. Śpi. Jeszcze za wcześnie, żeby ją budzić.

Ale Kika nie myślała zachowywać się cicho. Wiadomość o dziewczynie powiększyła jej pretensje.

— Mogłam się była tego domyślić — oświadczyła z goryczą. — Kompletuje pan sobie nową załogę, a z nas pan zrezygnował.

— Nie gadaj głupstw — rzekłem. — Wczorajszy dzień straciłem czekając na was tutaj w tym okropnym miejscu. A wy nie raczyliście się zjawić.

Kika ze złością rzuciła plecak na podłogę jachtu. Była osobką bardzo młodą, ale energiczną i samodzielną. A także przekorną. Wiedziała na przykład, że nie lubię dzinsów, i pewnie właśnie dlatego ubrała się w stare, połatane dzinsy i gruby czarny sweter. Na jasnych, krótko przyciętych włosach miała czapkę z teksasu. Była ładna, ale ten strój sprawiał, że wydawała się brzydka.

— Co też pan opowiada — spojrzała na mnie wyzywająco, ujmując się pod boki. — Przysłał pan do nas telegramy, że odwołuje pan rejs i przesuwą go na późniejszy termin. Pani Księżyc i Psycholog rozpakowali plecaki, ale ja miałam już wykupiony bilet i zdecydowałam się wyjechać. Pomyślałam, że jeśli nie spotkam pana, to zabiorę się na „Notosa”, bo on już od dwóch dni żegluje po Jezioraku.

— Telegram? Nie wysyłałem żadnego telegramu. O czym ty mówisz, Kika?

Nareszcie wylazłem ze śpiwora, ale w pidżamie, z nie ogoloną twarzą czułem się nieswojo. Byłem zaspany i trochę nieprzytomny.

— Niech pan wyjmie kulkę woskową z lewego ucha — zwróciła mi uwagę. — Coś mi się zdaje, że moje słowa do pana nie docierają. Dostaliśmy telegram, że rejs przesuwą pan na późniejszy termin. Słyszysz pan, co powiedziałam?

— Słyszę. Ale nie wysyłałem żadnego telegramu.

Z kieszeni spodni wyjęła kartkę i podała mi ją bez słowa.

Przeczytałem:

Rejs przesuwam o kilka dni. Nie przyjeżdżajcie. Czekać na wiadomość.

Tomasz

Zmiałem telegram i rzuciłem go na dno kokpitu. Ale po sekundzie podniosłem, rozprostowałem i obejrzałem dokładnie.

— To nie ja go wysłałem — oświadczyłem jeszcze raz. — Ale nadany został z Hawy przedwczoraj wieczorem, to jest w tym samym czasie, gdy i ja tutaj przypląnałem i przycumowałem. Ktoś chciał nam pomieszać szyki i opóźnić rejs.

— To nie pan wysłał ten telegram? — Dziewczyna aż przysiadła z wrażeń. — W takim razie powinien pan natychmiast zadzwonić do Warszawy, do Pani Księżyc, i wyjaśnić całą sprawę. Jak pan sądzi, czy tego głupiego kawału nie zrobił nam ktoś z „Notosa”? Bo komu innemu może zależeć na tym, aby utrudnić nasze poszukiwania?

Przeżaćco pokręciłem głową.

— Nie posądzam o to nikogo z „Notosa”. Ale przecież mówiłem wam wiele razy, że mamy nie tylko konkurentów, lecz i przeciwników. Od samego początku ktoś nam psuje szyki.

Poczułem przyływ energii, jak zwykle, gdy wyłaniała się poważniejsza trudność.

— Obudź tę dziewczynę — rozkazałem Kice — i róbcie śniadanie, bo na pewno jesteś głodna. A ja ogolę się i zaraz pobiegę na pocztę.

Kika otworzyła drzwi kabiny i gwizdnęła głośno.

— Czy pan jeszcze śni, Panie Samochodzik? — zapytała z ironią. — Przecież tu nie ma żadnej dziewczyny.

— Nie ma Bajeczki? — zdumiałem się.

— Jakiej bajeczki?

— No, Bajeczki.

Zajrzałem do kabiny i stwierdziłem, że koja, na której wczoraj położyła się tamta dziewczyna, jest pusta. Zniknęła także walizka, z którą Bajeczka przyszła na jacht.

— Co pan opowiada jakież bajeczki? — Kika patrzyła na mnie, jak patrzy się na kogoś, kto stracił rozum.

— Chciała, żeby ją nazywać Bajeczką — bezradnie rozłożyłem ręce i miałem chyba bardzo głupią minę. — Była bardzo ładna, w haftowanej bluzeczce i w spódnicy w duże słoneczniki. Spóźniła się na motorówkę i poprosiła, żebym ją przenocował na jachcie. Zjedliśmy razem kolację, potem trochę rozmawialiśmy o poezji. . .

— O „Złotej rękawicy”? — pokiwała głową Kika. — I pan dał się pociągnąć za język, prawda?

— Tak. Ale...

— Nie ma żadnego „ale”. Ta dziewczyna została przez kogoś wysłana i zrobiła pana w konia.

— Proszę cię, przestań używać tego okropnego żargonu — poprosiłem.

— Powiem krótko: dał się pan nabrać na Bajeczkę, panie Samochodzik. Wszyscy wiedzą, że lubi pan dziewczyny w powiewnych kolorowych spódnicach i haftowanych bluzeczkach. I ona właśnie tak wyglądała, prawda?

— Tak — westchnąłem.

— Serce Pana Samochodzika natychmiast stopniało — szydziła Kika — i bez cienia podejrzeń przyjął dziewczynę na jacht, wtajemniczył we wszystkie nasze sprawy. A gdy Pan Samochodzik spał, dziewczyna zniknęła bez śladu. O, przepraszam, ślad pozostawiła...

Kika wsunęła się do kabiny i zdjęła coś z koi, na której spała Bajeczka.

— Proszę... — podała mi z triumfującą miną to „coś”.

Była to skórzana rękawica pomalowana na złoty kolor.

— Złota rękawica... — mruknąłem.

— Czy rozumie pan coś z tego?

Nie od razu odpowiedziałem na jej pytanie. Najpierw opowiedziałem ze szczegółami o wizycie Bajeczki, o naszej rozmowie na jachcie, o jej pytaniach, moich odpowiedziach. I zakończyłem:

— Nie zdradziłem Bajeczce żadnych tajemnic, bo nie jest tajemnicą, że organizujemy rejs, aby odnaleźć autora „Złotej rękawicy”. Wiele osób wie o naszej wyprawie, jak choćby załoga „Notosa”. Ktoś zdecydował się opóźnić nasz rejs i, wykorzystując to opóźnienie, przysłać tu Bajeczkę. Ona pozostawiła na jachcie pomalowaną na złoty kolor rękawiczkę. Innymi słowy, rzucono mi jawnie wyzwanie do walki, bo tylko tak rozumieć można ten gest. Rzucenie przeciwnikowi rękawicy jest oznaką wypowiedzenia walki.

Kika wzruszyła ramionami.

— Przecież od początku mamy do czynienia z przeciwnikami i bez przerwy toczymy z nimi walkę. Dlaczego akurat teraz, w tej chwili, rzucili nam rękawicę?

— Nie mam pojęcia — mruknąłem.

— A może nie tak dawno wydarzyło się coś ważnego? — zastanawiała się Kika. — Może zrobił pan coś takiego, co do wściekłości doprowadziło naszych przeciwników?

— Nie przypominam sobie takiego wydarzenia — medytowałem głośno. — Ale muszę mieć czas, aby przemyśleć całą sprawę. Zrób śniadanie, Kika, a ja się ogolę.

Byłem tak zdenerwowany tym, co się stało — fałszywym telegramem, opóźnieniem się rejsu i dziwną wizytą Bajeczki — że dwukrotnie zaciałem się brzy-

twą. Irytację moją powiększały jeszcze szyderstwa Kiki, która gotując kawę na maszynie gazowej w kabinie, raz po raz wystawiała stamtąd głowę i wygłaszała sentencje w rodzaju:

— W pewnej książce czytałam, że jeśli przed mężczyzną pojawi się dziewczyna, która wygląda jak ta z jego pięknych snów, to on powinien się szybko obudzić i nakazać sobie ostrożność.

— Posłuchaj, Kika — rzekłem wreszcie, z trudem nakazując sobie spokój. — Od chwili, gdy weszłaś na jacht, jesteś tylko członkiem załogi, zwykłym majtkiem, a ja — kapitanem. Na jachcie załoga musi bez szemrania wykonywać polecenia kapitana. Nakazuję ci ciszę. Ani słowa!

— Yes, sir — wyprężyła się dziewczyna.

Nie chciało mi się jeść. Wypiłem tylko kubek gorącej kawy, parząc sobie usta. Zapaliłem papierosa i pognałem na pocztę.

Była siódma rano, a pocztę otwierano dopiero o ósmej. Nerwowo, jak przysłowiowy tygrys w klatce, krążyłem po ulicach, myśląc o sytuacji, w jakiej się znalazłem. Nie ulegało wątpliwości, że nasz rejs zaczynał się niefortunnie, historia „Złotej rękawicy” kryła w sobie jakąś zagadkę. W swoich poszukiwaniach mieliśmy konkurentów i przeciwników. Konkurentów nie lękałem się, a przeciwnicy, jak mi się ostatnio wydawało, zrezygnowali ze swej działalności. Tymczasem, w najbardziej nieoczekiwanym momencie, znowu dali o sobie znać. Co się stało?

* * *

W mojej mikroskopijnej kawalerce na Starym Mieście w Warszawie wszystkie ściany, od podłogi aż do sufitu, pokryte były półkami pełnymi książek. I tylko w jednym miejscu, tuż koło tapczanu, widniało wśród grzbietów książek jak gdyby małe okienko, w którym wisiał oprawiony w ramki mój PATENT JACHTOWEGO STERNIKA MORSKIEGO, wydany przez Polish Yachting Assotiation, czyli Polski Związek Żeglarski. A w szufladzie biurka, wśród najcenniejszych dokumentów, kryła się starannie owinięta w celofan Sportowa Książeczka Żeglarska z numerem 6183, pełna wpisów o zdobywanych kolejno stopniach żeglarskich, od zwykłego żeglarza począwszy, na jachtowym sterniku morskim skończywszy.

Wszystkie te stopnie uzyskałem jeszcze w liceum i w okresie studenckim. Potem — od kiedy podjąłem pracę — tylko sporadycznie udawało mi się znaleźć trochę czasu, aby zaokrętować się na jakiś jacht i odbyć dłuższy pełnomorski rejs. Miałem prawo ubiegania się o patent kapitana żeglugi bałtyckiej, a później o patent kapitana żeglugi wielkiej, ale zajęty pracą zawodową, tropieniem handlarzy antykami i złodziei dzieł sztuki — wciąż zaniedbywałem tę sprawę. Mój patent z biegiem lat żółkł coraz bardziej. I blakły marzenia młodości. Już nawet w snach coraz rzadziej widziałem siebie na mostku kapitańskim, prowadzącego wspaniały

jacht w stronę mórz południowych i egzotycznych lądów. Co najwyżej niekiedy zastanawiałem się, czy nie kupić jakiegoś starego, wysłużonego jachtu mieczowego i po wyremontowaniu go popływać w okresie urlopu po którymś z jezior mazurskich. Ale nawet i tych skromnych planów nie realizowałem, ponieważ nie dochodziły do mnie wieści o żadnym tanim jachcie, a na okres lata mój przełożony, dyrektor Marczak z Centralnego Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków, wynajdywał dla mnie zazwyczaj jakieś ważne, nie cierpiące zwłoki zadania. Przeżywałem mnóstwo niekiedy bardzo dramatycznych przygód, ale ta jedna — rejs po smaganym wiatrem jeziorze — omijała mnie, pozostawiając w duszy nieugaszoną tęsknotę.

Aż pewnego dnia — a było to przy końcu grudnia, gdy na ulicach Warszawy leżał śnieg i termometr wskazywał dwadzieścia stopni mrozu — przyszedł do mnie list, który zapachniał mi latem, słońcem, jeziorem, lasem, wakacyjną przygodą. Przysłał go mój znajomy, szkutnik z Ostródy, pan Czesław Grodzki.

Drogi Panie Tomaszu

Dowiedziałem się, że nad jeziorem Ruda Woda koło Małdyt, w stodole u Kazimierza W., znajduje się stary jacht, który po wyremontowaniu mógłby Panu dobrze służyć. Wydaje mi się, że za ów wrak nie musiałby Pan zapłacić więcej niż 1000 złotych. Za remont łajby nie wezmę od Pana wiele i wyszykuję ją Panu tak, jak dla siebie, bo dobrze pamiętam, że to dzięki Panu nie straciłem pieniędzy. Wtedy, kiedy chciano mi sprzedać obrazy Kossaka, a Pan zdemaskował je jako fałsyfikaty. Jeśli więc nosi się Pan jeszcze z myślą o posiadaniu swojej łajby, proszę mnie powiadomić listownie, umówimy się u Kazimierza W.

Zajrzałem do kalendarzyka, aby upewnić się, kiedy w styczniu wypada wolna sobota, potem dokonałem podsumowania swoich zasobów finansowych. W portfelu miałem dwa tysiące złotych, a siedem tysięcy spoczywało na książeczce PKO. Do lata może jeszcze trochę bym zaoszczędził... Czy z takimi zasobami można pokusić się o kupno, remont i wyposażenie jachtu śródlądowego? Piętnastometrowe dakronowe żagle do zwykłej omegi kosztowały w sklepie żeglarskim ponad siedem tysięcy złotych. A olinowanie stałe i ruchome? Maszt? Koszt remontu u szkutnika? W jakim stanie była ta łajba, skoro jej właściciel chciał za nią tylko tysiąc złotych?

Wysłałem jednak list do pana Grodzkiego, a w najbliższą wolną sobotę, nie zważając na zamieć śnieżną (zima tego roku dawała się mocno we znaki), zjawiłem się swym wehikułem w Małdytach i zapytałem o Kazimierza W. Skierowano mnie na boczną drogę nad jeziorem, do samotnego dużego gospodarstwa. Było południe, zamieć śnieżna wciąż trwała. Z obszernego murowanego domu wyszedł pan Grodzki ubrany w ogromny biały kożuch.

— Łajba jest w szopie za jeziorem. Tylko proszę się nie przestraszyć widoku tego wraka — ostrzegł mnie z uśmiechem.

Nie bardzo wiem, jak wyglądała szopa i jej otoczenie, jezioro i brzeg, nad który zaprowadził mnie znajomy skutnik. Cały świat zdawał się tonąć w wirującej wokół nas bieli padającego śniegu. Przypominam sobie tylko, że zatrzymaliśmy się przed ogromnymi wieżami drewnianego budynku. Grodzki uchylił małe drzwi i ujrzałem ów jacht. Ogromną łajbę, która była jedną wielką ruiną nadającą się najwyżej na opał.

W poszyciu zrobionym z wąskich listewek, czyli tak zwanej słomki, widniały dwie potężne dziury. Dach kabiny był załamany, z pokładu dziobowego pozostały nędzne resztki, a otwór forluku miał wyrwaną pokrywę. Brakowało zrębnicy kokpitu. Szyby bulajów wybite, drzwi do kabiny wyrwane z zawiasów. W „wyopatroszonym” wnętrzu leżał rumplowy ster z piórem i ogromny przerdzewiały miecz. Tu i ówdzie pozostały plamy łuszczącej się farby — żółtej, białej, brązowej, a nawet niebieskiej, zapewne kadłub wiele razy malowano. Wręgi zrobione z dębu były jednak całe i zdrowe. Ani śladu próchna nie widziało się w stępcie, dennikach, pokładnikach. W świetnym stanie znajdowała się rufa, stewa przednia i tylna. Mocne było także jarzmo masztu.

W sylwetce jachtu uderzyło mnie coś znajomego.

— Niech mnie licho porwie — zawołałem — jeśli ja nie znam tej starej bali! Założę się o mój wehikuł, że na przodzie burt są resztki dawnego napisu: „Szkwał”.

Grodzki podszedł do dzioba.

— Ma pan rację. To jest „Szkwał” — stwierdził ze zdumieniem.

— To b y ł „Szkwał” — powiedziałem. — Pudło ma kilka tysięcy lat. Myślę, że starożytni argonauci płynęli nim po złote runo. To nie łajba, lecz wykopalisko.

Skutnik uśmiechnął się wyrozumiale.

— Pan żartuje — oświadczył. — To jest bardzo, piękny jacht i w zupełnie dobrym stanie.

— Uznaję go za najgorszą łajbę wszechczasów — odrzekłem, bo z całą siłą wezbrały we mnie niemiłe wspomnienia. — Nie wiem, czy mazurskie jeziora znają krypę mniej zwrotną i powolniejszą. Ten jacht był przekleństwem młodych żeglarzy. Znam go lepiej niż pan sądzi. Zdobyłem na nim stopień sternika, ale kosztowało mnie to wiele trudu i potu. Ta łajba była nieposłuszna i powolna jak krowa. Przysiągłem sobie, że nigdy w życiu nie wstąpię na jej pokład. Pływałem potem na dziesiątkach jachtów, ale takiego czegoś nigdy w życiu więcej nie spotkałem. Była pośmiewiskiem całego naszego klubu, używano jej wyłącznie do celów szkoleniowych. Czy wie pan, jak ją przezywano? „Krasula”. Na burtach miała napisane „Szkwał”, ale każdy mówił o niej „Krasula”.

Skutnik pokręcił przecząco głową.

— To bardzo piękny słup — powtórzył z uporem. — Niech pan spojrzy, jaką ma wysmukłą sylwetkę.

— Znam na pamięć jej wymiary. Długość: osiem metrów i czterdzieści centymetrów, szerokość: dwa metry. Zanurzenie bez miecza: około pięćdziesięciu centymetrów, z mieczem: jeden metr i dziesięć centymetrów — wyrecytowałem.

Pan Grodzki powtórzył po raz trzeci:

— To bardzo piękna łajba. Wiem, że w pewnym klubie w Ostródzie leży stary, niepotrzebny nikomu maszt od dragona i stare żagle do niego. Prawie dwadzieścia siedem metrów szmaty. I maszt, i te żagle sprzedadzą nam bardzo tanio. Przy takich żaglach chodziłaby szybko, jak prawdziwy szkwał. Musiała być przedtem niedożaglona.

— Możliwe — stwierdziłem. — Mieliśmy do niej maszt tylko na mały żagiel. Razem z fokiem piętnaście metrów kwadratowych. Maszt i żagiel pochodziły od starego ramblera.

Grodzki wzruszył ramionami.

— Była pomyślana jako „Szkwał”, a wy zrobiliście z niej „Krasulę”. A czy wyobraża sobie pan, co by to było, gdyby dać jej dwa bliźniacze foki? Natychmiast wpadałaby w ślizg.

Trochę innym, mniej wrogim spojrzeniem obrzuciłem tę stertę wręg i klepek.

Za drewnianymi ścianami szopy huczał wiatr i przez szczeliny w deskach wciśkał śnieg na zrujnowany pokład „Szkwała”. Przykucnąłem na połamanej sklejce obrzeża burty i zapaliłem papierosa. Opadły mnie wspomnienia. Usłyszałem skrzyp wrót stodoły. To pan Grodzki — człowiek subtelny i znakomicie rozumiejący mój nastrój — odszedł, abym mógł przemyśleć sprawę i podjąć decyzję. Zapewne powrócił do domu obecnego właściciela jachtu i tam postanowił na mnie zaczekać.

A ja przypomniałem sobie młodość i pierwsze nauki żeglarstwa w międzyszkolnym klubie sportowym. Nie mieliśmy wtedy, tak jak to jest teraz, wspaniałych żaglówek. Pływaliśmy, na czym się dało, nawet zwykłe balie gotowi byliśmy przerobić na jachty. Wśród przeróżnych zapaleńców żeglarstwa znalazł się w naszym klubie nawet taki, który postanowił sam zbudować jacht. Zapomniałem już jego nazwiska, ale pamiętam, jak gorliwie zabrał się do roboty. Zdaje się, że był studentem politechniki i w jej warsztatach wykonywał rozmaite części do łajby. Kadłub był już na ukończeniu, gdy konstruktor i zarazem budowniczy obraził się o coś na nasz klub, a może po prostu skończył politechnikę i otrzymał pracę gdzieś w odległych stronach. W każdym razie swoje dzieło porzucił, pozostawiając je w spadku klubowi. Skończyliśmy pracę bez niego — nie było jej zresztą wiele. Mieliśmy stary maszt i żagle od ramblera, przewieźliśmy łajbę na jeziora mazurskie. Odtąd przez wiele lat tu pływała, ja także wiele razy ją prowadziłem, przeklinając zawsze jej powolność i małą zwrotność. Gdy zdobyłem patent sternika jachtowego, przesiadłem się na szybkie i nowoczesne łajby, porzuciłem też

jeziora mazurskie i wyszedłem na zatokę, a potem w morze. O „Szkwale”, czyli „Krasuli”, zapomniałem, bo nie lubimy zachowywać w pamięci nieprzyjemnych wspomnień.

A teraz oto ta sama łajba leżała przede mną w ruinie, osypana śniegiem. Poskrobałem palcem łuszczącą się farbę na obrzeżu burty i nagle coś ścisnęło mnie za gardło. „Oto jak wygląda wdzięczność ludzka — pomyślałem. — Pływano na niej przez wiele lat, wyszkoliła wielu wspaniałych żeglarzy, a teraz tkwi tutaj — zapomniana, skazana na spalenie w piecu”.

We wszystkich żeglarzach, a więc i we mnie tli się przekonanie, że każdy jacht, podobnie jak każdy człowiek, ma duszę. Taką własną jachtową duszę, którą każdy kapitan, gdy wkracza na pokład, musi szybko poznać, aby z łajbą w godzinach wielkiego wichru stanowić jedność i wychodzić cało z niebezpieczeństw.

— „Krasula”, pocziwa „Krasula” — mruzczałem do siebie, głaszcząc jej łuszczącą się burtę. — Jakie wiatry zagnały cię aż tutaj, do tej starej szopy?

I obudziło się we mnie pragnienie, aby tę łajbę wskrzesić, uczynić znowu zdolną do pływania. A potem — na złość wszystkim — nazwać ją: „Krasula”. Wymawiając tę nazwę na burtach i popłynąć, choćby drwiono sobie z niej i ze mnie.

Obszedłem jacht jeszcze raz dookoła. Wlazałem do kokpitu i do rozwalonej kabiny. Sięgnąłem ręką do znanej mi z dawnych lat małej skrytki pod obrzeżem, gdzie zazwyczaj każdy kapitan chował mapy i dziennik jachtowy. Spodziewałem się, że wygarnę ze skrytki tylko trochę kurzu i śmieci, ale palce moje trafiły na zeszyt. Oprawiony w ceratę, mocno zawilgotniały zeszyt.

Chwyciłem go ostrożnie i podszedłem pod szczelinę w deskach, bo w głębi szopy panował półmrok.

Był to stary, pożółkły już dziennik jachtowy „Szkwała”. Któryś chyba z kolei, ale na pewno ostatni. Na jednej z początkowych kartek, w spisie załogi, odkryłem z bijącym sercem swoje imię i nazwisko: *Tomasz NN. — I oficer*. Tak, byłem wtedy pierwszym oficerem na „Szkwale”, a teraz stanę się jego armatorem i kapitanem. Kartkowałem dziennik dalej, mimo że sypiący przez szpary w deskach śnieg padał na zapisane stroniczki. I raptem — choć palce grabiały mi z zimna — zrobiło mi się gorąco. Przeczytałem coś, co we mnie, zawodowym detektywie muzealniku, obudziło jakiś sygnał alarmowy nakazujący czujność i uwagę.

Wreszcie zeszyt dziennika jachtowego ukryłem jak skarb na piersiach i opuściłem szopę. Przygięty do ziemi pod nawałem wiatru, oślepiiony śniegiem, z trudem dobrnąłem do murowanego domu, gdzie — przy szklance gorącej herbaty — pan Grodzki rozmawiał ze starym, wąsatym rolnikiem.

Otrzeпаłem kurtkę, zdjąłem czapkę.

— W porządku — powiedziałem. — Kupuję te wręgi i burty.

Spisaliśmy krótką umowę, na mocy której za sumę 1000 złotych (słownie: tysiąc złotych) stałem się właścicielem jachtu „Szkwał”. Kupiłem jacht w cenie drewna opałowego, bo i chyba tyle był wówczas wart.

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZKAZY PANI KSIEŻYC • CO TO JEST PARTNERSTWO?
• CUMULONIMBUS I CO Z NIEGO WYNIKŁO • KTO LUBI
ZMYWAĆ NACZYNIA? • HURAGAN • WALKA O JACHT •
PRZEWRÓCONY „WICHER” • I ZNOWU BAJECZKA • CZY
UMIEM WYMYŚLAĆ PIĘKNE HISTORIE? • DZIENNIK JACH-
TOWY „SZKWAŁA” • POSZUKIWANIA • MAZURSKI POETA •
DYREKTOR DOŁĘGOWSKI I JEGO SEKRETARKA • POZNA-
JĘ LUSIĘ • GDZIE NOCOWAŁA ZAŁOGA „SZKWAŁA” • CZY
POEZJA JEST KOMUŚ POTRZEBNA • DZIEWCZYNA, KTÓRA
CHCE UCIEC Z DOMU

Między Lipowym Dworem a Jezierzycami Jeziorak stanowi wąską rynnę, nieco skręcającą na północny wschód. Na lewym brzegu, na ogół bezludnym, nie zamieszkanym, jeżeli nie liczyć dwóch małych gajówek i osady leśnej Gardzień, znaleźć można uroczę zatoczki, a przed Szałkowem nawet mały półwysep, świetnie nadający się na biwak. Lewy brzeg jest zadrzewiony, las wspina się tam na kamieniste wzgórze, natomiast na prawym lasów jest mniej, w pobliżu jeziora rozciągają się pola i wioski.

Zacumowaliśmy jacht tuż przed Szałkowem, przy prawym brzegu. Zgodnie z wcześniej opracowanym planem postanowiliśmy rozmawiać z mieszkańcami zarówno Szałkowa, jak i pobliskiej Woli Kamieńskiej, Kamienia, dotrzeć pieszo nawet do wsi Windyki. Na lewym brzegu nie było czego szukać.

Był już wieczór. Hławę opuściliśmy późno, początkowo wiatr mieliśmy przeciwny i w wąskiej rynnie jeziora trzeba było nieustannie halsować¹, potem gdy upłynęliśmy zaledwie kilka kilometrów, wiatr zupełnie ucichł i żagle obwisły, jakby zmęczone nawet tą krótką pracą.

Przez cały dzień panował skwar, słońce piekło niemiłosiernie, płucom brakowało powietrza. Spojrzawszy jednak w niebo, widziało się, że tam, gdzieś w górze, trwa wiatr i popycha z północy coraz większe i czarniejsze zwaliska burzowych chmur.

¹halsować — płynąć zygzakiem.

— Zdaje mi się, że powinniśmy starannie zwinąć wszystkie żagle — stwierdziłem — i dobrze zamocować kotwicę. Czekają nas koszmarna noc. Chyba musicie opuścić łajbę i poszukać sobie noclegu w jakiejś stodole. Ja pozostanę i dopilnuję, żeby jacht nie roztrzaskał się o brzeg.

Pani Księżyc wzruszeniem ramion przyjęła moje słowa.

— Czy pan aby nie przesadza? — zakpiła. — Prawdopodobnie tej nocy rzeczywiście będzie burza. Ale przeżyłam już na jachcie kilka burz i nie widzę powodu do robienia paniki.

Wśród członków naszej załogi, która składała się z Kiki, Psychologa, Pani Księżyc i z mojej osoby, oprócz mnie tylko Pani Księżyc miała pewne doświadczenie w pływaniu i dokonany przed piętnastu laty wpis: „żeglarz”, do książeczki żeglarskiej. Ale Pani Księżyc chyba już zapomniała, jak to jest, gdy ma się pod nogami nie płyty chodnika, lecz chwiejną podłogę jachtu. Myślę też, że nie zdawała sobie zupełnie sprawy, co to znaczy przyjąć burzę w wąskiej rynnie jeziora okolonego lasami i wzgórzami. Jezioro stanowi wtedy coś w rodzaju ogromnej dyszy, w której pęd burzy jeszcze się wzmaga, a fala wzrasta niekiedy do olbrzymich rozmiarów. Lecz Pani Księżyc była osobą, jak to się określa, apodyktyczną, przyzwyczajoną do tego, że jej słuchano. Bez szemrania wypełniano jej polecenia w biurze, bez szemrania wypełniał polecenia także jej syn.

— Zwiniemy żagle, zamocujemy kotwicę i spokojnie położymy się spać — oświadczyła tonem ucinającym wszelką dyskusję. — Jesteśmy głodni i musimy zjeść kolację. O żadnym noclegu w stodole nie ma mowy.

— W porządku — mruknąłem. — Ale niech pani pamięta, że ją ostrzegalem...

Wyznaję ze skruchą, że gdy Pani Księżyc podejmowała jakąś decyzję sprzeczną z moim przekonaniem, zazwyczaj ustępowałem. Nie chciałem konfliktów na jachcie, zależało mi na tym, aby nasz rejs doszedł do skutku i odbywał się w harmonii. W pojęciu Pani Księżyc mężczyzna, który nie założył rodziny, nie miał żony, dzieci, a do tego uwielbiał przygody — pozostał niemal smarkaczem, którego należy nieustannie strofować i pouczać.

Była ona bardzo ładna, ale zimna, dumna i nieprzystępna, dlatego nazwałem ją Panią Księżyc. Ale o tym wiedziała tylko Kika i żadne z nas dwojga nigdy przy niej nie wypowiedziało tego przydomka, bo lękaliśmy się, że obrazi się na nas śmiertelnie i zrezygnuje z rejsu. W stosunku do mężczyzn Pani Księżyc zachowywała postawę pełną rezerwy i podejrzliwości, jako że przed dziesięcioma laty mąż rozwiódł się z nią i ożenił się z inną kobietą. Zapewne od tamtego czasu mężczyźni wydawali jej się wiarołomcami i nieodpowiedzialnymi kłamczuchami. Pełen rezerwy i podejrzliwości był także jej stosunek do mnie, choć nie dałem jej żadnego powodu do takiego traktowania mojej osoby. Według niej historia z oszukańczym telegramem, Bajeczką i podrzuconą rękawicą „obnażyła moją prawdziwą naturę”.

— Pierwszą lepszą dziewczynę wziął pan na jacht? — ze zdumieniem kręciła głową. — I tak miał pan dużo szczęścia, że pana nie okradła.

— Wyglądała na bardzo porządną dziewczynę i naprawdę potrzebowała pomocy — tłumaczyłem się jak sztubak.

— Mógł pan okazać pomoc, wyszukując dla niej nocleg w hotelu albo domku kempingowym.

— Pan Tomasz postąpił jak dżentelmen — usiłowała mnie bronić Kika.

Ale i jej się dostało:

— Ja wiem, że ty, Kika, jesteś bardzo nowoczesna — stwierdziła Pani Księżyc. — Uciekłaś nawet z domu i wyruszyłaś w Polskę autostopem. I to mając czternaście lat. Pozwól sobie jednak powiedzieć, że zarówno postępowanie pana Tomasza, jak i twoje jest fałszywie nowoczesne.

— Zgadzam się z panią — przyznałem skruszony. — Nie należy uciekać z domu i nie należy przyjmować na nocleg w jachcie nieznanym, ładnych dziewcząt.

Tak mówiłem, albowiem pragnąłem harmonii i zgody, a poza tym byłem rzeczywiście przekonany, że nic dobrego nie wychodzi z ucieczek z domu, zawsze też potępiałem siebie za skłonność do ładnych kobiet. Obecność Pani Księżyc na pokładzie mego jachtu wynikała między innymi także z owej skłonności. Łudziłem się, że rejs po jeziorze odpręży ją i Pani Księżyc stanie się miłą i sympatyczną.

— I jak ona kazała się nazywać? — dopytywała się ironicznie Pani Księżyc.

— Kto? — udałem, że nie wiem, kogo ma na myśli.

— No, ta dziewczyna, którą pan z takim entuzjazmem przenocował na jachcie.

— Bajeczka — powiedziałem spuszczać głowę.

— Bajeczka? — roześmiała się gorzko Pani Księżyc. — Wszystkich mężczyzn najłatwiej nabierać na bajeczki. Ładnie wyglądające i ładnie ubrane.

— Ja ją znaję — stwierdziłem z przekonaniem — i rozmówię się z nią. Wyjawi mi, kto kazał jej podzucić pozłacaną rękawiczkę.

Pani Księżyc była jednak innego zdania.

— Radzę panu w ogóle jej nie poszukiwać. Obawiam się, że podczas następnego spotkania znowu pana wyprowadzi w pole.

Takie rozmowy prowadziliśmy na początku naszego rejsu, który, jak wiecie, nie z mojej winy zaczął się z dużym opóźnieniem. A teraz, wieczorem, wbrew moim ostrzeżeniom Pani Księżyc postanowiła pozostać na jachcie. I ja — dla świętego spokoju — podporządkowałem się jej rozkazom, choć nie potrafiłem, niestety, przestać myśleć o Bajeczce i... o pewnej młodej, przepięknej kobiecie, imieniem Diana, którą poznałem przed trzema dniami. Czy można to było zresztą nazwać poznaniem? Ot, dotknąłem tylko jej ręki i raz tylko zajrzałem w oczy. Ale pamięć o niej, jakieś dziwne uczucie niepokoju związane z jej osobą nie przestały mnie dręczyć.

— Panowie zrobią dziś kolację — oświadczyła Pani Księżyc.

Zerknąłem w niebo, po którym nadciągał ogromny cumulonimbus, i zaprotestowałem:

— Mężczyźni powinni zwinąć starannie żagle i zabezpieczyć je przed huraganem. Należy także dobrze umocować kotwicę. Kolacja to sprawa kobieca.

— Ooooo? — wąskie, czarne brwi Pani Księżyc uniósł do góry wyraz zdumienia. — Czy pan, broń Boże, jest przeciwko równouprawnieniu? Ja i Kika równie dobrze możemy zwinąć i zabezpieczyć żagle oraz zamocować kotwicę. Umówmy się, że na jachcie będziemy stosować zasadę partnerstwa.

— Co to znaczy? — podrapałem się w głowę.

— To znaczy, że na przemian będziemy zamieniać się rolami. Jednego dnia wy będziecie kucharzyć na jachcie, a my nim kierować, innego dnia my będziemy kucharzyć, a wy zajmować się jachtem.

— Co takiego? — oburzyłem się. — Czy ja dobrze słyszę? Mamy się zamieniać rolami? Innymi słowy, jednego dnia wy będziecie chodzić w spodniach, a my w sukienkach, a drugiego na odwrót? Nie zgadzam się. To jakieś nieporozumienie. Co najwyżej, zgadzam się dzielić wszystkimi, a raczej prawie wszystkimi obowiązkami.

— I tak i wy, i my chodzimy w spodniach — stwierdziła Pani Księżyc. — W biurze kieruję pracą dwudziestu osób, w tym kilku mężczyzn. I jakoś daję sobie radę na stanowisku, które kiedyś zajmował wyłącznie mężczyzna. Podczas tego rejsu nie mam zamiaru zrezygnować ze swoich równych praw. Dziś wy będziecie kucharzyć, a my zajmować się jachtem, jutro — odwrotnie. Równouprawnienie, partnerstwo, oto moje zasady. Przyjmuje je pan, czy mam spakować swoje rzeczy i wracać do Warszawy?

„A to narobiłem sobie kłopotu” — pomyślałem melancholijnie. Jako kawaler umiałem oczywiście gotować, sprzątać i wykonywać mnóstwo innych czynności gospodarczych. Ale nie przepadałem za nimi. Marzyłem, że podczas rejsu jakaś kobieca dłoń zrobi mi obiad, przyrządzi śniadanie i kolację, pozmywa brudne naczynia. . . I teraz spotkało mnie ogromne rozczarowanie.

— Jakie to szczęście — westchnąłem — że nie wszystkie kobiety myślą i postępują tak jak pani. Na przykład owa Bajeczka powiedziała mi, że jej marzeniem jest mieć pokój z kuchnią i troszczyć się o jakiegoś sympatycznego mężczyznę.

— To było z jej strony jeszcze jedno oszustwo — oświadczyła zdecydowanie Pani Księżyc — teraz już nie ma takich kobiet. No więc, jak będzie? Przyjmuje pan moje warunki czy nie?

Rozejrzałem się po niebie, po ładzie, po twarzach reszty członków załogi. Kika uśmiechała się dyskretnie i trudno było wywnioskować po czyjej stoi stronie. Myślę jednak, że jako dziewczyna solidaryzowała się raczej z Panią Księżyc. Psycholog poprawił na nosie swoje ogromne okulary i położył mi rękę na ramieniu.

— Zrobimy im tę kolację — powiedział uspokajająco. — Jeśli pan ma jakieś opory, to sam się nią zajmę. Od takiego małego dziecka — zniżył dłoń niemal

do ziemi — uczono mnie zasad partnerstwa. Umieć robić na drutach, gotować, sprzątać, zmywać naczynia, przyszywać guziki, cerować, haftować.

— Jednym słowem, jesteś samowystarczalny i myślę, że podobnie jak ja pozostaniesz w kawalerskim stanie — rzuciłem złośliwie.

Pani Księżyc zagrzmiała z wysokości dachu kabiny, bo wraz z Kiką zabrały się już do klarowania dużego żagla:

— Niech pan nie demoralizuje Psychologa, Panie Samochodzik. Żony nie bierze się po to, aby mieć służącą, ale po to, aby razem iść przez życie, budować rodzinę i wychowywać dzieci.

Psycholog mrugnął do mnie, dając do zrozumienia, że szkoda czasu na dyskusję. Wsunęliśmy się do kabiny i zajęliśmy kucharzeniem. To znaczy Psycholog krajał chleb, a ja smarowałem go smalcem. Na kuchence gazowej gotowała się woda na herbatę.

— I ty lubisz to robić? — spytałem Psychologa.

— Nienawidzę — stwierdził szczerze, — Ale nie mamy wyboru, panie Tomaszu. Mama naprawdę gotowa jest wrócić do Warszawy. A tylko ona może nam wskazać miejsce, gdzie mieszkał ten poeta.

— Masz rację, „Ludwiku do rondla” — pokiwałem głową. — Ale ty posiadasz, jak się to mówi: psychologiczne przygotowanie, i łatwiej ci przyjmować takie ciosy. A we mnie budzi się ogromne uczucie buntu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ja nie cierpię zmywania naczyń. Czy wiesz, że w swoim kawalerskim gospodarstwie używam tylko jednego talerza, jednej patelni i jednego garnka, żeby mieć mniej do zmywania? I wszystko jadam jedną łyżką, z rzadka używając noża?

— Pozmywam za pana — ofiarował się Psycholog.

— Dziękuję — uściśnąłem mu prawicę. — W zamian za to udzielię ci rady starszego mężczyzny. Wierz mi, są jeszcze na świecie kobiety, które lubią gotować, sprzątać, zmywać naczynia, cerować, haftować, robić na drutach i przyszywać guziki. Poszukamy ich, choćby na tym jeziorze. I gdy znajdziemy autora „Złotej rękawicy”, wywołamy bunt na jachcie, pozbedziemy się krnąbrnej części załogi i sami obejmujemy tu rządy. Zamustrujemy dziewczyny, które lubią gotować.

— Tak jest, Panie Samochodzik — ucieszył się Psycholog. — A na razie w pokorze znośmy nasze drobne biedy. Czy czytał pan „Wstęp do psychoanalizy” Freuda? W tej książce znajduje się podobno klucz do zrozumienia psychiki i mężczyzny, i kobiety. Zabrałem tę książkę na nasz rejs. Jeśli pan zechce, mogę ją panu pożyczyć.

— A ty tę książkę już przeczytałeś?

— Usiłuję — mruknął.

— Czytałem ją przed laty. I oświadczam ci, Psychologu, że nie znajdziesz w niej odpowiedzi na wszystkie swoje pytania. Dziwię się jednak, że wziąłeś tę

książkę na nasz rejs. Wolisz ją czytać niż rozglądać się po jeziorze, po lasach, przeżywać przygody?

— Przecież pan wie, na czym mi zależy — powiedział cicho.

Przygotowywaliśmy kolację, a nad naszymi głowami, na dachu kabiny, łomotało, chrzęściło i rozlegały się tupania. To Pani Księżyc i Kika klarowały żagle. Przez szyby bulajów widziałem, jak po wieczornym niebie sunie coraz bliższy cumulonimbus — gęsta, kłębiasta, ciemnosiną chmura niczym wielokilometrowy zwal potężnej góry. Jej wizycie zawsze towarzyszy szalony wiatr, niezwykle silne szkwały, niekiedy nawet huragan z deszczem i gradem. A jednak po rynnie jeziora, w tę i z powrotem, spokojnie sunęły motorówki, na środku zaś z powodu braku wiatru tkwiło kilka jachtów z obwisłymi żaglami. Nikt jakoś się nie kwapił, aby wziąć się do wiosł i skierować jacht do brzegu. Sprawiało to wrażenie, że kapitanowie czekają na burzowy szkwał chcąc go wykorzystać do dalszej żeglugi. Co przeczniejsi najwyżej zrefowali grot i zrzucili fok.

Cumulonimbus zjawił się cicho, podstępnie, zdradliwie, bez żadnych zapowiadających go grzmotów i piorunów. Siedzieliśmy w kabinie i jedliśmy kolację, kiedy nagle kadłubem jachtu wstrząsnął dreszcz i złowroźnie zaskrzypiała lina kotwiczna. Potem usłyszeliśmy szum drzew na brzegu, syk fal jeziora i wiatr z łoskotem spadł na kabinę. Pospadały ze stolika talerze z jedzeniem, poprzewracały się kubki i gorąca herbata oblała nam spodnie. Potężny szkwał napierał na łajbę, kołysał nią, jakby była korkiem od butelki, przenikliwie gwizdały stalowe liny i coraz groźniej skrzypiała lina kotwiczna.

Wyskoczyliśmy z kabiny do wolnego kokpitu. Jezioro krył mrok, a z tego mroku nadbiegały potężne fale.

— Uwaga, fok! — pisnęła przeraźliwie Kika.

Fok wysunął się ze słabych oplotów liny i z łoskotem wił się w porywach wiatru, uderzał o dach kabiny, wyrywał raksy, którymi był przyczepiony do sztagu. Jeszcze chwila, a podrze się o stalowe liny...

Skoczyłem na dziób i, przygięty pod naporem huraganu, zacząłem się mocować z fokiem, który wił się jak biały żywy zwierz. Z największym trudem zwinąłem go wreszcie w kłęb i mocno chwyciłem w sploty liny szotowej.

— Boże drogi, teraz grot! — krzyknęła Pani Księżyc. Usiłowała wejść na dach kabiny, ale potężna fala, która uderzyła w bok jachtu, przewróciła ją i zmyła do kokpitu.

Nadepnąłem na duży żagiel i zacząłem go oplątywać linami.

— Do diabła z takim partnerstwem! — wrzeszczałem. — To nie partnerstwo, tylko brakoróbstwo, niedbalstwo!

Krótkie fale z ogromną siłą biły w jacht. Jezioro wyglądało, jakby woda zaczęła się gotować. To rufa łajby, to znów jej dziób sunęły do góry i na dół w straszliwej huśtawce. Jacht kładł się raz na lewą, raz na prawą burtę.

— Kotwica sunie po dnie — zapiszczała cienko Pani Księżyc, która już zdołała się podnieść.

Fale dochodziły teraz do dwóch, a nawet trzech metrów wysokości. Kotwica wolno, ale nieustannie sunęła po dnie. Wszystko wskazywało na to, że potężne fale wkrótce wyrzucą jacht na brzeg i stara łajba roztrzaska się o któreś drzewo.

— Do wody! Wszyscy do wody! I trzymać jacht — wydałem rozkaz. — Tu jest płytko. Nikt się nie utopi. Najwyżej od czasu do czasu zaleją nas fale.

Ale Pani Księżyc jeszcze raz pośliznęła się na mokrej podłodze i chyba mocno uderzyła w kolano, bo aż jęknęła z bólu, a Kika, mokra od ciągłych bryzgów wody, trzęsąc się z zimna krzyknęła:

— Nie zejdę do wody, bo słabo pływam. Boję się. . .

— Psycholog! Za mną! — wrzasnąłem.

— Nie, nie, niech pan zostawi Psychologa — jęczała Pani Księżyc. — Coś mi się zdaje, że skręciłam sobie nogę. Niech pan też nie skacze.

Nie zwracałem uwagi na jej jęki i nakazy. Skoczyłem do wody, która w tym miejscu sięgała zaledwie do pasa. Tyle tylko, że raz po raz przetaczały się ogromne fale, nakrywając mnie z głową. I wtedy chwilami brakowało mi tchu w piersiach. Ale po sekundzie fala przechodziła i znów mogłem złapać oddech.

Trzymając się liny, dotarłem do miejsca, gdzie leżała na dnie kotwica. Dałem nurka, bo nakrywała mnie właśnie ogromna fala, chwyciłem kotwicę i jej ostre zęby mocniej wbiłem w piasek. Gdy wynurzyłem się z wody, krzyknąłem w stronę łajby:

— Psycholog! Bądź mężczyzną! Stań za rufą jachtu i trzymaj go. Ja ci za chwilę pomogę.

Pani Księżyc protestowała lękliwie, ale Psycholog był już w wodzie i całą siłą swoich mięśni powstrzymywał jacht przed cofaniem się na brzeg. Po kilkunastu sekundach znalazłem się obok niego. Przemoczeni, zalewani wodą, tkwiliśmy za rufą, walcząc z wiatrem i falami, które jednak nadal, centymetr po centymetrze, spychały jacht na brzeg.

— Psycholog! Panie Samochodzik! — krzyczały na przemian obie nasze panie, bo choć znajdowaliśmy się tuż obok nich, nie widziały nas w tym kipiącym wodą mroku.

Wsparci nogami o piasek dna — usiłowaliśmy utrzymać jacht dziobem do fali. Szum wiatru i syk piany mieszał się dookoła nas z jakimiś rozpaczliwymi okrzykami, zapewne gdzieś w pobliżu znalazły się i inne jachty. Męskie i kobiece głosy krzyczały, wołały, ale ani ja, ani Psycholog nie mogliśmy pośpieszyć na ratunek, bo nasz jacht też był w niebezpieczeństwie.

Potem zaczął padać grad. Ziarnka lodu wielkości fasoli z łoskotem biły po dachu kabiny, po pokładzie, dnie kokpitu, waliły w nasze nie osłonięte głowy, pluskały na jeziorze. Gdy wskoczyłem do wody, wydała mi się nawet ciepła, ale

teraz poczułem chłód. Zacząłem się trząść, dzwoniłem zębami, wciąż kurczowo ramieniem wspierając lewą burtę. Psycholog wspierał burtę prawą.

Nie wiem, jak długo to trwało. Może pięć, może dziesięć minut. Oblewała nas wciąż zimna, coraz zimniejsza woda, powietrze stało się niemal mroźne, okulary mi zaparowały i nic nie widziałem wokół siebie. A grad walił w wodę, w głowę, łomotał na dachu kabiny.

Nagle ucichł ów łomot, wiatr pędził już z mniejszą siłą, fale sięgały tylko do pasa.

— Psycholog! Wracamy na jacht — rozkazałem. — Jeszcze trochę siedzenia w tej lodowatej wodzie i dostaniemy zapalenia płuc.

Szczękając zębami, wycieńczeni, ociekający wodą, z trudem wdrapaliśmy się do kokpitu, a potem wleźliśmy do kabiny, gdzie Pani Księżyc i Kika siedziały na jednej koi, podobne do mokrych kur, które przycupnęły na grzędzie.

— Boże drogi, Psycholog, jak ty wyglądasz? — przeraziła się Pani Księżyc. — A pan, panie Tomaszu? Przecież pan zupełnie przemarł. . .

— A tak! — warknąłem. — I proszę, opuśćcie tę kabinę, bo musimy się przebrać w suchą odzież.

Wyszły posłusznie, bez słowa, natychmiast. Krzyknąłem jeszcze za nimi:

— I zapamiętajcie sobie: żadnego partnerstwa na jachcie. Od jutra będziecie robić obiady, kolacje i śniadania.

— A także zmywać naczynia — dorzucił Psycholog.

Z worków podróżnych wydostaliśmy suche ubrania i swetry, przebraliśmy się pośpiesznie i zaraz zrobiło nam się ciepło. Wyszliśmy do kokpitu.

— A teraz wy, drogie panie, także nałóżcie na siebie coś suchego i ciepłego. Zdaje się, że zamiast czerwca mamy marzec.

Pokład łajby był aż biały od grudek topniejącego lodu.

— Szkoda, że nie mamy łyżew — zachichotał Psycholog.

Jachtem kołysało coraz wolniej i wolniej. Cumulonimbus odszedł na północ, zapewne dopiero pod samą Iławą okazał całą swoją grozę i potęgę, nas zaledwie musnął skrajem.

Pojaśniało trochę, nie panowała już ta przerażająca czerń, tylko zwykłe ciemności nocne. Z pokładu naszej łajby nie widać było drugiego brzegu, na naszym zauważyłem jeden jacht, omegę, którą fale i wiatr wyniosły na płyciznę i przechylały na lewą burtę. Był od nas oddalony o piętnaście metrów.

Doszedł nas stamtąd kobiecy głos, pełen niepokoju:

— Bajeczka zniknęła. . .

— Co ty mówisz? Nie ma jej? — odpowiedział głos męski.

— Tak. Szukałam wszędzie. Uciekła.

— A mówiłem, żeby ją przywiązać! — gniewnie zawołał mężczyzna. — Teraz szukaj wiatru w polu. I do tego łajba leży na lewej burcie.

Kobieta odkrzyknęła:

— Tu obok jest jakiś jacht. Poproś o pomoc. Ściągniemy naszą łódź na wodę, a potem zabierzemy się do poszukiwania Bajeczki. Nie mogła uciec daleko.

Czyżby załoga omegi trzymała u siebie dziewczynę, która podrzuciła mi pożyczaną rękawicę? Kim byli ci ludzie? Dlaczego korzystając z burzy, Bajeczka od nich uciekła? I co robiła na ich jachcie?

Czekaliśmy z napięciem. Po chwili usłyszeliśmy chłopot wody i koło naszej łajby znalazł się przemoczony rostry brodac, lat około trzydziestu pięciu.

— Hej! — przywitał nas. — Przeżyliśmy nie lada huragan, prawda?

— Tak — przyznałem, myśląc wciąż o Bajeczce, która umknęła im z jachtu i teraz zapewne przemoknięta, dygocąca z zimna ukrywa się gdzieś w pobliżu, okryta ciemnością jak płaszczem niewidką.

— „Wicher” leży na lewej burcie. Jestem tylko z żoną i sami nie damy rady zepchnąć balii na wodę. Czy państwo mogliby nam pomóc?

— Z ochotą — odrzekłem i wskoczyłem do wody. To samo zrobił Psycholog.

W kokpicie „Wichra” kotłowały się śpiwory, materace, plecaki i torby podróżne. Na prawej burcie siedziała gruba, tleniona blondynka i, jak gdyby nic, ćmiła papierosa.

Przywitaliśmy ją z Psychologiem krótkim: „Hej”, poprosiliśmy, żeby zeskończyła z jachtu, i we czwórkę zepchnęliśmy łajbę na głębszą wodę. Przy pomocy fału uwiązane do czubka masztu udało się nam jacht postawić.

— Może po koniaczku? — zaproponowała blondyna.

Przecząco pokręciłem głową.

— Nie pijemy alkoholu — oświadczyłem.

Wyglądali na urzędników: on chyba pracował w jakimś biurze, ona była na pewno księgową, nobliwą i dbającą o swoją opinię. Ale tutaj, na wyraju, tlenione włosy przewiązała złotą opaską i zawiesiła duży krzyż na bujnych piersiach. On też nosił taki krzyż i witał się zawołaniem: „Hej”. Dopiero gdy ludzie są na wakacjach, jak się to mówi: na luzie, wychodzą z nich różne ukryte pragnienia i marzenia. Ta para mieszcuchów chciała uchodzić za hippisów. I to po niewczasie, ponieważ, jak wiadomo, moda na hippisów dawno minęła.

Wróciliśmy na naszą łajbę. Słyszeliśmy, jak blondynka z „Wichra” głośno rozkazuje mężowi:

— Weź latarkę i szukaj Bajeczki. Ja się przebiorę, bo strasznie zmarzłam.

Brodacz zapalił elektryczną latarkę i począpał przez wodę na brzeg. Ja i Psycholog zrobiliśmy to samo, ale tak, żeby on tego nie zauważył.

— Bajeczka!... Bajeczka!... Wróć! — pokrzykiwał brodac, oświetlając każde drzewko, każde zagłębienie gruntu.

Na tym brzegu nie bardzo było się gdzie ukryć, toteż po chwili Psycholog wyciągnął spod krzaka czarnego, przemokniętego i bardzo wystraszonego pudła.

— Czy to nie jest przypadkiem pana Bajeczka? — zapytał brodacza.

— Boże drogi, piesku, jak ty wyglądasz? — zatroskał się brodacz i wziął na ręce czarną pudlicę.

Zaraz nadbiegła z kocem blondyna, owinęli w niego suczkę i, dziękując nam stokrotnie, ruszyli w stronę omegi.

Spodziewałem się, że na jachcie powita mnie chóralny śmiech Pani Księżyc i Kiki. Ale nasze kobiety wyglądały na skruszone i przepłoszone burzą. Posprzątały w kabinie, przygotowały gorącą herbatę. Potem Pani Księżyc rozścieliła nam materace na wilgotnym od gradu kokpicie, który przedtem nakryłem brezentową płachtą.

— Pan powinien pisać książki, panie Tomaszu — powiedziała mi na dobranoc. — Bardzo przekonująco potrafi pan wymyślać przeróżne wesole bajeczki.

Wyglądziła jeszcze poduszkę na mojej koi i weszła do kabiny zamykając za sobą drzwiczki.

— Niczego nie wymyśliłem. Po prostu istnieje dziewczyna o przezwisku Bajeczka i istnieje pudel o takim samym imieniu! — zawołałem z rozpaczą.

Ale chyba nikt mi nie uwierzył.

Nocne jezioro było spokojne, jakby martwe. Jacht tkwił na nim nieruchomo. Leżałem wciśnięty w śpiwór aż po brodę, z głową w kapturze, bo powietrze wciąż miało niską temperaturę. Niemal o wyciągnięcie ręki, tuż za poszyciem z cienkich klepek, od czasu do czasu cichuteńko szeptała coś woda. Wydawało mi się, że mówi do mnie słowami, które pokochałem.

*Jezioro moje, z twojej toni
już nie wyciągnę sieci znów,
zabrakło siły w starczej dłoni.
I wiary brak, nadziei, słów.
Jezioro moje, w twoje tonie
z ojczystych słów oddaję śpiew.
Jak kamień krzywdy wiersz zatonie.
Czy kiedyś zabrzmi jękiem mew?*

* * *

Wiecie, co to jest dziennik jachtowy?

Otóż jest to specjalnie wydrukowana książka, której wzór został opracowany przez Polski Związek Żeglarski. Zapisuje się w niej wszystkie wydarzenia związane z jachtem i rejsami. Każda stroniczka ma wagę dokumentu i jak każdy dokument — dziennik jachtowy musi być przechowywany jeszcze przez dziesięć lat po ostatnim rejsie.

Zapisów w dzienniku jachtowym dokonuje oficer służbowy, a podpisuje go kapitan. Wszystko, co dzieje się na łajbie, niezależnie od tego, czy stoi ona w porcie, czy żegluje po burzliwym akwenu, notowane jest godzina po godzinie.

Rzecz jasna, prowadzenie takich dzienników obowiązuje przede wszystkim na jachtach wyruszających w morze. Ale w wielu szanujących się klubach żeglarskich dzienniki prowadzi się także na jachtach pływających po jeziorach. Chodzi o to, aby załoga, która nawet jeszcze nie powąchała słonego zapachu morza i nie uczestniczyła w wielkim żeglarstwie, wdrażała się we wszystkie czynności potrzebne potem w pełnomorskich rejsach.

Oczywiście, dzienniki jachtów śródlądowych są traktowane z mniejszą powagą i precyzją. Niekiedy zamiast zapisu o kursie lub położeniu jachtu — bo przecież widać obydwie brzegi jeziora — ktoś dowcipny zanotuje jakąś fraszkę o kapitanie lub naszkicuje jakiś kawał rysunkowy.

Pamiętam, że pełniąc kiedyś służbę na jachcie, który żeglował po Mamrach, zanotowałem w dzienniku jachtowym:

12.05. Załoga umiera z głodu. Kapitan uparł się dopłynąć do Węgorzewa i nie chce nigdzie dobić, a jacht płynie w dużym przechyle i nie można ugotować obiadu. Zresztą skończył się gaz w butli. SOS dla głodującej załogi.

Kapitan — kolega, student niewiele starszy ode mnie — podpisał bez szemrania tę stroniczkę dziennika, lecz opatrzył ją uwagą:

Załoga to maminsynki. Ale ja z nich zrobię żeglarzy.

Jak z tego wynika, dzienniki na łajbach szkoleniowych są w pewnym sensie obrazem życia na jachcie, nastrojów załogi, odzwierciedlają blaski i cienie pięknej żeglarskiej przygody.

Dziennik jachtowy, który znalazłem w skrytce „Szkwała”, aż roił się od takich właśnie notatek, zapisów, rysunczków, fraszek, wesołych uwag o kapitanach i członkach załogi. Pływał ów „Szkwał” po Mazurach, Mamrach i Śniardwach, po Jezioraku, kilkakrotnie znalazł się na Zalewie Wiślanym. Zmieniali się kapitanowie, zmieniały się załogi, odstępowano „Szkwała” temu i owemu klubowi za coraz mniejszą cenę. Aż wreszcie znalazł się w starej szopie nad Rudą Wodą.

Kupionym przeze mnie wrakiem zajął się pan Grodzki, a ja powróciłem do Warszawy. Tu starannie wysuszyłem butwiejące od starości kartki dziennika jachtowego „Szkwała”. A potem długo i uważnie czytałem zapis znajdujący się na czterech stronach — od sześćdziesiątej ósmej do siedemdziesiątej pierwszej.

Zdarzenia tam utrwalone dotyczyły lipca, słonecznego lipca przed piętnastoma laty. Armatorem, czyli właścicielem „Szkwała”, był wtedy klub żeglarski AZS w Warszawie. Jacht przejął właśnie nowy kapitan i czteroosobowa załoga.

Strona sześćdziesiąta ósma zaczynała się od słów:

9.00 — Protokolarne przejęcie jachtu od kapitana Anny Pujszo.

11.00 — zaokrętowanie załogi i podział funkcji.

Kapitan: Józef Dołęgowski — sternik jachtowy,

I oficer: Jan Śliwowski — sternik jachtowy,

czł. załogi: Danuta Jabłońska — żeglarz, Joanna Ziębicka — żeglarz

A potem były notatki o zaprowiantowaniu, o drobnych naprawach w olinowaniu stałym i ruchomym, o przyszyciu nowych raks do foka. Dziennik prowadzony był bardzo chaotycznie — dawał słaby obraz rejsu przez Jeziorak do Miłomłyn, potem przez Kanał Ostródzko-Elbląski aż na Zalew Wiślany i z powrotem, do Hawy.

Niektóre dni rejsu w ogóle nie znalazły żadnego odzwierciedlenia na kartkach dziennika, zapewne pełniącemu służbę nie chciało się pisać.

Ale na siedemdziesiątej stronie widniało coś takiego, co kazało mi w szopie nad Rudą Wodą chwycić łąpczywie ów dziennik i porwać go do Warszawy, suszyć starannie, a potem w biurze adresowym prosić o podanie aktualnego adresu Józefa Dołęgowskiego, który przed piętnastoma laty, zapewne jeszcze jako student, był kapitanem na „Szkwałe”. Ów student skończył chyba swoją uczelnię i równie dobrze mógł teraz mieszkać w Krakowie, Łodzi czy Poznaniu.

Biuro adresowe podało mi miejsce zamieszkania aż dwóch Józefów Dołęgowskich. Pierwszy z nich w ogóle nie wchodził w rachubę, gdyż — jak wynikało z informacji — miał już lat siedemdziesiąt siedem, czyli przed piętnastoma laty liczył sobie lat sześćdziesiąt dwa, a więc raczej nie należał do AZS-u. Drugi Józef Dołęgowski był w wieku, który mniej więcej odpowiadał warunkom — zbliżał się do czterdziestki. Sprawdziłem, czy nie ma go w książce telefonicznej. Był. Magister inżynier Józef Dołęgowski. Wszystko się zgadzało — prawdopodobnie przed piętnastoma laty studiował na politechnice, więc mógł należeć do klubu żeglarskiego AZS. Telefon odebrała jakaś młoda osoba.

— Ojca nie ma w domu — oświadczyła. — Jest w pracy, przychodzi bardzo późno i wtedy nie chce już odbierać żadnych telefonów. Najlepiej pan zrobi, jeśli skontaktuje się z nim w biurze.

Podawała mi numer telefonu. Zadzwoń. Zadzwoń.

— Ministerstwo Przemysłu Maszynowego. Sekretariat dyrektora Dołęgowskiego — usłyszałem kobiecy głos.

— Chciałbym rozmawiać z dyrektorem — poprosiłem.

— W jakiej sprawie? — pytanie zadane było tonem ostrym, nie znoszącym sprzeciwu.

Zawahałem się.

— W sprawie osobistej. . . — wyjąkałem wreszcie.

— To proszę dzwonić do prywatnego mieszkania dyrektora. Tu jest ministerstwo — głos stał się po prostu niegrzeczny.

— Chwileczkę, proszę pani! — krzyknąłem, bo odniosłem wrażenie, że nieuprzejma sekretarka chce już odłożyć słuchawkę. — Czy mogłaby mnie pani poinformować w pewnej dość istotnej sprawie?

— Słucham — raczyła się zainteresować.

— Nie orientuje się pani, czy dyrektor Dołęgowski był kiedyś żeglarzem? I czy jako kapitan prowadził jacht o nazwie „Szkwał”?

Odniosłem wrażenie, że zdumienie odebrało sekretarce oddech. Nie słyszałem go w słuchawce. Nawet najłżejszego szmeru. Zapewne codziennie odbierała dziesiątki telefonów od bardzo ważnych osób w bardzo ważnych sprawach, ale nikt jej nigdy nie prosił o podobną informację.

— Zapisałam pana pytanie — odezwała się wreszcie. — Może pan zadzwoni do mnie za dwie godziny. Przy najbliższej okazji zapytam o to dyrektora Dołęgowskiego i dowiem się, czy mogę panu na ten temat udzielić informacji. A z kim rozmawiam?

— Dzwonię z Centralnego Zarządu Muzeum i Ochrony Zabytków — oświadczyłem urzędowo.

Odczekałem dwie godziny i zatelefonowałem ponownie.

— Tak, proszę pana. Dyrektor Dołęgowski był kiedyś żeglarzem i kapitanem na „Szkwale”. — Tym razem była nieco miłsza niż uprzednio.

— A czy wobec tego może mnie pani z nim połączyć? — zaproponowałem.

Jej głos znowu stracił swoją miłą intonację.

— Jeśli pływał pan kiedyś z dyrektorem Dołęgowskim i z tego tytułu szuka u niego jakiejś protekcji lub chce przez niego załatwić jakąś sprawę, z góry ostrzegam, że to się panu nie uda. Dyrektor Dołęgowski bardzo tego nie lubi. A poza tym pan jest, zdaje się, muzealnikiem? U nas nie ma żadnych eksponatów — zachichotała cichutko.

— Nie szukani protekcji — burknąłem. — Proszę tylko o kilka słów rozmowy na temat jachtu, którym dyrektor kiedyś żeglował.

— W porządku. Zaraz pana połączę — zdecydowała. Przez dłuższą chwilę trwała w słuchawce głucha cisza, a potem usłyszałem tubalny męski głos.

— Dołęgowski, słucham.

— Już uprzednio dzwoniłem do pana sekretariatu, aby dowiedzieć się, czy to pan przed piętnastoma laty był kapitanem na „Szkwale”.

— Tak. Byłem. I co z tego? Proszę się streszczać — powiedział niezbyt uprzejmie.

— Kupiłem właśnie wrak „Szkwała”...

— Gratuluję — przerwał mi z ironią.

— ... i znalazłem w nim stary dziennik jachtowy. Otóż w zapiskach dotyczących pańskiego rejsu znajduje się pewna informacja, związana z zabytkami naszej kultury. Trafiłem na nią przypadkiem, przeglądając strony dziennika. Sprawa ta wymaga osobistej rozmowy z panem, wyjaśnienia różnych szczegółów. Dzwonię zresztą w pewnym sensie urzędowo, jako pracownik Centralnego Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków.

Kłamałem, dzwoniłem prywatnie i żaden centralny zarząd nic z tym nie miał wspólnego, ale zdawałem sobie sprawę, że jeśli nie skłamię, tak ważna osobistość nie zechce ze mną dalej rozmawiać.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, o co konkretnie chodzi? — zapytał dyrektor Dołęgowski.

— To nie jest rozmowa na telefon — odrzekłem. Bo wiedziałem, że jeśli wyuszczę mu całą sprawę, on pomyśli o mnie: „wariat”, i odłoży słuchawkę.

— A czy to pilne?

— Tak.

Zastanowił się.

— Dziś jestem bardzo zajęty...

Usłyszałem, jak mruczał, zapewne przeglądając kalendarz na biurku.

Wyobraziłem sobie jego wspaniały gabinet, cztery albo pięć telefonów na stoliku przy biurku, urzędników meldujących się w sekretariacie, gonitwę minut. Nie, rozmowa, którą chciałem odbyć z dyrektorem Dołęgowskim, nie mogła się odbyć w ministerstwie.

— To jest sprawa poufna — dorzuciłem tajemniczo — proponuję kawiarnię dziś wieczorem...

Zawahał się.

— Nie bywam w kawiarniach. Ale proszę wpaść do mnie do domu około dwudziestej. Zgoda?

— W porządku. Znam adres — oświadczyłem i natychmiast odłożyłem słuchawkę, aby się nie rozmyślił.

Punktualnie o dwudziestej pojawiłem się przed dużym nowym blokiem mieszkalnym na Mokotowie. Była odwilż, Warszawa tonęła w topniejącym brudnym śniegu, samochody i autobusy rozpryskiwały na wszystkie strony strugi czarnego błota. Czy była to najlepsza pora, aby rozmawiać o lecie, o poświstach wiatru na stalówkach jachtu, o słońcu, którego promienie załamują się w niebieskawo-zielonych toniach jezior?

Otworzyła mi drzwi szczupła, wysoka, chyba piętnastoletnia dziewczyna w wytartych dżinsach i zielonkawej bluzeczce. Uśmiechnąłem się do niej tak miło, jak tylko potrafię.

— Ojca jeszcze nie ma w domu — poinformowała. — Zapowiedział jednak pana wizytę. Proszę zaczekać w jego gabinecie.

Mieszkanie było chyba wielopokojowe, w obszernym holu znajdowało się kilkoro drzwi. Właśnie jedne z nich otworzyła przede mną dziewczyna w dżinsach i wprowadziła mnie do małego gabinetu z biurkiem, wygodną kanapą, niskim stolikiem i trzema fotelami. Zapaliła lampę, poprosiła, abym usiadł, po czym stanęła naprzeciw i przyglądała mi się bacznie.

— Proszę się nie obawiać. Ja tu niczego nie ukradnę — oświadczyłem, bo zirytowała mnie jej czujna obserwacja.

Zaczerwieniła się.

— Ojciec mówił, że otrzymał bardzo dziwny telefon od bardzo dziwnego człowieka i umówił się w bardzo dziwnej sprawie. To dlatego przyglądam się panu z taką ciekawością. U nas nie bywają dziwni ludzie, tylko bardzo nudni panowie.

— Rozumiem — kiwnąłem głową.

Nie bardzo wiedziała, jak ma się dalej zachować. Sięgnęła więc po stojącą na biurku czarną, chińską szkatułkę z wielkim smokiem.

— Zapali pan?

— Owszem. Ale swoje. Palę tylko „sporty” — odrzekłem, stwierdziwszy, że szkatułka pełna jest papierosów „marlboro”.

— Niech pan zapali „marlboro” — zaproponowała. — Jeśli wejdzie tu nagle moja matka, to pomyśli, że dym pochodzi z pańskiego papierosa, ja zdążę swojego zgasić. Rodzice nie pozwalają mi palić, a matka ma taki węch, że „marlboro” wyczuje od razu.

Nie przepadam za panienkami, które palą papierosy, ale nie chciałem zrażać sobie tej dziewczyny. Kiwnąłem więc głową i sięgnąłem po „marlboro” Ona usiadła w drugim fotelu i także zapaliła papierosa.

— Czy może mnie pan wtajemniczyć, co to za dziwna sprawa sprowadziła pana do ojca? — zapytała.

— Oczywiście. Pani ojciec był kiedyś żeglarzem. Przed piętnastoma laty jako kapitan jachtu „Szkwał” odbył rejs, który mnie interesuje. Przyszedłem, aby wywiedzieć się o szczegóły tego rejsu.

Wzruszyła ramionami.

— Mój ojciec był żeglarzem? To wydaje się wręcz nieprawdopodobne.

Jakiś ton pogardy usłyszałem w jej głosie. Czyżby nie lubiła własnego ojca?

— A jednak był żeglarzem — stwierdziłem.

Zaśmiała się z ostentacyjną ironią.

— Jeśli to prawda, przekona się pan, jak się zmienił.

Usłyszeliśmy odgłos drobnych kobiecych kroków w holu. Dziewczyna szybko zgasiła papierosa i schowała popielniczkę pod biurko.

Do gabinetu weszła bardzo przystojna, elegancka pani o jasnych włosach, starannie uczesanych. Na twarzy miała delikatny makijaż. Przedstawiłem się, poca-

łowawszy jej dłoń pachnącą francuskimi perfumami Dziewczyna, rozparta w fotelu, ciągnęła dalej swój wywód, jak gdyby nie odnotowała w świadomości wejścia matki.

— Myśl, że mój ojciec był żeglarzem, wydaje mi się po prostu zabawna. Pan z dużym brzuszkiem na jachcie? On, który nie potrafi o niczym innym rozmawiać, tylko o planach fabryk, o produkcji, o częściach zamiennych do maszyn? Nie wiem, co się robi na jachcie, bo nigdy nie żeglowałam, ale to zajęcie romantyczne. A w moim ojcu nie ma nic romantycznego. Pan zapewne pomylił adres.

— Lusi, czy to wypada w ten sposób mówić o własnym ojcu? — powiedziała z westchnieniem elegancka pani. — Twój ojciec był kapitanem na jachcie. Poznałam go właśnie jako romantycznego żeglarza. Teraz jest chyba taki sam, ale ty tego nie chcesz zauważyć.

Usiadła w trzecim fotelu i zwróciła się do mnie.

— Pan wybaczy ton i sposób mówienia mojej córki. Ale ona ma piętnaście lat, a to bardzo głupi wiek, jak mówią psycholodzy. W każdej sprawie jest na „nie”. Przeciw ojcu, przeciw mnie, przeciw nauczycielom.

Wolałem zachować dyplomatyczne milczenie, choć mógłbym powiedzieć, że doskonale znam ten rodzaj konfliktów. W iluż to znanych mi rodzinach młodzi chłopcy i młode dziewczyny, dorastając, nagle zaczynają z nadmiernym krytycyzmem spoglądać na swego ojca czy matkę, widzieć w nim same wady, okazywać przekorę, nieposłuszeństwo, co według tych młodych ludzi ma być przejawem samodzielności sądu i myślenia.

Zapadła chwila przykrew ciszy. Na szczęście w holu znów rozległy się kroki, tym razem ciężkie i powolne, zapewne męskie. Do gabinetu wtoczył się niski, okrągły, zażywny pan o lekko czerwonawej twarzy. Ubrany w ciemny, dobrze skrojony garnitur, śnieżnobiałą koszulę i gustownie dobrany krawat. Krótko mówiąc: wysoki urzędnik państwowy.

— Dołęgowski jestem — podał mi rękę. — Przepraszam za spóźnienie, ale miałem konferencję, która się trochę przeciągnęła. Krysiu — zwrócił się do żony — zrób nam dobrej herbatki. Kawy dziś piłem chyba za dużo.

Żona wyszła, a on zajął jej miejsce w fotelu.

— Czy mogę zostać, tato? — zapytała wyzywająco Lusia.

— Chyba tak — pan Dołęgowski pytająco zerknął na mnie. — To nie będzie żadna naprawdę tajemnicza rozmowa, prawda?

— Naturalnie.

— To dobrze — odetchnął. — Słucham więc bardzo uważnie. A może zaczekamy na herbatę?

— Nie. Przystąpię od razu do sprawy — to mówiąc podałem mu przyniesiony ze sobą dziennik jachtowy. — Jak pana już informowałem przez telefon, kupiłem wrak jachtu „Szkwał” i postanowiłem go odremontować. Kiedyś, przed dwudziestu laty, ja także pływałem na „Szkwale”, ale to nie ma w tej sprawie

żadnego znaczenia. Otóż w skrytce na mapy znalazłem ten dziennik. Na czterech stronach, od sześćdziesiątej ósmej do siedemdziesiątej pierwszej, są tam zapisy z rejsu, w czasie którego pan był kapitanem.

— Tak, tak, stare dzieje — dyrektor Dołęgowski szybko znalazł w dzienniku wymienione przeze mnie strony.

Uśmiechnął się szeroko, nawet rzekłbym, rozpromienił.

— No, jakże, pamiętam, płynęliśmy wtedy z Hawy aż na Zalew Wiślany i z powrotem. Wspaniałe przeżycia. Od tamtego czasu nigdy już nie dowodziłem na żadnej łajbie.

Milcząc czytał zapiski w dzienniku. W tym czasie jego żona podała herbatę w pięknych porcelanowych filiżankach. Zapachniał mi „Earl Grey”.

— Czy przynieść ci krzesło, mamó? — zapytała Lusja.

— Nie, dziękuję, córeczko. Usiądę sobie na kanapie — uśmiechnęła się do niej. Zapewne także była ciekawa, co kryła moja wizyta w ich domu.

Dyrektor Dołęgowski skończył lekturę zapisków, złożył dziennik i zwrócił mi go.

— To bardzo przyjemnie, że przypomniał mi pan moją młodość. Ale chyba nie dlatego chciał się pan ze mną zobaczyć?

— Interesuje mnie zawarty tutaj zapis — otworzyłem dziennik na siedemdziesiątej stronie. — Pan pozwoli, że go przeczytam. *Nocowaliśmy na brzegu. Sklarowaliśmy żagle i całą gromadką poszliśmy do pobliskiej wioski kupić chleb i mleko. Po drodze poznaliśmy starego mazurskiego poetę, rzeźbiarza i malarza. Pokazał nam mnóstwo pięknych rzeźb i obrazów, bardzo kolorowych. Na pożegnanie dał nam wiersz, który przepisałam do dziennika.* Otóż chciałbym odnaleźć tego mazurskiego poetę, rzeźbiarza i malarza. Ale z tego zapisu trudno się zorientować, o jaką to chodzi miejscowość. Może pan pamięta?

Dołęgowski pokręcił głową.

— Nie. Nie przypominam sobie. Ale chyba można tę sprawę ustalić na podstawie poprzedzających i następnych notatek.

— Niestety. Poprzedni zapis dotyczy dziewiętnastego lipca i jest bardzo lakoniczny: *Minęliśmy śluzy w Miłomłynie. I to już wszystko.* Jeśli mieliście dobry wiatr, to nocleg mógł się zdarzyć na Jezioraku w pobliżu Hawy, a jeśli nie było wiatru, to zapewne nocowaliście w okolicy wsi Wieprz albo jeszcze gdzieś indziej. Następny zapis brzmi: *20 lipca. Powrót do Hawy. Protokolarne przekazanie jachtu.* W nocy z dziewiętnastego na dwudziesty lipca zatrzymaliście się koło wsi, gdzie mieszkał poeta, którego wiersz został zapisany w dzienniku jachtowym. Jeziorak ma dwadzieścia dziewięć kilometrów długości, a biorąc pod uwagę jego liczne zatoki i odgałęzienia, chyba ze sto kilometrów linii brzegowej. Na tej przestrzeni znajduje się mnóstwo wiosek i samotnych zagród. Jeśli pan nie określi mi bliżej miejsca waszego noclegu, to odnaleźć owego poetę będzie dość trudno.

Praktycznie rzecz biorąc, mogliście bowiem nocować w każdym punkcie owej stukilometrowej linii brzegu.

Pan Dołęgowski bezradnie rozłożył ręce.

— Wydaje mi się, że nie będę mógł panu pomóc. Po prostu nie pamiętam tego spotkania z poetą i rzeźbiarzem. Nie interesowałem się sztuką ludową, studiowałem na politechnice. Ale zaraz, zobaczymy, kto wtedy prowadził dziennik.

Znowu wziął ode mnie zeszyt w ceratowych okładkach. Zajrzał do spisu założeń.

— Pierwszy oficer: Jan Śliwowski. Może to on?

— Nie, tam jest napisane wyraźnie: *Na pożegnanie dał nam swój wiersz, który przepisałam do dziennika*. A więc to była dziewczyna.

— Danuta Jabłońska, Joanna Ziębicka — przeczytał pan Dołęgowski. — Pamiętam te dziewczyny. Jabłońska studiowała ze mną na polibudzie, na tym samym roku. A Ziębicka była z ekonomii. Jabłońska wyszła za mąż za jakiegoś cudzoziemca i dziś, zdaje się, jest w Kanadzie. Ale adresu nie znam. Jeśli więc to ona prowadziła wtedy dziennik, trudno będzie uzyskać jakieś informacje. Jeśli zaś Ziębicka... Spotkałem ją kiedyś na ulicy. Mówiła, o ile dobrze pamiętam, że pracuje w jakimś banku w Warszawie. Ale to wszystko, co mogę panu powiedzieć. A tak na marginesie: w jakim celu zajął się pan tą sprawą? Czy to jest związane z pana pracą w Centralnym Zarządzie Muzeów i Ochrony Zabytków?

— Nie — odrzekłem szczerze. — To prywatne zainteresowanie. Chciałbym po prostu odnaleźć tego poetę, uścisnąć mu rękę, spojrzeć w twarz, porozmawiać.

— Ale dlaczego? — zdumiał się pan Dołęgowski.

Uśmiechnąłem się bezradnie. Bo jak wytłumaczyć tę sprawę? Powiedziałem tylko:

— Chciałbym go poznać dlatego, że napisał piękny wiersz.

Dołęgowski zamilkł, tak go widać zaskoczyły moje słowa. I tylko z drugiego fotela odezwała się nieoczekiwanie Lusja:

— A może pan nam przeczyta ten wiersz? Jest zapisany w tym zeszycie, prawda?

Otworzyłem dziennik jachtowy „Szkwała” i zadeklamowałem, jak umiałem najlepiej:

*Jeziro moje, w gładkiej toni
widziałem kiedyś dziecka twarz.
Jakiż to wiatr te fale gonił,
co odebrały oczom blask?
Jeziro moje, z twojej toni
już nie wyciągną sieci znów,
zabrakło siły w starczej dłoni.
I wiary brak, nadziei, słów.*

*Jezioro moje, twojej toni
obcym imieniem mówi czas,
na mojej pieśni łańcuch dzwoni
niewoli, usta ciśnie gład.
Jezioro moje, w twoje tonie
z ojczystych słów oddaję śpiew.
Jak kamień krzywdy wiersz zatonie.
Czy kiedyś zabrzmiał jękiem mew?
Ojczyzna moja, ponad tonią
żurawi zwątpień krzyk jesieni.
Do starych gniazd dostępu bronią
trzciny szable. Aż się los odmieni.
I znowu polski rycerz dumnie
podejmi złotą rękawicę.
Widziałem ją w blaszanej trumnie,
gdzie wróg rozbitą miał przyłbicę.
I wy wróćcie tu łabędziem
w łopocie żagli białych skrzydeł,
mój grób z brzoźowym krzyżem będzie
jak z Grottgerowych malowideł.
Zarzućcie w tonie nocne sieci
po pieśni sen ukryty w fali.
A jeśli grobu nie znajdziecie,
zechciejcie chociaż wiersz ocalić.
1941*

Skończyłem czytać i długą chwilę w gabinecie pana Dołęgowskiego trwała pełna napięcia cisza.

— To bardzo piękny wiersz — szepnęła wreszcie Lusia.

— Tak — przyznałem. — Urzekł mnie. Nazwałem go „Złota rękawica”. Wydaje mi się, że pisał go człowiek bardzo utalentowany, ale tego wiersza nie znalazłem w żadnym zbiorze poezji ludowej Mazur. Postanowiłem ustalić nazwisko autora, spotkać go. A jeśli już nie żyje, to, zgodnie z jego prośbą, ocalić ten wiersz od zapomnienia, wydrukować z imieniem i nazwiskiem. Jest to jeszcze jeden dowód, jak bardzo te ziemie związane były z Polską i przeniknięte duchem naszego języka, naszej poezji.

Dyrektor Dołęgowski chrząknął z zakłopotaniem.

— To bardzo piękny zamiar. Przykro mi, że nie mogę panu pomóc.

— Mówiłem już, że kupiłem wrak „Szkwała”. Najomy szkutnik podjął się przeprowadzić remont. Postanowiłem swój letni urlop poświęcić na rejs tym sa-

mym, co wy wtedy, szlakiem i spróbować odszukać miejsce, gdzie żyje lub żył autor wiersza.

— My latem jedziemy do Jugosławii — odezwała się Lusia. — Będziemy leżeć na plaży, opalać się, nudzić. Inni zaś będą szukać autora pięknego wiersza. . .

— Ach, Lusi! — przerwała jej matka — ty znowu jesteś na „nie”. Już ci się nie podoba projekt wyjazdu do Jugosławii? Ojcu należy się wypoczynek.

Dziewczynka zerwała się z fotela.

— Wy naprawdę niczego nie rozumiecie! — krzyknęła histerycznie. — Czy nie zdajecie sobie sprawy, że mnie takie życie, jak wasze, zupełnie nie odpowiada? Czy nie rozumiecie, że i poezja jest człowiekowi potrzebna? Że każdy chce mieć w życiu coś pięknego, własnego, co się nie da obliczyć przez komputery w departamencie dyrektora Dołęgowskiego? Nigdy nie widziałam, żeby ojciec czytał wiersz, zawsze tylko sprawozdania pełne cyfr. Ty, mam, jesteś taka sama.

I dziewczynka wybiegła z gabinetu. Dyrektor Dołęgowski chrząknął znowu z zażenowaniem.

— To bardzo trudne dziecko — wyjaśnił zachowanie córki.

Doszedłem do wniosku, że najlepiej uczynię nie wtrącając się w ich osobiste sprawy.

— Szkoda, że pan nie pamięta szczegółów tamtego rejsu — stwierdziłem, szykując się do odejścia. — Wątpię, czy uda mi się odnaleźć Joannę Ziębicką. Prawdopodobnie wyszła za mąż i nosi teraz inne nazwisko.

— Ale wiem, gdzie pracuje Jan Śliwowski, który był wtedy pierwszym oficerem — przypomniał sobie dyrektor Dołęgowski. — Nie skończył uniwersytetu, rozpił się. Spotykam go niekiedy. Pracuje na stacji benzynowej przy szosie E-81. Taka duża stacja. Może on będzie pamiętał naszą wizytę u ludowego poety?

Uradowała mnie ta wiadomość. Mocno uściśniętem prawicę dyrektora. A on — jak gdyby ogarnięty nagłą do mnie sympatią — odprowadził mnie aż do drzwi wyjściowych.

— Proszę o telefon. Jestem ciekawy, jak skończy się ta historia — rzekł już w otwartych drzwiach. — To pięknie, że są ludzie, których interesują podobne sprawy.

Zbiegłem po schodach i szybkim krokiem pomaszerowałem do najbliższego przystanku autobusowego. Ale ktoś okazał się lepszym sprinterem ode mnie. Nie bacząc na kałuże topniejącego śniegu, dogoniła mnie Lusia. Była w białym kożusku, popstrzonym teraz czarnymi plamami błota.

— Proszę pana! Proszę pana! — wołała już z daleka. — Czy może mi pan podać swój telefon i adres? Muszę się z panem spotkać i porozmawiać. Od dawna noszę się z zamiarem letniej ucieczki z domu. Zamiast jechać do Jugosławii, popłynę z panem na poszukiwanie poety. Zgoda?

Milczałem zaskoczony.

— Dlaczego pan nic nie mówi? — niecierpliwiła się dziewczyna. — Boi się pan wziąć tę sprawę na siebie? Ale ja i tak ucieknę z domu. Już raz to zrobiłam. W ubiegłym roku, latem. Rodzice szukali mnie przez dwa tygodnie i wreszcie w Zakopanem trafili na mój ślad przez milicję.

— Dobrze — zgodziłem się nieoczekiwanie. Wyciągnąłem z kieszeni notes i zapisałem jej swoje nazwisko, adres i telefon.

— Jest pan cudowny! — stwierdziła. — Może spędzę najpiękniejsze wakacje w swoim życiu. Wkrótce zadzwonię do pana i spotkamy się. Wtedy też przepiszę dla siebie „Złotą rękawicę”.

Uśmiechnąłem się. Podałem jej rękę i, opryskiwany przez przejeżdżające mimo mnie samochody, długą chwilę patrzyłem za oddalającą się chodnikiem dziewczyną w białym kożusku.

ROZDZIAŁ TRZECI

KAMIENNY RYCERZ • NIESPODZIEWANE SPOTKANIE Z WROGIEM • JACHT Z „ROGEREM” NA MASZCIE • KTO CHCE BYĆ PIRATEM? • JAN ŚLIWOWSKI, PIERWSZY OFICER „SZKWAŁA” • LUSIA ROZPOCZYNA ŚLEDZTWO • POJAWIENIE SIĘ OSZUSTA • WCIAŻ NIE MA TROPU • STARUSZEK Z BRÓDKĄ I JEGO OBRAZY • WIOSKA CZY DOM NA PUSTKOWIU? • KOMU POTRZEBNA JEST POEZJA?

Półtora dnia tkwiliśmy w zatoczce, która dała nam schronienie podczas gradowej burzy. „Wicher” z Bajeczką pod pokładem odpłynął zaraz rankiem następnego dnia i pozostaliśmy sami, ale wiele jachtów i łodzi motorowych ciągnęło mimo nas w stronę Siemian i z powrotem, pogoda bowiem zrobiła się bardzo piękna. Kika, Psycholog i ja wyruszyliśmy na mozolną wędrówkę po okolicznych wioskach, aby wypytywać o interesującego nas człowieka. Na jachcie, jako strażnika, pozostawiliśmy Panią Księżyc, która, korzystając ze słońca, postanowiła opalać się na dachu kabiny.

Z Kiką i Psychologiem rozstałem się w południe w wiosce o nazwie Tynwałd. Wypożyczyłem tam rower od pewnego gospodarza i, nie mówiąc swoim przyjaciołom o celu swej wyprawy, pojechałem do oddalonej o prawie dwadzieścia kilometrów wsi Boreczno, gdzie znajdował się bardzo stary kościół. W tym kościele byłem ostatnio już dwukrotnie, wydawało mi się, że kryje on w sobie zagadkę, która trapiła mnie od dość dawna. Ale i tym razem, podobnie jak poprzednio — chodząc po jego chłodnym i mrocznym wnętrzu — doznałem uczucia, że do rozwiązania tej zagadki jest jeszcze bardzo daleko.

Kościół ów pochodził z pierwszej połowy czternastego wieku, był kilkakrotnie przebudowywany i odnawiany, zachował jednak swój gotycki charakter. Tak jak i poprzednio, podziwiałem umieszczoną na stropie barokową polichromię złożoną z wielofigurowych scen, ujętych w bogate obramowania geometryczne. Był tam ukazany sąd ostateczny, Adam i Ewa, cztery popiersia ewangelistów, wniebowstąpienie, dwunastu apostołów. Piękny wydał mi się także ołtarz ufundowany przez

właściciela sąsiednich dóbr, Jana Albrechta von Schöneich, wykonany w siedemnastym wieku w pracowni Gellerta, z plastyczną płaskorzeźbą przedstawiającą ukrzyżowanie, a nieco wyżej zmartwychwstanie.

W kościele wiele przedmiotów mogło zachwycić każdego historyka sztuki, jak choćby ambona lub ława kolatorska z 1728 roku, stary konfesjonał, skarbonka wyłobiona z pnia drzewnego, chrzcielnica — anioł trzymający czarę. Albo też umieszczona w posadzce płyta nagrobna Hansa von Schöneich, zmarłego w 1595 roku, przedstawiająca rycerza w zbroi. Według informacji, jakie uprzednio uzyskałem od proboszcza oraz konserwatora wojewódzkiego, kościół w Borecznie nie posiadał krypt podziemnych i ów Schöneich, którego potomkowie znaleźli się potem w Polsce i przyjęli nazwisko Krasnodębskich, prawdopodobnie został pochowany na starym cmentarzu w Karnitach, a tutaj, jeno dla pamięci, umieszczono jego płytę nagrobną i epitafium. Widok płaskorzeźby przedstawiającej rycerza w zbroi ciągle przywodził mi na pamięć zwrotkę z wiersza anonimowego poety.

*I znowu polski rycerz dumnie
podejmie złotą rękawicę.
Widziałem ją w blaszanej trumnie,
gdzie wróg rozbitą miał przyłbicę.*

Kamienny rycerz nie miał na ręce złotej rękawicy, a jego zwłoki i zbroja prawdopodobnie już od dawna zetlały w którymś ze zrównanych z ziemią grobowców na górze parkowej koło pałacu w Karnitach. Wyobrażałem sobie jednak, że autorowi chodziło właśnie o tego rycerza — przecież poeta gdzieś tu niedaleko mieszkał i żył, być może bywał w tym kościele.

O piętnastej opuściłem chłodną nawę i wyszedłem na rozgrzaną skwarem szosę biegnącą z Zalewa do Iławy. Oparty o mur kościelny stał wypożyczony przeze mnie rower, a obok — wspaniały BMW turbo, w którym zobaczyłem Waldemara Baturę.

— Witaj, Tomaszu — powiedział, wysiadając z samochodu. — Złożyłem właśnie wizytę proboszczowi w Borecznie i zauważyłem ciebie snującego się po kościele. Postanowiłem zaczekać, aż skończysz kontemplację wnętrza.

— Cześć, Waldemar — odezwałem się niechętnie.

Albowiem Waldemar Batura zaliczał, się do moich najpotężniejszych i najniebezpieczniejszych przeciwników. Znałem go dobrze, ponieważ razem kończyliśmy historię sztuki, a on był najzdolniejszym studentem naszego roku. Posiadał nie tylko ogromną wiedzę, ale odznaczał się także wielkim sprytem i niezwykłymi detektywistycznymi zdolnościami. Kiedyś żyliśmy w przyjaźni i rozwiązaliśmy wspólnie kilka zagadek historycznych, odkryliśmy nawet fałszerstwo pewnego wybitnego dzieła sztuki. Ale Waldemar Batura nie chciał, tak jak ja, żyć ze skromnej urzędniczej pensji. Zajął się handlem antykami, a nawet przemytem

dziel sztuki za granicę. Nasze drogi krzyżowały się ze sobą i trzykrotnie przyczyniłem się do tego, że Waldemar Batura trafił za kratki. Musiał czuć do mnie o to ogromną urazę, ale przecież nigdy jej nie okazywał. Zawsze zachowywał się jak dżentelmen, nawet wówczas, gdy ze mną walczył.

Co do mnie — ceniłem wysoko jego znajomość sztuki oraz zmysł detektywistyczny. Miałem także świadomość, że jako bardzo przystojny mężczyzna — brunet o smagłej, pociągłej twarzy — miał o wiele większą ode mnie możliwość nawiązywania przeróżnych przyjaźni i kontaktów, szczególnie z ładnymi kobietami, które wykorzystywał do swoich interesów. Dlatego, zobaczywszy go, natychmiast przypomniałem sobie o Bajeczce.

— Odwiedziłem proboszcza w Borecznie — opowiadał Batura — ponieważ, jak cię informowałem wiosną, zaangażowałem się w charakterze drugiego scenografa w zagranicznym filmie kręconym w Polsce. Część zdjęć będziemy robić w wypożyczonym na ten cel pałacu w pobliskich Karnitach. Reżyser zażądał od nas, aby pałac wyposażyć w najróżniejsze starocie, więc razem z rekwizytorami jeżdżę po okolicznych kościołach oraz muzeach i za wynagrodzeniem wypożyczam dla filmu stare krzesła, stoły, szafy, lichterze, kandelabry. Oczywiście, zaraz po nakręceniu zwrócimy je właścicielom — zastrzegł się, abym nie myślał, że zamierza je skraść i potem komuś odsprzedać. — W Borecznie, niestety, jest tylko mosiężny lichterz gotycki, mocno uszkodzony, który dla naszych celów się nie nadaje. A ty co tu robisz?

— Przecież wiesz, że szukam autora wiersza „Złota rękawica” — odrzekłem.

— W kościele? — zapytał kpiąco.

Bez słowa chwyciłem kierownicę roweru.

— Jeździsz rowerem? — zdumiał się. — A gdzie twój słynny wehikuł, Tomaszu?

Patrząc mu w oczy spytałem:

— Czy to ty przysłałeś mi na jacht w Hławie piękną dziewczynę, ubraną w spódnicę ze słonecznikami i haftowaną bluzkę?

— Znam dużo ładnie ubranych dziewcząt — odpowiedział, nie kryjąc spojrzenia. — Jak miała na imię?

— Kazała się nazywać Bajeczką.

Parsknął śmiechem.

— Coś mi się zdaje, że nieźle sobie z ciebie zażartowała. Oj, Tomaszu — przybrał współczującą minę — strzeż się ładnych i dobrze ubranych kobiet. Nigdy nie miałeś do nich szczęścia.

— To prawda — przyznałem.

— Kochają cię natomiast przygody, prawda?

— Tak. Ostatnio przeżyłem kilka wspaniałych przygód.

Spoważniał. I rzekł przez zaciśnięte usta:

— Uważaj, aby któraś z nich nie skończyła się dla ciebie niefortunnie.

Wsiadł szybko do samochodu i odjechał, dając mi powąchać dym z rury wydechowej swojego turbo. Wiedziałem, że jego słowa znaczyły więcej, niż znaczyły, kryło się w nich wyraźne ostrzeżenie. Widać było, że jest na mnie bardzo zły. Ale ja nie przypominałem sobie, abym mu ostatnio wyrządził coś złego albo pokrzyżował jakieś plany. Przecież chyba nie przeszkadzało mu to, że pływam po Jezioraku i szukam autora „Złotej rękawicy”.

Wróciłem nad zatoczkę pełen złych przeczuc, z obolałymi nogami, bo nie byłem przyzwyczajony do jazdy na rowerze. Kika i Psycholog wrócili przede mną. Niestety, nie udało im się trafić na ślad tajemniczego poety i rzeźbiarza. Należało popłynąć dalej i kontynuować poszukiwania. Ale można to było zrobić dopiero jutro, nadszedł bowiem wieczór, drugi wieczór naszego rejsu.

Jedliśmy właśnie kolację, gdy od strony Siemian nadpłynęła milicyjna motorówka i, zauważywszy naszą łajbę, skierowała się w zatoczkę. Milicjanci sprawdzili moją książeczkę żeglarską oraz upewnili się, czy mamy dostateczną ilość sprzętu ratunkowego. Zgodnie bowiem z przepisami, każdy jacht powinien być zaopatrzony w środki ratunkowe dla wszystkich osób znajdujących się na pokładzie. Mieliśmy trzy kapoki i koło ratunkowe, które może służyć dla dwóch osób. Lustracja wypadła pozytywnie.

Wzbudziliśmy chyba zaufanie milicjantów, bo zanim nas pożegnali, spytali, czy podczas dotychczasowego rejsu nie zwrócił naszej uwagi jakiś jacht z „Rogerem” na maszcie.

— Otrzymaliśmy skargi — wyjaśnił jeden z nich — że bliżej nie zidentyfikowana łódź, sądząc z opisu najprawdopodobniej jakaś stara omega, wciąga na maszt „Rogera” i zabawia się pływaniem po spławikach wędkarzy, którzy siedzą na brzegu. Wprawdzie, jak się potem okazało, ci poszkodowani nie mieli kart wędkarskich, ale to zupełnie inna sprawa. Nie możemy pozwolić, aby działali tu, i to takimi sposobami, samozwańczy stróże porządku.

— Nie widziałem jachtu z „Rogerem”. Zresztą, jesteśmy dopiero drugi dzień w podróży — powiedziałem.

— Kto to jest Roger? — spytał zdumiony Psycholog, kiedy odpłynęła milicyjna motorówka.

— Nie: kto, tylko: co — roześmiałem się.

— Roger jest imieniem męskim — zauważyła Kika.

— „Roger” to czarna flaga z trupa czaszką i piszczelami. Znak piratów — wyjaśniłem.

— Piraci? Prawdziwi piraci? — uradowała się Kika.

— Zdaje mi się, że chętnie przystałabyś do nich — cierpko zauważyła Pani Księżyc. — Jakież to wspaniałe i romantyczne pływać po spławikach wędkarzy, prawda?

Ale Kika się nie zawstydziała.

— Chętnie poznałabym prawdziwych piratów — powiedziała. — Myślę, że piraci wcale nie muszą tylko pływać po spławikach, mogą robić wiele innych rzeczy.

— Na przykład? — ironicznie zapytała Pani Księżyc. — Porywać dzieci z biwaków, łupić jachty, napadać na samotnie stojące namioty?

— Och, pani zaraz myśli o najgorszym — nadała się Kika. — A czy nie ma dobrych piratów?

— Nie. Bo to się mija z samym założeniem piractwa.

— Ale można na maszt wciągnąć „Rogerę” tylko dla zabawy, prawda, panie Tomaszu?

Nie podjąłem dyskusji na temat piratów. Albowiem — choć nie podzielałem skrajnych poglądów Pani Księżyc — w głębi duszy także uważałem zabawę z „Rogerem” na maszcie za bezsensowną.

— Jest już późno. Zdaje mi się, że pora spać — stwierdziłem.

I zacząłem sobie ścielić koję w kokpicie. Po podróży rowerem do Boreczna czułem się naprawdę zmęczony.

Następny dzień znowu był słoneczny, wiał lekki wiatr, trzy stopnie w skali Beauforta, a więc wspaniała pogoda na żagle. Po śniadaniu, które tym razem przygotowały nasze panie, wydałem rozkaz odpłynięcia z gościnnej zatoki.

Rynna Jezioraka przypominała tego dnia wielką promenadę. Kto tylko dysponował jakąś łajbą, kajakiem czy pontonem, wypłynął na wodę i ciągnął w stronę Siemian, gdzie Jeziorak rozlewa się szeroko jak morze. Defilowały więc obok nas różne pokraczne łodzie wiosłowe i motorowe, z hałasem przeciągały ślizgacze, sunęły wielkie jachty. Panował ruch jak na Marszałkowskiej w godzinach szczytu. Motorówki nie zawsze chciały ustępować jachtom żaglowym, a te z kolei kajakom i rowerom wodnym. W pewnej chwili o mało nie najechaliśmy na cadeta, który chciał na nas wymusić pierwszeństwo drogi. Innym znowu razem kurs naszego jachtu przeciął się z szybko płynącym w tym samym kierunku latającym holerem i też o mało nie doszło do kolizji. I to nie z naszej winy — on był jachtem nawietrznym, a my zawietrznym, więc zgodnie z prawidłem siedemnastym międzynarodowych przepisów powinien nam ustąpić. W ostatnim momencie skierowałem łajbę nieco w bok, a on bezczelnie przeszedł tuż mimo nas, zabierając nam wiatr, co też jest przestępstwem żeglarskim. Pogroziłem pięścią płynącym nim dwóm chłopakom, ale oni tylko zagrali nam na nosie. No cóż, nawet żeglarze nie zawsze bywają dżentelmenami, szczególnie żeglarze „niedzielni”.

W ogromnym wczasowisku koło Makowa, na kilkunastu pomostach, wylegiwało się na słońcu chyba kilkaset osób. Z trudem manewrowaliśmy między dziesiątkami rowerów wodnych, pontonów, kajaków i ludzi pływających po prostu na materacach.

— To nie jezioro, tylko jakiś kowbojski saloon — stwierdził Psycholog.

A ja z melancholią wspominałem przecież nie tak odległe czasy, gdy jezioro to było niemal puste. Przeżyłem wtedy tutaj kilka wspaniałych przygód, poznałem Kapitana Nemo, Czarnego Franka i wiele innych ciekawych ludzi. Ale od tamtych lat zbudowano tu mnóstwo ośrodków wczasowych, które w dzień nadmiernie zaludniały jezioro i jego brzegi, a nocami oznajmiały o sobie na całe kilometry jarzeniowymi lampami i urządzeniami nagłośniającymi, serwującymi turystom walczyki i stare przeboje z Opola i Sopotu. Jedyna nadzieja tego terenu to objęcie go Strefą Ciszy. Uczyniono to ostatnio, ale w odniesieniu tylko do części akwenu — Jeziora Płaskiego. A nawet i to skromne zarządzenie spotkało się z oporem motorowodniaków, którzy raz po raz, łamiąc przepis o strefie ciszy, wypływają na to jezioro.

Za Makowem zrobiło się nieco luźniej — bo też właśnie tu jezioro zaczynało się rozszerzać. Wyznaję, że zmęczyło mnie lawirowanie w tłoku i przy coraz słabszym wietrze, więc z ulgą dojrzałem wygodną zatoczkę na prawym brzegu. W wodę wrzynał się tu dość duży półwysep przedłużony skleconym z żerdzi prymitywnym pomostem, na którym siedziało chyba ze dwudziestu wędkarzy patrzących bacznie na swoje spławiki. Ominęliśmy ich i o jakieś dwieście metrów dalej rzuciliśmy kotwicę w trzcinach przybrzeżnych. Dopiero po zacumowaniu stwierdziliśmy, że na wodzie pływają ogromne kałuże smarów i oleju, był to brzeg nawietrzny, wiatr nanosił tutaj krople oliwy z przepływających jeziorem motorówek. W takim miejscu woda nie nadawała się nawet do mycia. Na szczęście mieliśmy dużą kanę wody, którą rano przynieśliśmy na jacht ze studni wiejskiej.

— Kto dziś będzie robił obiad? — zapytała Pani Księżyc, patrząc znacząco na mnie i na Psychologa.

— O Boże, zaczyna się sprawa partnerstwa — jęknął Psycholog.

Przerwałem klarowanie grota i rozejrzałem się po jeziorze.

— Zdaje mi się, że teraz w ogóle nie będziemy jedli obiadu. Wiatr znowu się wzmaga, widzę coraz dłuższe i silniejsze szkwały. Dopłyniemy do Siemian i pójdziemy na obiad do restauracji. Załoga, zrzuć żagle! — rozkazałem.

Pani Księżyc roześmiała się.

— Chciał pan chyba powiedzieć: „wciągać żagle”. Przecież one leżą na dachu kabiny — zauważyła.

Psycholog ze smutkiem pokiwał głową.

— We „Wstępie do psychoanalizy” — stwierdził — wyczytałem, że tego rodzaju przejęzyczenia ujawniają prawdziwe, choć utajone pragnienia człowieka. Pan Samochodzik ma, zdaje się, dosyć rejsu. Chciałby rzucić żagle i w ogóle cały rejs.

— No, nie przesadzaj, Psycholog — odparłem niby beztrąsko. Ale wiedziałem, że ma rację.

Miałem powyżej uszu dyskusji na temat partnerstwa, kto i kiedy ma przyrządzać śniadania, obiady i kolacje, zmywać naczynia, sprzątać na jachcie. Nie tak

wyobrażałem sobie wyprawę na poszukiwanie nieznanego poety. Myślałem, że będziemy czytać wiersze, dyskutować o poezji, a tymczasem jako główny temat naszych dysput zapowiadała się sprawa: kto i kiedy będzie miał dyżur w kuchni. Na bardzo krótki czas przerwała te spory nauczka, którą Pani Księżyc otrzymała podczas burzy, ale gdy pogoda znowu stała się piękna, Pani Księżyc wróciła do tej sprawy.

— Robię to ze względu na Psychologa — tłumaczyła się przede mną. — Pana staroświeckich poglądów, panie Tomaszu, nie zdołam zmienić. Ale on jest młody i im wcześniej zrozumie, że istnieje równouprawnienie kobiet i mężczyzn, tym lepiej dla niego.

— Obiad zjemy w restauracji w Siemianach — powtórzyłem cierpko, wciągając z powrotem grot na maszt.

Kika weszła na kabinę i pomogła mi knagować fał głównego żagla.

— W Siemianach, być może, spotkamy „Notosa”, bo wiem, że tam będzie miał swoją bazę — odezwała się do mnie. — Czy płynąc do Iławy nie widział go pan na jeziorze?

„Długo obnosiła się z tym pytaniem, ale wreszcie nie wytrzymała” — pomyślałem.

— Owszem. Natknąłem się na niego w tej części jeziora, która nazywa się Kraga. Płynął na pełnych żaglach, wyglądał bardzo majestatycznie. To piękny jacht.

— A załoga? Widzieli pana?

— Tak. Radośnie kiwali mi rękami.

— A jakie mieli miny?

— Wyglądali na bardzo zadowolonych — oświadczyłem, zerkając uważnie na dziewczynę.

— Bo może już trafili na ślad poety — poirytowanym głosem rzekła Kika. — Są tu przecież już chyba tydzień. A my zaczęliśmy rejs z opóźnieniem. Pan zdaje się w ogóle nie przejmować, że oni grasują po jeziorze i gotowi nam całą sprawę sprzątnąć sprzed nosa. Myślałam, że pan jest bardziej ambitny.

— Nie widziałbym nic tragicznego w fakcie, gdyby to oni stali się odkrywcami — powiedziałem spokojnie. — Ostatecznie, zależy mi na tym, aby ustalić nazwisko człowieka, który napisał „Złotą rękawicę”. Nie ma znaczenia, kto tego dokona.

— A dla mnie to ma znaczenie! — wybuchnęła Kika. — To my, a nie oni, powinniśmy dokonać tego odkrycia.

Po sekundzie zmieniła ton.

— Gdy dopłyniemy do Siemian, pójdę do nich na przeszpiegi. Wywiem się, czy trafili już na właściwy trop — zaproponowała.

— Nie zgadzam się — odrzekłem stanowczo — to są niedozwolone metody działania.

— Szkoda... — westchnęła Kika.

— Przecież i tak będziesz mogła ich odwiedzić — powiedziałem. — Ale bez szpiegowania.

Lecz nie było nam dane dopłynąć teraz do Siemian. Zza drzew porastających półwysep wyłoniły się raptem żagle omegi bez żadnych znaków rejestracyjnych. Łódź płynęła szybko fordewindem. Psycholog, który miał na szyi lornetkę, przyłożył ją do oczu i krzyknął:

— To oni! Piraci! Widzę „Rogera” na maszcie...

Omega zbliżyła się do obsadzonego przez wędkarzy pomostu z żerdzi, niemal otarła się o niego, mieczem i płetwą sterową zrywając żyłki i spławiki. Chóralny wrzask wypełnił powietrze, ale piracka omega już popłynęła dalej, gnana silnym wiatrem od rufy.

* * *

Jan Śliwowski, przed piętnastoma laty pierwszy oficer na jachcie „Szkwał”, miał chyba około czterdziestki, tyle, ile dyrektor Dołęgowski, ale wyglądał co najmniej na sześćdziesiąt. Niechlujnie ogolone policzki, pobrużdżona twarz, chytrze przymrużone oczy, wyplamiony smarami niebieski kombinezon pracownika stacji benzynowej. Poprosiłem, aby napełnił mi bak wehikułu do pełna, zapłaciłem za paliwo i oświadczyłem, że mam do niego ważną sprawę. Nie okazał najmniejszego zdumienia, jakby załatwianie z klientami spraw „na boku” dość często mu się zdarzało.

— Za pół godziny będę w barze „Mały”. Tu obok — wskazał na niewielki bar przy trasie wylotowej na Gdańsk.

Zjawił się punktualnie. Bar był samoobsługowy, przyniósł sobie z bufetu duży kieliszek wódki i dwie kanapki. Gdy podnosił kieliszek do ust, ręka mu lekko drżała, więc pomyślałem, że Śliwowski chyba dużo pije.

Pokazałem mu dziennik jachtowy „Szkwała”, przypomniałem rejs sprzed lat, powiedziałem kim jestem, wyjawilem kogo i w jakim celu szukam.

— Przykro mi, ale nie pamiętam nazwy miejscowości — stwierdził. — Owszem, przypominam sobie, że byliśmy u jakiegoś staruszka, który Dance Jabłońskiej przeczytał wiersz, a ona go potem zapisała w dzienniku. Pokazał nam też skrzynię ze swoimi rzeźbami. W izbie miał na ścianach sporo swoich malowideł. Bardzo kolorowych. Ale mnie to nie interesowało. Namówiłem Dołęgowskiego i poszliśmy do gospody na piwo, żeby zmoczyć wysuszone gardła, bo dzień był upalny. Musi pan odszukać Dankę Jabłońską albo Dołęgowskiego.

— O ile wiem, Danuta Jabłońska skończyła politechnikę, wyszła za mąż za jakiegoś cudzoziemca i wyjechała z Polski w nieznanym kierunku.

— To Dołęgowskiego niech pan odszuka. On był kapitanem na „Szkwale”. Jest teraz wielką figurą w ministerstwie. Ważniak, gdy tędy przejeżdża, udaje, że

mnie nie widzi. Kolegi żeglarza nie poznaje — mruknął z goryczą. — Dlatego, że uniwerku nie skończyłem i że pracuję na stacji benzynowej. Ale nie każdemu w życiu się wiedzie. Ja nie miałem szczęścia.

Pomyślałem, że prawdopodobnie za bardzo lubił zaglądać do kieliszka, ale nie powiedziałem tego. Zapytałem tylko o Joannę Ziębicką.

— Jej nie spotkałem od tamtego czasu — pokręcił przecząco głową. — Może wyjechała z Warszawy?

— Podobno skończyła ekonomię i pracuje w jakimś banku — wtrąciłem.

Popatrzył na mnie z ironicznym uśmiechem, chytrze przymrużył oczy.

— Pracuje pan w muzealnictwie, prawda?

— Owszem.

— Ale tym staruszkim interesuje się pan prywatnie?

— Tak.

— A czemu pan mi od razu nie powie, że nie żadne tam wierszyki i poezje panu w głowie? Zna się pan po prostu na rzeczy i wie, że na takich obrazach i malowidłach, jakie miał ten staruszek, można dobrze zarobić.

— Ależ ja... — chciałem mu przerwać, lecz nie dopuścił mnie do głosu.

— Nie jestem głupi, choć pracuję na stacji benzynowej — rzekł ścisząc głos. — Gazety też czytam od czasu do czasu. Wiem, że na całym świecie ludzie interesują się tak zwaną sztuką prymitywną. Na słynnym Nikiforze to mój znajomy niezłe zarobił, jak jego obrazki wywiózł za granicę. Albo inny mój znajomy obraz Ociepki wywiózł. Sprzedał w Paryżu i mógł tam żyć przez miesiąc. Pod naszą stację niejednen przyjeżdża. Zna się wiele ludzi. Bywa tu taki, co właśnie handluje obrazami i starociami. Dobrze wychodzi na tym interesie, bo jeździ nie takim gratem, jak pański, tylko wspaniałym BMW. Gdybym mu powiedział, że znam adres nieznanego artysty ludowego, toby mnie ozłocił.

Przeraziłem się. Ten człowiek mógł pokrzyżować moje plany. Miał oczywiście rację. Nie tylko w Polsce, ale na całym świecie panowała moda na sztukę ludową. Iluż to moich znajomych, wyrafinowanych znawców sztuki, przyozdabiało swoje mieszkania ludowymi świątkami i prymitywnym malarstwem wiejskich artystów? Za rzeźbę Janasa z Dębna płacono ogromne sumy. To samo za obrazy Teofila Ociepki, dawnego górnika, który malował precudne, barwne, przedziwne zwierzęta, bajeczny świat dziwów. Co pewien czas odkrywano i zaczynano lansować nowych artystów ludowych, podbijając ceny za ich rzeźby i obrazy. Przyjeżdżający do Polski cudzoziemcy także bardzo interesowali się naszą sztuką ludową i kupowali, co cię dało, bo nie ma specjalnych ograniczeń przy wywozie współczesnego malarstwa ludowego. Znaleźli się nawet pośrednicy, którzy odwiedzali ludowych artystów, nabywali od nich obrazy i rzeźby po niskich cenach i odsprzedawali je dalej z zyskiem. Najlepiej opłacało się „odkryć” takiego artystę, nieświadomego wartości tworzonych przez siebie dzieł, wykupić je i potem odsprzedawać po dziesięciokrotnie wyższej cenie. Muzea etnograficzne mia-

ły często kłopoty z tymi handlarzami — nabywali oni najpiękniejsze okazy sztuki ludowej, które powinny trafić do muzeów.

— Nie znam rzeźb ani malarstwa tego staruszka — rzekłem do Śliwowskiego. — Natomiast poznałem jego wiersz. Poetą był świetnym, ale czy równie świetnie rzeźbił i malował? To są sprawy dla znawców, panie Śliwowski, dla etnografów.

— Ale pan potrafi odróżnić dobry obraz od złego, brzydką rzeźbę od pięknej? — zachichotał.

— Słusznie. Rzecz w tym jednak, że chodzi mi o wiersz. O poezję tego człowieka. Może to jeden ze wspaniałych, ale nikomu nie znanych ludowych poetów mazurskich? Zresztą, pan i tak nie pamięta ani nazwiska tego człowieka, ani adresu.

— W tej chwili nie pamiętam — skinął głową — ale zrobię wszystko, żeby sobie przypomnieć.

Podąłem mu swój bilet wizytowy z telefonem centralnego zarządu.

— Proszę do mnie wtedy zadzwonić, a wystaram się dla pana o jakąś nagrodę — starałem się go zachęcić.

Popatrzył na mnie drwiąco.

— Jaką nagrodę! Pana samochód świadczy najlepiej, że sam pan groszem nie śmierdzi. No, ale zrobię dla pana, co tylko będę mógł — dodał.

Widać było, że się zreflektował i stara się uspić mój niepokój.

Pożegnałem go, udając, że wierzę jego zapewnieniom, i powróciłem do centralnego zarządu. Wiersz, który znalazłem w dzienniku jachtowym, nie był przecież jedyną sprawą, którą miałem na głowie. Nazajutrz wyjechałem do Krakowa, gdzie w jednym ze starych klasztorów odkryto obraz, namalowany prawdopodobnie przez Cranacha Starszego. Należało zorganizować ekipę specjalistów, żeby się tym zajęli.

Wróciłem po tygodniu i jeszcze tego samego dnia zadzwonił telefon na moim biurku.

— Mówi Lusja Dołęgowska. Pamięta mnie pan? Czy nasza umowa jest w mocy? — zapytała.

— Naturalnie.

— Trafił pan już na jakiś ślad tego poety?

— Byłem w Krakowie. Nie miałem czasu.

— Wiem o tym, bo kilkakrotnie dzwoniłam do pana. Natomiast ja nie próżnowałam i wiem już, gdzie pracuje Joanna Ziębicka. Dużo zabiegów mnie to kosztowało, ale mogę pana poinformować, że nazywa się ona teraz Gromska i pracuje w banku, pierwszy oddział miejski, w Warszawie.

— To cudownie! — zawołałem, bo szczerze mnie uradowała ta wiadomość.

— Chcę przepisać wiersz z dziennika jachtowego. Może spotkamy się po południu?

Umówiłem się z Lusią w kawiarni „Telimena”, która znajduje się w pobliżu Ministerstwa Kultury i Sztuki. Na spotkanie przyniosłem dziennik jachtowy „Szkwała” i dziewczyna przepisała wiersz do swego notatnika.

— To będzie wspaniała przygoda — mówiła z entuzjazmem. — Rodzice myślą, że pojedę z nimi do Jugosławii. A ja wypłynę na poszukiwanie poety. Nareszcie w moim życiu zdarzy się coś ciekawego.

Jej błada zazwyczaj twarzyczka aż zarumieniała się z radości.

— A nauka? Szkoła? — zapytałem. — Czy zdobywanie wiedzy nie wydaje ci się ciekawe?

— Owszem. Ale nie aż do tego stopnia. Uczę się dość dobrze, chociaż w ubiegłym roku trochę opuściłam się. Jak mówi moja matka: „wpadłam w złe towarzystwo”. Wspomniałam panu, że nawet z domu uciekłam. Ale teraz znów jest lepiej. Jadę na samych czwórkach. No, to zaledwie pierwsza licealna. . .

Rozmawialiśmy jeszcze dziesięć minut, potem ona pożegnała się, obiecując, że wkrótce zadzwoni. Była ciekawa, czego dowiem się od pani Gromskiej.

— Wołałabym, żeby i ona nic nie pamiętała — rzekła na odchodnym. — W przeciwnym razie mógłby mnie ominąć ten rejs jachtem.

Gdy wyszła z kawiarni, zadzwoniłem do pani Dołęgowskiej i umówiłem się z nią na spotkanie za dwa dni.

Odkładając słuchawkę miałem uczucie, że jestem zdrajcą. Uznałem jednak, że nie wolno mi inaczej postąpić.

Nazajutrz ze swego biura zatelefonowałem do banku, prosząc o połączenie mnie z panią Joanną Gromską.

Usłyszałem głos kobiety o przyjemnym brzmieniu, ale bardzo urzędowy. Zdało mi się, że gdzieś z daleka słyszę także stukot maszyn do liczenia, i natychmiast wyobraziłem sobie suchą panią w okularach, podliczającą czyjeś wydatki i oszczędności.

W krótkich słowach streściłem, o co mi chodzi.

— Żałuję, ale nie pamiętam nazwy wioski, gdzie mieszkał ten poeta — odpowiedziała. — Mówiłam to już koledze Śliwowskiemu, który był u mnie przedwczoraj z jakimś panem. Może, gdybym jeszcze raz popłynęła tym samym szlakiem, przypomniabym sobie tę miejscowość. Bo wydaje mi się, że pamiętam okolicę, brzeg jeziora, dom tego człowieka. . .

— Śliwowski był z kimś u pani? — zawołałem przerażony. — Proszę tym osobom nie udzielać żadnych informacji w tej sprawie.

— Ależ ja właśnie z kolegą Śliwowskim brałam udział w tamtym rejsie. . .

— Niech mi pani uwierzy, z tymi ludźmi trzeba zachować ostrożność.

Zawahała się.

— Kim pan jest? — zapytała z nieufnością.

— Pracuję w Centralnym Zarządzie Muzeów i Ochrony Zabytków.

— Tak się właśnie przedstawił człowiek, który był u mnie z kolegą Śliwowskim. Mówił, że nazywa się Tomasz NN.

Aż tchu mi zabrakło.

— To oszustwo! — wybuchnąłem. — Przecież to właśnie ja jestem Tomasz NN. Musimy się spotkać. Natychmiast!

Zaśmiała się.

— Zaraz? Już? To niemożliwe. Pracuję do piętnastej. Proszę przyjść do mnie do domu dziś wieczorem. O osiemnastej.

Podawała mi swój adres i telefon domowy.

Tego dnia godziny wlokły się, jakby wszystkie zegary były źle naoliwione i ich mechanizmy z największym trudem przesuwały wskazówki. Na długo przed umówionym terminem zajęchałem wehikułem pod ogromny wieżowiec na Sadybie i ustaliwszy, w której klatce schodowej i na którym piętrze mieszka pani Gromska, czekałem w samochodzie, paląc jednego papierosa za drugim.

Sprawa wiersza „Złota rękawica” przybrała nagle nieoczekiwany obrót. Śliwowski postanowił zarobić i poszukał „mecenasa” dla rzeźb i malowideł nieznanego ludowego twórcy. Ów mecenas chyba mnie dobrze znał. Mógł mu wystarczyć opis wehikułu, o którym zapewne wspomniał Śliwowski. Dlatego bez trudu podszył się pod moje nazwisko i moją funkcję, aby wkraść się w zaufanie pani Gromskiej.

„Zaniedbałem tę historię” — pomstowałem na siebie w myślach.

Ale przecież poszukiwanie autora pięknego wiersza było moją prywatną sprawą i nie mogłem dla niej zaniedbywać służbowych obowiązków. Wprawdzie w tej chwili ta prywatna pasja zaczynała nabierać charakteru służbowego, ponieważ jakiś osobnik zapragnął wejść w posiadanie rzeźb i malowideł ludowego twórcy, ale wiedziałem, że jeśli zwrócę się z tym do swego zwierzchnika, dyrektora Marcza, przekaże on tę sprawę któremuś z muzeów etnograficznych. „My, panie Tomasz — powie — mamy stokroć poważniejsze zadania. Kończy się odbudowa Zamku Królewskiego. Trzeba znaleźć drzwi Bramy Grodzkiej, bo stolarze chcą je odtworzyć. Podobno już po wojnie widziano gdzieś kilka krzesel z Sali Tronowej. Mamy dużo innej roboty. . .”

Pani Joanna Gromska zajmowała małe mieszkanie na ósmym piętrze — dwa pokoiki z kuchenką. Wnętrze urządzone było nad wyraz skromnie, powiedziałbym nawet: biednie.

Otworzył mi drzwi trzynastoletni chłopiec. Bardzo szczupły, wysoki, o bujnej czuprynie i ukrytych za szklami okularów wielkich, czarnych oczach.

— Mama na pana już czeka — ukłonił się i, gdy powiesiłem kożuszek w przedpokoju, wprowadził mnie do malutkiego pokoiku, gdzie była tylko stara wersalka, niski stolik i długa ława. Pani Gromska szła coś na elektrycznej maszynie ze stoliczkiem, która była chyba najdroższym sprzętem w całym pokoju.

Miała najwyżej trzydzieści pięć lat. Wysoka, szczupła, bardzo zgrabna, o gładko zaczesanych czarnych włosach i surowym wyrazie twarzy. Rysy niemal klasyczne, cera tak biała i gładka, że mogłaby jej pozazdrościć najpiękniejsza dziewczyna. Wielkie, nieco skośne czarne oczy, które odziedziczył po niej syn. Ubrana była w jasną bluzkę i ciemną, długą spódnicę. Od pierwszego wejrzenia budziła respekt, stwarzając ogromny dystans między sobą i rozmówcą. Spostrzegłem, że ma bardzo piękne ręce o długich, delikatnych palcach. Wskazała mi ławę przed niskim stolikiem.

— Piotruś zaraz nam poda kawę. Napije się pan, prawda? — zapytała uprzejmie.

— Czy nie przeszkadzam? — spojrzałem na maszynę do szycia i odłożoną robotę.

— To może poczekać — stwierdziła. — Szyję synowi dżinsy. Dostałam od koleżanki wzór. Dżinsy w sklepach są bardzo drogie, a on marzy o dżinsach.

Wyjąłem z kieszeni swoją legitymację służbową i podałem pani Gromskiej.

— Proszę się przekonać, że to ja jestem Tomaszem NN.

Chłopiec wniósł tacę z dwiema filiżankami i postawił ją na stoliku. Sam usiadł na krzeselku przy maszynie do szycia, zapewne chciał asystować przy naszej rozmowie.

Pani Gromska przejrzała uważnie legitymację i oddała mi ją.

— Widzisz, Piotrusiu — zwróciła się do syna — ten pan, który tu był przedwcześniej z moim dawnym kolegą Śliwowskim, po prostu nas okłamał.

I zapytała mnie:

— Dlaczego on to zrobił? I o co naprawdę chodzi?

Oczy chłopca zrobiły się jeszcze większe ze zdumienia. Patrzył na mnie, jak na bohatera jakiejś gangsterskiej historii. Do tej pory przygody oglądał zapewne tylko w filmach albo czytał o nich. Teraz miał wrażenie, że przygoda weszła do jego domu, a to zawsze zaskakuje.

Nie musiałem się streszczać ani spieszyć. Opowiedziałem więc szczegółowo, jak kupiłem wrak „Szkwała” i znalazłem dziennik jachtowy. Przeczytałem piękny wiersz, który w nim odkryłem. Złożyłem relację ze spotkania z panem Dołęgowskim, a potem Śliwowskim. Wyjawiłem swoje podejrzenia co do powodu zainteresowania, jakie okazał tej sprawie Śliwowski.

— Czy może mi pani opisać tego osobnika, z którym przyszedł? — zaproponowałem.

— Średniego wzrostu, brunet z wąsikami, bardzo przystojny i elegancki. Prawdziwy dżentelmen.

„A więc jednak Batura. Waldemar Batura” — wywnioskowałem z opisu.

Opowiedziałem pani Gromskiej o swej pracy detektywa, poszukującego zaginionych podczas wojny zbiorów muzealnych, rozwiązującego zagadki historyczne, toczącego boje z handlarzami dzieł sztuki. W oczach chłopca widziałem nara-

stający zachwyty dla mojej osoby, ale wyraz oczu i twarzy jego matki pozostawał ciągle taki sam — surowy, zimny, ostrożny. Pomyślałem, że ta kobieta nie budzi chyba sympatii swych koleżanek i kolegów w pracy, bo jest zbyt surowa i wymagająca. Nawet jej syn odnosił się do niej z respektem, graniczącym z obawą.

— Wielka szkoda, że nie mogę panu pomóc — odezwała się wreszcie. — W rejsie na „Szkwale” uczestniczyłam piętnaście lat temu. W następnym roku wyszłam za mąż, później urodził się Piotruś, wkrótce rozwiodłam się i odtąd życie moje było bardzo trudne, ciągle borykałam się z przeróżnymi kłopotami. Studenckie lata, obozy żeglarskie pozostały w mej pamięci, ale jak na zawsze zamknięta książka. Nie chciałam do niej sięgać, aby nie widzieć, że moje życie tak bardzo straciło na uroku. Czuję się zmęczona i stara, choć mam trzydzieści siedem lat.

— Nie należy chyba poddawać się takim uczuciom — powiedziałem, ale te słowa mnie samemu wydały się banalne i głupie.

— Wiem. Nic na to jednak nie poradzę. Owszem, chętnie pomogłabym panu w odnalezieniu autora pięknego wiersza — zmieniła nagle temat. — Ale cóż ja pamiętam z tamtego dnia? Domek wśród malw, staruszek z małą bródką, w wiejskim ubraniu. Oglądałam jego rzeźby, przeważnie postacie z otaczającego go świata, a więc rybacy znad jeziora, kobiety wiejskie, jacyś bohaterowie mazurskich legend i baśni. Kilka rzeźb miał w swojej izbie, reszta leżała w skrzyni na strychu, zaprowadził tam Dankę Jabłońską i mnie, Dołęgowski i Śliwowski poszli do gospody na piwo. Mówił, że już teraz nie rzeźbi, bo choruje. Jego obrazy też powstały dawniej. To były przeważnie obrazki robione kredkami na brystolu, a ich główny temat stanowiło jezioro, ptactwo wodne, ale nie takie zwykłe, tylko dziwne, jakby uczłowieczone. Nie znaliśmy się na sztuce ludowej, więc nam się one nie podobały. Danką zainteresowała się jego poezją, bo — jeśli mnie pamięć nie myli — sama trochę wtedy próbowała tworzyć. Dał nam jeden z wierszy i Danką wpisała go później do dziennika jachtowego. Wtedy ten wiersz jakoś nie przemówił do mnie, teraz jest inaczej. To naprawdę piękny i wzruszający utwór. Czy pozwoli pan go przepisać? Piotrusiu — zwróciła się do syna — przepisz dla nas ten wiersz.

Chłopiec przyniósł papier i długopis, a ja wręczyłem mu dziennik.

— Co pan zamierza dalej robić? — zapytała mnie rzeczowo.

Zauważyłem, że gdy mówiła o tamtym dniu, głos jej był cieplejszy, jakby wzruszenie chwyciło ją za gardło. Ale zaraz opanowała się, stała się znowu surowa i zimna.

— Latem, podczas urlopu, postaram się popłynąć tym samym szlakiem, co wy przed piętnastoma laty. I może uda mi się trafić na właściwy ślad.

— A czy nie prościej na podstawie mapy odszukać wszystkie wioski w pobliżu szlaku wodnego Miłomłyn-Iława i dojechać do każdej z tych wiosek samochodem?

— Myślałem już o tym, ale nawet nie wiemy, czy to było na lewym, czy na prawym brzegu. Naliczyłem tych wiosek około trzydziestu. Zresztą, czy to na pewno była wioska, a nie samotnie stojący domek lub zagroda?

— Ma pan rację. To chyba była właśnie samotna zagroda, bo chłopcy poszli na piwo do wioski, dość prawdopodobnie odległej, gdyż długo nie wracali.

— Tym trudniej odnaleźć ten dom od strony lądu. Ale pani wspomniała w czasie naszej rozmowy telefonicznej, że gdyby pani jeszcze raz tamtędy popłynęła, zapewne przypomniałoby się pani to miejsce, ten dom, droga do niego. Może więc pani popłynie znowu „Szkwałem”? Oczywiście, z synem. Jeszcze nie skompletowałem załogi. . .

Zachnęła się.

— To niemożliwe. Nie, pan żartuje. Mam mnóstwo obowiązków. Urlop przeznaczam zazwyczaj na prace zlecone, a syna wysyłam na obozy szkolne.

— Ach, mam, to taki wspaniały pomysł — odezwał się żałośnie chłopiec.

Zgromiła go wzrokiem i zaraz umilkł. Spuściwszy głowę, kończył przepisywanie wiersza.

Ja także czułem się niczym uczeń skarcony przez nauczycielkę. Patrzyła na mnie jak na wroga. Jakbym zaproponował jej zdrożną rozrywkę.

Nie pozostało mi nic innego, tylko pożegnać się.

— Zostawiam swój adres i telefon — powiedziałem, kładąc na stole wizytówkę. — Może pani przypomni sobie jakiś szczegół z rejsu albo zmieni decyzję w sprawie wakacji.

Wziąłem pod pachę dziennik jachtowy i zjechałem windą na dół. Żał mi było tej pięknej kobiety, która czuła się zmęczona i uważała za starą. A przede wszystkim żał mi było jej syna, który chyba jak każdy chłopiec w jego wieku — tęsknił za przygodą. Tej kobiecie wydawało się, że surowością i rygiorem zastąpi mu brak męskiej, ojcowskiej opieki. Zapewne nie pozwalała sobie wobec niego na żadną czułość, aby nie okazać kobiecej słabości. Niestety, nie miałem prawa wtrącać się w niczyje życie prywatne.

Przed snem znowu przeczytałem wiersz z dziennika jachtowego. Widziałem jezioro smagane wiatrem, sine i bure chmury odbijające się w wodzie, szable suchych trzcin pobrzękujących groźnie, jakby chciały bronić opustoszałych gniazd łabędzich.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy ludziom, którym mówiłem o wierszu ludowego poety, nie wydawałem się trochę dziwakiem. Gdybyż chodziło o wiersz jakiegoś wielkiego pisarza! Wiadomo, że w takich razach o autorstwo tekstu całymi latami toczyli spory historycy literatury. Ale wiersz jakiegoś tam ludowego poety? Jaką rolę tego rodzaju poezja odgrywa w życiu narodu?

*O wieści gminna! Ty arko przymierza
Między dawnymi i młodszymi laty;*

*W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.
Arko! Tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy;
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskimi skrzydłami i głosem —
Ty czasem dzierzysz i miecz archaniola.
Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało. . .*

Tak pisał Adam Mickiewicz. Wielki poeta miał świadomość, że poezja ludowa — niekiedy prymitywna i nieudolna — jest jak wciąż żywe źródło wzbogacające wielkich artystów prawdą przeżycia, natężeniem autentycznych uczuć.

A wiersz, który zatytułowałem „Złota rękawica”, miał chyba dodatkową szczególną wartość. Powstał w 1941 roku na Mazurach, wtedy gdy polskie słowo było tam surowo zakazane. Jeden ze znawców tej poezji tak pisał: *Z tych wierszy woła do nas głos ludzi dalekich, — nie w sensie odległości geograficznej, lecz oderwanych przez nakaz historii od tego, co dla człowieka niezbędne: od własnej ojczyzny. Woła do nas głos synów, którzy mimo lat i wydarzeń nie zapomnieli i nie chcieli wyrzec się ojczystej mowy. Był to opór, który niweczył wysiłki germanizatorów.*

I dlatego, choć może temu i owemu wydawałem się dziwakiem, przecież czułem, że ja — człowiek współczesny, rozkochany w wierszach Różewicza, Białońskiego, Grochowiaka i innych poetów — także i tamten wiersz sprzed lat powinienem ocalić od zapomnienia. Wiersz i jego twórcę.

Każdy naród posiada swoje skarby. Takim skarbem jest pamięć o własnej historii, bezcenne obrazy, meble, stare monety, sztandary z dawnych pól bitewnych. Jest nim także literatura. I ta wielka, i ta prosta, naiwna, serdeczna. To jest także skarb, który należy ratować i nadać mu blask.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W POŚCIGU ZA PIRATAMI • STRASZLIWA HANNA • NA JEZIORZE WIDŁĄG • CZEGO SZUKA REDAKTORKA Z „SZANUJ ZIELEŃ”? • JAK PAN DOŁĘGOWSKI ZOSTAŁ WARIATEM • PRZYBYWA MI NOWY KONKURENT • NA TROPACH WIER-SZY • TAJNE PLANY „NOTOSA” • KTO UPRAWIA SZPIEGOSTWO? • PSYCHOLOG W AKCJI • WYPRAWA MOTORÓWKĄ • NOWA PORAZKA • KOMPLETUJĘ ZAŁOGĘ • OŚWIADCZENIE BATURY

Piracka omega z czarną flagą na topie masztu płynęła szybko w stronę Iławy i była już na wysokości Makowa, gdy nasz jacht chwycił nareszcie wiatr w żagle i poszedł za nią fordewindem. Psycholog, który cały czas obserwował przez lornetkę piracki statek, poinformował nas, że załoga omegi składa się z trzech chłopców. Koło Makowa ściągnęli oni „Rogera” z masztu, aby nie rzucać się w oczy. Być może zresztą dostrzegli, że — zaraz po ich ataku na spławiki wędkarzy — od brzegu odbił nasz jacht i ruszył ich śladem.

Ale nie tylko my ścigaliśmy piratów.

Natychmiast po ataku na wędkarzy z trzcin przybrzeżnych wypłynęła łódź plastikowa z niewielkim silnikiem spalinowym, chyba starym D-6. Na dziobie siedziała jakaś rośła kobieta i wiosłem wygrażała piratom. Na rufie równie tęgi mężczyzna, rozebrany do spodenek kąpielowych, usiłował uruchomić silnik, ale przez długi czas mu się to nie udawało. Tak bowiem zawsze jakoś dziwnie się składa, że te małe silniki do łodzi i jachtów nie chcą zaskoczyć, gdy wymaga tego potrzeba. Byliśmy już na środku jeziora, kiedy tęgi pan wreszcie uruchomił silnik. Wkrótce wyprzedzili nas, rośła pani na dziobie nadal trzymała w rękach wiosło i wciąż groźnie nim wymachiwała.

— Biada piratom, jeśli wpadną w race tej damy! — roześmiałem się.

Wszystko wskazywało na to, że łódź motorowa z groźną niewiastą dopędzi ich wkrótce. Ale w pewnym momencie omegę zasłoniły żagle płynącej od strony Iławy dużej flotylli finów i piracki jacht raptem zniknął nam z oczu, jakby rozplynął się w powietrzu. Pan z plastikowej łodzi, skonsternowany, zaczął zawracać.

— Chyba zwinęli żagle i schowali się w trzcinach — powiedziała Kika.

— Nie. Wypłynęli na Widłag. Takie leśne jezioro — odrzekłem.

Przesunąłem rączkę rumpla w prawo na burtę i nasza łajba, już półwiatrem, zaczęła kierować się dziobem w niewielki przesmyk. Prowadził on na dość duże i ładne, otoczone lasem jezioro o nazwie Widłag. Kilka miejsc nadawało się tu na biwak, toteż natychmiast po wypłynięciu z przesmyku zobaczyliśmy wiele masztów w trzcinach, przy piaszczystych brzegach. Który z tych masztów należał do pirackiej omegi?

— Ukryli się gdzieś blisko. Nie mieli czasu, aby przepłynąć jezioro — rozmyślałem głośno.

Tuż za nami na Widłag wpłynęła łódź motorowa z groźną niewiastą, która — tym razem dumnie wsparta na wiosła — rozglądała się na wszystkie strony, poszukując wzrokiem pirackiej omegi.

— O, tam! Tam są! To oni! — wskazała ręką maszt łajby ukrytej w trzcinach, za małym półwyspem.

Na tej łajbie właśnie opuszczano grot, co znaczyło, że zacumowała tu przed chwilą.

Łódź motorowa ruszyła z kopyta, a my, dokonawszy zwrotu przez sztag, zbliżyliśmy się również do trzcin. Piracki jacht miał teraz zamkniętą drogę ucieczki.

Była to stara omega bez nazwy, bez numeru rejestracyjnego. Na dziobie leżał fok, a w kokpicie pełnym wody — łódź chyba przeciekała — znajdował się byle jak porzucony żagiel grotu. Załogi na jachcie nie było. Zapewne, widząc nas, chłopcy wyskoczyli na brzeg i zaszyli się w lesie.

Najpierw łódź motorowa, a potem i nasz jacht, zacumowały przy obydwu burtach pirackiej omegi.

Groźna niewiasta, wspierając się na wiosła jak na halabardzie, przelazła na omegę i, pokręciwszy się w kokpicie, z triumfem ukazała naszym oczom czarną flagę z trupią czaszką i piszczelami.

— Piraci! Mamy niezbitą dowód! — wykrzyknęła.

Tęgi pan zgasił silnik i, przycupnąwszy na rufie, zapalił spokojnie papierosa. Odnosiło się wrażenie, że dalszy ciąg historii z piratami niewiele go interesuje. Widocznie wierzył, że groźna niewiasta, zapewne jego małżonka, w sposób właściwy spełni swoją obywatelską powinność.

Pani Księżyc i Kika zrzuciły nasze żagle. Ja usiadłem na rufie i także zapaliłem papierosa, z ciekawością oczekując na to, co nastąpi. Znałem groźną niewiastę, a o jej przedsiębiorczości krążyły w pewnych warszawskich środowiskach prawdziwe legendy.

— Romku — krzyknęła do męża — przygotuj hol! Zaciągniemy omegę do Siemian, na posterunek MO.

Oburzyło to Kikę.

— Proszę pani — zaoponowała — przecież to my schwyciliśmy piracki statek. Należy do nas, nie do pani.

— Coś podobnego! — oburzyła się groźna niewiasta.

— Wy złapaliście piracki statek! A ja i mój mąż przyglądaliśmy się tylko, tak?

— Zrobiliśmy to razem — odezwałem się.

Rosła niewiasta przyjrzała mi się z uwagą. Raptem szeroki uśmiech pojawił się na jej obliczu.

— Ja pana znam — stwierdziła z zadowoleniem. — Pan jest Samochodzik z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Przeprowadzałam z panem kiedyś wywiad dla tygodnika „Szanuj zieleni”, w którym pracuję. Jeśli mnie pamięć nie myli, a rzadko mnie myli, rozwiązał pan wtedy zagadkę tajemniczego talizmanu Kelleya. Ciekawam, jaka zagadka sprowadziła pana w te okolice. Mam nadzieję, że uzyskam od pana informacje...

To mówiąc, dość zręcznie przeskoczyła z łajby piratów na nasz jacht i zaczęła kolejno witać się z członkami mej załogi i ze mną.

— Hanna jestem — mówiła — Hanna Fuksiewicz.

A ja dodałem w myślach: „Zwana Straszliwą Hanną lub Hanną Wszędobylską”. W kręgach dziennikarskich znana była nie tyle z publikacji w tygodniku „Szanuj zieleni”, ile jako namiętna kolekcjonerka sztuki ludowej. Jej warszawskie mieszkanie przypominało muzeum sztuki ludowej i chyba tylko Wojciech Sienion oraz korespondent zagraniczny, pan Zimmerer, mieli większe i bogatsze kolekcje. Lato, zima, roztopy jesienne czy wiosenne zawieruchy — Wszędobylska Hanna brnęła do nawet najdalej położonych wiosek i przysiółków, jeśli mieszkał tam jakiś artysta ludowy. I za grosze wykupywała jego wytwory — obrazy czy rzeźby — którymi przyozdabiała swoje mieszkanie. Wśród etnografów miała opinię straszliwego łupieżcy. W jej mieszkaniu znajdowały się obrazy Ociepki, Centlewskiego, Katarzyny Gawęł, rzeźby Janasa, Citaka, Pastwy, Czerwińskiego, Żeglińskiego, Orłowskiej. Ceny tych obrazów i rzeźb rosły wraz z modą na sztukę ludową. Dzięki swym zbiorom Wszędobylska Hanna posiadała ogromny majątek.

— A panią co sprowadza w tę okolice? — zapytałem uprzejmie.

Lekceważącym gestem wskazała mężczyznę na rufie, który nadal palił spokojnie papierosa.

— Mój mąż lubi wędkować. Ja zaś słyszałam, że nad tym jeziorem tworzy jakiś nie znany nikomu malarz i rzeźbiarz ludowy. Postanowiłam go odnaleźć.

— Czy ma pani na myśli autora „Złotej rękawicy”? — odezwał się Psycholog.

Mród przebiegł mi po plecach. Tego tylko brakowało, żeby Wszędobylska Hanna wpadła na trop poszukiwanego przez nas twórcy. Dopiero zrobiłaby spuszczenie.

— „Złota rękawica”, hę? — zmrużyła oczy. — Nie słyszałam o czymś takim. To obraz czy rzeźba?

— Wiersz — powiedziałem — utwór poetycki.

— Nie interesuje mnie poezja — wzruszyła ramionami. — Ale jeśli wiecie o jakimś rzeźbiarzu lub malarzu. . .

— Nie wiemy — pośpieszyłem z odpowiedzią, obawiając się, że Psycholog znów się wtrąci.

Przez głowę przebiegło mi kilka pomysłów, które mogły dopomóc w odsunięciu tej baby z naszej drogi, ale wybrałem jeden, jak mi się wydawało: najbardziej chwytliwy.

— W Karnitach, w tamtejszym pałacu — odezwałem się — kręcą zagraniczny serial telewizyjny z bardzo znanymi aktorami. Nikt o tym nie wie, bo całą sprawę trzymają w wielkiej tajemnicy. Myślę, że to powinno zainteresować tygodnik „Szanuj zielen”.

— Kręcą serial, he? — zmarszczyła czoło Wszędobylska Hanna. — I trzymają to w tajemnicy? Pan przecież wie, Panie Samochodzik, że przede mną nic się nie ukryje. Zaraz tam wyruszymy. Skończyłeś już palić tego papierosa? — zwróciła się do męża.

— Owszem — odpowiedział melancholijnie.

— No, to trzeba nam w drogę — zdecydowała.

I przeszła na swoją łódkę.

Tymczasem z krzaków na brzegu wylał mały, chyba piętnastoletni, piegowaty chłopak i błagalnie złożywszy ręce, wyjącał:

— Zlitujcie się nad nami, drodzy państwo, i nie zabierajcie nam naszej krypy. My już nigdy nie wciągniemy „Rogera” na maszt. To były tylko takie głupie żarty. A krypa nie jest nasza, wypożyczona od ojca kolegi. Kolega dostanie straszliwe lanie, jeśli jej zaraz nie zwrócimy.

Wszędobylska Hanna stuknęła w podłogę łódki piórem swego wiosła.

— Zaczynasz kwilić, chłopaczku? A podejdź no tu bliżej, już ja ci to wiosło przymierzę do pleców.

Chłopak stał dość daleko, ale teraz na wszelki wypadek jeszcze cofnął się w krzaki.

— Niech pani nam daruje — prosił. — My już więcej tego nie zrobimy. Tam, na pomoście, siedzieli sami kłusownicy. Łowili bez kart wędkarskich, chcieliśmy ich wypłoszyć.

— A ja? — odezwał się mąż Wszędobylskiej Hanny. — Mam kartę wędkarską, a mimo to przepłynęliście po moim spławiku.

— To się może zdarzyć — tłumaczył chłopak. — Ale większość tych wędkarzy to kłusownicy. Przeprowadziliśmy wczoraj dokładne rozpoznanie.

— To nie wasza sprawa — sierzniła się Wszędobylska Hanna.

— A gdzie reszta piratów? Dlaczego ciebie wysłali na pertraktacje z nami? — zapytałem.

— Bo ja jestem najbardziej wygadany — odrzekł chłopak.

I po chwili z krzaków wylazło jeszcze dwóch. Jeden wyglądał na osiemnaście lat, drugi był mniej więcej w wieku piegusa.

— Skąd jesteście? — zwróciłem się do nich.

— Z Iławy.

— Który z was ma uprawnienia do prowadzenia jachtu?

— Ja! — wykrzyknął najstarszy.

Chłopcy mieli dobre intencje, choć w ten sposób nie powinni byli postępować. Byłem przekonany, że zrobimy więcej szkody, jeśli zabierzemy im łódkę, niż gdy puścimy chłopaków wolno. I tak przecież dostali od nas nauczkę.

— Dajcie słowo honoru, że więcej nie będziecie uprawiać swojego pirackiego rzemiosła — powiedziałem. — A „Rogera” wam skonfiskujemy.

— Za pozwoleniem — oburzyła się Hanna — coś mi się widzi, że zamierza pan puścić ich wolno. Takie postępowanie wobec młodych ludzi uważam za niepedagogiczne. Słyszałam, że oni już od kilku dni buszują po jeziorze.

— To prawda — przyznał piegus. — Ale zawsze przeprowadzaliśmy rozpoznanie, czy na brzegu siedzą kłusownicy. Jeśli to byli prawdziwi wędkarze, nie pływaliśmy im po spławikach. Owszem, omyłka mogła się zdarzyć. Ale to i pana wina — zwrócił się do męża Wszędobylskiej Hanny — jako prawdziwy wędkarz nie powinien pan łowić ryb razem z kłusownikami.

— Patrzcie go! — wrzasnęła Wszędobylska Hanna. — Jeszcze będzie mojego męża pouczać. Już ja się wami zajmę, moi drodzy! Wy nie wiecie, kto ja jestem. Pracuję w tygodniku „Szanuj zieleń”.

Piegus tak się przestraszył, że na moment zniknął w krzakach. Dopiero z tej bezpiecznej odległości odważył się powiedzieć:

— My bardzo lubimy ten tygodnik. I czytamy go systematycznie.

Wyraz ogromnego zadowolenia rozlał się na twarzy dziennikarki.

— To, że czytacie „Szanuj zieleń” — stwierdziła — nie najgorzej o was świadczy. Przychylam się więc do zdania Pana Samochodzika, aby was puścić wolno.

— Tak, tak. Słusznie! — zawołali z naszego jachtu Kika i Psycholog.

Tylko Pani Księżyc milczała, uśmiechając się pod nosem.

Wszędobylska Hanna jak zwykle postanowiła wykorzystać sytuację, aby zasięgnąć języka.

— Mówiliście, że jesteście z Iławy. A nie słyszeliście, żeby w tej okolicy mieszkał jakiś ludowy malarz czy rzeźbiarz?

— Nie, proszę pani — odkrzyknęli chórem.

— A pałac w Karnitach znacie?

— Tak.

— A może wiecie, co to za ekipa kręci tam serial telewizyjny?

— Robią film? — ucieszyli się. — Nic o tym nie wiemy, proszę pani. Ale popłyniemy tam, żeby zobaczyć, jak się robi coś takiego. To fajna wiadomość.

— Nie musicie tam płynąć — wyprostowała się dumnie Wszędobyłska Hanna. — Wystarczy, że będziecie czytali tygodnik „Szanuj zieleń”. Dowiedzie się z niego o wszystkim. A jeżeli chodzi o pana, Panie Samochodzik — pióro jej wiosła groźnie skierowało się w moją pierś — poznaję po pańskiej minie, że pan coś ukrywa przede mną. Jakąś zagadkę.

— Przebywam na urlopie w miłym towarzystwie — stwierdziłem.

— Pan nie należy do ludzi, którzy przebywają na urlopie — oświadczyła z ogromną pewnością siebie. — „Złota rękawica”, powiadacie?

Trzykrotnie stuknęła wiosłem o dno łódki. Był to chyba sygnał dla jej męża, że należy uruchomić dychawiczny silnik. Po chwili odpłynęli. Na pożegnanie długo kiwała nam wiosłem, co wyglądało, jakby nam nim wygrażała. Zabrałem ze starej omegi „Rogera” i także dałem swojej załodze sygnał do wciągnięcia żagli.

Wyłączyliśmy właśnie z przesmyku na Jeziorak, gdy minął nas „Notos”, sunący bardzo szybko, na pełnych żaglach, od strony Iławy.

— Hej, wy tam, na „Notosie”! — krzyknęła radośnie Kika. — Zaczekajcie na nas!

Ale na „Notosie” nie zauważono naszego jachtu, bo w tym czasie wiele innych łajb płynęło w stronę Siemian. „Notos” był szybkim jachtem o ładnej sylwetce i dużych żaglach. Zanim wydostaliśmy się na większą wodę, on znajdował się już daleko, płynąc ostro na wiatr.

— Wyglądało, jakby bardzo się gdzieś śpieszyli — stwierdziła Kika. — Może są już na tropie autora „Złotej rękawicy”?

— Może — mruknąłem w zamyśleniu.

* * *

Pani Dołęgowska przysłała do kawiarni wraz ze swoim mężem. Byli trochę zdziwieni, że przyczyny spotkania nie wyjawilem po prostu przez telefon.

Nie od razu przystąpiłem do sprawy. Najpierw opowiedziałem o swojej wizycie u pani Gromskiej, o Śliwowskim i oszuście.

— A to łajdak! — określił krótko swojego dawnego kolegę dyrektor Dołęgowski.

A pani Dołęgowska stwierdziła z uznaniem:

— Okazał się pan bardzo operatywny. Dość szybko odnalazł pan tę panią z banku.

— To zrobiła Lusia. . .

— Nasza córka? — zapytali niemal równocześnie.

— A tak, ona — skinąłem głową.

— Nigdy bym jej nie posądzał o tak duże zainteresowanie jakąkolwiek sprawą — mruknął pan Dołęgowski.

— No, cóż — westchnęła pani Dołęgowska — w dzisiejszych czasach rodzice niewiele wiedzą o swoich dorastających dzieciach. Na przykład ta jej ucieczka w ubiegłym roku. . .

— Była pod wpływem złych koleżanek — usprawiedliwiał córkę pan Dołęgowski. — Zmieniliśmy szkołę i teraz Lusia uczy się lepiej. Myślę, że w końcu wydorosleje i przestanie się wygłupiać.

— Tak, liczymy, że jakoś przebrnie przez ten swój cielecy wiek — westchnęła jego żona. — Weźmiemy ją w tym roku do Jugosławii. To chyba wspaniała wycieczka dla każdej młodej dziewczyny.

Przystąpiłem do rzeczy.

— Lusia nie chce jechać do Jugosławii — powiedziałem.

— Dlaczego? Przecież wszyscy marzą, żeby tam pojechać — zdumiała się pani Dołęgowska.

— Ale nie ona. Lusia chce mieć inne marzenia niż wszyscy dookoła. Dużo trzeba by mówić, dlaczego jest właśnie tak, a nie inaczej. Lecz jedno jest pewne: ona i w tym roku ucieknie z domu.

— Boże drogi! Dlaczego? — pan Dołęgowski aż złapał się za głowę.

— Postanowiła odnaleźć tego poetę. Chce uciec na mój jacht i popłynąć razem ze mną na poszukiwanie.

— I pan się zgodził? — wykrzyknęła pani Dołęgowska.

— Przyrzekłem, że ją zabiorę — wyznałem.

— Jestem oburzona. . . — zaczęła pani Dołęgowska.

Mąż uspokajającym gestem położył rękę na jej dłoni.

— Ten pan powiedział nam o tym. Mamy do czynienia z uczciwym człowiekiem.

— Przepraszam — szepnęła pani Dołęgowska.

— Nie gniewam się — rzekłem. — Chodzi przede wszystkim o to, abyśmy wspólnie ustalili sposób postępowania. Nie chciałem jej odepchnąć i powiedzieć: „Nie zabiorę cię. Jedź z rodzicami do Jugosławii”. Gotowa byłaby znowu, Bóg wie dokąd, uciec. Myślę, że możemy razem przedyskutować całą sprawę.

— Nie będę mogła wypoczywać w Jugosławii, mając świadomość, że Lusie pływa po jeziorze z obcymi ludźmi — pokręciła głową pani Dołęgowska. — Wyznaję, że coraz mniej rozumiem własną córkę. Okazuje się, że dla niej interesujący jest nie własny ojciec, tylko obcy człowiek. Czyżby dlatego, że jest pan szczuplejszy od mego męża?

— Nie — roześmiałem się — ale może dlatego, że ja zająłem się poezją, a pani męża pasjonują tylko cyfry, wyniki planów produkcyjnych. Poezja bywa czasem tak samo potrzebna do życia, jak chleb.

Pan Dołęgowski pokiwał smętnie głową.

— Ona nie może uwierzyć, że ja byłem żeglarzem. Jej się to w głowie nie mieści. Ale ona się wkrótce dowie, jaki naprawdę jest jej ojciec — zmienił na-

gle ton. — Pan myśli, że ja nie potrafię kupić sobie paru tomików poetyckich, przeczytać ich, zrozumieć, nauczyć się wierszy na pamięć? Pan sądzi, że ja nie potrafię wynająć jachtu i popłynąć na rejs, tak jak kiedyś? Nie martw się — rzekł twardo do żony — to nie Lusia i pan odnajdą tego poetę, my go odnajdziemy, ty i ja.

— Chcesz zrezygnować z Jugosławii?

— Albo Jugosławia, albo córka. Wolę stracić Jugosławię — zdecydował pan Dołęgowski. — Potraktujemy Lusię jak osobę dorosłą, samodzielną. Powiemy jej: „Masz trochę grosza i wybierz sobie sposób, w jaki chcesz spędzić wakacje. Co do nas, to my z matką postanowiliśmy przypomnieć sobie młode lata i wybieramy się w rejs. Być może także zajmiemy się poszukiwaniem poety, bo pan Tomasz, przepraszam, że się o panu źle wyrażę, jest safandulą i na pewno go nie znajdzie”. Jutro zadzwonię do Hławy, aby mi zarezerwowano jacht na jeden miesiąc. Jakąs omegę, najlepiej z kabiną.

— Ależ ja nie umiem pływać — jęknęła pani Dołęgowska.

— Nie musisz. Jako członek załogi możesz mieć kapok. Już ja tej smarkatej pokażę, kim jest naprawdę jej ojciec — pomrukiwał gniewnie. — Ona myśli, że mnie mianowano dyrektorem departamentu tylko z powodu mojego brzucha? Nie, proszę pana. Jestem dobrym organizatorem. Przekonamy się, kto prędzej odnajdzie tego poetę. Pan z Lusią czy ja z żoną.

— Jest jeszcze oszust i Śliwowski — przypomniałem.

— Słusznie. Rywalizacja będzie tym trudniejsza.

— Ty zwariowałaś! — zawołała pani Dołęgowska. A potem nieoczekiwanie pocałowała męża w policzek. — Ale jesteś cudownym wariatem.

— Owszem. Będę wariatem — powiedział z dumą pan Dołęgowski. — Jeśli moja córka lekceważy ojca, dyrektora i poważnego człowieka, to ja jej udowodnię, że potrafię być największym wariatem na świecie.

Rozmawialiśmy jeszcze dość długo, a potem rozstaliśmy się jak starzy przyjaciele. Na pożegnanie dyrektor Dołęgowski poprosił, abym przesłał mu przepisany na maszynie wiersz z dziennika jachtowego.

A w tydzień później do mego biura zadzwoniła Lusia i umówiła się na spotkanie w moim mieszkaniu. Wpadła zadyszana, rozgrączkowana.

— Czy to pan dał ojcu tekst „Złotej rękawicy”? — zapytała.

— Prosił mnie o to. Nie miałem prawa odmówić. Ten wiersz nie jest moją prywatną własnością.

— Rozumiem. Ale zrobił pan bardzo nieostrożnie. Ojciec kupił w księgarni kilka tomików ludowej poezji i codziennie wieczorem, po kilka godzin, czyta te wiersze i porównuje z naszym. Czyżby ojciec postanowił na własną rękę odnaleźć autora „Złotej rękawicy”?

— Być może. Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że nie możemy mu tego zabronić. Myślę, że idzie po słusznej drodze. Najpierw bowiem trzeba dokonać „analizy

porównawczej”, aby upewnić się, czy „nasz wiersz”, jak go nazwałaś, nie został napisany przez poetę już znanego.

— Czy pan też zrobił coś takiego? — zainteresowała się.

— Oczywiście.

To mówiąc wskazałem jej moje biurko, na którym leżało mnóstwo tomików poetyckich.

— I do jakich pan doszedł wniosków?

— Spójrz — pokazałem jej barwną okładkę niedużej książki — to antologia poezji ludowej Warmii i Mazur. Mnóstwo wierszy i bardzo wiele nazwisk. Jakim pójść tropem, aby w tej rzeszy poetów odnaleźć naszego autora? Zabawmy się w detektywów, którzy przecież zawsze działają za pomocą eliminacji faktów oraz ich powiązań i porównań. Autor „Złotej rękawicy” mieszkał gdzieś nad Jeziorakiem. A więc można odsunąć na bok całą poezję warmińską i ograniczyć się do poetów mazurskich. Zazwyczaj mówimy jednocześnie: Warmia i Mazury. A przecież poeci mazurscy pisali trochę inaczej niż warmińscy, także choćby z tego względu, że mieli trochę inną historię, inne tradycje, że jedni byli przeważnie ewangelikami, a drudzy katolikami. Zawężamy więc nasze badania do poetów mazurskich. Zerknijmy do książki. Pozostaje nam jeszcze wiele nazwisk. . .

Otworzyłem antologię, pokazałem Lusi spis rzeczowy.

— Grodzki, Roztkowski, Olszewski — czytałem — Skubich, Sembrzycki, Donder, Stullich, Bendziuła, Upadka, Pezara, Luśtych, Jewan, Kajka, Okuń, Kobzur, Mączka, Neumann, Klepa, Dopatka. . . I wielu innych. Zwróć uwagę, że często pojawia się w antologii dopisek: *Autor nieznany*. I to często chodzi nie o człowieka z odległej przeszłości, ale o współczesnego, który jeszcze niedawno żył i pracował. Właśnie — pracował. Każdy twórca ludowy miał i ma swój główny, nierzadko umiłowany zawód, sztuka nie jest ich podstawowym zajęciem. Poeci mazurscy tworzyli z potrzeby serca, była to forma ich wypowiedzi, walki o zachowanie swej odrębności i ojczystego języka, który był prześladowany. Pisali dla siebie i dla swych najbliższych. A jeśli wiersz się spodobał, przekazywano go sobie potem z ust do ust, przepisywano. Autor przestawał być ważny, istotna była treść wiersza. I tak teksty przetrwały, ale autorów niekiedy nie udało się ustalić.

— Autor „Złotej rękawicy” rzeźbił, malował — wtrąciła Lusia.

— Ale także robił to chyba tylko dla siebie i dla swych najbliższych, z wewnętrznej potrzeby tworzenia. Pamiętaj, że byli to przeważnie ludzie prości, nie troszczyli się o laury na poetyckim polu, wiersz był po prostu orężem w ich walce o polską mowę. Zapoznaj się z życiorysem jednego z najśłynniejszych poetów mazurskich, Michała Kajki, a może będziesz bliższa odnalezienia i naszego autora. Kajka urodził się w tysiąc osiemset pięćdziesiątym ósmym roku w Skomacku koło Ełku, skończył zaledwie szkołę parafialną, gdzie posiadał jedynie tajemnicę pisania, czytania i prostego rachowania. O literaturze i o świecie zdobywał wiedzę z nielicznych polskich gazet. Głównym źródłem jego słownictwa był stary mazur-

ski kancjonał, zawierający około tysiąca pieśni, księga napisana jeszcze w szesnastym wieku i wielokrotnie wznawiana. Lektura tych pieśni wywarła zasadniczy wpływ na formę wierszy Michała Kajki. Wyuczył się zawodu cieśli, żył z tego i pisał wiersze. Dlaczego? Wyjaśnienie kryje się w jego wyznaniach.

Już w roku 1870-71 zaczęto szerzyć u nas na Mazurach niemiecką. Uczyć zaczęli teraz w szkołach języka niemieckiego. Lud był z tego bardzo niezadowolony, tym więcej że zaczęto katować dziecko za używanie języka ojczystego, i to nieraz w sposób barbarzyński. Nieszczęśliwym losem moich rodaków dotknięty, postanowiłem opisać dole i niedole moich braci i uwieńczyć w nich pamięć dawnych swobodnych czasów.

Michał Kajka zmarł w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku w Orzyszu. „Złota rękawica” została napisana w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku, a żeglarze ze „Szkwała” spotkali jej autora piętnaście lat temu. A więc to nie Kajka był twórcą naszego wiersza. Zresztą i poetyka ich utworów jest zupełnie inna. Choć zapewne te same motywy nimi kierowały. Porównaj sama. . .

*Już ustałyienne wrzawy,
Wieczór zwrócił ku nam kroki,
Wszystkie naszeienne sprawy
Zastoniły nocne mroki.*

— Albo inny wiersz Kajki:

*Słyń, piosenko nasza, w dal,
Zabrzmić mile jako dzwon,
Wpół burz i wpół fali
Niechaj zabrzmi wdzięczny ton.*

— I dalej:

*Słyń, piosenko, w tej osnowie
Przez pagórki i doliny
W naszej macierzyńskiej mowie
Do zamorskiej gdzieś krainy.*

— A oto najbardziej znany jego wiersz:

*O, ojczysta nasza mowo,
Coś kwitnęła nam przed laty,
Zakwitnijże nam na nowo,
Jako kwitną w polu kwiaty.
Zalśnij nama jako zorze,
Przywróćże nam skarb nasz isty,
Aby w domu i we zborze
Istniał język nasz ojczysty.*

— A teraz przypomnij sobie strofy „Złotej rękawicy”.

*Jeziro moje, w gładkiej toni
widziałem kiedyś dziecka twarz.
Jakiż to wiatr te fale gonił,
co odebrały oczom blask?
Jeziro moje, twojej toni
obcym imieniem mówi czas,
na mojej pieśni łańcuch dzwoni
niewoli, usta ciśnie głąz.*

Lusia stwierdziła:

— Wydaje mi się, że „Złota rękawica” jest wierszem o wiele bardziej subtelnym, refleksyjnym. Ma też chyba bardziej wyszukaną formę. I ten Grottger, o którym wspomina poeta w końcowej zwrotce. Odnosi się wrażenie, że nasz autor więcej czytał, więcej widział. I jak gdyby bardziej zaakceptowana jest wiara w powrót wolności dla mowy polskiej. Te słowa: „I znowu polski rycerz dumnie podejmie złotą rękawicę”. Albo dalej: „I wy wróćcie tu łabędziem, w poszumie żagli białych skrzydeł”.

— Mazurscy ludowi poeci karmili się różnymi lekturami — odrzekłem. — Nie wolno zapominać, że wielu z nich, nie mogąc znaleźć pracy na ubogich Mazurach, wyjeżdżało do Niemiec i pracowało tam, przeważnie w kopalniach węgla Westfalii czy Nadrenii. Zamiast mazurskiego krajobrazu, jezior i lasów, znajdziesz w ich poezji także symbolikę i rekwizyty górników. Ba, niektórzy słabo znali język polski i pisali po niemiecku, jak choćby Jan Dopatka. Trzeba było ich wiersze przekładać na język polski. Mimo to nie ma wątpliwości co do polskich, patriotycznych treści tych utworów. Posłuchaj zresztą wiersza Dopatki:

*Nie pozwól, Panie, by w mej duszy,
co „mein Gott” — mówi i „mój Boże”,
ktos światło zbawczej lampki zdusił,
Do modłów obie ręce złożę.*

I tak do późnego wieczora czytaliśmy z Lusią wiersze, które były wołaniem z przeszłości przesłanym nam, ludziom współczesnym żyjącym w wolnej ojczyźnie.

— Odnajdziemy autora „Złotej rękawicy”, prawda, panie Tomaszu? — powiedziała Lusią.

— Tak. Ale pamiętaj, że przed piętnastoma laty był to już człowiek schorowany i stary. . .

— To odnajdziemy jego grób. I tak, jak napisał, postawimy na grobie brzozy krzyż.

— „A jeśli grobu nie znajdziecie, zechciejcie chociaż wiersz ocalić” — odpowiedziałem słowami poety.

Rozstaliśmy się z Lusią. A w dwa dni później dziewczyna zjawiła się niespodziewanie w moim biurze i położyła na biurku teczkę z jakimiś papierami.

— Wykrałam ojcu z biurka plany „Notosa” — oświadczyła z triumfem. — Pomyślałam, że może zechce je pan przejrzeć.

— Plany „Notosa”? — zdumiałem się.

— To najnowszy model jachtu. Ojciec zakupił te plany i zdecydował się przekazać budowę jakiemuś przedsiębiorstwu szkutniczemu. Zrezygnował z wyjazdu do Jugosławii i pieniądze przeznaczył na jacht. Przewidywany koszt budowy: trzydzieści tysięcy złotych. Wykrałam plany, bo może pana zainteresują.

Z potępieniem pokiwałem głową.

— Uprawiasz szpiegostwo, i to we własnym domu. Nie, Lusi, tak nie można. Między twoim ojcem i nami musi być rywalizacja szlachetna. Umówmy się: nie będziesz mi mówić o przedsięwzięciach twego ojca, ale i nie poinformujesz go o naszych zamiarach. Czy pomyślałaś, jakie wrażenie obudzi we mnie twoje postępowanie? Po prostu zaczynam tracić do ciebie zaufanie. Skoro zdolna jesteś wykraść plany jachtu z biurka twego ojca, to być może jutro, gdy raptem zechcesz płynąć z ojcem „Notosem”, z równą beztróską zdradzisz jemu nasze tajne plany.

— Pan sądzi, że byłabym zdolna do zdrady? — poczerwieniały jej policzki.

— A tak — wyznałam szczerze. — Bo jeśli ktoś zdradza swego ojca, to jest zdolny także zdradzić przyjaciela, którego zresztą zna bardzo krótko.

— Ładnie mi pan dziękuje za moją ofiarność — oburzyła się.

Zdecydowałem, że dość już na dziś działań pedagogicznych i zmieniłem temat.

— Myślę, Lusi, że chyba źle robisz, decydując się płynąć ze mną, a nie z ojcem. Nie wydaje mi się, aby moja łajba była najnowszym modelem jachtu.

— Podjęłam już decyzję — oświadczyła Lusią. — Płynę z panem.

— Jak chcesz.

— Ale proszę do mnie nie mówić: Lusi, bo bardzo tego nie lubię. Mam wprawdzie na pierwsze imię Lucyna, ale na drugie: Krystyna. W szkole koleżanki i koledzy mówią do mnie: Kika.

— W porządku. Odtąd dla mnie także jesteś Kiką — oświadczyłem uroczyście.

Po odejściu Kiki na moim biurku zadzwonił telefon. Rozpoznałem natychmiast głos Piotrusia Gromskiego.

— Chciałbym z panem porozmawiać — nieśmiało mówił chłopiec. — Właśnie wyszedłem ze szkoły, bo lekcje dziś się trochę wcześniej skończyły. Czy pan ma teraz chwilę czasu?

— A mama twoja wie, że do mnie dzwonisz?

— Właśnie o to chodzi. . . — zająknął się i nie chciał dalej wyjaśnić.

Czyżby historia z Kiką miała się teraz powtórzyć, tylko w wykonaniu Piotrusia Gromskiego? Nie widziałem powodu, dla którego mój plan poszukiwania poety miałby wprowadzać konflikty między rodzicami i dziećmi. Tym razem byłem zdecydowany powiedzieć: „nie”.

Ale z chłopcem należało się spotkać, jeśli o spotkanie mnie prosił.

Okazało się, że Piotruś wcale nie zamierzał uciekać z domu, tak jak Kika. Popijając oranżadę w kawiarni „Nowy Świat”, w milczeniu i z uwagą słuchałem trzynastoletniego chłopca, który przemawiał do mnie jak mędrzec-psycholog.

— Zapomniał pan o nas — stwierdził — a mama ciągle pana wspomina. Niemal codziennie zastanawia się, czy odnajdzie pan nazwisko i adres autora „Złotej rękawicy”. Jego wiersz umiemy na pamięć. . .

— Pozostawiłem swój adres i telefon.

— To prawda. Ale mama nie przypomniała sobie żadnego nowego szczegółu, więc uważa, że nie wypada jej dzwonić do pana. Niemniej jednak sprawa bardzo ją interesuje.

— A ciebie?

— Mnie również. Lecz chodzi mi przede wszystkim o nią. Powinien pan namówić ją na ten rejs latem. Ona całą swoją młodość poświęciła dla mnie, a to bardzo zobowiązuje. Jej wydaje się, że jest już stara, że ma życie za sobą. Powinna drugi raz wyjść za mąż. Ja także chciałbym mieć ojca. Choćby przybranego.

— Obawiam się, że zaczniesz bawić się w swata — przybrałem surowy wyraz twarzy.

Zarumienił się.

— Pan mnie źle zrozumiał. Po prostu wydaje mi się, że taki rejs mógłby ją odmienić. Przekonałaby się może, że wcale nie ma życia za sobą, i jest jeszcze młoda i ładna. Ja przecież wkrótce dorosnę. Co będzie z nią wtedy? Widziałem niedawno film o podobnym temacie. Matka, która wychowała samotnie syna, nie chciała uwierzyć, że on już jest dorosły, bo to znaczyłoby dla niej — stracić go na zawsze. Więc unieszczęśliwiła i siebie, i jego.

Mówił nad wyraz mądrze, inaczej niż wielu chłopców w tym samym wieku i w podobnej sytuacji. Spotykałem takich, którzy byli zazdrośni o każdą nową znajomość matki, trwożyli się na myśl, że matka mogłaby wyjść drugi raz za mąż

i dzielić swoje zainteresowanie między syna i męża. Ten chłopak był inny. Z całą powagą potraktowałem jego słowa.

I jeszcze tego samego dnia, wieczorem, zatelefonowałem do mieszkania Joanny Gromskiej.

— Wspomniała pani w naszej rozmowie — powiedziałem — że gdyby miała pani możliwość powtórnego przepłynięcia szlakiem dawnego rejsu „Szkwała”, być może przypomniaby sobie pani miejsce, gdzie biwakowaliście, drogę do wsi, samotną zagrodę. Napiszę list do znajomego skutnika w Ostródzie i on załatwi motorówkę. Proponuję najbliższą wolną sobotę.

— No, cóż — zawahała się — w zasadzie zgadzam się, bo chciałabym pomóc w poszukiwaniach. Ale czy tego nie można odłożyć na jakiś późniejszy termin i lepszą pogodę? Teraz jest marzec, pada śnieg z deszczem.

— Musimy się śpieszyć. Zapomniała pani o Śliwowskim i o Baturze? Oni nie będą czekać do lata. A poza tym mam nowego konkurenta. Pani dawny kolega, Jan Dołęgowski, buduje sobie jacht i także zamierza odnaleźć autora „Złotej rękawicy”.

Opowiedziałem pani Joannie o Kice i jej konfliktach z rodzicami.

— Mój Boże, co za kłopoty z tymi dziećmi — westchnęła pani Gromska. — Piotruś także ciągle mówi o pana poszukiwaniach.

— Jest chłopcem. To rozumiałe, że tęskni za przygodą — stwierdziłem.

— Ma pan rację. Powinnam ciągle pamiętać, że wychowuję chłopca, nie dziewczynkę.

— Dziewczynki też lubią przygody — roześmiałem się, mając na myśli Kikę.

Wyruszyliśmy jednak do Ostródy nie w wolną sobotę, tylko w niedzielę, ponieważ, jak się okazało, pani Gromska musiała najbliższą wolną sobotę poświęcić pracy w banku. Piotruś, o dziwo, zrezygnował z towarzyszenia nam do Ostródy, tłumacząc ten fakt nawałem lekcji do odrobienia.

— To dziwne, prawda? — zastanawiała się pani Joanna, gdy już byliśmy w drodze. — Myślałam, że on o niczym innym nie marzy, tylko o tym, aby znaleźć się na motorówce i przeżyć tę przygodę.

— Chciał, żebyśmy byli sami — powiedziałem szczerze. — Marzy, aby pani wyszła za mąż i aby on miał ojca, choćby nawet przybranego. Tęskni za towarzystwem dorosłego mężczyzny, na którym mógłby się wzorować, wymieniać z nim swoje myśli.

Zarumieniła się lekko i zerknęła na mnie uważnie.

— I on myśli, że pan nadawałby się do tej roli?

— A czemuż by nie? — odpowiedziałem zaczepnie.

— Będę szczerą. Pan ma w sobie za wiele z chłopca. Choćby ten samochód, taki jakiś dziwaczny, śmieszny. Ale pana bawi jazda tym straszylłem. Nie chciałabym mieć w domu dwóch chłopców, jednego dorastającego, a drugiego dorosłego. Jeżeli bym się zdecydowała wyjść drugi raz za mąż, to za mężczyznę naprawdę

poważnego, takiego, o którym mówi się: starszy, solidny pan, głowa rodziny. To musiałby być człowiek, na którego mogłabym złożyć wiele swoich obowiązków.

— Rozumiem — kiwnąłem głową i więcej nie wróciliśmy do tego tematu.

W Ostródzie padał deszcz ze śniegiem i wiał przenikliwy wiatr. Ale jezioro było już wolne od lodu, a na przystani czekała na nas duża niebieska motorówka z kabiną, jedyna zresztą, którą już spuszczone na wodę. Właścicielem jej był człowiek nazwiskiem Kaczyński, osobnik mrukliwy, małomówny. Przez cały czas, kiedy płynęliśmy, nie odezwał się do nas ani słowem. Dopiero gdy płaciłem za podróż — a ofiarowałem mu pięćset złotych — skrzywił się trochę i rzekł:

— Ci, co płynęli wczoraj, zapłacili więcej.- Siedemset złotych.

— Płynęli tą samą trasą? — zapytałem.

— Tak.

— Jak wyglądali ci ludzie i w jakim celu płynęli? Jest zimno i chyba nikt takich podróży motorówką nie odbywa dla przyjemności.

— A czy ja was pytałem, po co płyniecie? — oburzył się. — I ich też nie ciągnąłem za język. Zresztą nie lubię dużo gadać.

— Ale jak wyglądali, to chyba może mi pan powiedzieć.

— Zwyczajnie. Jeden wyglądał na starszego, mówili do niego: panie Śliwowski. A drugi był młodszy, bardzo elegancki, z małymi czarnymi wąsikami. Mieli ze sobą młodą i ładną dziewczynę. Ona zmarzła, bo zaciął taki deszcz ze śniegiem, że nawet w kabinie było bardzo zimno. Zapłacili siedemset złotych.

— Zadowoleni byli z przejażdżki? — indagowałem Kaczyńskiego.

— Chyba nie — wzruszył ramionami. — Ten młodszy ciągle kazał temu Śliwowskiemu wpatrywać się w brzegi i czegoś tam szukać, jakiegoś domu. Ale on niczego nie wypatrzył. Powiedział, że nic nie pamięta. Kiedyś podobno tędy płynął, ale to było latem, zieleniły się drzewa, teraz jeszcze drzewa są gołe i wszystko wygląda inaczej.

— Właśnie... — mruknęła pani Joanna. — Bezlistne brzegi, rude trzciny, cały krajobraz jest zupełnie inny niż wtedy. Dlatego nie potrafię przypomnieć sobie tego miejsca.

Dopłaciłem Kaczyńskiemu jeszcze dwieście złotych i — zmarznięci, zmęczeni kilkugodzinną podróżą po jeziorze i kanałach — wsiedliśmy do wehikułu. Pora była już dość późna, zbliżała się szósta wieczorem, a my od rana nie mieliśmy nic gorącego w ustach. Zajechałem więc pod restaurację, która nazywała się „Tur”.

— Wyprzedzili nas o jeden dzień — złościłem się. — Gdybyśmy tu przyjechali wczoraj, natknęlibyśmy się na nich.

— I co by im pan zrobił? Przecież każdemu wolno wynająć motorówkę i pływać nią po jeziorze — odrzekła pani Gromska. — Ciekawa jestem, kto im podsunął pomysł, na który i pan wpadł, aby z kimś z załogi „Szkwała” odbyć rejs tym samym szlakiem.

Smętnie zwiesiłem głowę.

— Mówiłem pani o moim wrogu, Baturze. To sprytny człowiek i nie wolno go nie doceniać. Po prostu wpadł na to w tym samym czasie, co i ja. I nawet, co jest oczywiste, wybrał na tę wyprawę pierwszą wolną sobotę. Pani pracowała i dlatego spóźniliśmy się.

— I co z tego? Nie trafili na dom poety — odparła pani Joanna. — Przekonałam się jednak już ostatecznie, że Śliwowski to prawdziwy łajdak, a Batura rzeczywiście chce pana wyprowadzić w pole. Wyznaję, że zirytowali mnie. Dlatego w tej chwili zdecydowałam się wziąć udział w pana letnim rejsie. Oto moja ręka.

To mówiąc podała mi swoją dłoń, a ja ucałowałem ją z radością. Miałem już pełną obsadę załogi na jacht, który się remontował.

— Zabierzemy oczywiście naszego „psychologa” — powiedziałem.

— Piotrusia? On rzeczywiście wybiera się w przyszłości na psychologię. Czy pan wie, że ostatnio próbuje czytać „Wstęp do psychoanalizy” Freuda? Przecież to zbyt poważna książka.

— Niech się pani nie przejmuję, wkrótce ją rzuci. Ale niech to zrobi sam, bez pani interwencji. W każdym razie, mam już załogę na swój jacht: pani, Kika i Psycholog — cieszyłem się, zapominając na chwilę o doznanej porażce.

Kiedy wróciliśmy do Warszawy, odżyło we mnie jednak to poczucie porażki. Nie mogłem sobie darować, że Waldemar Batura wyprzedził mnie w poszukiwaniach autora „Złotej rękawicy”. Wymogłem na moim zwierzchniku, dyrektorze Marczaku, trzy dni urlopu i znowu pojechałem do Ostródy. Tym razem odwiedziłem zaprzyjaźnionego skutnika, pana Grodzkiego. W dużej szopie na zapleczu jego domu zobaczyłem kadłub „Szkwała” z wymienionymi już klepkami poszycia.

— Nie będziemy go chyba malować, pociągniemy tylko pokostem i lakierem wodoodpornym — rzekł mi pan Grodzki.

— Ale kabinę warto nieco przyciemnić — zastanawiałem się.

— A nazwa? Jakiej wielkości mają być litery nazwy „Szkwał” — zapytał mnie skutnik.

— To już nie będzie „Szkwał”, panie Grodzki — odparłem zdecydowanie. — Proszę czerwonymi literami wyraźnie napisać: „Krasula”.

Grodzki aż zaniemówił na chwilę.

— Chce pan, żeby śmiano się z pana na wszystkich żeglarskich obozach?

— Nie szkodzi — uśmiechnąłem się. — Przecież teraz wszystko zależy od pana skutniczych umiejętności. Zresztą, gdy ten jacht nazywał się „Szkwał”, był ociążały jak krasula. Może teraz, jako „Krasula”, zacznie być szybki jak szkwał?

Trzy dni buszowałem w okolicach Ostródy. Wtedy to po raz pierwszy zjawiłem się w Borecznie i ujrzałem tam kamienną rzeźbę rycerza w zbroi. Przyjechałem do Warszawy bardzo zadowolony. Z prawdziwą satysfakcją nakręciłem domowy numer telefonu Waldemara Batury.

— Sprawa „Złotej rękawicy” — oświadczył nieoczekiwanie mój wróg — przestała mnie już interesować, drogi Tomaszu. To nic przyjemnego zadawać się z takimi typami, jak ten Śliwowski. Przyjąłem wczoraj pracę w zagranicznym serialu, który ma być kręcony w Polsce. Będę drugim scenografem. „Złotej rękawicy” zawdzięczam poznanie bardzo ładnego skrawka Mazur. To mi się teraz przyda. Producent poszukuje do zdjęć pięknego jeziora oraz położonego nad jeziorem pałacyku, gdzie ma zamieszkać filmowy szalony baron, który będzie więził pewną piękną damę. Ja mam wyposażyć wnętrza. Czy nie wiesz, kto jest właścicielem pałacu w Karnitach?

Zajrzałem do swego spisu zabytkowych pałacików.

— Karnity są własnością pegeeru — poinformowałem Baturę. — Mieści się tam biuro gospodarstwa.

— Postaram się wynająć ten pałac na kilka tygodni. Dziękuję ci, Tomaszu, za twoją pamięć i telefon.

Odłożyłem słuchawkę. Wszystko wskazywało na to, że mam wolną drogę do rozwiązania zagadki wiersza, który zatytułowałem „Złota rękawica”. Pogwizdując wesoło, opuściłem swoje biuro i ani przez myśl mi nie przeszło, że wkrótce znajdę się w gąszczu niezwykle dramatycznych i brzemiennych w skutki wydarzeń.

ROZDZIAŁ PIĄTY

KTO LUBI PRZYGODY, A KTO KRYMINAŁY • DZIWNA PARA NA ŁÓDCE • PLANOWANE MORDERSTWO • WSTĘP DO „WSTĘPU” • JAK ZAPOBIEC PRZESTĘPSTWU • „KRASULA” WYRUSZA W DROGĘ • „LORD JIM” • TAJEMNICZY ARMATOR • CO SIĘ WYDARZYŁO NA JEZIORZE DRWĘCKIM • BIJATYKA • ZNAJOMY NIEZNAJOMY • JAK POZNAŁEM SŁYNNEGO CZŁOWIEKA • URZEKAJĄCA PIĘKNOŚĆ I PORWANIE • MONSIEUR LA BAGNOLETTE I PANNA D.D.

Nie dogoniliśmy „Notosa”, nie zdołaliśmy dopłynąć do Siemian na obiad. Wiatr zdechł, gdy Siemiany widać już było z naszego jachtu. „Notos” zdążył dobić do brzegu razem z ostatnimi podmuchami, a my stanęliśmy przy przeciwległym brzegu.

Była trzecia po południu, z nieba lał żar, w kabinie nie można było wytrzymać, bo mimo uchylonych drzwi i okienek, miało się uczucie, że siedzi się w rozgrzanym piecu. Niebo było błękitne, ale nieco jakby przymglone, powierzchni jeziora nie marszczył nawet najłżejszy szkwalik i wielka połać wody leżała przed nami podobna do lustra, rażącego oczy odbitym blaskiem słońca. Widok jeziora nie tylko nie przynosił wrażenia chłodu, ale jeszcze potęgował uczucie gorąca. Woda była ciepła i podczas kąpieli tylko na krótko przynosiła ulgę spalonym ciałom. Jedyne zieleń cienistych lasów na brzegach jeziora wabiła oko i przypominała o przyjemnym chłodku.

Zrzuciliśmy żagle i przy pomocy wiosel dopłynęliśmy do zalesionego półwyspu, gdzie schroniliśmy się w cień drzew. Ale po kilkunastu minutach wyгнаły nas z lasu tnące niemiłosiernie komary. Już lepiej było prażyć się na jachcie.

Nie wiem, co odmieniło panią Joannę, ale przestała być Panią Księżyc. Jeszcze dwie, trzy godziny temu wyklócała się o wszystko, spowodowała, że miałem już zupełnie dość rejsu, a tu nagle... Może to przygoda z piratami, może spotkanie z Wszędobyłską Hanną? Ale najpewniej to, że — opalona i wypoczęta — poczuła się młoda i ładna. A nic tak nie sprzyja nastrojowi kobiety, jak świadomość, że ładnie wygląda.

— Kiko, zrobimy naszym panom obiad. Wołowina w sosie własnym i makaron — zdecydowała. — Musimy być dla nich miłe, bo odniosłam wrażenie, że ostatnio traktowałyśmy ich trochę tak, jak ta dziennikarka z „Szanuj zieleń” swojego męża. To okropne, gdy kobieta wymachuje wiosłem jak halabardą.

— A partnerstwo? — zapytała Kika.

— Zostawmy tę sprawę na później — roześmiała się. — Przyznaj, że cudownie dopędzili piratów i zachowali się bardzo po męsku. Spodobała mi się ta przygoda. Myślę, że w ogóle polubię przygody. Zdaje mi się, że już zapomniałam, jak wygląda bank i maszyna do liczenia. A ty, Psychologu, jak się czujesz? — zapytała syna.

— Znakomicie — odparł sięgając po książkę, którą miał w swojej torbie podróżnej. — Cieszę się, że polubiłaś przygody.

A ja nagle uświadomiłem sobie, że ten chłopiec wcale nie potrzebuje towarzystwa takiego mężczyzny jak ja, wcale nie lubi przygód, w historii z piratami tylko udawał, że jest przejęty, a tak naprawdę myślał o jednej z książek, które miał w swoim worku podróżnym. W ogóle całe jego zainteresowanie rejssem było udane, robił po prostu wszystko, aby jego matka poczuła się młoda i ładna.

— Owszem. Polubiłam przygody — stwierdziła pani Joanna. — I podoba mi się ten rejs. Czuję się, jak piętnaście lat temu na „Szkwale”.

I spojrzała na mnie z sympatią. A ja ucieszyłem się, bo już dawno czekałem na tę chwilę.

— Co teraz będziesz czytał? — zapytałem Psychologa, gdy z książką w ręce wdrapał się na dach kabiny, aby w spokoju pograżyć się w lekturze.

— To kryminał Billa Arizony, „Zbrodnia doskonała” — odpowiedział trochę zawstydzony.

Roześmiałem się. To tak już bywa z chłopcami w tym wieku. Usiłują na przykład zgłębić największe tajemnice duszy ludzkiej, a gdy im to niezbyt wychodzi, sięgają po książki najprostsze, najłatwiejsze.

— Nienawidzę kryminałów — oświadczyła pani Joanna. — Uważam, że to są książki bezwartościowe. Już wołałam, Piotrusiu, kiedy czytałeś „Wstęp do psychoanalizy”, choć zapewne tego rodzaju lektura może takim chłopcom, jak ty, przewrócić w głowie. Mój Boże, czy nie mógłbyś czytać jakiejś „Tajemniczej wyspy” albo „Old Surehanda”? To książki w sam raz dla ciebie.

Psycholog wzruszył ramionami.

— Po pierwsze: tamte książki już przeczytałem po kilka razy, a po drugie: kryminały wcale nie są bezwartościowe. Nie czytam ich dla rozrywki, interesuje mnie psychika przestępcy, jakie motywy kierują jego postępowaniem, dlaczego łamie prawo.

— O wa — stwierdziłem ironicznie. — Znałem kilku przestępców. Jednego z nich zdążyłeś poznać. Nazywa się Waldemar Batura. Nie wygląda wprawdzie

na zbrodniarza, jest niezwykle ujmującym człowiekiem, ale bez skrupułów łamie prawo, bo pragnie w sposób możliwie szybki osiągnąć ogromne zyski.

Psycholog obwieścił z wysokości kabiny:

— „Zbrodnia doskonała” jest o morderstwie. Straszliwej, wyrafinowanej zbrodni.

Pani Joanna z dezaprobatą pokręciła głową.

— Dziwię się autorom, którzy babrzą się w takich okropieństwach. Zapewne robią to dla pieniędzy, co tym gorzej o nich świadczy. Panowie, obiad na stole — zakończyła dyskusję.

Po obiedzie każde z nas rozłożyło się na jachcie w miejscu dla siebie najwygodniejszym. Psycholog i pani Joanna na dachu kabiny, ja na pokładzie rufowym, a Kika na pokładzie dziobowym. Była już piąta, ale ciągle z nieba spływały potoki słońca. Po pewnym czasie tuż obok nas, przy kępie trzciny, zatrzymała się nieduża łódź wiosłowa, którą przyplynał opalony na brąz, rosły brodaczek około czterdziestki. Na dziobie siedziała starsza pani, ubrana od stóp do głowy, osłaniająca się parasolką. Mężczyzna wyjął wędkę, założył przynętę na haczyk i zaczął łowić ryby. Po wodzie głos niesie się daleko, słyszeliśmy więc bardzo wyraźnie ich rozmowę.

— Wróćmy do tematu, panie Lejwoda. Chciałabym wiedzieć, w jaki sposób zamierza pan zamordować żonę — odezwała się starsza pani z parasolką.

Te słowa zabrzmiały jak wystrzał armatni. Pani Joanna podniosła głowę i uważniej przyjrzała się dziwnej parze w łódce.

Pan Lejwoda nie od razu odpowiedział na to okropne pytanie. Sięgnął do torby, wyjął z niej fajkę, nabił tytoniem i zapalił. Dopiero gdy kilkakrotnie pyknął z fajki, zagrzmiął basem:

— Najważniejsze to wybrać miejsce zabójstwa, pani Jagodo. Zdecydowałem, że stanie się to na tarasie naszej willi.

— Czy to konieczne? — oburzyła się pani Jagoda. — Potem po nocach będzie się panu śniło zabójstwo.

— To najlepsze miejsce — upierał się Lejwoda. — Jak pani wie, ona ma bardzo poetyczną naturę i w ciepłe, letnie dni, niekiedy aż do zapadnięcia zmroku, lubi spoczywać na leżaku i patrzeć na jezioro. To dobra chwila, aby ją wykończyć.

— Trucizną? — zainteresowała się pani Jagoda.

— Ach, nie — zaprzeczył pan Lejwoda. — Zakupienie trucizny jest sprawą nader skomplikowaną i niebezpieczną. Długo myślałem na ten temat i doszedłem do wniosku, że najlepszym sposobem jest inna śmierć. Strzał z łuku. Strzała wbija się w plecy, a każdy, kto tamtędy przechodził, może być podejrzany o zabójstwo. Obok willi jest przecież droga, po której bez przerwy krążą wczasowicze. We wczesnej młodości byłem mistrzem juniorów w strzelaniu z łuku. Nikt o tym nie wie. Nawet pani. A jednak to prawda. Bardzo niebezpieczną, choć staroświecką bronią jest zwykły łuk i strzała z ostrym grotem.

— Milicja zapewne zainteresuje się pańską przeszłością i wykryje fakt, że był pan mistrzem juniorów.

— Postaram się o świetne alibi — zachichotał.

— Kto je panu zapewni?

— Pani. Stwierdzi pani, że w tym czasie, gdy żona siedziała na tarasie, ja znajdowałem się w kuchni i wraz z panią przyrządzałem kanapki na kolację.

— A niby dlaczego mam panu stwarzać alibi? Co mi z tego przyjdzie?

— Bo pani równie mocno, jak ja, nienawidzi mojej żony. Za to, że rządzi nie tylko mną, ale i panią. Traktuje nas niczym marionetki, które, pociągane za sznurek, tańczą, jak ona im każe. Nawet tej głupiej fajki nie pozwala mi ćmić we własnym domu, muszę w tym celu wychodzić na dwór. Czy kiedykolwiek pozwoliła pani albo mnie o czymś zdecydować? Nigdy. Tyle razy proponowała pani jakieś ciekawe menu na obiad. Nigdy nie zgodziła się na pani propozycję. Zawsze narzucała swoją. Pani, jako doświadczona i wytrawna gospodyni, musi ją za to nienawidzić. I ja wiem o tym. Nie ukryje pani przede mną swoich uczuć. Dlatego w krytycznej chwili pani mi pomoże. Zresztą wie pani także, że gdy ona zniknie z domu, pani obejmie całkowite rządy. Znajdę się na pani łasce i niełasce.

— To wspaniałe — mruknęła pani Jagoda. — Ale czy potem nie przyjdzie panu na myśl, żeby i mnie sprzątnąć z tego świata? Jako niewygodnego świadka?

— Co też pani mówi? — oburzył się Lejwoda. — Nie jestem przecież zbrodniarzem z urodzenia, tylko z konieczności.

— Tak, tak, oczywiście — burknęła pani Jagoda. — Ale człowiek się zmienia. Najgorzej podobno popełnić pierwszą zbrodnię. Potem już idzie jak po maśle. Pada drugi, trzeci trup. . .

Jakiś czas milczeli.

Pan Lejwoda rozważał coś w myślach, patrząc na splawik wędki i pykając fajkę. Raptem roześmiał się złośliwie.

— Z czego się pan śmieje? — zaniepokoiła się pani Jagoda.

— Przypomniał mi się dowcip.

— Nie wierzę panu — pani Jagoda groźnie kiwnęła mu palcem przed nosem. — Myśli pan o swojej następnej ofierze. Najlepiej zrobimy, jeśli wrócimy do domu. Ta łódka jest chybotliwa, a ja nie umiem pływać.

Pan Lejwoda zwinął wędkę.

— Na panią nigdy nie można liczyć. Ale, tak czy inaczej, ona dzisiaj zginie. I to od strzały z łuku.

Pan Lejwoda chwycił wiosła i po chwili ich łódź skierowała się na pełne jezioro. Zsunąłem się do kabiny po lornetkę i przez powiększające szkła śledziłem ich bardzo długo. Pani Joanna przyglądała mi się z ironicznym uśmiechem na twarzy.

— O co pani chodzi? Dlaczego pani tak się uśmiecha? — zapytałem.

— Czy nie nazbyt spokojnie zachowuje się pan, jak na świadka rozmowy o planowanej zbrodni? — zauważyła.

— Nie dam się nabrać — mruknąłem. — Myślę, że tych dwoje na łódce po prostu uczyło się tekstu jakiejś sztuki. Ani on, ani tym bardziej ona nie wyglądali na zbrodniarzy.

— Przecież sam pan wspominał, że na przykład taki Batura ma ujmującą powierzchowność i wcale nie wygląda na przestępcę — zauważył Psycholog.

— Batura nie jest zabójcą — powiedziałem.

— Mordercy także nie mają swoich złych skłonności wypisanych na twarzach — oświadczyła pani Joanna. — W przeciwnym razie milicja nie miałaby wiele do roboty. Co o tym myślisz, Psychologu?

— W „Zbrodni doskonałej” Billa Arizony straszliwym mordercą okazuje się skromny i cichy urzędnik bankowy. Z zimną krwią zamyka ofiarę w kasie pancерnej i, gdy ofiara dusi się, spokojnie stuka liczydłami, podsumowując dzienne wpływy. A swoje zbrodnicze plany obmyślał, kąpiąc się w łazience wykładanej różowymi kafelkami.

— To wina koloru kafelków — odrzekłem. — Różowy kolor działa podniecająco, natomiast zielony uspokaja.

— Pan sobie kpi — oburzyła się milcząca dotąd Kika. — A może oni naprawdę planowali tę zbrodnię?

W szklach lornetki miałem wciąż oddalającą się łódkę ze starszą panią i wiosłującym brodaczem. Zauważyłem, że dobili do brzegu w pobliżu osiedla domków kempingowych i dwóch willi.

Pani Joanna odebrała mi lornetkę i stwierdziła:

— Zaczumowali łódkę przy małym pomoście. I poszli do pierwszej willi. Wszystko się zgadza: tam jest duży taras od strony jeziora, brzegiem biegnie droga. Aha, willę odgradza od niej dość wysoki żywopłot. Zbrodniarz, kryjąc się za nim, może cichaczem podejść pod taras i strzelić z łuku do osoby, która tam odpoczywa.

— Ci ludzie nie robili wrażenia, że planują rzeczywistą zbrodnię — upierałem się. — W biały dzień? Na jeziorze? W taki upał. . .

— Bill Arizona napisał książkę „Zbrodnia w samo południe” . . .

— Ten Bill Arizona nie jest dla nas żadnym autorytetem — powiedziała pani Joanna. — Jaki kasjer posługuje się liczydłami? Mamy maszyny cyfrowe. Już lepiej daj nam przykład ze „Wstępu do psychoanalizy”.

— Wiesz, że nie przeczytałem tej książki do końca. Tylko wstęp — odrzekł Psycholog.

— Wstęp do „Wstępu” — zachichotała Kika.

— A w innej książce Billa Arizony — przypomniał sobie chłopiec — jest powiedziane o tym, jak pewien zbrodniarz ukradł milicjantowi rewolwer, zastrzelił nim swego wuja i rewolwer z powrotem podrzucił milicjantowi. Świadczy to najwyraźniej o perfidii zbrodniarzy.

— Nie — odparłem — raczej o niekompetencji Billa Arizony. Bo żaden milicjant w naszym kraju nie posługuje się rewolwerem. Myślę, że w ogóle niewiele jest u nas rewolwerów. Milicja używa pistoletu P-64, kaliber 9 milimetrów.

— A czym się różni pistolet od rewolweru? — zapytał Psycholog.

— Rewolwer ma bębenek. Pistolet zaś jest płaski, magazynek z kulami znajduje się w kolbie. To zresztą najprostsza charakterystyka. A w każdej niemal polskiej powieści kryminalnej milicjanci zamiast pistoletów mają rewolwery. Świadczy to, że autorzy powieści kryminalnych są ludźmi gołębiego serca, którzy nigdy nie widzieli na oczy broni palnej.

— Więc co nam pan radzi jako detektyw? — przerwała moje wywody pani Joanna.

— Dać teraz spokój całej sprawie — oświadczyłem zdecydowanie. — Najwyżej jutro, jeżeli zacznie wiać i będziemy mogli płynąć dalej, zatrzymamy się przy tamtym brzegu i zapytamy o willę pana Lejwody. Dowiemy się, co to za osobnik, i wyjaśni się ta jego zagadkowa rozmowa.

Cała trójka popatrzyła na mnie z oburzeniem.

— No, jasne! — zawołała Kika. — Pan Samochodzik dowie się jutro o zamordowaniu żony pana Lejwody, po czym, ku zdumieniu milicji prowadzącej śledztwo, położy rękę na ramieniu jej męża i powie: „Aresztuję pana. Pan był mistrzem juniorów w strzelaniu z łuku”.

— Powinniśmy zapobiec ewentualnej zbrodni — orzekła pani Joanna. — Musimy ruszyć zaraz, natychmiast.

— To się nazywa fachowo: profilaktyka — dorzucił Psycholog.

— Teraz? Zaraz? Przecież nie ma wiatru — wskazałem jezioro gładkie jak szyba okienna.

— Możemy użyć wiosł — przypomniała pani Joanna.

— I co dalej? — zapytałem.

— Dobijemy do przystani nie budząc podejrzeń Lejwody, bo wyglądamy na turystów. A kiedy zapadnie wieczór, zaczaiemy się na drodze koło żywoplotu i schwytemy tego Lejwodę, gdy będzie się skradał z łukiem.

— Cudownie — ziewnąłem. — Ale beze mnie. Ja w tej imprezie nie wezmę udziału. Jestem poważnym fachowcem i nie będę na szwank wystawiał swojego imienia, mieszając się w takie sprawy.

Psycholog miał skłonność do wiary w autorytety.

— Jeśli pan Tomasz, jako specjalista, mówi, że to nie chodzi o prawdziwą zbrodnię...

Tego było już za wiele dla pani Joanny.

— Więc to tak, panowie? Tak wygląda wasze umiłowanie przygody? Gdy w grę wchodzi trzech bezbronnych chłopców, którzy dla zabawy wciągają na maszt piracką flagę, wtedy pokazujecie swoją męską odwagę i inicjatywę, ale gdy zbrodniarz planuje śmierć swojej żony, to wam się nie chce wiosłować...

— Rzeczywiście nie chce mi się wiosłować — przyznał szczerze Psycholog. — Upał mnie zmęczył, czuję się nie najlepiej.

— Bądź mężczyzną! — tupnęła nogą pani Joanna. — Kika, weź wiosło! Ruszamy w stronę drugiego brzegu!

Wszedłem na dach kabiny i ułożyłem się obok żagla.

— Na mnie proszę nie liczyć — oświadczyłem.

Pani Joanna, Kika i Psycholog, którego jednak zmusiły do wiosłowania, zabrali się do dzieła. Ciężka łajba powoli ruszyła przez jezioro w stronę drugiego brzegu.

Zapałem papierosa i powiedziałem:

— Ja też czytałem kryminały Billa Arizony i innych autorów. Wynika z nich niezbicie, że jeśli na kogoś bardzo wyraźnie kieruje się wszelkie podejrzenia, to ten ktoś jest zupełnie niewinny, a prawdziwym przestępcą okazuje się osoba zupełnie dotąd niewinna. Zgodnie z regułami gry, po przybyciu na miejsce powinniśmy stwierdzić, że to pan Lejewoda został zastrzelony z łuku przez swoją czcigodną żonę, która — o czym dowiemy się po jakimś czasie — była kiedyś arcymistrzynią junierek w strzelaniu z łuku.

— Nie cierpię kryminałów. Nie cierpię autorów powieści kryminalnych — sapała pani Joanna, pracowicie machając krótkim pagajem.

Patrzyłem na swoją załogę ze współczuciem. Zbliżała się już szósta po południu, ale powietrze przepełniała duchota. Po twarzach pani Joanny, Kiki i Psychologa spływały strużki potu. Wiedziałem, że wkrótce każde z nich będzie miało na dłoniach bąble, do brzegu bowiem było półtora kilometra, a łajba ciężka i duża. . .

Raptem przyszło mi na myśl, że może historia z panem Lejewodą i jego zbrodnią jest takim samym oszustwem, jak wizyta Bajeczki. Czy to nie dziwne, że Lejewoda tak blisko podpłynął do nas swoją łódką i tak głośno rozmawiał o planowanej zbrodni? Należało tę sprawę wyjaśnić.

Zeskoczyłem z kabiny i chwyciłem czwarte wiosło powitany ogólnym: „Nareszcie!” całej mojej załogi. Wiosłując pracowicie i w milczeniu, wspomniałem jeszcze jedną dziwną przygodę, sprzed kilku dni.

* * *

— Oto i pańska „Krasula” — powiedział pan Grodzki, przyprowadziwszy mnie na przystań, gdzie przy pomoście stał jacht, gotowy do rejsu. — Wypróbowałem ją już: przy małych wiatrach jest dość powolna, ale przy silnych natychmiast wpada w ślizg. Jest to łódź do dużych wiatrów. Pływałem nią, używając tylko jednego foka. Jeśli pan założy bliźniacze foki, o które się dla pana postarałem, mogą być niespodzianki. . .

„Krasula” niczym nie przypominała wraka, który kupiłem zimą za tysiąc złotych. Kadłub jej był pomalowany bezbarwnym, wodoodpornym lakierem, kabina

miała mocny dach oklejony płótnem, aby wewnątrz nie nagrzewało się zbyt od słońca, pokład pokrywała okleina imitująca mahoń.

— Tak jak mówiłem w zimie, maszt dałem stary, od dragona — informował dalej pan Grodzki. — Żagle też stare, ale dokładnie pocerowane. W przyszłości będzie pan jednak musiał sprawić sobie nowe.

Świeciło słońce, było ciepło, jak bywa w pierwszej połowie czerwca. Ale mnie dreszcze chodziły po krzyżu, bo wyobrażałem sobie, jaką sumę wymieni pan Grodzki — za remont i przygotowanie jachtu do rejsu, za to olinowanie stałe i ruchome, za wszystkie talie, bloczki, szekle, ściągacze.

— Ile jestem panu winien? — wyjąkałem wreszcie.

— A ile ma pan pieniędzy? — pytał mnie rzeczowo.

— Dziesięć tysięcy złotych — powiedziałem rumieniąc się.

Położył mi przyjaźnie dłoń na ramieniu.

— Gdybym wtedy kupił te falsyfikaty, straciłbym co najmniej pięćdziesiąt tysięcy, panie Tomaszu, dlatego wystarczy mi ta suma. A oto nowy certyfikat jachtu i karta rejestracyjna.

Wręczył mi dokumenty, a ja dałem mu swoje dziesięć tysięcy, choć zdawałem sobie sprawę, że remont tego jachtu powinien kosztować dwa razy tyle.

— Proszę pamiętać — powiedział jeszcze — że ta łajba ma stare wręgi i wiele starych klepek w poszyciu, ale zarazem wiele nowego materiału, inny maszt i inne żagle. Trudno w tej chwili na pewno orzec, co wyszło z tej krzyżówki: „Szkwał” czy „Krasula”. Radzę uwagę i ostrożność, szczególnie na początku, póki nie pozna pan narowów jachtu. A swoją drogą będą się z pana wyśmiewać z powodu tej nazwy... Jest jeszcze trochę czasu. Można zamalować te litery i napisać znowu „Szkwał”.

Potrząsnąłem głową.

— Niech już tak zostanie...

Załadowałem na „Krasulę” swoje rzeczy i zapasy żywności, poprosiłem skutnika, aby przechował w szopie mój wehikuł, i wyruszyłem w pierwszy próbny rejs.

Było słonecznie i szkwałiście, wiał dość silny zachodni wiatr. Przepląnąłem pod mostem kolejowym, minąłem półwysep o nazwie Czarny Róg i nieustannie halsując wydostałem się na drugą część Jeziora Drwęckiego, gdzie znajduje się wejście do Kanału Elbląskiego. „Krasula” okazała się — określając językiem żeglarskim — nieco nawietrzna, to znaczy, gdy dawało się jej swobodę, po chwili żagle stawały w łopocie i traciła szybkość. Zmuszało to do większej pracy sterem. Niełatwo także wchodziła w ślizg. Przy dwójce trudno go było osiągnąć, ale podczas silniejszego uderzenia wiatru ruszyła do przodu jak koń dźgnięty ostrogą, zdawało się, że tylko muska grzbiety fal. Pan Grodzki miał rację, łajba nadawała się przede wszystkim na silne wiatry.

Próbę uznałem za zakończoną i ruszyłem z powrotem do Ostródy.

Czekała mnie jutro długa droga. Przez Kanał Ostródzko-Elbląski aż do Miłomłyna, a potem dalej — do Jezioraka i Hawy, w której umówiłem się ze swoją załogą. Hawę wybraliśmy na miejsce spotkania, ponieważ ma ona bezpośrednie połączenia kolejowe z Warszawą, a żeby dojechać do Ostródy — trzeba się przeziadać. Sezon wczasowy już się rozpoczął, nie chciałem pani Joanny, Kiki i Psychologa narażać na dodatkowe kłopoty, tym bardziej że musieli zabrać ze sobą na rejs sporo rzeczy.

Ale bez silnika dostać się z Ostródy do Hawy przez kanały — to znaczyło wiosłować prawie trzydzieści kilometrów. Postanowiłam więc wejść w kontakt z właścicielem jakiegoś jachtu motorowego i prosić o holowanie przynajmniej do Miłomłyna. A takie jachty widziałem na przystani w Ostródzie.

Pora była popołudniowa, nie najlepsza do szukania tego typu kontaktów, ponieważ korzystając z wiatru i słońca większość jachtmanów ruszyła na wodę. Na przystani cumował tylko jeden jacht, chyba kilowo-mieczowy. Był znacznie szerszy i głębszy od mojego, a nieco wyższy maszt wskazywał, że ma większe żagle. Starannie utrzymany, lśnił białą, świeżą farbą. Nosił pretensjonalną, conradowską nazwę „Lord Jim”. I miał z tyłu silnik!

Na dziobie siedział młody, mocno opalony mężczyzna i łowił ryby. Ciało miał muskularne, brązowa opalenizna pięknie kontrastowała z wyblakłą od słońca jasną szopą długich włosów. „Tarzan” — nazwałem go w myślach.

Dobiliśmy z drugiej strony kei, zarzuciłem cumę na pachołek i wyskoczyłem na drewniany pomost tuż obok młodego mężczyzny.

— Dzień dobry. Czy to pana jacht? — zapytałem.

— Tak. A bo co? — mruknął, nie odrywając oczu od czerwono-białego spławika, który kołysał się na fali.

— Nie płyń pan jutro do Hawy albo do Elbląga?

— Może. A bo co?

— Na mojej łajbie nie ma silnika. Chciałbym, aby mnie ktoś poholował przez kanał.

— Nic z tego — stwierdził Tarzan. — Jutro pływamy na Drwęckim. Natomiast pojutrze popłyniemy przez kanał, ale i tak chyba obecny armator nie zgodzi się, aby pana holować. Bo jacht jest wynajęty na całe lato. „Lord Jim” należy do pewnego lekarza z Ostródy, a ja jestem tu jako kapitan, też wynajęty.

— A kto was wynajął?

Oderwał oczy od spławika i dopiero teraz raczył na mnie spojrzeć. Podejrzliwie zresztą. Ale zobaczywszy „Krasulę”, uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Pan jest tym wariatem, co kupił wrak starego „Szkwała” i dał go do remontu w Ostródzie? Widziałem tę łajbę, jak ją przywieźli do warsztatu. Kupa starego drzewa. Ale nieźle go panu odszykowali — stwierdził łaskawie.

Odwrócił się i znów wbił oczy w spławik.

— Słyszałem, że „Szkwał” był kiedyś łajbą szkoleniową, najpowolniejszą na całych Mazurach. Nie lepiej było kupić balie albo wannę w sklepie „1001 drobiazgów”? Szkoda, że nie mogę pana poholować, byłoby wiele śmiechu. Bo z pana to chyba jest niezły komik. „Krasula”! Śmiech to zdrowie, no nie?

— Tak — przyznałem. — Ale nie powiedział mi pan, kto wynajął ten jacht. Może mógłbym się z tym człowiekiem jakoś dogadać?

— To tajemnica, nie wolno mi udzielać żadnych informacji. A pan coś za dużo pyta — obudziła się w nim na nowo podejrzliwość, ale zaraz machnął ręką. — Nie, pan tu nie przyszedł na przespiegi. Takiego komika by nie wystali.

— Dziękuję za łaskawą ocenę — ukloniłem się grzecznie i odpłynąłem.

Postanowiłem, że jutro dotrę „Krasulą” do kanału, tam poczekam na jakąś motorówkę albo jacht motorowy i poproszę o hol.

Zacumowałem łajbę na drugiej przystani, nieco bliżej miasta. Zapowiadało się, że rejs będzie długi, należało więc zrobić większe zapasy żywności, przede wszystkim konserw.

Zakupy robiłem aż do późnego wieczora, potem wróciłem na jacht i położyłem się. Intrygowało mnie, kto jest zagadkowym armatorem „Lorda Jima”, wynajęcie takiego jachtu musiało kosztować mnóstwo pieniędzy. Ciekawe było także, dlaczego ów armator otaczał się aż taką tajemnicą. Ale rozwiązywanie tego typu zagadek nie należało do moich obowiązków, nie lubiłem też niepotrzebnie wtykać nosa w ludzkie sprawy. Moim zadaniem było jak najszybciej dostać się do Hławy i zaokrętować swoją załogę.

Gdy obudziłem się o świcie i zerknąłem w stronę pierwszej przystani, stwierdziłem, że „Lorda Jima” nie ma. Odpłynął chyba jeszcze nocą.

Zjadłem śniadanie i około ósmej rano podniosłem główny żagiel na „Krasuli”. Dzień był słoneczny, po niebie płynęły cumulusy i, gdy zakrywały słońce, wiatr wzrastał się chwilami do czterech stopni. Tym razem wiał od wschodu, więc fordewindem szybko przeszedłem pod mostem kolejowym i znalazłem się w drugiej części Jeziora Drwęckiego. I tu ujrzałem „Lorda Jima” — jego biała sylwetka pięknie rysowała się na tle północnego brzegu porośniętego drzewami. Płynął na pełnych żaglach, raz po raz robiono nim zwroty, jakby sternik czy kapitan po prostu bawił się, nie dążąc do jakiegoś określonego celu. „A może kogoś tam uczą żeglowania?” — pomyślałem i przyłożyłem do oczu lornetkę.

Na dziobie „Lorda Jima” stała — trzymając się top-sztagu — wysmukła dziewczyna w białej sukience, z rozpuszczonymi, jasnymi włosami, które rozwiewał silny wiatr. Przy sterze zobaczyłem nie znanego mi mężczyznę w białym żeglarskim stroju. Tarzan siedział w otwartych drzwiach kabiny i palił papierosa, spoglądając w kierunku południowego brzegu.

Raptem przywiał bardzo silny szkwał. Sternik na „Lordzie Jimie” chyba tego nie zauważył. Nagle główny żagiel wraz z ciężkim bomem przeleciał mu nad głową, jacht przechylił się gwałtownie na lewą burtę, ale ponieważ — jak wspo-

mniałem — był kilowo-mieczowy, zaraz wyprostował się niczym wańka-wstańka. Tarzan zerwał się, gwałtownie odsunął od steru żeglarza w białym stroju i skierował „Lorda Jima” ku południowemu brzegowi, po którym biegła linia kolejowa z Olsztyna do Iławy.

Jezioro Drwęckie jest w tym miejscu dość wąskie, „Lord Jim” bardzo szybko zbliżył się do lądu i nagle gwałtownie stanął, jakby coś zatrzymało go w miejscu. Domyśliłem się, że kil jachtu wpadł na płyciznę przybrzeżną. Trzymany od dołu, a pchany przez wiatr od góry — „Lord Jim” znów przechylił się na lewą burtę. Dziewczyna w białej sukience i mężczyzna w żeglarskim stroju wpadli do jeziora. Na szczęście w tym miejscu było już zupełnie płytko i obydwójce, ociekając wodą, wyszli zaraz na brzeg, a za nimi wyskoczył i Tarzan. „Lord Jim” pozostał na mieliznie.

Nic się złego nie stało, nikomu nie groziło żadne niebezpieczeństwo. „Będą mieli tylko kłopoty ze ściąganiem jachtu z mielizny” — pomyślałem, przepływając spokojnie obok. Z ciekawością przyglądałem się, co będą robić dalej, tym bardziej że z niewielkiej odległości, w jakiej się teraz od nich znajdowałem, zobaczyłem dokładniej dziewczynę w ociekającej wodą białej sukience. Była przeliczna i niezwykle zgrabna.

Wiatr przyniósł głosy z brzegu. Mężczyzna w stroju żeglarskim wymyślał po angielsku Tarzanowi, który bezradnie rozkładał ręce, jakby tłumacząc, że to nie z jego winy jacht wpadł na mieliznę.

Nagle zza krzaków porastających brzeg wyjechał wartburg. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni, podeszli do dziewczyny i chwilę z nią rozmawiali. Potem jeden z nich chwycił ją za rękę. Dziewczyna wyrwała mu dłoń i podbiegła do mężczyzny w białym stroju, jakby prosząc go o pomoc. Wtedy on jednym uderzeniem pięści rozciągnął Tarzana na brzegu i rzucił się na tych, którzy nagabywali dziewczynę.

— Help! Help! — usłyszałem jego wołanie o pomoc.

Zrobiłem błyskawicznie zwrot przez rufę i skierowałem „Krasulę” ku brzegowi. Potem zbiegłem do kabiny i podniosłem miecz, aby móc jak najbliżej podejść do lądu. Gdy wyskoczyłem z powrotem na pokład, mężczyzna w białym stroju walczył z dwoma osobnikami, a Tarzan oszołomiony uderzeniem podnosił się z ziemi.

Ale ów Anglik — bo był Anglikiem, skoro po angielsku wołał o pomoc — świetnie umiał walczyć. Co chwila to jeden, to drugi mężczyzna, a potem i Tarzan, który pospieszył na pomoc napastnikom, leżeli na ziemi, przewracani zręcznymi chwytami dżudo. Ale było ich trzech, a on — sam. Dziewczyna w przemoczonej sukience tylko piszcziała przeraźliwie.

Usłyszałem szmer piasku pod dnem „Krasuli”. Pozostawiłem żagle w łopocie, schowałem okulary do skrytki w kokpicie i z pokładu dziobowego skoczyłem na brzeg. Dopadłem kłębiących się teraz na ziemi mężczyzn, chwyciłem za kark Tarzana i odepchnąłem go. Potem zwałem się na tego, który przygniatał Anglika.

Zaskoczony atakiem z tyłu, puścił swoją ofiarę, a wtedy Anglik wysunął się spod niego i ciosem w szczękę odrzucił od siebie drugiego napastnika.

Tarzan zrezygnował z walki. Usiadł na ziemi, obmacując szczękę i obolały kark. A i tamci dwaj rzucili się do ucieczki. Szybko wskoczyli do samochodu i odjechali.

— Dziękuję panu — odezwał się Anglik i podszedł do mnie z wyciągniętą ręką. — Usiłowano porwać Dianę Denver. A on był z nimi w zмовie — wskazał pojękującego na trawie Tarzana.

Mężczyzna w stroju żeglarskim wydał mi się skądś dobrze znany.

— Chyba już gdzieś pana widziałem — odezwałem się po angielsku.

Uśmiechnął się. A potem mrugnawszy do mnie znacząco, zakreślił sobie nad głową niewielkie kółko.

— No, jasne! — zawołałem. — Święty. Simon Templar.

— Roger Moore we własnej osobie — jeszcze raz uściśnął mi prawicę. — A to jest moja partnerka w nowym filmie, Diana Denver.

Wyznaję, że nigdy w życiu nie widziałem tak pięknej dziewczyny. Miała chyba ze dwadzieścia dwa lata, białą cerę, cudowne, długie blond włosy. Małe usta, czarne brwi i długie rzęsy, które nakrywały co chwila, jak delikatną woalką, niebieskie ogromne oczy.

Podawała mi dłoń, którą ucałowałem z namaszczeniem. Dłoń ta pachniała jakimś wschodnimi mocnymi perfumami, od których aż zakręciło mi się w głowie.

— Dziękuję panu — rzekła miękkim aksamitnym głosem. — Nazywam się Diana Denver.

— A ja Tomasz NN. Nazywają mnie też: Pan Samochodzik — skłoniłem się. — Nie wiem, jak to przezwisko przetłumaczyć na angielski, ale we Francji mówiono o mnie: Monsieur la Bagnolette.

— Cudowne! Urocze! Zachwycające! — zawołała Diana Denver. — Monsieur la Bagnolette! Jest pan zapewne interesującym mężczyzną, skoro ma pan taki pseudonim.

Po tych słowach poczułem w sobie tyle zapału i energii, że gdyby teraz pojawiło się na brzegu choćby pięciu porywaczy, rozproszyłbym ich nawet bez pomocy Templera. Ale był tylko pojękujący na trawie Tarzan.

— No i co, drogi panie Tarzan. Nie udało się porwanko? — powiedziałem do niego.

Wybałuszył na mnie zdumione oczy.

— O czym pan mówi, panie komik? — wybąkał, nadal rozcierając sobie rozbitą szczękę. — Kto tu kogo usiłował porwać? Ten Templar to wariat, proszę pana. Nie umiem po angielsku i ciężko mi się z nim dogadać. Zaczęło się od tego, że o mało nie przewrócił jachtu. Potem dwóch facetów jechało brzegiem jeziora, zobaczyli, że ta piękna panna wpadła do wody, i zatrzymali się. Chcieli z nią

porozmawiać, jak to podrywacze, pan wie. Zaproponowali, że ją zabiorą do Ostródy, żeby mogła się przebrać w suchą kiecę. Ale oni też nie mówili po angielsku i ona nie zrozumiała, o co im chodzi. Myślała, że to porwanie, i podniosła wrzask. Wtedy Templer najpierw trzepnął mnie w szczękę, a potem rzucił się na nich. Wynikła bójka. Templer jest zwariowany, szanowny panie, bo ciągle gra w filmach, w których z każdym się bije.

Podrapałem się w głowę.

— A więc to nie było porwanie? — mruknąłem.

— Oni mają fiola na tym punkcie — wyjaśnił Tarzan. — Ktoś zagroził ich producentowi filmowemu, że porwie Dianę Denver, i zaraz w każdym widzą porywacza.

— Ale tych dwóch uciekło — stwierdziłem.

— A co? Może mieli czekać, aż dostaną takie bańki, jak i ja? — jęknął, znowu chwytając się za swoją brodę. — Producent filmowy musi mi dać odszkodowanie. Inaczej zrezygnuję z roboty w filmie.

— A gdzie on jest, ten producent? — zapytałem.

Wskazał rękę przeciwległy brzeg.

— Od rana robimy zdjęcia. Ekipa filmowa i kamera ukryte są w krzakach na drugim brzegu. Templer i Diana Denver mieli żeglować po jeziorze, a ja, ukryty w kabinie, ich asekurowałem. Ale on o mało nie wywrócił jachtu, musiałem interweniować.

— I skierował pan jacht na mieliznę — stwierdziłem.

— Tak jakoś wyszło. Bo „Lord Jim” ma duży kil. Byle płycizna i zaraz osiada — mruknął Tarzan.

Teraz zwróciłem się do Templera i Diany Denver. Przetłumaczyłem na angielski wyjaśnienia Tarzana. Templer sceptycznie pokręcił głową.

— Cała sytuacja wskazywała na to, że chciano porwać Dianę Denver. Ale może rzeczywiście on mówi prawdę. Przepraszam — podszedł do Tarzana i poklepał go po ramieniu. — Mam nadzieję, że nie nadwreżyłem za bardzo pańskiej szczęki.

Znowu zabawiłem się w tłumacza.

— Muszą mi zapłacić odszkodowanie — burczał gniewnie Tarzan.

Tymczasem od drugiego brzegu nadpłynęła łódź wiosłowa. Wskoczył z niej krągły, czerwony na twarzy i zupełnie łysy mężczyzna. Jak się okazało, był to producent filmowy, pan Angelo Domini. Templer opowiedział mu o wydarzeniu, podkreślił także mój udział w tej sprawie.

Domini podszedł do mnie, podał mi rękę i podziękował.

— Sądzę, że to nieporozumienie — powiedział. — Przecież nie dokonano by porwania tak bezczelnie, na naszych oczach. A to wszystko dlatego, że żyjemy w ciągłej atmosferze strachu. Trzeba bowiem panu wiedzieć, że kiedy kręciłem

we Francji mój poprzedni film, porywacze schwytali aktorkę, też partnerkę Templera, i musiałem im zapłacić ogromny okup. W przeciwnym razie poniósłbym ogromne straty na skutek przerwy w zdjęciach. To była bardzo znana i wielka gwiazda, dlatego do tego filmu zaangażowałem aktorkę początkującą, pannę Dianę Denver. Poza tym zdecydowałem się robić film w Polsce, gdzie, jak słyszałem, nie zdarzają się porwania. Prace przy naszym filmie otoczyliśmy od początku tajemnicą, aby nie zwabić tu żadnych gangsterów z zagranicy. Ale Templer od czasu tamtej historii jest trochę przewrażliwiony. . .

— Jego zachowanie było uzasadnione — powiedziałem. — Ci ludzie zachowywali się naprawdę podejrzanie. Ale mogę pana zapewnić, że w naszym kraju nie ma porywaczy. Pani Diana Denver może spać spokojnie.

— Tak, tak, oczywiście — zgodził się pan Domini.

Widać było, że stracił już zainteresowanie moją osobą. Chodził po brzegu, a właściwie biegał po nim, i martwił się, jak ściągnąć jacht z mielizny. Chuda panielka w okularach, która panu Domini służyła za tłumacza, obiecała Tarzanowi odszkodowanie, więc ten zaraz przestał jęczeć i poszedł brzegiem do Ostródy, aby tam wynająć motorówkę, która mogłaby ściągnąć „Lorda Jima” z mielizny.

Nie miałem tu już nic do roboty. Podszedłem do Templera i panny D. D., aby ich pożegnać.

— Dalszy ciąg zdjęć będziemy robić w pałacu w Karnitach — rzekł do mnie Święty. — Gdyby pan miał ochotę nas odwiedzić i przyjrzeć się naszej pracy, serdecznie zapraszani do Karnit.

— Ja również. . . — szepnęła Diana Denver, obdarowując mnie cudownym uśmiechem i wieloznacznym przymrużeniem długich rzęs. — Pan wygląda na stuprocentowego mężczyznę, mistrza boks i dżudo.

— Nie. Jestem tylko zwykłym muzealnikiem — wyjaśniłem.

— Ach, to cudowne! Urocze! Wspaniałe! I nawet romantyczne — zachwyciła się mną.

— W waszej ekipie pracuje, zdaje się, mój znajomy, Waldemar Batura — przypomniałem sobie.

— Ach, tak! — zachwyciła się Diana Denver, ale tym razem Waldemarem Baturą. — To uroczy, cudowny i bardzo przystojny mężczyzna. A do tego niezwykle inteligentny i zdolny scenograf. Na pewno będzie mile zdziwiony, gdy powiem mu, że i pana poznałam, Monsieur la Bagnolette.

Jeszcze raz ucałowałem pachnącą piękną dłoń panny Denver, potem ucisnąłem rękę Rogera Moore’a i odpłynąłem w stronę wejścia do Kanału Elbląskiego. W godzinę później spotkałem rybacką łódź motorową, której załoga za skromną opłatą zgodziła się wziąć mnie na hol i dociągnęła „Krasulę” aż na Jeziorak.

W tym miejscu winienem opisać podróż przez Kanał Elbląski, przejście przez śluzy, piękne krajobrazy. Ale niestety z owego dnia niewiele pozostało w mej

pamięci — oprócz widoku przymrużonych oczu Diany Denver i jej zgrabnej sylwetki.

O Dianie Denver myślałem też, gdy przybiłem do przystani w Hławie i gdy zjawiała się na pokładzie „Krasuli” Bajeczka. Pewnie właśnie dlatego, że moja wyobraźnia zaprzątnięta była Dianą, dałem się tak łatwo oszukać Bajeczce.

Ale mijały godziny, a nawet dni, zaokrętowałem załogę, rozpoczęliśmy poszukiwania autora „Złotej rękawicy”. Obraz Diany Denver powoli blakł w mej pamięci. O spotkaniu z nią nie powiedziałem nikomu, bałem się drwin pani Joanny. Byłem przecież tylko skromnym urzędnikiem zatrudnionym w charakterze detektywa chroniącego zabytki. A ona — panna D.D. — żyła w bajkowym świecie filmu, luksusu, bogactwa i sławy. Zapewne już zupełnie o mnie zapomniała — o zabawnym Monsieur la Bagnolette.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

BUNT NA POKŁADZIE • W OCZEKIWANIU NA MORDERCĘ
• PANI JAGODA WOŁA O POMOC • SPRAWA PORUCZNIKA
KOJAKA • NARZĘDZIE ZBRODNI I PLANY MORDERSTWA •
CHOROBA • PRZERWANY REJS • OPUSZCZONY PRZEZ ZA-
ŁOGĘ • MALEŃKIE OGNISKO • SUPERPODRYWACZ • BA-
JECZKA PO RAZ TRZECI • KTO ODGRYWA KOMEDIĘ • ZA-
PROSZENIE NA PRZYJĘCIE • CZY MEŹCZYŻNA POWINIEN
BYĆ DOMYŚLNY • JAK ZDOBYŁEM KUCHARKĘ

Między leśnictwem Rożek i Siemianami, nad niewielką zatoczką Jezioraka — rozciągało się pole namiotowe oraz kolonia domków kempingowych z białej cegły. Spomiędzy tych domków wystrzelały w górę dwie okazałe wille, jedna o dachu jednospadowym, a druga z płaskim dachem i dużym tarasem. Ta była zapewne własnością pana Lejwody. W pobliżu, przy niewielkim pomoście, cumowała jego łódka. Na tarasie, gdzie stał teraz tylko barwny leżak, rozegrać się miał tego wieczora straszliwy dramat, któremu postanowiła zapobiec moja załoga.

W miarę jak pracując ciężko wiosłami, zbliżaliśmy się w tym kierunku, zarówno willa z tarasem, kolorowy leżak, jak i cały brzeg coraz wyraźniej rysowały się w naszych oczach, choć dzień zmierzał powoli ku końcowi, nad lasem za wioską wisiała wielka kula czerwieniejącego słońca, wydłużały się cienie. W spokojnym, ciepłym powietrzu dochodził do nas gwar głosów ludzkich z pola namiotowego, zgiełk aparatów tranzystorowych, piski dzieciarni kąpiącej się przy piaszczystej plaży. Wzdłuż brzegu cumowały dziesiątki najróżniejszych jachtów i motorówek, po wodzie sunęły rowery wodne i kajaki.

Czuliśmy się zmęczeni — „Krasula” była ciężka i mimo naszych wysiłków sunęła bardzo wolno. Po twarzach spływały nam krople potu, mokre kosmyki włosów oblepiały czoła, na dłoniach porobiły się bąble. Z zazdrością obserwowaliśmy kajakowiczów i pływaków kąpiących się przy brzegu — wypoczętych, świeżych, wesołych. My przypominaliśmy raczej katorżników, których skazano na galery za jakieś ogromne przewinienia.

W pewnym momencie Psycholog zbuntował się.

— To nie ma sensu — stwierdził odkładając wiosło. — Ubzduraliśmy sobie historię z mordercami. A tymczasem to my sami się mordujemy.

Ale pani Joannie świadomość zbliżającego się wieczoru, widok wydłużających się cieni — jakby dodawały sił. Wyobraźnia raz po raz podsuwała jej zapewne jakieś przerażające obrazy, bo gdy spoglądała w stronę willi, tarasu i kolorowego leżaka, wyraz grozy pojawiał się w jej oczach.

— Przypomnij sobie, co ci ciągle powtarza Pan Samochodzik: „Trzeba być mężczyzną”. Słyszeliśmy na własne uszy, że ten Lejwoda planuje zbrodnię. Musimy temu zapobiec — powtarzała, z uporem i zaciętością, choć już bez początkowej energii, zanurzając wiosło w wodzie.

— Tak jest, pani ma rację. Musimy wyjaśnić tę sprawę — potakiwała Kika. — Trzeba być mężczyzną, jak mówi Pan Samochodzik.

Ale i we mnie narastał bunt. Tym większy, że nie wierzyłem, aby na trasie miała być dokonana prawdziwa zbrodnia. W tej sprawie wietrzyłem raczej jakiś podstęp.

— Proszę się nie powoływać na moje hasła — oświadczyłem. — „Bądź mężczyzną” powiedziałem Psychologowi, gdy rozszalała się burza i „Krasula” znalazła się w niebezpieczeństwie. A ty, Kika, raczej powtarzaj sobie: „Bądź kobietą”.

Do brzegu pozostało nam jeszcze około trzystu metrów. Stwierdziwszy objawy buntu, co wyraziło się zwolnieniem i tak wolnego tempa, w jakim płynęła „Krasula”, pani Joanna rzuciła na szalę ostatni argument.

— Jeśli przestaniecie wiosłować, panowie, od jutra zaczniecie sami robić obiady. Ja też mam bąble na dłoniach i nie skarzę się.

Psycholog postawił krótką diagnozę.

— Bo w mamie nastąpił przełom. Ze skromnej urzędniczki stała się mama we własnych oczach prawdziwą bohaterką, która nareszcie może przeżyć coś fascynującego i dramatycznego. Historię, którą zna się tylko z filmów. Mama chce schwytać mordercę.

— A ty nie? — zapytała pani Joanna.

Psycholog nie odpowiedział, albowiem — o ironio! — akurat pierwszy szkwalik wieczorny musnął jezioro, a po nim nadszedł drugi, nieco silniejszy, i wreszcie trzeci — zupełnie mocny. Jezioro rozfalowało się, od brzegu doszedł nas radosny wrzask żeglarzy, a wszędzie zakwitły białe i czerwone żagle, które wciągano na maszty. Kto tylko dysponował żaglówką, teraz chciał skorzystać z tej odrobiny wiatru i wypływał na jezioro. Minął nas „Notos”, który widocznie także gdzieś tutaj cumował. Państwo Dołęgowscy dostrzegli naszą łódź i wesoło nam pomachali. Odpowiedzieliśmy im tym samym, choć z trudem podnosiliśmy obolałe ręce. Kika z prawdziwą zazdrością obserwowała zgrabną sylwetkę pomalowanego na błękitny kolor „Notosa”, opalone, uśmiechnięte twarze matki i ojca, który w białej siatkowej koszulce siedział przy sterze i zgrabnie manewrował pod wiatr.

— Oni coś wiedzą o naszym poecie — powiedziała do mnie Kika. — Poznają to po wyrazie ich twarzy. Muszę się z nimi spotkać i pociągnąć ich za język.

Pomyślałem, że nie tyle zależy jej na tym „pociągnięciu”, ile po prostu zapragnęła spotkać się z rodzicami, obejrzeć dokładnie jacht. Nie chciała się do tego przyznać, więc szukała byle pretekstu. Wiedziałem, że powinienem jej w tym pomóc.

— Słusznie — przytaknąłem. — Należy zbadać sytuację. Ale przypominam, bez żadnego szpiegostwa, rozumiesz, Kika?

— Oczywiście, Panie Samochodzik — uradowała się.

Wiatr wiał w kierunku brzegu i, chociaż nawet nie podnieśliśmy żagli, popychał łajbę do pomostu pana Lejwody. Wkrótce mogłem zarzucić cumę na niewielki pachołek i wyskoczyłem na deski pomostu.

— Co dalej? — zapytałem panią Joannę.

— Jak to: co dalej? — zdziwiła się. — To pan powinien wiedzieć, co się teraz powinno robić. Pan jest detektywem, prawda?

— Myślałem, że zjemy kolację — bąknąłem nieśmiało.

— Nic z tego. Wieczór się zbliża — stwierdziła. — Musimy coś przedsięwziąć. Czy ma pan przy sobie broń?

Zdziwiłem się.

— Co pani ma na myśli?

— No, jakiś karabin, strzelbę, sztucer, rewolwer. Przecież jest pan detektywem.

— Ale pracuję w Ministerstwie Kultury i Sztuki — przypomniałem.

— To zapewne ma pan jakiś zabytkowy pistolet.

— Niestety — rozłożyłem ręce. — Owszem, posiadam służbowy pistolet P-64, kaliber 9 milimetrów, numer broni HK07267, ale noszę go tylko w bardzo rzadkich wypadkach. Obecnie leży on w kasie pancерnej w Centralnym Zarządzie Muzeów i Ochrony Zabytków.

— A przecież teraz mamy właśnie ten „rzadki wypadek” — stwierdziła.

— O ile mnie pamięć nie myli, mieliśmy szukać anonimowego autora wiersza pod tytułem „Złota rękawica”. Nie planowałem „rzadkich wypadków” — broniłem się.

— A jakiś nóż pan ma? To znaczy: sztylet — spytała.

— Nóż do otwierania konserw — westchnąłem — poza tym, o czym pani już wie, kilka noży kuchennych o zaokrąglonych czubkach.

— I do tego są tępe — powiedziała Kika. — Można nimi z największym trudem pokrajać chleb i zaostrzyć patyk.

Pani Joanna zmierzyła mnie pogardliwym spojrzeniem.

— Czy taką postawę przyjmują mężczyźni, którym kobiety pragną ufnie powierzyć swój los?

— Pani jest w niebezpieczeństwie? — zapytałem.

— Nie. Ale żona pana Lejwody. Weź, Kika, któryś z tych tępych noży. Pójdziemy do pobliskiego lasu. Zrobimy przynajmniej piki czy dzidy, nie wiem, jak to się nazywa. Przecież gołymi rękami nie schwytamy uzbrojonego mordercy.

— On będzie miał tylko łuk — zauważył Psycholog.

Pani Joanna machnęła na nas ręką, zabrała z sobą Kikę, dwa noże kuchenne i brzegiem jeziora, omijając pole namiotowe, pomaszerowała w kierunku pobliskiego lasu. Psycholog wygodnie wyciągnął się na koi w kabinie.

— Fatalnie się czuję — wyznał. — Ta kąpiel w lodowatej wodzie podczas burzy trochę mi zaszkodziła. Zdaje się, że mam temperaturę.

— Poszukam termometru — zafrasowałem się. — Pamiętam, że go zabrałem. Ale nie mam pojęcia, gdzie się teraz znajduje.

— Proszę nie szukać. Jeśli się okaże, że mam gorączkę, matka się zmartwi i to zepsuje jej całą zabawę w chwytanie mordercy na gorącym uczynku.

— To chociaż zrobię ci herbaty.

Ogromna czerwona kula słońca jeszcze bardziej zniżyła się nad wyznaczony przez lasy horyzont, a przy brzegu znowu zaczęły cumować jachty, gdy wreszcie pani Joanna i Kika powróciły na „Krasulę”.

— Mamy pełne rozeznanie terenu i jesteśmy uzbrojone — oświadczyła z dumą dziewczyna, potrząsając okorowanymi i zaostrzonymi kijami.

— Willa z tarasem należy rzeczywiście do pana Lejwody — dodała pani Joanna.

— To znaczy, że zaczaimy się na „mordercę” za żywopłotem, prawda, Kiko? — zapytałem.

Ale dziewczyna nie odpowiedziała. W zamyśleniu patrzyła na jezioro, po którym nadpłynął „Notos” z rozwiniętymi żaglami. Śledziła jacht, dopóki nie zacumował o trzysta metrów od nas.

Była ósma, gdy zeskoczyliśmy z jachtu. Wiatr uspokoił się, jezioro i brzegi powoli obejmował zmierzch i wieczorna cisza. Tu i ówdzie, w okienkach stojących na kotwicy jachtów, zapalały się światełka, na pobliskim polu namiotowym tryskały w górę iskry z płonącego ogniska i słychać było brzęk gitar.

Dość chyba zabawnie wyglądaliśmy: kobieta i dziewczyna uzbrojone w zaostrome kije, skradające się uliczką obok willi nad jeziorem, i postępujący za nimi ospale mężczyzna i chłopiec. Na szczęście nikt tą uliczką teraz nie przechodził, a wysoki i gęsty żywopłot z grabu zasłaniał nas przed mieszkańcami domu pana Lejwody.

W szczycie willi, na pierwszym piętrze, znajdował się mały balkonik, a cała przednia ściana parteru była oszklona i osłonięta dużą zasłoną. Poziomy dach podziemnego garażu stanowił taras, na który wychodziło się z drzwi w oszklonej ścianie, z tarasu, obrzeżonego balustradą, prowadziły schodki na dół, do ogródka. Całość otaczał niski płot z siatki.

Na tarasie nie było nikogo, stał tam tylko samotny, kolorowy leżak. Widzieliśmy go jak na dłoni, ukryci za żywopłotem, w odległości najwyżej dziesięciu metrów. Przez zasłony sączyło się nagle światło, a przez nieco uchylone drzwi dochodził nas głos spikera telewizyjnego. Kończył się właśnie „Wieczór z dziennikiem”.

— Zaraz po dzienniku — szepnęła pani Joanna — żona Lejwody wyjdzie na taras, aby rozkoszować się wieczornym powietrzem. I wtedy morderca przystąpi do wykonania swego zbrodniczego planu.

— Wątpię — odpowiedziałem także szeptem. — Dziś jest czwartek. Po dzienniku „Kojak”, a kto opuści spotkanie z Kojakiem?

— Niech pan nie gada głupstw — syknęła pani Joanna. — Ja nigdy nie oglądam żadnych „Kojaków”. Mam przecucie, że żona Lejwody jest do mnie podobna.

Z napięciem oczekiwaliśmy chwili, gdy drzwi uchylą się i na tarasie pojawi się kobieta. Nieświadoma niebezpieczeństwa zasiądzie na leżaku i spoglądać będzie na jezioro, okrywane nocną ciemnością.

Głos spikera umilkł, usłyszeliśmy sygnał kończący „Wieczór z dziennikiem”. I wtedy zabrzmiał piskliwy, ale donośny i błagalny głos pani Jagody:

— Niech mi pan daruje, panie Lejwoda. Nie zaprotekowałam, gdy mnie pan przywiązał do fotela, ale, na litość Boską, proszę nie kneblować mi ust. Przecież ja się uduszę.

Lejwoda zgromił ją bezlitośnie.

— Niestety, pani Jagodo, muszę być twardy. Pani ma zbyt słabe nerwy. . .

— Błagam. . . Panie Lejwoda! . . . — wrzasnęła starsza pani, a potem coś za-
bełkotała i umilkła. Zapewne miała już knebel w ustach.

Pani Joanna chwyciła mnie kurczowo za ramię.

— Jezus, Maria! — jęknęła. — Co się tam dzieje?

Wyznaję, że i we mnie serce zamarło, jak się to zwykle pisać w powieściach. Nie zważając na ostre gałązki szarpiące mój moherowy sweter, przedarłem się przez żywopłot i potężnym susem przesadziłem ogrodzenie z siatki. Następny skok zaniósł mnie na taras. Jak bomba wpadłem do pokoju, skąd jeszcze przed chwilą rozlegały się błagania i wraski pani Jagody. Za swoimi plecami słyszałem szelest gałęzi i tupot kroków. Z pomocą pędziła moja załoga, z panią Joanną na czele.

Znalazłem się w elegancko urządzonym salonie. Pod jedną ścianą stał kolorowy japoński telewizor, a naprzeciw niego, w dwóch fotelach, zajmowali miejsca — właściciel willi i pani Jagoda. Ta ostatnia była spętana sznurem od bielizny, a na ustach miała związaną jedwabną chustkę.

— Proszę się nie ruszać! Jest pan aresztowany! — krzyknąłem. I wyciągnąwszy zza pasa tępy kuchenny nóż zacząłem przecinać więzy na rękach starszej pani. Zerwałem też chustkę z jej ust.

Lejwoda był zaskoczony tak bardzo, że tkwił w fotelu jak sparaliżowany i tylko wybałuszał na mnie zdumione oczy. A pani Jagoda, zaczerpnąwszy w płuca potężny haust powietrza, wyszeptwała:

— Byłabym się udusiła. Serdecznie panu dziękuję. . .

W tym momencie Lejwoda ochłonął ze zdumienia. Zerwał się z fotela i ryknął na mnie straszonym głosem:

— Jakim prawem wtargnął pan do mego domu? Precz! Precz natychmiast, bo chwycę za broń. . .

To mówiąc wskazał rozwieszony na ścianie salonu zabytkowe szable.

— Wynoście się wszyscy. Wszyscy! — dodał jeszcze donośniej, bo właśnie przy drzwiach salonu skłębiła się uzbrojona w zaostrzone dzidy moja trzyosobowa załoga.

Nagle zamilkł. Rzucił okiem na telewizor i z powrotem usiadł w fotelu. Na ekranie pojawiła się spikerka i zapowiedziała „Kojaka”.

— Zresztą zostańcie — ściszym głosem rzekł Lejwoda. — Możecie siąść na dywanie albo na ławie pod ścianą. A jeśli ktoś z was się odezwie, zabiję. Zabiję! — powtórzył.

— Tak jest — przytaknęła pani Jagoda. — Jeśli się odezwiecie, on was zwiąże, tak jak mnie, i zaknebluje. Podczas „Kojaka” zawsze wymachuję rękami i krzyczę od czasu do czasu. Pewnego razu naprawdę mnie o mało nie zabił.

— Cisz! — ryknął pan Lejwoda, albowiem pokazały się już napisy filmu o poruczniku Kojaku.

W milczeniu, niemal na palcach, rozeszliśmy się po salonie, wyszukując dla siebie dogodnie miejsca do oglądania „Kojaka”.

Zgodnie z moim przecuciem — wpakowaliśmy się w głupią historię, ale nie była to odpowiednia pora na wyjaśnienia.

Rozpoczęła się dramatyczna akcja. Kojak jechał samochodem przez ulice Nowego Jorku na spotkanie z kidnaporem, wszedł do pustego domu, za jego plecami pojawił się straszliwy zbój. . .

— Boże drogi! — krzyknęła pani Jagoda i zerwała się z fotela.

— Zaraz panią zwiążę i zaknebluję — syknął Lejwoda.

Przerażona tą groźbą pani Jagoda grzecznie usiadła z powrotem.

Na krótko jednak. Po chwili znowu się zerwała i krzyknęła na cały salon, przejęta akcją toczącą się na małym ekranie.

Lejwoda aż posiniał ze złości i zwrócił się do mnie:

— Niech pan przygotuje sznury i odszuka chustkę. Jeśli nie zakneblujemy jej ust, nie będziemy mogli spokojnie oglądać „Kojaka”. Ona zawsze się tak zachowuje.

To była, niestety, prawda. Pani Jagoda co chwila zrywała się z fotela, wymachiwała rękami, tupiała nogami, pojękiwała, wykrzykiwała. Poirytowany jej zachowaniem — sięgnąłem po leżące na dywanie przecięte sznury i zacząłem je

wiązać. Czyniłem to tak wymownie, że na jakiś czas pani Jagoda przestała pokrzykiwać i w umiarkowanym spokoju dotrwaliśmy jakoś do końca filmu.

Pan Lejwoda wyłączył telewizor.

— Teraz słucham, o co chodzi? — zapytał uprzejmie. Postanowiłem umyć ręce od historii z morderstwem i wyjaśniłem kłamliwie:

— Co do mnie, to chciałem jedynie obejrzeć „Kojaka”. Na moim jachcie, niestety, nie ma telewizora.

— Rozumiem pana. I wybaczam wtargnięcie do mego domu — skłonił się Lejwoda.

Był chyba dziwakiem i nie zdumiewały go dziwactwa innych. Chociażby to, że ktoś mógł do niego wtargnąć jak bandyta, tylko w tym celu, aby obejrzeć film kryminalny.

Pani Joanna tłumaczyła się niezbyt zręcznie.

— Słyszeliśmy na jeziorze, jak pan omawiał plan dokonania zbrodni. Postanowiliśmy interweniować. . .

— Planowałem zbrodnię? — wzruszył ramionami Lejwoda. — Często to robię, ponieważ piszę powieści kryminalne oraz scenariusze filmowe i telewizyjne. Używam pseudonimu: Bill Arizona.

A więc to był ów słynny autor powieści kryminalnych ukrywający się pod zagranicznym pseudonimem. Większość bowiem akcji jego powieści działa się w krajach anglosaskich.

— Zaistniało wielkie nieporozumienie — pani Joanna zarumieniła się jak panielka, która za dużo zjadła słodczy.

Jej opalona cera miała teraz ładny brzoskwiniowy odcień, przyjemnie harmonizujący z ciemnymi włosami i czarnymi, wąskimi brwiami. Wyglądała prześlicznie i pan Lejwoda przyglądał się jej z ogromną przyjemnością.

— To pan jest słynnym Billem Arizoną, którego książki czytam z taką rozkoszą — kłamała, ale usprawiedliwiłem ją, bo przecież ja także wykręciłem się sianem. Zresztą trzeba było temu człowiekowi jakoś wynagrodzić niemal bandycki napad na dom.

— Naprawdę czyta pani kryminały? — ucieszył się Lejwoda. — Nigdy bym nie przypuszczał, że taka piękna kobieta, zapewne małżonka pana — ukłonił mi się — interesuje się kryminalistyką.

— Jestem rozwódką — rzekła pani Joanna i znowu jak gdyby lekko się zarumieniła. — Pan Tomasz jest po prostu kapitanem jachtu, którym wraz z synem odbywamy rejs po Jezioraku. A to córka moich znajomych — przedstawiła Kikę.

Dziewczyna dygnęła wdzięcznie.

— Ja także czytałam wszystkie pana kryminały. Są wspaniałe — oświadczyła. Wyraz ogromnego zadowolenia zadomowił się na twarzy pana Lejwody.

— Miło mi gościć u siebie moich czytelników — powiedział. — Pani Jagodo, czy może nam pani podać herbatę? A może zjemy wspólnie kolację? — zaproponował.

Rozpoczęła się zwykła w takich razach wymiana uprzejmości, zaproszeń, zaprzeczeń, ale wszystkim nam burczało w brzuchu i radzi byliśmy zasiąść przy stole.

— Z takim głębokim przekonaniem mówił pan o zabiciu swej żony — podczas kolacji wróciła do tematu pani Joanna — że daliśmy się zwieść pozorom.

— Nie mam żony — odrzekł pan Lejwoda. — Ale cieszę się, że plan mej zbrodni zrobił na was wrażenie. To dobry znak. Być może z równym przekonaniem odniosą się do niego i czytelnicy.

Pani Joanna spojrzała na Lejwodę z nowym, ogromnym zainteresowaniem.

— Nie ma pan żony? Dlaczego? Czyżby, podobnie jak pan Tomasz, był pan wrogiem rodziny?

— Nie jestem wrogiem rodziny — burknąłem, o mało nie udławiwszy się ością, bo na kolację podano smażoną rybę. — Po prostu nigdy nie miałem czasu się ożenić. Mówiłem o tym wielokrotnie. . .

Pan Lejwoda odłożył widelec, jakby obawiając się, że i on może trafić na ość rybą, której nie zauważy, gdy pochłonie go temat rozmowy.

— Małżeństwo, wyobrażam sobie, to cudowna sprawa oświadczył. — Niestety, nigdy nie miałem szczęścia do kobiet.

— To nieprawdopodobne — rzekła pani Joanna — jest pan przecież bardzo przystojnym i inteligentnym mężczyzną.

— Tak, pani — ze smutkiem skinął głową Lejwoda. — Ale moje zainteresowania kryminalne, a przede wszystkim moja wyobraźnia odstraszały ode mnie kobiety. Pamiętam z młodości pewną uroczą dziewczynę. Gdy spacerowałem z nią po parku w noc księżycową, opowiadałem jej o wampirach grasujących po lasach i parkach, planowałem wspaniałą zbrodnię. Wyszła za mąż za pewnego urzędnika z Polmozbytu, a ja debiutowałem książką o wampirze. Potem były inne znajomości i nowe plany niezwykle wyszukanych zbrodni. Zawsze uważałem, że mężczyzna powinien dzielić się z wybranką serca swoimi myślami i uczuciami. Ale one odchodziły, przerażone tym, co dzieje się w mej duszy. Jakaż kobieta zgodzi się połączyć swój los z mężczyzną, którego myśli pochłonięte są zbrodniczymi planami? Wreszcie, zrezygnowany, osiadłem tu, na wsi, w towarzystwie gospodyni, pani Jagody, która dość cierpliwie przedyskutowuje ze mną rozmaite aspekty zagadnień kryminalnych. Czy wyszłaby pani za mąż za człowieka, który, tak jak ja obecnie, rozmyśla, w jaki sposób zabić żonę?

— Ach, panie Lejwoda — znowu lekko zarumieniła się pani Joanna — być może wybranek swego serca szukał pan wśród osób zbyt młodych. Kobieta dojrzała, która borykała się z życiem w samotności, potrafi oddzielić pracę zawodową męża od jego osobistego życia. Niektóre kobiety umieją dostosować się do każdej

sytuacji. Przecież nie zawsze zastanawia się pan, jak zabić żonę. Przyjdzie chwila, gdy weźmie pan na warsztat odmienny temat. Na przykład, jak zabić męża.

— Słusznie! — zawołał pan Lejwoda. — Czy ma pani już jakiś plan zbrodni?

— Oczywiście — roześmiała się pani Joanna. — Opracowałam go z najdrobniejszymi szczegółami przed dziesięcioma laty, gdy toczyła się moja sprawa rozwodowa. Naturalnie nie mam zbrodniczych skłonności, była to tylko czysta gra wyobraźni.

— Rozumiem. Najdoskonalej to rozumiem. Sam jestem człowiekiem gołębiego serca — uśmiechnął się pan Lejwoda. — Chętnie wysłucham pani planu. Przedyskutujemy go wspólnie, zrobimy korekty i uzupełnienia. O ile wiem, kobiety wolą używać trucizny. Czy to właśnie truciznę brała pani pod uwagę?

— Niezupełnie. Bo to od razu skierowałyby na mnie podejrzenia jako na kobietę — powiedziała pani Joanna. — Wymyśliłam coś doskonalszego.

— Cudownie! — zachwycił się pan Lejwoda. — Płonę ciekawością. Jakież to narzędzie zbrodni pani wybrała?

— Teraz są w modzie ości rybie — mruknąłem, bo znowu o mało się nie udławiłem.

— Wybrałam muchomora sromotnikowego — obwieściła z dumą pani Joanna.

— Wspaniale! — piał radośnie pan Lejwoda. — Zbrodnia niemal doskonała. Natychmiast wziąłbym tę sprawę na warsztat, ale ostatnio pisałem scenariusz, do kilku odcinków serialu telewizyjnego z cyklu „Święty”. Producent tego filmu przyjechał do Polski, aby tu kręcić film. Aktorka uparła się, żeby przerobić jeden z odcinków i to zajmie mi trochę czasu...

— Templer. Simon Templer jest w Polsce? — pisnęła Kika.

— A tak. I to niedaleko stąd. I nawet, być może jutro, przyjedzie do mnie wraz z producentem filmowym oraz Dianą Denver, aktorką, która żąda zmian w scenariuszu.

— Boże drogi, Simon Templer będzie u pana — powtarzała Kika i aż dostała wypieków na myśl, że mogłaby zobaczyć żywego Templera, otrzymać od niego autograf.

Pani Joanna tak była zajęta rozmową z Lejwoda, że nawet nie zwracała uwagi na swojego syna. Dopiero ja spostrzegłem, że chłopiec nic nie je i siedzi z przymkniętymi oczami. Przez cały czas nie odezwał się ani słowem, a przecież to on — wierny czytelnik książek Billa Arizony — powinien był zasypać go setką pytań.

— Psycholog jest chory — stwierdziłem nagle. — Wydaje mi się, że ma gorączkę.

Przerwaliśmy kolację. Pani Jagoda przyniosła termometr. Okazało się, że Piotruś ma trzydzieści osiem i siedem.

— Lekarza! — zarządził Lejwoda. — W sąsiedztwie jest na wczasach znakomity lekarz. Zaraz go tu sprowadzę, a tymczasem, pani Jagodo, proszę przygoto-

wać łóżko w pokoju gościnnym. Z taką temperaturą chłopiec nie może wracać na jacht.

— Boże drogi, sprawiamy panu kłopot — pani Joanna usiłowała położyć tamę gościnności pana Lejwody, ale nie robiła tego z przekonaniem. Chłopiec rzeczywiście powinien znaleźć się w łóżku, a nie na koi, w jachcie cumującym na wodzie.

— Dla pani przygotujemy drugi pokój gościnny, aby mogła się pani opiekować synem — oświadczył pan Lejwoda.

Pani Joanna chciała zaprotestować, bąknęła, że mieszkając na jachcie, także może doglądać syna, ale było dla nas wszystkich oczywiste, że w tej sytuacji raczej przyjmie zaproszenie pana Lejwody. Jakaż matka postąpiłaby inaczej?

Wkrótce przyszedł lekarz i, stwierdziwszy u Piotrusia bardzo silne przeziębienie, dał mu „biseptol”, który przyniósł ze sobą. Nakazał chłopcu leżeć w łóżku przynajmniej kilka dni.

Przyjąłem do wiadomości, że na jakiś czas musimy przerwać rejs i poszukiwania poety. Wspólnie z Kiką przeniosłem rzeczy pani Joanny i Piotrusia do domu autora powieści kryminalnych.

— A ty, Kika — powiedziałem — mimo późnej pory może jednak odwiedzisz rodziców?

— Sądzi pan, że powinnam to zrobić? — ucieszyła się dziewczynka.

— Tak — skinąłem głową. — I ja pójdę do nich z tobą.

Czy muszę opisywać radość państwa Dołęgowskich, gdy weszliśmy z Kiką na zakotwiczony w pobliżu ich jacht?

Opowiedziałem o chorobie Piotrusia i o konieczności przerwania naszych poszukiwań autora „Złotej rękawicy”.

— Lusi, kochanie, może na ten czas pozostaniesz z nami? — zaproponowała od razu pani Dołęgowska.

— I spróbujesz, jak się pływa na „Notosie”... — wabił ją ojciec.

Dziewczyna zerknęła na mnie, a ja uśmiechnąłem się ze zrozumieniem.

— To bardzo dobry pomysł. I w niczym nie zmienia naszych planów. Bo przecież ja będę musiał tu pozostać, aby ewentualnie pomóc pani Joannie w jej kłopotach. Nie widzę powodu, żebyś i ty zajmowała się tą sprawą. Zapowiadają wspaniałą pogodę. Popływasz z rodzicami na „Notosie”, a gdy podejmiemy nasze poszukiwania, jak zechcesz, wrócisz na „Krasulę”.

— A Templer? — martwiła się Kika. — Do pana Lejwody ma przyjechać Święty. Tak bardzo chciałabym go zobaczyć, porozmawiać z nim. Dziewczyny w naszej klasie poszaleją z zazdrości, gdy im pokażę jego autograf. Może da mi swoje zdjęcie?

Musiałem wyjaśnić państwu Dołęgowskim, że pan Lejwoda to Bill Arizona, który napisał scenariusz do kilku nowych odcinków „Świętego”. I że te odcinki kręca zagraniczni filmowcy niedaleko stąd.

— Lusu — powiedział pan Dołęgowski — zdecydowałem, że nadal będziemy mieć bazę w Siemianach. Nic nie stoi na przeszkodzie, abyś, mieszkając na „Notosie”, odwiedzała Piotrusia. A u pana Lejwody spotkasz Templera. Zresztą i ja także się tam wybiorę. Myślę, że pan Lejwoda nas nie wyrzuci.

Ten pomysł bardzo przypadł Kice do gustu. Znowu więc wróciliśmy na „Krasulę” i przenieśliśmy jej rzeczy na „Notosa”. Państwo Dołęgowscy chcieli mnie zatrzymać na herbatę, ale zbliżała się już północ, powietrze było parne i należało spodziewać się burzy. W takich razach najlepiej jest znaleźć się na swojej łajbie.

Odczuwałem też przykro fakt, że Kika ogląda z wielkim zachwytem każdy szczegół na „Notosie”, zapominając o „Krasuli”. Ale też „Notos” był wspaniałym, świetnie wyposażonym jachtem, pan Dołęgowski wykazał duże znanstwo wodnej turystyki. A poza tym... miał po prostu więcej pieniędzy ode mnie. Na „Notosie” były cztery bardzo wygodne koje z miękkimi materacami, kuchnia gazowa, elektryczne oświetlenie z akumulatora, mnóstwo szafeczek i szafek pełnych najróżniejszych frykasów. Pani Dołęgowska przygotowała się do tej wyprawy jak doświadczona gospodyni. Na „Krasuli” posiadaliśmy tylko wołowinę w sosie własnym, woreczek gnijących ziemniaków, dwie paczki makaronu, kilkanaście puszek śledzia w sosie gdańskim oraz stary smalec i dżem jabłkowo-truskawkowy. Muszę przyznać, że nie obce mi było uczucie zazdrości, kiedy pożegnawszy państwa Dołęgowskich, maszerowałem na „Krasulę”. Ponieważ „Notos” cumował po drugiej stronie zatoczki — skracając sobie drogę, szedłem przez pole namiotowe.

Mimo późnej pory nie było tu jeszcze spokoju. Tylko w centrum, tam gdzie zamieszkali turyści zmotoryzowani, przeważnie rodziny z dziećmi, trwała cisza. Ale na obrzeżach zasiedlonych przez młodzież — jeszcze płonęły ogniska, rozlegały się chóralne śpiewy, grano na gitarach, tańczono przy bateryjnych magnetofonach. Znałem dobrze ten typ turystyki uprawianej przeważnie przez młodych ludzi. Do drugiej lub trzeciej w nocy potrafili hałasować, a potem w swych namiotach spali do południa. Wracali z wakacji niedospani, zmęczeni, nie znający nawet cudownych świtów nad wodą.

Ominąłem już kilka ognisk, przy których kręciły się gromadki chłopaków i dziewcząt, gdy w pewnej chwili uwagę moją zwróciło malutkie ognisko, palące się wątlym płomieniem na uboczu pola. Przykucnęła przy nim tylko jedna osoba — dziewczyna w dżinsach i szarej kurteczce. Nie było obok żadnego namiotu, jej rzeczy znajdowały się w worku podróżnym, na którym siedziała, piekąc przy ogniu kawałek kiełbasy.

Sylwetka dziewczyny wydała mi się znajoma. Zatrzymałem się więc i, kryjąc w mroku nocnym, podszedłem nieco bliżej.

Była to Bajeczka. Tak, z całą pewnością ona...

O mało nie przewróciłem się o trzech chłopaków, którzy leżeli w trawie i z pewnej odległości obserwowali samotną dziewczynę.

— Chce się pan zaopiekować panienką? — zakpił jeden z nich. — My już próbowaliśmy, ale nic z tego nie wyszło.

— Ona nie chce żadnego towarzystwa — dodał drugi.

— Dała nam taką odprawę, że nam w pięty poszło. Jakaś wariatka, proszę pana — stwierdził trzeci.

Wzruszyłem ramionami.

— To czemu tutaj jeszcze siedzicie?

Roześmieli się.

— Zaraz będzie burza. My mamy namiociki, a ona nie. Jak lunie deszcz, to przestanie być taka ważna i przyjmie zaproszenie od dżentelmenów. Ostatecznie możemy dla niej wykombinować nawet wolny namiot.

Powiedziałem:

— Nie umiecie chyba gadać z dziewczynami. . .

Oświetlili mnie elektryczną latarką.

— A pan co za jeden? Superpodrywacz się znalazł. W pańskim wieku to już raczej należy korzystać ze ścieżek zdrowia, a nie podrywać dziewczyny. No, proszę, niech pan spróbuje z nią pogadać. Będziemy mieli dobrą zabawę, gdy pana odstawi.

— Cóż, przekonamy się — odrzekłem i, wyminąwszy siedzących na trawie młodzieńców, zbliżyłem się do małego ogniska.

Przykucnąłem naprzeciw Bajeczki oddzielony od niej wątłym płomieniem. Nawet na mnie nie spojrzała, zapewne sądząc, że to znowu któryś z natrętnych młodzieńców.

— Dobry wieczór — odezwałem się.

Podniosła na mnie wzrok i aż drgnęła, tak ją zaskoczyła moja obecność. Wskazałem dłonią niebo.

— Zaraz lunie. Szkoda, żeby pani zmokła. Przy brzegu cumuje „Krasula”.

Po twarzy dziewczyny przemknął wyraz wahania. Zapewne miała już dosyć siedzenia przy ognisku i oganiania się od „opiekunów”. „Krasula” zapewniała dobre schronienie przed deszczem, dziewczyna mogła spodziewać się tam szklanki gorącej herbaty, a może nawet kolacji. Ale czuła się winna wobec mnie. Było jasne, że zażądam wyjaśnień i będzie musiała się tłumaczyć.

Nagle wstała i podniosła z ziemi podróżny worek z rzeczami.

— Chodźmy — powiedziała zdecydowanie.

Wziąłem od niej worek i zarzuciłem go sobie na plecy. W milczeniu przeszliśmy obok siedzących w ciemnościach trzech chłopaków.

— Fiuuuuu! — gwizdnął głośno któryś z nich. — Widzieliście coś podobnego? Ten facet naprawdę umie rozmawiać z dziewczynami.

— Przecież on w ogóle z nią nie rozmawiał — przerwał mu drugi.

Trzeci aż jęknął ze zdumienia.

— Jezus Maria, nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem. On ma w sobie jakiś magnes.

Byliśmy już od nich o kilkanaście kroków, ale wciąż słyszeliśmy ich pełne zdumienia głośnie uwagi.

— To jednak jakiś superpodrywacz...

— A taki niepozorny...

— Trzeba się nauczyć tego gestu. Jak on to zrobił, pamiętacie? Podniósł rękę do nieba i ona zaraz wstała i chwyciła swój worek...

Na trawę spadły pierwsze krople deszczu.

— Prędeż, bo zmokniemy. Biegnijmy! — zaproponowałem Bajeczce.

Ile sił w nogach, sieczeni coraz większym deszczem, pobiegliśmy na brzeg jeziora. Chlapiąc głośno na płyciźnie, przedostaliśmy się na jacht i wpadliśmy do kabiny „Krasuli”.

Natychmiast zapaliłem zawieszoną u sufitu bateryjną latarkę. Po dachu kabiny głośno bębnił deszcz.

— Jak tu przytulnie — szepnęła Bajeczka, sadowiąc się na koi.

Twarz i włosy miała mokre. Mnie także woda skapywała z włosów na nos, a z nosa na skrzynkę mieczową jachtu.

— Czy zrobić dla pani kolację? — zapytałem.

— Nie jestem głodna. Chce mi się tylko spać.

— A jutro znowu wymknie się pani bez pożegnania — zakpiłem.

Sięgnęła do swego worka, wyjęła z niego ręcznik, zaczęła się wycierać. Długo nie otrzymywałem od niej odpowiedzi. Jakby namyślała się nad każdym słowem, które ma wypowiedzieć.

— Powiem krótko — odezwała się wreszcie — nie chciałabym pana okłamywać, a prawdy powiedzieć nie mogę. Czy wystarczy panu, jeśli stwierdzę, że potem bardzo żałowałam swego zachowania? Czy uwierzy mi pan, jeśli dodam, że teraz jestem zupełnie inna i że nie mam nic wspólnego z tą dziewczyną, która weszła w Hawie na pokład pańskiego jachtu? Tym razem nie odejdę bez pożegnania.

I podała mi rękę.

— Bajeczka, to ładnie brzmi — stwierdziłem, uściskawszy jej dłoń. — Na jednym z jachtów był piesek, który tak się nazywał. Czy to od niego przejęła pani swoje imię?

— Zgadł pan. Idąc ulicą w Hawie, zobaczyłam kobietę, która prowadziła na smyczy pudła, Bajczkę. Gdy mnie pan zapytał o imię, od razu przypomniałam to sobie i postanowiłam się nim posłużyć.

— W jakim celu?

Milczała.

— Dostałem od pani złotą rękawicę — powiedziałem, wyjmując z szafki nad koją pomalowaną na złoty kolor skórzaną rękawiczkę. — Czy to było wyzwanie? Zaproszenie do walki?

— Nie wiem — wzruszyła ramionami. — Poproszono mnie, abym ją panu podrzuciła, i zrobiłam to. Ten ktoś powiedział, że pan domyśli się, o co chodzi.

— Niestety, nie mam pojęcia. Już wtedy, podczas naszego pierwszego spotkania, mówiłem pani, że szukam wraz z przyjaciółmi autora wiersza, który nazwaliśmy „Złota rękawica”. Czy ten ktoś także zamierza odnaleźć tego człowieka? A może chciał mnie ostrzec, powstrzymać od szukania?

— Skąd mogę wiedzieć? — uśmiechnęła się. — A zresztą pan nie mówi mi całej prawdy, czuję to, dlatego więc wymaga pan ode mnie, abym to zrobiła?

Teraz ja umilkłem. A ona, rozglądając się po kabinie, zapytała:

— Czekał pan wtedy na swoją załogę. Ale znowu jest pan sam. Co się stało?

Opowiedziałem o chorobie Piotrusia, która w willi pana Lejwody zatrzymała i jego, i panią Joannę. A także o piętnastoletniej dziewczynce, której wydawało się, że jej rodzice są nudni, i dlatego uciekała z domu; raptem zobaczyła ich odmienionych i zapragnęła do nich powrócić.

Deszcz bębnił głośno po dachu kabiny, chwilami zagłuszając nasze słowa.

— Pozostał pan sam — stwierdziła Bajeczka.

— Niezupełnie — mruknąłem. — Przecież jestem z panią. . .

Zbliżała się pierwsza w nocy. Zgasilem latarkę u sufitu, rozesałem swój śpiwór na koi i wsunąłem się w niego. Nie zamierzałem spać w zalewanym przez strugi deszczu kokpicie. Dla Bajeczki pozostała druga koja, oddzielona od mojej skrzynią mieczową.

Głośno pluskała woda wokół jachtu. W taką noc cudownie śpi się w zacisznej kabinie, przy szmerze kropel deszczu.

— Dobranoc panu — usłyszałem głos Bajeczki.

— Przyjemnych snów — odpowiedziałem.

I natychmiast zasnąłem. Było mi obojętne, czy — obudziwszy się rano — zastanę tę dziewczynę w kabinie „Krasuli”. Może byłoby nawet lepiej, aby ulotniła się, jak wówczas w Iławie, skoro nie chciała mi wyznać prawdy o sobie i złotej rękawicy.

Ale nie odeszła. Obudził mnie przyjemny zapach kawy, który rozchodził się po całym jachcie. Bajeczka krzątała się przy kuchence gazowej w kokpicie. Była dziewiąta rano, deszcz przestał padać, ale niebo pokrywały czarne chmury.

— Czy chce pan na śniadanie jajecnicę? — zapytała mnie. — Byłam już we wsi i udało mi się kupić dziesięć jajek.

— Wspaniale. Dawno nie jadłem jajecnicy — odrzekłem szczęśliwy, że nie czeka mnie kolejna dyskusja na temat partnerstwa i tego, kto ma przygotować śniadanie.

Tego ranka niewiele rozmawiałem z Bajeczką. Pośpiesznie zjadłem smaczną jajecznicę, ogoliłem się starannie, popływałem chwilę w jeziorze, a potem przywdziałem swoją odświętną bluzę z żaglowego płótna.

— Pójdę dowiedzieć się o zdrowie Piotrusia — oświadczyłem Bajeczce, zeskakując z jachtu na płyciznę.

— A ja sprzątnę i wybiorę wodę z kokpitu — obiecała.

Pomyślałem, że taka dziewczyna to coś cudownego. Szczególnie w czasie rejsu. Pogwizdując wesoło, zadzwoniłem do willi pana Lejwody. Drzwi otworzyła pani Jagoda i zaprowadziła mnie do chłopca.

Piotruś leżał na pierwszym piętrze, w małym pokoiku z prostymi ludowymi meblami. Czytał maszynopis nowej powieści Billa Arizony.

— Mam jeszcze temperaturę — poinformował mnie — ale lekarz, który tu wpadł wczesnym rankiem, powiedział, że tak będzie jeszcze przez dwa dni. Potem temperatura spadnie, lecz muszę leżeć. Postaram się to robić jak najdłużej.

— Dlaczego? Lubisz się wylegiwać w łóżku?

— Nienawidzę. Ale pan Lejwoda ma ogromną bibliotekę pełną świetnych kryminałów. Poza tym — mrugnął do mnie — moja mama bardzo mu się podoba. A ona dziś rano zwierzyła mi się, że pan Lejwoda wydaje jej się bardzo poważnym, solidnym człowiekiem, o niezwykle ciekawej wyobraźni. Ciągłe mu mówi, że sprawiamy mu niezwykle kłopot, a on ciągle obcałowuje ją po rękach i twierdzi, że to dla niego prawdziwa radość gościć nas u siebie w domu. Więc postanowiłem chorować jak najdłużej.

— Znowu bawisz się w swata — stwierdziłem.

— A nie powinienem? — odpowiedział pytaniem.

— O „Złotej rękawicy”, zdaje się, zapomniałeś. . .

— O nie! — oburzył się chłopiec. — Pokazałem wiersz panu Lejwodzie. Był zachwycony. Okazuje się, że on — poza kryminałami — interesuje się bardzo przeszłością tej ziemi, opracowuje książkę dotyczącą przejawów walki o polskość na tych terenach. Pan Lejwoda powiedział, że ustalenie nazwiska tego poety może mieć dużą wartość dla jego pracy. Postanowił dopomóc w poszukiwaniach autora „Złotej rękawicy”.

— To świetnie — powiedziałem.

Ale wyznaję, że trochę zirytowało mnie to ciągle „pan Lejwoda to”, „pan Lejwoda tamto”. Bill Arizona zaimponował chłopcu o wiele bardziej niż ja. No cóż, nie każda dziewczyna lubi gotować i nie każdy chłopiec chce przeżywać przygody.

— Wracaj do zdrowia — poklepałem Psychologa po ramieniu i opuściłem jego pokój.

W holu na dole natknąłem się na Lejwodę.

— Cieszę się, że pana widzę — radośnie powitał mnie autor powieści kryminalnych. — Pani Joanna i Piotruś wiele mi o panu mówili. I o waszej wyprawie

w poszukiwaniu autora „Złotej rękawicy”. To bardzo piękny pomysł, postaram się wam pomóc. Tylko muszę najpierw załatwić sprawę tych zmian w scenariuszu „Świętego”. Przed chwilą dzwonił z Karnit producent, pan Angelo Domini. Nie chce się zgodzić na żądania aktorki, bo to podroży koszty filmu. W każdym razie przyjadą tu po południu: Templer, pan Domini i Diana Denver.

— Diana Denver... — szepnąłem w rozmarzeniu.

Pan Lejwoda był bystrym obserwatorem.

— Zna ją pan? — zapytał. — O ile wiem, nie jest popularna. To jej pierwszy film, dotychczas grywała tylko w reklamówkach.

— Miałem przyjemność podczas rejsu przez Jezioro Drwęckie poznać zarówno Templera, jak pana Domini oraz Dianę Denver — wyjaśniłem.

— Ach, tak? To świetnie — ucieszył się pan Lejwoda. — W takim razie zapraszam pana do siebie na popołudnie. Muszę zorganizować małe przyjęcie towarzyskie. Pan zna angielski?

— Owszem.

— Błagam, niech pan przyjdzie. Ktoś musi bawić gości. Pani Joanna nie zna angielskiego, więc cały ciężar rozmowy spoczywałby na mnie, a ja przecież muszę przedyskutować z producentem zmiany w scenariuszu. Przyjdzie pan, prawda?

— Przyjdę — oświadczyłem, nawet nie zastanawiając się. Bo raptem zapragnąłem znowu zobaczyć niebieskie oczy Diany Denver, ucałować jej dłoń, poczuć zapach wschodnich perfum.

Pytająco rozejrzałem się po holu.

— Szuka pan pani Joanny? — znowu domyślił się Lejwoda. — Poszła z panią Jagodą do wsi, aby kupić jakąś kurę czy kaczkę. Postanowiły, że przyjęcie, choć skromne, powinno zrobić wrażenie na moich gościach. Stroje wieczorowe nie obowiązują — roześmiał się i klepnął mnie w plecy.

— A więc do popołudnia — oświadczyłem i wycofałem się z domu Lejwody.

Wracając na „Krasulę”, z melancholią medytowałem o naturze kobiecej. Pani Joanna twierdziła, że nie lubi kryminałów, ba, miała zastrzeżenia co do charakteru ich twórców, a teraz zachwyty jej budzi właśnie autor powieści kryminalnych. I jak szybko poczuła się odpowiedzialna za to, aby przyjęcie dla filmowców wypadło jak najlepiej.

Na „Krasuli” panował idealny porządek. Woda z kokpitu wylana, talerze polite. Bajeczka siedziała na brzegu jeziora obok swego worka podróżnego. Wynikało z tego, że chce mnie opuścić.

— Nie mogłam odejść znowu bez pożegnania — rzekła.

Usiadłem obok niej. Miałem chyba dość niewyraźną minę, bo myśl o ponownym spotkaniu Diany Denver rozmarzyła mnie. Ale Bajeczka o tym nie wiedziała i zupełnie inaczej odczytała wyraz mojej twarzy.

— Czym się pan smuci? — zapytała.

— Wszystko wskazuje na to, że wyprawa poszukująca autora „Złotej rękawicy” wzięła w łeb — odpowiedziałem wykrętnie. — Piotruś jest chory, pani Joanna od pierwszego wejrzenia zakochała się w panu Lejwodzie. Koniec z rejssem i sprawą anonimowego poety. Pani też mnie opuszcza.

— Chciałby pan, abym została? — zapytała kokieteryjnie. — Dlaczego? Przecież ani przez chwilę pan mi nie ufa.

Zdobyłem się na uśmiech, który miał ją rozbroić i napełnić współczuciem dla mnie.

— Od początku tego rejsu trwały na jachcie kłótnie, kto ma gotować, robić śniadania i kolacje. A dziś podano mi śniadanie, i to bez cierpkich uwag na temat partnerstwa.

— Jednym słowem, potrzebuje pan kucharki?

— Naturalnie. . .

Rzekła z powagą:

— Być może nikt na mnie nie czeka, nie mam się dokąd śpieszyć, odpowiada mi rola kucharki na „Krasuli”. Co pan zamierza dalej robić?

— Jak to: co? Zajmę się poszukiwaniem autora „Złotej rękawicy”.

Podniosła się z ziemi, wzięła do ręki worek podróżny.

— I dalej będziemy okłamywać się wzajemnie, grać komedię — stwierdziła z goryczą. — Pan będzie mi opowiadać, że szuka pan człowieka, którego już dawno pan odnalazł, a ja będę udawała, że panu wierzę. Nie odpowiada mi to.

Spojrzałem na nią uważnie. Ta dziewczyna wiedziała bardzo dużo. Za dużo, aby to nie było podejrzane. Nie wolno mi było jej wypuścić z rąk, należało — prędzej czy później — wyjaśnić tę zagadkę.

— W porządku — oświadczyłem. — Nie będę szukał poety. Mam tu nieco inną sprawę do załatwienia. Prosiła pani, abym nie pytał o jej sprawy, ja także nie muszę ujawniać przed panią własnych spraw. Zamierzam pływać po jeziorze, odwiedzać różne zakątki i spotykać się z różnymi ludźmi. Załoga mnie opuściła. Potrzebny mi ktoś, kto się zaopiekuje jachtem, gdy będę musiał go opuszczać. Zostanie pani ze mną, Bajeczko?

Wahała się tylko krótką chwilę.

— Mam do wyboru: wracać do „Warszawy już na początku lata i siedzieć tam w dusznych murach albo pozostać z panem na jachcie. Jest pan miły, kulturalny, sympatyczny. Zachowuje się pan jak dżentelmen. No cóż, zostanie.

To mówiąc przeszła przez płyciznę na jacht i wrzuciła swój worek do kokpitu.

— A teraz proszę powiedzieć, co pan sobie życzy na obiad? — zawołała do mnie wesoło.

— Rostbef. Pieczarki. Odrobina frytek — zarządziłem.

— Będzie puree z ziemniaków i wołowina w sosie własnym. Oraz zielony groszek i ogórek konserwowy, który kupiłam w sklepie — odpowiedziała.

Zapaliłem papierosa, z przyjemnością obserwując szczupłą, wysoką sylwetkę Bajeczki, jej głowę z krótko przyciętymi włosami, twarz o regularnych rysach i czarnych przenikliwych oczach.

Stwierdziłem:

— I pomyśleć, że gdybym minionej nocy nie przechodził przez pole namiotowe i nie zobaczył małego ogniska, nie spotkalibyśmy się nigdy więcej.

— O, niech się pan nie martwi, Panie Samochodzik — parsknęła śmiechem. — To nie był przypadek, tylko przeznaczenie. Gdyby pan mnie nie spotkał minionej nocy, natknąłby się pan na mnie dziś lub jutro. Ja „Krasuli” poszukuję już od dwóch dni. Było oczywiste, że prędzej czy później dobieje pan do Siemian, aby odnowić zapasy żywności. Widziałam, jak pan wczoraj wieczorem przypląnął. Nie podeszłam, bo była z panem załoga. Spodziewałam się, że w ciągu dnia znajdę jednak sposobność, aby porozmawiać sam na sam.

— O czym, Bajeczko? O czym chciałaś ze mną porozmawiać i dlaczego tego nie robisz, skoro jest okazja?

— Zrobiłam to już częściowo. Przeprosiłam za swoje zachowanie w Iławie. Z najważniejszą sprawą nie muszę się teraz spieszyć. Przecież jeszcze długo będziemy razem i znajdzie się wiele okazji do różnych rozmów, prawda?

— Tak — skinąłem głową.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

PRZYJĘCIE U BILLA ARIZONY • PANI JOANNA W NOWEJ ROLI • HISTORIA SZALONEGO BARONA • PANNA D.D. • KTO MYŚLI O MNIE W DZIEŃ I W NOCY • RYCERZ BEZ ZMAZY I SKAZY • RZECZYWISTOŚĆ CZY UROJENIE • KONSULTACJE POETYCKIE • PERUKA I SZTUCZNE RZĘSY • CO DALEJ, BAJECZKO? • CZY JESTEM TYLKO MASZYNĄ DO ŚCIGANIA PRZESTĘPCÓW • CHWILA SŁABOŚCI • NOWE PODEJZIENIA • BAJECZKA OSTRZEGA • NIEZNANI PRZECIWNICY CHCĄ ZEMSTY

— Jakże się cieszę, że znowu pana widzę, Monsieur la Bagnolette — powiedziała Diana Denver, podając mi do ucałowania swoją białą, cudownie pachnącą dłoń.

Pochyliłem się nisko do jej ręki, czując, że znowu zabrakło mi na moment tchu w piersi. A gdy wyprostowałem się, Roger Moore klepnął mnie przyjaźnie w plecy.

— Witam człowieka, który okazał nam pomoc w dramatycznej chwili — rzekł z miłym uśmiechem na swojej przystojnej, znanej z filmów twarzy.

— Nic pan nam o tym nie opowiadał — syknęła do mnie Kika. — Poznał pan Świętego i tę aktorkę, pannę D.D., ale nie puścił pan pary z ust. Natomiast o jakiejś Bajeczce prawil pan bez przerwy.

Na przyjęciu u Billa Arizony byliśmy nie tylko pani Joanna i ja, ale także państwo Dołęgowscy z córką. Zgodnie ze swoją zapowiedzią, pan Dołęgowski zjawił się u pana Lejwody, a ten, oczywiście, zaprosił go wraz z żoną i córką na przyjęcie. Okazało się przy tym, że pan Dołęgowski świetnie zna angielski i może pomóc w zabawianiu gości. Spełniło się pragnienie Lusi, aby poznać Templera i otrzymać od niego autograf.

Przyjęcie odbywało się w salonie. Panna D.D., Templer oraz pan Angelo Domini nie przyjechali — ku rozczarowaniu Kiki — znanym z filmu wspaniałym jaguarem Świętego, lecz zwykłym fiatem, warszawską taksówką, którą wynajęto

na czas kręcenia zdjęć. Panna D.D. i Templer byli w świetnych humorach, natomiast pan Angelo Domini miał minę ponurą, jakby u Billa Arizony oczekiwała go ceremonia pogrzebowa.

Na stole, na kredensie, na niskim stoliku — piętrzyły się stosy bardzo kolorowych kanapek i stały flakony ze słonymi paluszkami. Owe misterne i kolorowe kanapki — jak to nieustannie podkreślał Bill Arizona — były dziełem pani Joanny. Pan Lejwoda każdym zresztą słowem i gestem, ciągle, dawał wszystkim do zrozumienia, że ona razem z nim czyni tu honory domu. Pani Joanna nie protestowała, zapewne schlebiało jej takie postawienie sprawy. Zachowywała się zresztą jak prawdziwa pani domu, zwracając uwagę, czy wszyscy goście bawią się dobrze. Dość poufale rozkazywała panu Lejwodzie:

— Zdaje mi się, mój drogi, że panu Templerowi nie smakuje to czerwone wino. Może zechce whisky? Widziałam ja w szafce kuchennej. Czy mógłbyś przynieść butelkę?

I Lejwoda maszerował posłusznie do kuchni.

Z dawnej pani Joanny, owej surowej i chłodnej pani, która szła synowi dzin-sy i trudno jej się było wyrwać z Warszawy, bo bez przerwy myślała o rachunkach bankowych — nic już nie pozostało. Trochę przyczynił się do tego nasz rejs, a trochę podziałało tu zainteresowanie słynnego Billa Arizony. Okazało się, że w walizce na jachcie miała ładną czarną sukienkę. Wyglądała w niej skromnie, ale szykownie, uroda jej jak gdyby odzyskała blask, co często zdarza się u kobiety, która na nowo odkrywa swoją wartość.

Ale mimo znakomych kanapek i świetnych trunków, mimo wysiłków, których nie szczędziliśmy, pan Dołęgowski i ja, aby zabawić cudzoziemskich gości — przyjęcie nie kleiło się. Raz po raz dochodziło do scysji między Dianą Denver, czyli panną D.D., i producentem filmowym, Angelo Domini. Ofiarą tych scysji padał zawsze Bill Arizona.

— Ostatni odcinek serialu — twierdziła Diana Denver — nie daje mi możliwości pokazania całej pełni mego talentu. Jest za mało dramatyczny. Nie ma w nim wielkiej sceny, w każdym razie — nie ma w nim sceny dla mnie.

Nie czytałem scenariusza, ale jak zdołałem się zorientować z różnych szczątkowych wypowiedzi Templera, Diany Denver i Billa Arizony, zawierał on historię szalonego barona zamieszkującego wspaniały pałac nad brzegiem wielkiego jeziora. Szalony baron więził w swym pałacu piękną i niewinną blondynkę, właśnie pannę D.D., którą chciał zmusić do tego, aby go poślubiła. Pewnego dnia do przystani barona zupełnie przypadkowo przypłynął samotnie Święty na swoim jachcie o nazwie „Lord Jim”. Baron zaprosił go na kolację do pałacu, gdzie Templer spotkał uwięzioną piękność i, molestowany przez nią, zdecydował się ją uwolnić. Lecz baron domyślił się planów Świętego i wykorzystując różne tajemne przejścia i zapadnie, w które obfitował jego pałac, uwięził także Templera.

Ale czy dla Świętego istnieją trudności nie do pokonania? Spuściwszy się po linie z wysokiej wieży, uwolnił uciśnioną piękność i wraz z nią odpłynął jachtem.

— Brakuje mi jednej, wielkiej, dramatycznej sceny — powtarzała Diana Denver. — Choćby ten moment uwolnienia mnie przez Świętego. Jak to wygląda w scenariuszu? Templer wpada przez okno do pokoju, gdzie ja cheszę się przed lustrem. Czy w tym jest cień dramatyizmu? A gdybym na przykład siedziała w podziemnych lochach, wśród trumien i kościotrupów! Wyobraża pan sobie, jak kontrastowo zagrałaby moja twarz i moje jasne włosy na tle czaszek i mumii, trumien, pajęczyn?

— A skąd u barona w pałacu trumny i kościotrupy? — zapytał Bill Arizona.

— To mnie nie obchodzi — wzruszyła pogardliwie ramionami panna D.D. — Panu za to płacą, aby pan wszystko uzasadnił. Może baron przeprowadzał w podziemiach jakieś dziwne eksperymenty? Może należał do klubu satanistów i organizował jakieś czarne msze? Nie ja jestem scenarzystą, tylko pan, panie Arizona.

— Mój Boże! — zawołał pan Angelo Domini. — Panu Arizonie nie brakuje fantazji i może do podziemi pałacu barona wprowadzić nawet pojazd kosmiczny albo reaktor powielający. Papier jest cierpliwy, panno Denver. Ale każda nowa scena podraża koszty filmu. Trzeba zrobić podziemia, kościotrupy, trumny, pojazdy kosmiczne i reaktory powielające. A za każdą taką rzecz zapłaci nie pani i nie Bill Arizona, tylko ja. Protestuję! Żadnych zmian w scenariuszu.

— Pan Batura twierdzi, że takie zmiany można wprowadzić bez większych kosztów. On się tego podejmie — tupnęła nogą Diana Denver.

— Pan Batura jest u nas tylko drugim scenografem i nie ma nic do gadania — sierdził się Angelo Domini. — Zresztą, proszę mi dać czas na przemyślenie tej sprawy i konsultacje.

— O wilku mowa — przerwała Diana Denver.

W drzwiach salonu pojawił się Waldemar Batura we własnej osobie. Nie miałem pojęcia, że i on został zaproszony przez pana Lejwodę. Gdybym o tym wiedział, nie przyszedłbym, choć tak bardzo pragnąłem zobaczyć błękitne oczy Diany Denver.

Waldemar Batura ubrany był z wyszukaną elegancją, w biały flanelowy garnitur, i przyjechał oczywiście swym pięknym turbo, a nie wynajętym fiatem jak Templer, panna D.D. i producent Angelo Domini. Nienaganne maniery, wielkie obycie towarzyskie i świetna angielszczyzna czyniły go na tym party gościem pożądanym i mile widzianym. Zaraz też pan Domini, Diana Denver i Bill Arizona przywołali go do siebie i w czwórkę, aby nikt im nie przeszkadzał w rozmowie, przeszli do sąsiedniego pokoju.

Tkwiłem samotnie w rogu salonu, sącząc powoli czerwone wino z dużego kieliszka. Nikt się mną nie interesował.

Ośrodkiem ogólnej uwagi był Simon Templer, jak wianuszkiem otoczony przez panią Joannę, państwa Dołęgowskich i Lusię. Nawet Piotruś na moment

zszedł z góry i, okutany w trochę za duży szlafrok, przysłuchiwał się, jak Święty opowiada o swoich przygodach. Jego słowa z angielskiego na polski przekładał pan Dołęgowski.

Po pewnym czasie z pokoiku, gdzie się naradzano, wyszła Diana Denver, rozejrzała się po salonie i zobaczywszy mnie, samotnie stojącego w rogu, podeszła tanecznym, rozkołysanym krokiem.

Wyglądała jak królowa. Była w długiej, białej sukni z materiału, który przelewał się i mienił jak strumień. Ogromny dekolot ukazywał różową karnację jej ciała, a czerwona róża, upięta przy gorsie, wabiła oczy. Długa wysmukła szyja, mała głowa otoczona jasnymi, ufryzowanymi włosami, wielkie, niebieskie oczy... Jej widok sprawiał, że zasychało mi w ustach.

— Czy pan mnie unika? — spytała. — Takie odniosłam wrażenie. Nie znaleźliśmy nawet chwili, aby ze sobą dłużej porozmawiać.

— To pani była bardzo zajęta — odrzekłem, wskazując wzrokiem drzwi do pokoju, w którym jeszcze trwała narada.

— Ach, to nieużycki ludzie — kapryśnie wydała swoje pełne wargi. — Dla nich ważne są tylko pieniądze. I jedynie o pieniądzech potrafią rozmawiać. Nienawidzę takich rozmów i takich ludzi, choć muszę z nimi pracować. Natomiast wydaje mi się, że pan jest zupełnie inny. Romantyczny i bezinteresowny.

Powiedziała to z taką pewnością, jakby знаła mnie od lat.

— Nigdy nie zapomnę tej chwili — mówiła dalej — gdy pośpieszył mi pan z pomocą, nie zważając na niebezpieczeństwo. To pan, a nie Templer, powinien być bohaterem tego odcinka telewizyjnego. Monsieur la Bagnolette odbywający samotnie rejs swym jachtem.

— Pan Roger Moore także stanął w pani obronie — stwierdziłem.

— Ach, to u niego nawyk. W każdym filmie staje w czyjejs obronie. On jest sztuczny, a pan był autentyczny.

Milczałem. Bo cóż można powiedzieć na takie słowa? Moje milczenie przyjęła jednoznacznie.

— I wydaje mi się, że pan jest bardzo nieśmiały, szczególnie w stosunku do kobiet, prawda?

— Tak — skinąłem głową. Bo było to zgodne z prawdą.

— Ale jednocześnie należy pan do ludzi odważnych...

— Chyba tak — odparłem po chwili wahania.

— Myślałam o panu — dotknęła palcami swej róży na piersiach — myślałam o panu jako o nieśmiałym, ale odważnym mężczyźnie, który potrafi się poświęcić dla kobiety, obronić ją przed niebezpieczeństwem.

— Sądzę, że nic pani nie grozi. Wtedy zaszło nieporozumienie — powiedziałem.

Uśmiechnęła się wyrozumiale.

— Jest pan nie tylko nieśmiały, ale i trochę naiwny, Monsieur la Bagnolette. To była próba rzeczywistego porwania. Wiem o tym. I w dalszym ciągu grozi mi niebezpieczeństwo...

Z pokoju, gdzie naradzano się, wyszedł Angelo Domini. Panna D.D. chwyciła mnie mocno za rękę i szepnęła gorączkowo:

— Proszę zjawić się jutro wieczorem, o ósmej, w Karnitach. Pan zna tę miejscowość?

— Tak — znowu zaschło mi w gardle.

— A więc o ósmej, w starym parku koło grobowców. Błagam, niech pan przyjdzie. Wtedy wszystko panu opowiem. I pan mi pomoże, prawda?

— Tak — wybełkotałem.

Puściła moją rękę dopiero wtedy, gdy Angelo Domini zbliżył się do nas i oświadczył:

— Kazałem Baturze opracować kosztorys tej sceny. Bill Arizona wprowadzi ją do scenariusza. Ale oświadczam, jeśli koszty okażą się zbyt wysokie, nie zgodzę się.

Do salonu weszli teraz Bill Arizona i Waldemar Batura.

— Przepraszam pana. Musimy porozmawiać ze scenarzystą — powiedziała do mnie Diana Denver i, odchodząc z producentem, rzuciła mi gorące spojrzenie, pełne obietnic i błagania.

Na mojej twarzy malował się chyba tak wyraźny zachwyt i szczęście, że aż to zwróciło uwagę Waldemara Batury.

Podszedł do mnie i rzekł:

— Widziałem, że rozmawiałaś z panną D.D. Nie wierz jej, Tomaszu. To kokietka. Każdemu w głowie przewraca, ale źle wychodzą na tym ci, którzy to traktują poważnie. Uroiła sobie, że ktoś chce ją porwać. To śmieszne. U nas? W Polsce? Zapewne i do ciebie teraz zwróciła się z tą sprawą, ponieważ od tamtej chwili, gdy pomogłeś jej uwolnić się od jakichś natrętów, ubzdurzyła sobie, że jesteś romantycznym rycerzem bez skazy, który staje w obronie uciśnionych. Czymś w rodzaju Templera, tylko nie filmowego, lecz rzeczywistego. Bądź ostrożny, Tomaszu, bo nie bardzo znasz się na kobietach. Powtarzam ci: to kokietka, a historia z porwaniem to swoisty rodzaj kokieterii. Prawdopodobnie bardzo chciałaby, żeby ją ktoś porwał i żeby w ten sposób znalazła się na pierwszych stronach gazet filmowych.

— Rozumiem — uśmiechnąłem się, choć wcale nie było mi do śmiechu. Cierpiałem na myśl, że gorące, pełne obietnic i błagania spojrzenie Diany Denver mogło być tylko rodzajem kokieterii i kłamstwa.

— A jak sprawa „Złotej rękawicy”? — zapytał uprzejmie.

— Bez zmian — odparłem.

I pożegnawszy go chłodnym skinieniem głowy, dyskretnie opuściłem willę pana Lejewody. Nie czułem się dobrze. Nie wiedziałem, co myśleć o słowach panny D.D. I o ostrzeżeniu, jakie usłyszałem od Batury. . .

Diana Denver chciała się ze mną spotkać jutro wieczorem w parku pałacowym w Karnitach, aby powierzyć mi tajemnicę zagrażającego jej niebezpieczeństwa. Jeśli nawet były to tylko urojenia — widziała jednak we mnie człowieka, któremu można zaufać, mężczyznę, który był zdolny poświęcić się dla kobiety. W głębi serca uważałem się za kogoś takiego, tylko wrodzona skromność nie dopuszczała tej myśli do głosu. Czy mogłem zawieść Dianę Denver?

— Pójdę tam. Pójdę na to spotkanie — powtarzałem sobie.

Mruczałem te słowa chyba jeszcze wchodząc na „Krasulę”, bo Bajeczka spytała:

— A gdzie to się pan wybiera? O jakim spotkaniu pan mruczy?

Miałem ogromną potrzebę podzielenia się z kimś swoimi uczuciami. Tak bywa najczęściej z zakochanymi, chociaż ja. . . chyba nie byłem zakochany.

— Umówiłem się z kobietą tak piękną, jaką mężczyźni mojego rodzaju spotykają tylko raz w życiu — oświadczyłem.

— A któż to taki? Czyżby zjawiała się tu nagle Claudia Cardinale albo Zofia Loren i raptem rzuciła się panu na szyję?

— Ciepło, ciepło — powtarzałem z zadowoleniem.

— A może zmartwychwstała Marilyn Monroe?

— Gorąco — stwierdziłem — w każdym razie ktoś nieco do niej podobny. Pani jej nie zna, nigdy o niej nie słyszała, bo to gwiazda dopiero wschodząca na firmamencie kinematografii i telewizji. Będzie sławna jak Brigitte Bardot, czyli B.B. Ona jest panią D.D. Nazywa się Diana Denver.

— Zwana przez otoczenie: Pani DeDeTe — dorzuciła Bajeczka, robiąc aluzję do silnego środka owadobójczego.

— Tak ją nazywają? — oburzyłem się.

— Owszem. Bo nie ma człowieka z jej otoczenia, któremu nie zalazłaby za skórę swoimi fochami, kaprysami, histeriami.

— Pani ją zna?

— Nie bardzo. Widziałam ją z daleka kilka razy, ale słyszałam wystarczająco wiele, aby sobie o niej wyrobić jak najgorsze zdanie.

— Mój Boże — nie mogłem opanować zdumienia — jaki świat jest mały. Wszyscy się znają.

Bajeczka uśmiechnęła się ironicznie.

— Nie, proszę pana. Świat jest bardzo duży. Mały jest jedynie krąg osób, które kręcą się wokół tej samej sprawy.

— Nie w mówi mi pani, że i Dianę Denver interesuje wiersz zatytułowany „Złota rękawica”.

— Nawet nie usiłuję tego panu wmawiać. To pan sam powinien wiedzieć, że ta sprawa skomplikowała się bardzo. Ja w każdym razie zaczęłam się gubić w jej wszystkich wątkach. Ja — ale nie pan. Słyszałam, że jest pan słynnym detektywem.

— Pani wybaczy, nie kojarzę jednak Diany Denver ze sprawą „Złotej rękawicy”. Natomiast osoba, która mi podrzuciła poślaczoną rękawiczkę, jest z tym na pewno bezpośrednio związana. Gdzie pani widziała Dianę Denver? Z kim pani o niej rozmawiała? — natarłem ostro.

Nic to nie dało.

— Zdaje mi się, że mieliśmy nie zadawać sobie żadnych pytań — odrzekła.

— Ale przyzna pani, że Diana Denver jest kobietą piękną, o ogromnych niebieskich oczach, długich rzęsach, białej cerze i wspaniałych jasnych włosach.

Wzruszyła ramionami.

— Rzęsy przyklejone, a na głowie peruka. Jest rzeczywiście blondynką, ale jej włosy nie są aż tak bujne i jasne. Jaki charakter ma nosić wasze spotkanie?

Nie uważałem za stosowne wyjawic jej, że Diana Denver prosiła mnie o pomoc, gdyż lęka się porwania.

— To będzie zwykła randka — powiedziałem.

— Nie wierzę. Taka kobieta, jak ona, nie umawia się na zwykłe randki z takimi mężczyznami, jak pan. Ją interesuje jedynie sukces życiowy, pieniądze, sława, kariera. Czy może jej to pan ofiarować?

— A więc nie mam, pani zdaniem, żadnych szans?

Ubodły moją ambicję słowa Bajeczki, ale nie byłem głupcem i zdawałem sobie sprawę, że jest w nich wiele prawdy.

— Żadnych — powiedziała brutalnie. — Nie wygląda pan jak Delon ani nie jest pan producentem filmowym. Ma pan chyba na tyle rozsądku, aby zdawać sobie sprawę, że jeśli koło pana zaczyna się kręcić jakaś ładna dziewczyna, to na pewno czekają pana kłopoty.

— Tak — powiedziałem. — Tyczy to również i pani.

— O! — ucieszyła się. — Uważa mnie pan za ładną. Jaki pan jest miły...

I mogliśmybyśmy toczyć tę szermierkę słowną aż do kolacji, ja — usiłując wydobyć z niej tajemnicę, ona — usiłując poznać moje sprawy, lecz na „Krasuli” pojawił się pan inżynier Dołęgowski. Przyniósł ze sobą kilka książek, notatnik. Rzecz jasna, najpierw dokładnie obejrzał mój jacht.

— I to ma być dawny „Szkwał” — zdumiewał się. — Jest zupełnie odmieniony. Ale myślę, że nie będzie szybszy.

— Przy dużych wiatrach spisuje się znakomicie — zaoponowałem.

— Ba — roześmiał się — przy dużych wiatrach to i kłoda drzewa sunie po wodzie. Pływałem przecież na „Szkwale” i wiem, jaki był powolny i mało zwrotny. Słusznie pan zrobił, nazywając tę łajbę „Krasulą”, przynajmniej każdy wie, czego się po niej można spodziewać.

Zapewne dążył do tego, abym zaczął wychwalać „Notosa”. Ale nie chciałem mu zrobić aż takiej przyjemności po tym, co powiedział o „Krasuli”.

Zmienił więc temat.

— Przyjęcie u pana Lejwody było bardzo udane — stwierdził. — To bardzo miły człowiek. Lusią jest zachwycona, bo od Templera dostała fotografię z podpisem. Mojej żonie również bardzo się tam wszystko podobało. W Jugosławii na pewno nie poznalibyśmy nikogo takiego, jak Święty. A w ogóle, to już nie żałujemy tej Jugosławii. Żonie podoba się żeglowanie, mnie trochę spadł brzuch i czujemy się wspaniale. A przede wszystkim: Lusią nareszcie uwierzyła, że jej ojciec nie jest tylko bezdusznym urzędnikiem, którego interesują wyłącznie plany produkcyjne i komputery. Przekona się pan, że odnajdę tego poetę. W tej sprawie właśnie przyszedłem do pana.

Zaprosiłem go do kabiny, gdzie była Bajeczka.

— O, kompletuje pan nową załogę — stwierdził. — Ma pan dobry gust. Joanna, mimo upływu lat, bardzo wyładniała. Ale ona, zdaje się. . .

— Tak — mruknąłem — ona już chyba pozostanie na dłużej w willi pana Lejwody. Nie wolno lekceważyć przebiegów u młodych chłopców.

— Tak, tak, oczywiście — zgodził się pan Dołęgowski, jak przystało na człowieka taktownego.

Rozłożył na skrzyni mieczowej tomiki wierszy i swój notatnik.

— Nasze poszukiwania autora „Złotej rękawicy” — zaczął — być może dlatego nie przynoszą dobrego rezultatu, że szukamy kogoś, kto jest od dawna odnaleziony, znany i uznany. Udało mi się dostać inne książki z wierszami poetów mazurskich. Trzeba to jeszcze raz rozważyć.

— Wykluczyłem autorstwo Kajki, Dopatki, Skubicha, Grodzkiego, Dondera, Sembrzyckiego, Stullicha i Pezary — powiedziałem. — Albo posługiwali się inną strofą, inną metaforą i sposobem obrazowania, albo też tworzyli w zupełnie innym okresie niż autor „Złotej rękawicy”. Jeżeli — to można się jeszcze raz zastanowić nad takimi poetami, jak: Jewan, Luśtych, Boguń, Skowronek, Okuń, Domasz, Kensy, Lipka, Neumann, Grzana, Leyk, Klepa. . .

— Mam tu wiersze Wiktora Kanigowskiego — przerwał mi pan Dołęgowski. — Proszę posłuchać, choćby tego:

*Jestem Mazurem i Mazurem będę,
I z białym Orłem żyć i umierać chcę,
Niemieckich rządów chętnie się pozbędę,
Które wolności drogą zamknąć chcą.
Ja, Mazur, chcę wolności bez łgi,
bez fałszywości. . .*

— To ładny wiersz — przytaknąłem. — Ale nasz autor pisze inaczej, w odmiennym stylu, bardziej wyszukany. Proszę porównać z jego strofą:

*Ojczyzno moja, ponad tonią
żurawi zwątpień krzyk jesieni.
Do starych gniazd dostępu bronią
trzcin szable. Aż się los odmieni.*

— A Wincenty Kobzur? — zastanawiał się pan Dołęgowski. — Proszę posłuchać jego „Marzenia więźnia”:

*Czasami tylko chwila wytchnienia
Zawiedzie więźnia w obłudnym śnie.
Wtedy to znika óma wstrętnych wrażeń,
Dusza opuszcza ten nędzny świat
I ulatuje w krainę marzeń,
Gdzie nie ma straży, lochów i krat.*

— Nie — pokręciłem głową. — Wincenty Kobzur, prześladowany za swoją walkę o polskość, jeszcze w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku przeniósł się z Mazur do Białegostoku. Lękał się, że na Mazurach znowu trafi do więzienia. W czterdziestym pierwszym roku, gdy hitlerowcy rozpoczęli w Białymstoku masowe prześladowania Żydów, chory wtedy na gruźlicę Kobzur udał się na miejsce zbrodni i próbował protestować przeciwko poniżaniu godności ludzkiej. Zastrzelił go jakiś hitlerowiec. A w tym właśnie mniej więcej czasie powstała „Złota rękawica”. Z tekstu wynika, że jej autor nadal przebywał na Mazurach.

— Tak, to zagadkowa sprawa — stwierdził pan Dołęgowski. — Chyba nic nie dadzą te nasze teoretyczne roztrząsania.

— Wydaje mi się, że droga praktycznego działania, którą obraliśmy, jest słuszna — powiedziałem. — Trzeba nadal pływać wzdłuż brzegów i pytać w wioskach o tego człowieka. Nic się panu dotąd nie przypomniało z tamtej podróży sprzed piętnastu lat?

Pan Dołęgowski bezradnie rozłożył ręce.

— Nic. Coś tam tylko czasem zamajaczy, ale to jest nieokreślone, niekonkretne. Niekiedy płynę wzdłuż brzegu i myślę: czy to tu, czy nie tu? Brzegi się zmieniły. Gdzieniedzie wycięto lasy, posadzono nowe. Pobudowano domy, stare rozebrano. Ale będę dalej szukał.

To mówiąc zebrał przyniesione tomiki, zamknął notatnik i, pożegnawszy Bajeczkę i mnie, opuścił „Krasulę”.

— A pan nic nie wie. Nie może pan wskazać żadnego tropu — stwierdziła ironicznie Bajeczka po wyjściu pana Dołęgowskiego.

Wyciągnąłem się wygodnie na koi i zamiast odpowiedzi wyrecytowałem:

I znowu polski rycerz dumnie

*podejmie złotą rękawicę.
Widziałem ją w blaszanej trumnie,
gdzie wróg rozbitą miał przyłbicę.*

Za bulajami „Krasuli” zapadła już noc. Kropiło trochę, fale leciutko kołysały jachtem.

— Czy zrobić panu herbatę? — spytała Bajeczka.

— Nie. Dziękuję. Pani jest cudowna — oświadczyłem. — Jutro o świcie wciągniemy żagle i odpłyniemy po nowe przygody. To piękne uczucie, gdy ma się świadomość, że czeka człowieka coś takiego.

— Mówiłam panu, że nie lubię przygód.

— Wiem, wiem — ziewnąłem, bo ogarniała mnie senność. — Znam pani marzenia: pokoik z kuchenką i ktoś miły, sympatyczny, przy kim mogłaby się pani krzątać. Ale na razie musi się pani zadowolić kabiną „Krasuli” i niezbyt sympatycznym osobnikiem, który lubi przygody. Ciekawe, skąd u tak młodej kobiety aż taka niechęć do przygód? O tej niechęci wspomniała już pani podczas naszego pierwszego spotkania. I niknąc bez wieści, pozostawiła mi pani pozłacaną rękawicę. Co teraz pani pozostawi?

— Nie zniknę bez wieści — roześmiała się.

— I to dobre — stwierdziłem, gasząc latarkę u sufitu kabiny.

Następnie wcisnąłem się w swój śpiwór. Bajeczka zrobiła to samo i chyba zaraz zasnęła, bo gdy na krótkie chwile deszcz przestawał szemrać na dachu kabiny i woda mniej pluskała wokół jachtu, słyszałem jej równy oddech z drugiej koi. W wyobraźni wędrowałem po kościele w Borecznie i widziałem kamiennego rycerza w zbroi, potem zamajaczyła mi w mroku piękna twarz Diany Denver, która nagle zdjęła perukę i... ujrzałem łysą czaszkę. Przeraziłem się tak, że aż usiadłem na koi. To był przykry sen, jakiś koszmar, o którym rano nie chce się pamiętać.

Obudziliśmy się w świetnych humorach — dzień wstawał słoneczny, a sunące po niebie chmury zapowiadały wiatr. Nuąc pod nosem jakąś modną piosenkę, Bajeczka przygotowała znakomite śniadanie — tym razem jajka sadzone i chleb z masłem. Ogoliłem się wyjątkowo starannie, nawet użyłem wody kolońskiej i kremu. Wieczorem czekała mnie przecież randka z piękną D.D.

— Czy ma pani jeszcze tę spódnicę w słoneczniki i haftowaną bluzkę? — spytałem podczas śniadania.

— Oczywiście. Ale ponieważ leży w worku podróżnym, jest pomięta i nie nadaje się do noszenia. Wiem, że nie lubi pan kobiet w spodniach, ale nie ma pan tu, na jachcie, żelazka, a poza tym byłoby śmieszne żeglować w takiej spódnicy i bluzce.

— Słusznie — przytaknąłem. — Ale wynika z tego, że jest pani świetnie poinformowana o moich upodobaniach. Panna Diana Denver miała wczoraj na sobie białą suknię z różą przypiętą u gorsu. Wyglądała niezwykle. W nocy wszystkie

koty wydają się szare, w dzinsowych materiałach wszystkie dziewczyny wydają się jednakowe.

— Dzinsy są wygodne — odrzekła Bajeczka — a pan ma staroświeckie upodobania.

Około dziesiątej rano wciągnąłem grot i poderwałem kotwicę.

— Zapomniałem zapytać, czy umie pani żeglować! — krzyknąłem do Bajeczki.

— Nie.

— A pływać?

— Zupełnie dobrze — uśmiechnęła się.

— Najważniejsze, że potrafi pani dobrze gotować — stwierdziłem.

I zdecydowałem płynąć tylko na głównym żaglu, jako że do obsługi foka trzeba było przynajmniej jeszcze jednego żeglarza.

Sunęliśmy dość szybko półwiatrem, omijając wyspy zasiedlone przez ogromną rzeszę wodniaków. Z przepływających obok jachtów i motorówek wytykano nas palcami — znajdujący się na dziobie napis „Krasula” bardzo wszystkich bawił. Ale mnie to było obojętne, a i Bajeczka nie przejmowała się tym faktem. Zdjęła swoją dzinsową kurteczkę, sweter, koszulę i, siedząc na wolnej burcie, opalała się w górnej części kostiumu kąpielowego.

„Krasula” płynęła o wiele wolniej niż inne jachty, ale mimo wszystko dość rychło brzeg w Siemianach zniknął nam z oczu. Świeciło słońce, dziób jachtu rozbijał niebieskawozielone fale przyprószone tu i ówdzie białą pianą. Ogarnęło mnie wspaniałe uczucie swobody i radosnego podniecenia, którego doświadczamy wtedy, gdy wiatr niesie nas na swoich potężnych skrzydłach. Och, gdyby tak można było jeszcze zamocować fok i, wchodząc w ślizg, lecieć niemal na czubkach fal...

To uczucie swobody i radości udzieliło się pewno także i Bajeczce. Przesiadła się do mnie na rufę i, choć dookoła nie było nikogo, szepnęła mi do ucha, jak gdyby zwierając tajemnicę:

— Płynmy tak przez cały dzień, bez celu, przed siebie. I jutro też, od rana aż do wieczora. Co pana obchodzi jakaś tam Diana Denver. Albo historia „Złotej rękawicy”. Czy może być piękniejsza przygoda niż płynąć tak bez celu, bez żadnych planów, bez świadomości, co będzie jutro?

Przez krótką chwilę miałem ochotę powiedzieć: „Racja, tak powinniśmy zrobić”. Od piętnastu lat byłem jak pies gończy, ciągle na tropie przestępców, złodziei i fałszerzy dzieł sztuki. Bez wakacji i prawdziwego wypoczynku, w czasie którego nie trapiłaby mnie myśl o jakiejś nie rozwiązanej zagadce. Czy nie należało mi się choćby kilka dni ucieczki od spraw, które do tej pory stanowiły treść mego życia?

Gdy otrzymywaliśmy świadectwa maturalne, nasz nauczyciel polskiego i zarazem wychowawca powiedział: „Pamiętajcie, że należy żyć zgodnie ze swoją

osobowością. Tylko wtedy można czuć się szczęśliwym”. A jeśli moja osobowość zamyka się właśnie w kręgu tych dręczących i niepokojących mnie wciąż poszukiwań, pościgów, przenikania zagadek i tajemnic? Czy potrafiłbym żyć inaczej?

— Popłyniemy na jezioro Dauby — powiedziałem. — Stamtąd jest tylko niespełna cztery kilometry do Karnit, gdzie umówiłem się z Dianą Denver, ponieważ ona czuje się zagrożona i żąda pomocy.

Dziś mogłem już powiedzieć, kiedy i gdzie się umówiłem. Jeśli Bajeczka pracowała dla jakiegoś mojego przeciwnika, to nie będzie już miała sposobności, aby go poinformować o moich krokach i moich planach.

Dziewczyna odsunęła się ode mnie i znowu usiadła na wolnej burcie.

— Pan jest jedynie doskonałą maszyną do rozwiązywania zagadek i ścigania przestępców — wybuchnęła z żalem. — Nie ma w panu ani odrobiny słabości. Pan jest szczęśliwy dopiero wtedy, gdy wpada pan na trop przestępstwa. Jak dobrze wytresowany pies, któremu błyskają oczy, kiedy poczuje woń dzikiej zwierzyny...

— A pani, Bajeczko? — zapytałem. — Pani naprawdę zapomniała, po co szukała mnie pani i w jakim celu odnalazła?

— Owszem. Zapomniałam. Ale pan mi przypomniał. I bardzo dziękuję. Teraz jest więc okazja, żeby panu powiedzieć prawdę. Przed trzema dniami rzuciłam z pewnych względów pracę, z którą wiązałam ogromne nadzieje. Z powodu tej pracy zrezygnowałam ze swego dotychczasowego mieszkania, bo łudziłam się, że otworzą się przede mną nowe możliwości. Teraz nie mam nawet dokąd wracać, jedyny mój dom to ta kajuta na „Krasuli”. Muszę szybko, jak najszybciej znaleźć sobie nową pracę i mieszkanie. Pomyślałam o panu...

— Dlaczego o mnie? Nie jestem biurem pośrednictwa pracy.

— No, tak. Ale ja skończyłam liceum sztuk plastycznych, kilkakrotnie pracowałam przy renowacji kościołów, potem byłam dekoratorką wystaw sklepowych. Pomyślałam, że z racji swojego zawodu zapewne wie pan o jakimś kościele, który wymaga renowacji, odmalowania ołtarza czy czegoś w tym rodzaju. Mam ze sobą odpowiednie świadectwa. Czy może mnie pan komuś polecić?

— Naturalnie. Kilku proboszczów pytało mnie o jakiegoś zdolnego malarza, który mógłby odrestaurować ołtarz. Niektórzy z nich piszą nawet do nas, do centralnego zarządu, jeśli ołtarz jest zabytkowy. Znam wiele adresów i jeszcze dziś dam pani list polecający.

Ze zdumieniem popatrzyłem na Bajczkę. A więc tylko taką małą tajemnicę kryła ta dziewczyna? Szukała mnie, bo wiedziała, że mogę jej pomóc w znalezieniu pracy. Ale ktoś ją poinformował, że zajmuję się ochroną zabytków. W Hławie nawet o tym nie wspomniała. Podrzuciła mi złotą rękawiczkę, kilkakrotnie zwróciła się do mnie: „Panie Samochodzik”, jakby znała z wielu opowieści...

Wpłynęliśmy w Kragę, długą odnogę Jezioraka. Tu było już mniej jachtów i motorówek. Powitały nas wysokie lesiste brzegi, piaszczyste zatoczki, gdzie tu i ówdzie żółciły się namioty turystów.

Kragę zamykał półkolisty sklepiony most na szosie łączącej Iławę z Borecznem. Za mostem zaczynało się jezioro Dauby, gdzie znajdowało się wejście do Kanału Elbląskiego. Ale — aby przedostać się pod mostem — należało położyć maszt.

Rzuciłem kotwicę przy małej łączce, w pobliżu mostu i szosy, po której mknęły samochody. Zdjąłem żagiel i starannie sklarowałem go na bomie. Tutaj Bajeczka miała jedyną sposobność, aby wyskoczyć na ląd i poinformować kogoś o moim spotkaniu z Dianą Denver. Postanowiłem stworzyć jej ku temu dogodną sytuację.

— Przejdę się do wioski Karczmisko. Tam jest sklep, kupię coś do jedzenia — powiedziałem Bajeczce.

— Dobrze. A ja posprzątam i zajmę się obiadem — odrzekła posłusznie.

Wyskoczyłem na brzeg, dostałem się na szosę, a potem wielkim łukiem zawróciłem w stronę Kragi i usiadłem na wzgórzu, skąd — zasłonięty krzakami — mogłem widzieć „Krasulę” i krzątającą się po niej Bajeczkę.

Tkwiłem tam prawie dwie godziny, medytując i paląc papierosy. Bajeczka w ogóle nie ruszyła się z jachtu. Umyła pokład, posprzątała w kabinie i w kokpicie, a następnie zabrała się do obierania ziemniaków. „Ona miała rację — pomyślałem. — Jestem jak maszynka do ścigania przestępców. Nikomu nie ufam”.

O pierwszej w południe wróciłem na łajbę, oświadczając, że sklep w Karczmisku był zamknięty. Nic nie wskazywało, aby podawała w wątpliwość moje słowa.

Napisałem list do znajomego proboszcza i wręczyłem go Bajeczce. Przy okazji przejrzałem jej świadectwo z liceum oraz poznałem prawdziwe imię i nazwisko. Nie wymienię go, bo nie ma to już w tej chwili żadnego znaczenia.

— Chce się mnie pan pozbyć — stwierdziła smutnie.

— Ależ nie. Prosiła mnie pani, więc napisałem. Nie chciałem, aby pani sądziła, że zastanawiam się, waham, czynię to niezbyt chętnie. Gdzież ja znajdę nową gospodynię? — wykrzyknąłem, bo właśnie na talerz wyłożyła gorące ziemniaki i odgrzany gulasz wołowy z puszki.

Przyjęła to jak kpinę. Nie bez podstaw. Przez ileż to dni jadają turyści ową słynną już wołowinę w sosie własnym albo gulasz wołowy czy pulpety ze słoika?

— O której się pan umówił z Dianą Denver?

— O ósmej wieczorem w parku karnickim koło grobowców — wyjawilem i znowu stałem się czujny.

— To mamy jeszcze sporo czasu. Mogłabym pójść do Karczmiska i kupić, na przykład sera. Czy lubi pan naleśniki z serem? Mam wszystko, co trzeba, aby je zrobić: mąkę, wodę, jajka, cukier, brakuje tylko sera.

„Może przy okazji wędrówki po ser zechce kogoś poinformować?” — pomyślałem.

— Tak. To dobry pomysł — oświadczyłem, myśląc o przysłowiu, które powiada, że po nitce należy trafić do kłębka.

Poszedłem dyskretnie za Bajeczką. Niedaleko. Już w pierwszej zagrodzie w Karczmisku kupiła ów ser i zaraz wróciła na jacht. A ja miałem uczucie, że jestem nikczemnikiem.

Po południu wiatr ucichł, ale to nie miało dla mnie żadnego znaczenia, bo i tak dalszą drogę należało przebyć przy pomocy wiosł.

— No cóż, ruszamy! — zdecydowałem około czwartej.

Raptownie chwyciła mnie za rękę.

— Niech pan nie spotyka się z Dianą Denver. Błagam pana!

— Dlaczego?

— Pan naprawdę wierzy, że jest pan superpodrywaczem, jak pana nazwali ci chłopcy w Siemianach? To przecież nieprawda. Spotkanie z Dianą Denver jest pułapką.

— Skąd pani o tym wie?

— Nie wiem tego na pewno. Ale czuję. Nie chcę i nie potrafię panu wyjaśnić, dlaczego tak myślę. Znam ludzi, którzy otaczają Dianę Denver. Oni nie życzą panu nic dobrego.

— Batura? — zapytałem.

To nazwisko jakby nic jej nie mówiło. Nawet nie drgnęła.

— Powiem panu tyle, ile mogę — rzekła z powagą. — Słyszałam o historii nad Jeziorem Drwęckim. Wtedy nie zaszło żadne nieporozumienie. Dianę Denver chciano porwać naprawdę. I pan w tym przeszkodził. Zemszczą się na panu.

— Kto? — krzyknąłem.

Nie załamała się. Ten okrzyk jakby ją otrzeźwił. Puściła moją rękę, zniżyła głos i szepnęła:

— Nie powiem nic więcej. Wiem, że moje ostrzeżenia nie zdadzą się na nic. Byłam związana z tymi ludźmi i, dowiedziawszy się, co knują, rozstałam się z nimi. Ale nie mogę ich zdradzić. I tak panu za wiele wyjawiałam.

Prosiłem ją, przekonywałem, namawiałem, aby mi wyznała całą prawdę. Nie chciała. A ja czułem, że muszę pójść na spotkanie z Dianą Denver. Słowa Bajeczki potwierdzały obawy, z których aktorka zwierzyła mi się u Lejwody. To nie były żadne urojenia reklamowe, jak wmawiał we mnie Waldemar Batura.

— Płyniemy — zdecydowałem, chwytając za wiosło.

Bajeczka zrobiła to samo, ale z największą niechęcią.

Po chwili ogarnął nas półmrok. Znaleźliśmy się pod łukiem kamiennego mostu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

HISTORIA PIĘKNEJ CHRISTY • CZARNA DAMA PAŁACU
W KARNITACH • ZJAWISKO JEDYNE NA ŚWIECIE • TAR-
ZAN, KRÓL MAŁP • JESZCZE JEDEN KONKURENT DO SER-
CA PIĘKNEJ AKTORKI • CO UCZYNIŁBY WALDEMAR BA-
TURA? • W DRODZE NA SPOTKANIE • W KRZAKU CZE-
REMCHY • PAN DOMINI OSTRZEGA PRZEDE MNĄ • JESTEM
NA USŁUGACH GANGSTERÓW • RANDKA W KRAJOBRA-
ZOWYM PARKU • PACHNĄCA DŁOŃ PANNY D.D. • DZIWNE
OPINIE BATURY • W PUŁAPCE

Stare dokumenty opowiadają, że w 1470 roku mistrz Krzyżaków, Henryk von Richtenberg, zapisał Boreczno wraz z Mózgowiem, dworem w Śliwie i folwarkiem zakonnym w Karnitach — dowódcy wojsk zaciężnych, Hanuszowi Schöneichowi, który okazał mu dużą pomoc w dopiero co zakończonej wojnie trzynastoletniej z Kazimierzem Jagiellończykiem. Pochodzący ze Śląska ród Schöneichów długo władał darowanymi mu ziemiami, aż w końcu — prawdopodobnie w związku z małżeństwem którejś z kobiet — folwark w Karnitach znalazł się w posiadaniu uszlachconej jeszcze w czternastym wieku rodziny bogatych mieszczan z Rygi, Albedyllów. W 1720 roku jeden z Albedyllów, Christer Henryk Albedyll, uzyskał tytuł barona od króla szwedzkiego. Co zaś tyczy owych Schöneichów, niektórzy z nich, już w połowie siedemnastego wieku, służyli w Polsce i przybrali nazwisko Krasnodębskich.

W 1856 roku wzniesiono w Karnitach piękny neogotycki pałac, zapewne za sprawą Gustawa Albedylla. W kilkadziesiąt lat później jego wnuczka Christa, urodzona około 1905 roku, została panią Karnit. Mając dwadzieścia jeden lat, wyszła za mąż za Arnolda von Guntera. Niestety, nie było to udane małżeństwo i już w 1932 roku Christa rozeszła się z mężem. Podobno była to kobieta bardzo piękna i niezwykle przywiązana do swojego pałacu, którego neogotyckie wieże górowały nad Jeziorem Karnickim. Gdy pod koniec stycznia 1945 roku wojska Drugiego Frontu Białoruskiego przełamały opór wojsk hitlerowskich i zbliżyły się do Karnit, czterdziestoletnia wówczas Christa popełniła samobójstwo.

Nie wiadomo dokładnie, gdzie ją pochowano. Niektórzy twierdzą, że leży ona wśród mogił i grobowców swoich krewnych, na malowniczym cmentarzyku w pobliżu pałacu. Opowiadają, że w jesienne, wietrzne noce po komnatach pałacowych i po parku na stoku wzgórza snuje się jakaś czarna postać kobieca, pierzchająca na widok żywych ludzi.

Ale pałac w Karnitach z jego romantycznym parkiem i jeziorem nie potrzebuje aż legendy o duchu Christy Albedyll, aby wydawać się niezwykle tajemniczym i urokliwym. Piętrowy, z arkadowym podjazdem i dwiema basztami zwieńczonymi krenelazem — wygląda z daleka jak stara ponura forteca, choć stanowi jedynie, jej imitację. Piękne schody z krążankiem, belkowane stropy w niektórych komnatach, neogotyckie kominki, wszystko to mówi o skłonnościach do romantyzmu u dawnych właścicieli pałacu. O tej samej skłonności świadczą malownicze resztki bastionów i obwarowań w parku, wzniesionych tylko po to, aby pałacowi nadać charakter starożytnej, tajemniczej siedziby.

Obecnie w komnatach, zamieszkałych kiedyś przez Albedyllów, mieści się biuro pegeeru. Pałac i otoczenie są zaniedbane. Stwierdziłem to jeszcze przed dwoma laty, gdy jeden z wielkich zakładów produkcyjnych chciał zagospodarować zarówno pałac, jak i Jezioro Karnickie, postanawiając urządzić tutaj ośrodek rekreacyjny. Niestety, do przekazania pałacu i parku nie doszło, gdyż kierownictwo zakładu zamierzało wybudować w parku krajobrazowym basen kąpielowy, a wśród romantycznych bastionów i obwarowań — dziesiątki domków kempingowych. Centralny Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków, na skutek mojej opinii, przeciwstawił się tym zakusom i pałac pozostał własnością pegeerów, choć nie byli to dla niego najlepsi gospodarze.

Tego roku pałac w Karnitach wynajęła na kilka tygodni ekipa filmowa. Scenografowie i dekoratorzy adaptowali wnętrza komnat pałacowych, wyposażając je — jak słyszałem — w zakupione i wypożyczone od muzeów i osób prywatnych stare meble, dywany, żyrandole i świeczniki, aby miejsce to stało się podobne do siedziby szalonego barona. Po komnatach, tam gdzie ongiś spacerowała piękna Christa, teraz — w świetle jupiterów filmowych — paradowała, może jeszcze urodziwsza, Diana Denver.

I jeszcze o jednej sprawie warto wspomnieć. Przez środek Jeziora Karnickiego ciągnie się Kanał Elbląski, co jest czymś zadziwiającym. Myślę, że nigdzie indziej na świecie nie zdarzyło się, aby kanał „przechodził” przez środek jeziora, i to nieco powyżej lustra wody. Konieczność zbudowania czegoś takiego wyniknęła z faktu, że Jezioro Karnickie leży o trzy metry poniżej poziomu Jezioraka. Wody z jezior, które łączył Kanał Elbląski — po prostu uciekłyby, zalewając łąki pastwisk i pól. Usypano więc przez środek Jeziora Karnickiego groblę i w owej grobli wykopano kanał, podziemnymi rurami łącząc obydwie części akwenu. I tak oto posuwając się Kanałem Elbląskim płynie się niejako ponad Jeziorem Karnic-

kim, co łatwo stwierdzić, gdy wyjdzie się w tym miejscu na brzeg grobli: lustro jeziora leży poniżej poziomu wody w kanale.

„Krasula” nie była przystosowana do cumowania w kanałach, po których kursują statki pasażerskie i holuje się tratwy; nie miała odpowiedniego oświetlenia. Nie pozostało mi więc nic innego, jak zarzucić kotwicę na jeziorze Dauby, u wejścia do kanału, i odbyć prawie czterokilometrową pieszą wędrówkę przez pola. Ale czy mogło to stanowić przeszkodę dla mężczyzny, którego o pomoc poprosiła kobieta z wielkimi niebieskimi oczami?

Dauby — to małe malownicze jezioro, o kształcie wydłużonym, ciągnące się z południa na północ. Mniej więcej w połowie wschodniego brzegu znajduje się wejście do kanału. Już z daleka zobaczyliśmy, że kotwiczony tam jakiś duży biały jacht, a gdy podплыliśmy bliżej, rozpoznałem w nim „Lorda Jima”.

Jeszcze nawet nie zdołaliśmy rzucić kotwicy w jego sąsiedztwie, a Tarzan już wybiegł z kabiny na pokład i, zrobiwszy z dłoni trąbkę, krzyknął w naszym kierunku.

— Nie możecie zatrzymać się gdzieś dalej? Tyle tu miejsca, a wy pchacie się akurat koło mnie. Że też człowiek nigdzie nie może mieć spokoju i chwili odosobnienia. . .

Urwał, rozpoznawszy „Krasulę” i mnie.

— To pan, panie komik? — roześmiał się. — Ciągle jeszcze nie zmienił pan nazwy swojej łajby? Za boki się można brać, gdy człowiek przeczyta na jachcie napis: „Krasula”.

— Mnie się ta nazwa podoba — odkrzyknąłem przyjaźnie. — Proszę się także nie obawiać, że zdradzimy tajemnicę filmu.

Lekceważąco machnął ręką.

— Ja już od dwóch dni dla filmu nie pracuję. Zdjęcia na jachcie zostały zakończone. Ale zgodnie z umową, „Lorda Jima” mam właścicielowi odprowadzić dopiero za tydzień, więc jeszcze trochę cieszę się i jachtem, i swobodą. Lubię samotne pływanie.

— Rozumiem — kiwnąłem głową. — Ja też lubię samotne pływanie. A pan wybiera się na Jeziorak?

— Skąd to panu przyszło do głowy? — spytał z wyraźnym niepokojem w głosie.

— Bo ma pan maszt położony. . .

— A tak, rzeczywiście — przytaknął. A potem szybko zmienił temat. — Pan też lubi samotność. Ale samotność we dwoje — zachichotał, spoglądając na Bajeczkę.

Po chwili dodał:

— Ja panią już gdzieś widziałem. . .

Bajeczka odwróciła się i weszła do kabiny. Odniosłem wrażenie, że ona wie, kim jest Tarzan, ale chce uniknąć rozpoznania.

Lecz on miał dobrą pamięć.

— Już wiem! — wykrzyknął. — Pani także kręciła się koło filmu. Jest pani przyjaciółką drugiego scenografa, pana Batury.

— Byłam nią — odpowiedziała Bajeczka, wystawiając głowę z kabiny.

Ta informacja jak gdyby zaniepokoiła Tarzana.

— I porzuciła go pani dla pana komika? — zdumiał się. — I film, i wszystko?

— Co pan ma na myśli mówiąc: „wszystko”? — niechętnie zapytała dziewczyna.

— Słyszałem, że miała pani wyjechać potem na pewien czas do Anglii, wraz z ekipą filmową — oświadczył.

Bajeczka nic nie odpowiedziała. Ze złością chwyciła wiosło i, nawet nie prosząc o pomoc, odpłynęła „Krasulą” o sto metrów od „Lorda Jima”. Dopiero tutaj rzuciliśmy kotwicę.

— Mogłem się tego domyślić. Przyjaciółka Waldemara Batury — powiedziałem. — To on kazał pani podrzucić mi złotą rękawiczkę. To pani była tą dziewczyną, która wczesną wiosną płynęła szlakiem „Szkwała”, z nim i ze Śliwowskim.

— Tak. Ale to wszystko jest przeszłością. Podobnie jak i Waldek Batura — odparła. — A jeżeli chodzi o tego młodzieńca na „Lordzie Jimie”, to radzę wobec niego daleko posuniętą ostrożność. Niech pan się wobec niego nie zdradzi, że umówił się pan z Dianą Denver. Jest w niej zakochany, choć nie ma żadnych szans. Myślę, że tylko z tego powodu, zamiast odstawić jacht właścicielowi, pozostał tutaj. Chce być jak najbliżej Diany Denver, chociaż popatrzeć na nią z oddali.

Myślę, że mówiła prawdę. Bo zaledwie zakotwiczyliśmy i Bajeczka zabrała się do robienia kolacji, brzegiem jeziora nadszedł Tarzan i, zapomniawszy o swoim pragnieniu samotności, wdrapał się na naszą łajbę. Zapewne nurtował go niepokój, związany z naszą obecnością w pobliżu Karnit.

— Wybieracie się do pałacu, aby obejrzeć, jak się robi zdjęcia do filmu? — zagadał do nas, bezceremonialnie sadowiac się na ławie w kokpicie.

— Być może — skinąłem głową. — Zaprosił mnie tam Templer.

— To wariat — stwierdził Tarzan. — W każdym filmie bije się z kimś i już nie potrafi żyć bez wszczynania bójk. Gdyby nie to, że musi on grać w filmie, wtedy nad Jeziorem Drwęckim rozkwaśliłbym mu gębę. Jestem od niego trzy razy silniejszy.

To mówiąc, z dumą pokazał nam swój tors gladiatora i ogromne mięśnie.

— Pan też potrafi walczyć, choć wygląda pan na chuchraka — rzucił komplement pod moim adresem, zapewne, aby zyskać sobie moją życzliwość. — Miałem pana za komika, tymczasem odebrał pan dziewczynę Waldemarowi Baturze. To przystojny facet, a jednak ona poszła z panem. Kto zrozumie kobiety, no nie? Diana Denver też kilka razy mówiła coś w związku z panem. „Monsieur la Bagnolette” i „Monsieur la Bagnolette”, tak gadała do Templera. Co to jest ta banoleta?

— To ja — oświadczyłem.

— Banioleta? Myślałem, że pan jest mężczyzną.

— La bagnole to po francusku: rupieć, wrak, ukochany samochód, a bagnollette — to zdrobnienie od tego.

— I niby pan jest ten wrak czy ukochany samochód? — zrobił się podejrzliwy, bo myślał, że z niego szydę.

— Przyjaciele nazywają mnie: Pan Samochodzik. Po francusku to brzmi: Monsieur la Bagnolette — tłumaczyłem.

— Komik, jak Boga kocham, komik! — klepnął się po udach Tarzan. — Jacht pana nazywa się „Krasula”, a pan: „Samochodzik”. Czy to nie komedia? Okazuje się, że kobiety lubią takie zgrywy. Może i dla mnie znajdzie pan jakieś pseudo?

— Tarzan — zaproponowałem bez namysłu.

Zastanowił się, szukając w pamięci, kto to był Tarzan. Przypomniał sobie:

— Słyszałem o nim. Tak, czytałem coś o nim — i uderzył się pięścią w potężny tors, wydając przy tym jakieś huczące, przeraźliwe dźwięki.

— Tarzan, król małp — odezwała się Bajeczka.

— Że niby co? Król małp? — obraził się Tarzan. — Pani uważa, że jestem małpa? Niech no pani to jeszcze raz powtórzy. . .

— Tarzan był człowiekiem, ale rozumiał język małp, dlatego nazywano go ich królem — pośpieszyłem z obroną dziewczyny. — Pan powinien więcej czytać. I uczyć się języków obcych. Przez nieznamość angielskiego miał pan kłopoty z Templerem. Z Dianą Denver też panu się trudno było dogadać.

— To prawda — westchnął Tarzan. — Ale ja dużo ćwiczę na drażku i nie starcza mi czasu na naukę języków. Do tej pory zresztą nie było to mi wcale potrzebne. Jeśli mężczyzna wygląda tak jak ja, może się z dziewczyną nawet na migi dogadać, no nie? Wiem coś o tym, bo trzy lata z rzędu byłem ratownikiem na plaży i uczyłem pływać nawet cudzoziemki.

Ponieważ nie podtrzymywaliśmy dłużej rozmowy, Tarzan po jakimś czasie zabrał się z jachtu i poszedł na „Lorda Jima”.

— Zje pan coś przed swoją randką, Panie Banioleta? — spytała mnie złośliwie Bajeczka.

— Owszem. Ostatnio zaczęło mi to sprawiać pewną przyjemność. Dostałem chleb z serem i gorącą herbatę.

— Gdyby tak można było kupić pomidory — rozmarzyła się Bajeczka — z pomidorów umiem robić przeróżne sałatki, kanapki. . .

— Waldkowi też pani robiła sałatki z pomidorów? — zapytałem.

Zarumieniła się.

— Owszem. Od marca do czerwca. Do połowy czerwca — sprecyzowała. — Nie jest to pomidorowy okres, Panie Banioleta. Kanapki i sałatki robiłam z czego innego.

— Czy jadł z równie dużym apetytem, jak ja? — nie przestawałem jej doku-
czać, bo irytowała mnie świadomość, że ona pewnie nieustannie porównuje nas
ze sobą.

Zrozumiała, co czuję, bo oświadczyła:

— Jesteście zupełnie różnymi ludźmi. On nie poszedłby na takie spotkanie,
jakie zaproponowała panu Diana Denver. Wietrzyłby w tym podstęp. Bo dlaczego
umówiła się z panem w parku, na osobności, w największej tajemnicy?

— Ma do mnie sprawę, która wymaga omówienia bez świadków. Boi się po-
rwania, a podejrzewa, że porywacze są w ekipie. Nie powiedziała mi tego, ale to
jest dla mnie oczywiste.

— Pan wie, że u nas nie zdarzają się porwania. Nie, Batura nie poszedłby na
takie spotkanie.

— A ja pójdę! Właśnie, że pójdę!

Przełknąłem ostatni kęs chleba z serem i, chwyciwszy swoje gumki, zesko-
czyłem z łajby na płyciznę. Na brzegu wzułem buty, zasunąłem ekler w swojej
żeglarskiej kurtce i, pożegnawszy Bajeczkę, pomaszerowałem przez pola w stro-
nę Karnit.

Zbliżała się siódma wieczorem.

Szedłem rażno ścieżkami wśród pól, aż wreszcie ujrzałem drzewa obrastające
Jezioro Karnickie i dwie wieże pałacowe zwieńczone krenelażem. Do zapadnięcia
ciemności pozostawało jeszcze dużo czasu, ale niebo zasnuwały chmury i wśród
drzew w parku zaczynało szarzeć. Nie chciałem, aby ktoś mnie zauważył, więc
bardzo ostrożnie, od pnia do pnia, od krzaka do krzaka, dotarłem powoli na skraj
podwórca pałacowego. Spoza dużej czeremchy widziałem dokładnie cały fronton
pałacu oraz niewielką przystań. Cumowała tu makieta „Lorda Jima”. Domyśliłem
się, że na zdjęciach robionych z okien pałacu albo z balkonu nad arkadowym
podjazdem miało się znajdować nie tylko jezioro, ale i jacht przy brzegu. Do tego
właśnie służyła makieta.

Prawdopodobnie zakończono już dzisiejszy plan zdjęciowy. W dużym auto-
karze sadowiła się właśnie ekipa techniczna, która mieszkała w Ostródzie, w ho-
telu „Panorama”. Po chwili autokar odjechał, ale przed podjazdem pozostał jesz-
cze fiat yellow bahama oraz niebieski trabant. Za kierownicą trabanta drzemał
jakiś mężczyzna, który wydał mi się znajomy. Tak, to był mąż Wszędobylskiej
Hanny z tygodnika „Szanuj zielen”. A więc zgodnie z zapowiedzią dziennikarka
trafiła do Karnit i teraz zapewne maglowała Świętego i pannę D.D. Należało się
spodziewać, że panna D.D. nie wyrwie się tak szybko z gmatwaniny jej pytań
i spóźni się na spotkanie. W tej sytuacji postanowiłem przespacerować się tro-
chę po parku. Już miałem opuścić gościnny krzak czeremchy, gdy zobaczyłem,
że z drzwi pałacowych wychodzi pan Lejwoda w towarzystwie Joanny oraz pro-
ducenta filmowego, pana Angelo Domini. Domyśliłem się więc, że fiat koloru
yellow bahama należy do Billa Arizony.

— Oczywiście, możemy się trochę przejść po parku, panie Lejwoda — mówił Angelo Domini — ale na odjazd państwa się nie zgadzam. Zobowiązuję pana i panią do pozostania u nas na kolacji. Tę dziennikarkę także zaprosiłem i mam nadzieję, że dzięki panu uda mi się oderwać ją od aktorów, w przeciwnym razie zamęczy ona Moore'a i pannę Denver. Jutro, od wczesnego rana, znowu mają zdjęcia, powinni być wyspani i wypoczęci. Powiedziałem tej dziennikarce, że pan udzieli jej wywiadu.

— Innymi słowy, mnie pozwala pan męczyć — roześmiał się Lejwoda.

— Panu się to należy — oświadczył Angelo Domini. — Uważam, że zbyt-
nio ulega pan żądaniom panny Denver. Ona gotowa przewrócić cały scenariusz, byle tylko móc się pokazać w najdramatyczniejszych scenach. Panna D.D. chce zaćmić sławą słynną B.B., a ja mam za to płacić forszą, która zresztą nie należy do mnie. Pan zdaje sobie chyba sprawę, że na produkcję tego filmu złożyło się paru biznesmenów, a ja po prostu nadzoruję wspólne wydatki. Na domiar złego, znowu odezwali się porywacze. Grożą, że jeśli nie zapłacę im okupu, wykradną mi aktorkę. Same kłopoty.

— Grożą panu? — przeraził się Lejwoda.

— Psst! — pan Domini położył palec na ustach. — Dostałem list z takim żądaniem, ale o tym nie należy nikomu mówić, żeby nie powodować paniki. Mogę jednak panu przysiąc, że żadnego okupu nie zapłacę. Nie jesteśmy we Włoszech ani w RFN. Zapewniono mnie, że porywacze nie mają tu żadnych możliwości działania.

— Czy o tym liście powiadomił pan milicję?

— O nie, przyjacielu. Tego na pewno nie uczynię. Mogę sobie lekceważyć ich pogroźki i żądania, ale za kontakty z milicją bandyci gotowi się zemścić. A zemścić się jest łatwo nawet w tutejszych warunkach. Wystarczy, że podadzą pannie D.D. i Świętemu jakiś trujący środek w jedzeniu. Aktorzy rozchorują się, nastąpi przerwa w zdjęciach i poniesiemy straty finansowe. Rzecz jasna, nie zapomniałem o środkach bezpieczeństwa. Oto i pan Batura. . .

W tym momencie z piskiem opon zahamował przed arkadowym podjazdem piękny BMW turbo. Wsiadł z niego Batura w towarzystwie dwóch osiłków o tę-
pych twarzach i potężnych barach.

— Załatwiłem sprawę, jak mogłem najlepiej, panie Domini — zameldował Batura. — Przywiozłem dwóch osobników, którzy świetnie nadają się do pracy w charakterze „goryli” panny D.D. Kiedyś próbowali swych sił w boksie i w podnoszeniu ciężarów, ale zgubił ich alkohol i udział w przeróżnych bójkach. Krzepy jednak mają dosyć. No, Zenek — zwrócił się po polsku do jednego z nich — pokaż temu makaroniarzowi swoje muskuły.

Zenek zdjął powoli marynarkę, rzucił ją niedbale na dach samochodu, zakasał rękaw koszuli i ukazał panu Domini swoje potężne muskuły.

— Są jak z żelaza — pochwalił się, stukając w nie palcem.

— Są jak z żelaza — powtórzył po angielsku Waldemar Batura.

Angelo Domini z zadowoleniem zatarł swoje małe, pulchne dłonie.

— To świetnie, panie Batura. To znakomicie. Zna się pan nie tylko na sztuce, ale jak się okazuje, jest pan również człowiekiem, któremu można powierzać dyskretne zadania. Taki człowiek przyda mi się w mojej dalszej pracy. Na widok tych goryli oddycham z ulgą. Wyobrażam sobie, jak jesteście zmęczeni podróżą z Warszawy, i zapraszam was na kolację, którą wkrótce podadzą w głównym salonie na parterze. No co, czujecie głód? — zagadnął goryli.

Gdy Batura przetłumaczył im jego słowa, obydwaj wrzasnęli chórem:

— To jasne! Bardzo chcemy wrzucić coś na ruszt.

Waldemar Batura poprowadził ich do pałacu, a pan Domini, Lejwoda i Joanna jeszcze przez chwilę pozostali na podjeździe. Joanna nie zabierała do tej pory głosu, bo nie znając angielskiego, niewiele chyba rozumiała z całej rozmowy.

Domini zwrócił się do Lejwody z pytaniem, które mnie aż poruszyło w moim krzaku czeremchy.

— Czy mógłby pan powiedzieć, kim jest ten dziwny osobnik, którego w swoim czasie poznałem nad Jeziorem Drwęckim, a później spotkałem u pana na przyjęciu? Mam na myśli owego Samochodzika.

— Pani Joanna zna go o wiele bliżej niż ja — odparł Lejwoda i pytanie producenta przetłumaczył Joannie.

— To człowiek na wskroś uczciwy. Pracuje w Centralnym Zarządzie Muzeów i Ochrony Zabytków — scharakteryzowała moją osobę Joanna. — Zajmuje się muzealnictwem, zabytkami, fałszerzami dzieł sztuki. Skąd to zainteresowanie jego osobą?

Angelo Domini dość długo zastanawiał się nad odpowiedzią. Jakby wahał się, czy może podzielić się z Lejwodą i Joanną swoimi myślami.

— Batura ostrzegał mnie przed nim — powiedział wreszcie. — Jego zdaniem, ów Monsieur la Bagnolette jest powiązany z międzynarodowymi gangami złodziei i handlarzy dzieł sztuki, co oczywiście nie przeszkadza mu pracować w charakterze detektywa i wykrywać drobne płoćki przestępczego światka. Wiadomo o jego związkach ze słynnym gangiem „Niewidzialnych”...

A więc powróciła fałszywym echem historia mojej walki z „Niewidzialnymi”, którzy usiłowali swoją działalność rozprzestrzenić na teren Polski. Było to przed rokiem, Batura wtedy nawet przez jakiś czas współpracował ze mną i wiedział o moich kontaktach z nimi. Te kontakty musiałem nawiązać, aby potem ich zde-maskować i rozproszyć.

— I co ty na to, Joanno? — zapytał Lejwoda panią Gromską.

A ona wyparła się mnie po raz pierwszy.

— No cóż, to człowiek bardzo tajemniczy...

— Czy zwróciliście państwo uwagę, że on bardzo interesował się Dianą Denver? — rzekł pan Domini. — Na przyjęciu u was nie spuszczał jej z oczu.

— Ale o ile mi wiadomo, wspólnie z Templerem obronił Dianę Denver na Jeziorze Drwęckim — przypomniał Lejwoda.

— To było nieporozumienie. A zresztą cała ta historia mogła być zainicjowana tylko po to, aby on mógł odegrać rolę obrońcy i wkraść się w nasze zaufanie. „Niewidzialni” zajmowali się do tej pory tylko kradzieżami dzieł sztuki. Ale kto wie, czy nie przerzucili się na porwania?

Miałem ochotę wyjść z krzaka czeremchy i rozłożyć go na trawie jednym chwytem dżudo. Ale do umiejętności detektywa należy zachowanie zimnej krwi w każdej sytuacji. Słuchałem więc dalej.

— Radzę państwu większą ostrożność wobec tego człowieka — rzekł Domini. — List, który otrzymałem i zaraz po przeczytaniu zniszczyłem, bo takie było w nim polecenie, pisany był po angielsku, ale nadano go tutaj. Nosił stempel pocztowy Jerzwałdu, a więc nie jest wykluczone, że został wrzucony do skrzynki w Siemianach. Ten człowiek świetnie zna angielski i był wówczas w Siemianach, bo spotkałem go u was na przyjęciu. Nie jest też wykluczone, że działa na zlecenie „Niewidzialnych” albo zgoła na własną rękę. Czym on tłumaczy swoją obecność w tych okolicach?

— Szuka pewnego ludowego poety — powiedziała pani Joanna. — Znalazł wiersz, a teraz chce poznać nazwisko autora.

— Czy dużo mu za to zapłaca?

— Nic. Robi to bezinteresownie — odparła pani Gromska, trochę zaskoczona pytaniem pana Domini.

— A więc to albo wariat, albo cała sprawa jest jedynie pretekstem. Jeśli słyszę, że ktoś robi coś bezinteresownie, natychmiast staję się podejrzliwy.

Lejwoda usiłował mnie bronić.

— Pan nie zna naszych stosunków społecznych — przerwał producentowi. — U nas wiele ludzi działa bezinteresownie, dla dobra ogółu.

— Tak, tak, słyszałem o tym — kiwnął głową Domini. — Ale na sobie tego nie doświadczyłem. Każdy, do kogo się zwrócę w jakiejś sprawie, żąda zielonych dolarowych papierków albo funtów, albo lirów. Pan też nie napisał dla mnie scenariusza za darmo, bezinteresownie, panie Lejwoda.

— Po pierwsze, pan nie jest ogółem, a po drugie, muszę przecież z czegoś żyć — odparł scenarzysta.

— A właśnie. I tu leży pies pogrzebany — roześmiał się pan Domini.

Objąwszy ramieniem Lejwodę i panią Joannę, wprowadził ich do pałacu.

Byłem wściekły i rozgoryczony, ale powtarzałem sobie: „Zachowaj zimną krew, Tomaszu. Ci ludzie knują jakieś wielkie draństwo i przeszkadza im twoja osoba. Czas pokaże, do czego zmierzają”.

Przed podjazdem do pałacu nie było teraz już nikogo, jeśli nie liczyć śpiącego za kierownicą męża Wszędobylskiej Hanny. Ostrożnie wysunąłem się z krzaka,

zszedłem na brzeg jeziora, ominałem pałac i znalazłem się po drugiej stronie parku. Teren był tu pofalowany, na dwóch pagórkach kryły się resztki murów owych romantycznych bastionów. Między pagórkami przebiegał głęboki wąwóz. Przed laty przerzucono nad nim most, po którym dziś tylko nikłe ślady pozostały. Starą drogą od pałacu, pośród wiekowych drzew, dochodziło się do małego cmentarza z grobowcami Albedyllów. Niektóre grobowce były zdewastowane w czasie działań wojennych, gdy to buszowały hieny cmentarne, gotowe obedrzyć z pierścionka czy obrączki nawet nieboszczyka.

Powoli nadchodziła noc. Wsparłem się o pień sosny rosnącej w pobliżu cmentarzyka i zapaliłem papierosa. Przez gałęzie drzew widziałem światła w oknach pałacu, a kiedy spojrzałem na fosforyzujące wskazówki zegarka, przekonałem się, że zbliża się dwudziesta piętnaście, a więc panna D.D. była już spóźniona o kwadrans. Przez chwilę pomyślałem, że może w ogóle nie przyjdzie, a zamiast niej pojawi się Czarna Dama, o której mówiła tutejsza legenda. Kto wie, czy nie wolałbym przeżyć właśnie czegoś takiego?

Minęła dwudziesta trzydzieści. Raptem usłyszałem odgłos kroków. Ktoś szedł w stronę pałacu ścieżką wzdłuż brzegów jeziora. Ścieżka biegła poniżej wzgórza, na którym stałem, i choć wiła się wśród krzaków i drzew, to przecież niektóre jej odcinki były dla mnie widoczne.

Szedł jakiś mężczyzna. Powoli, ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony. Przez moment jego sylwetka i ruchy wydawały mi się znajome, pomyślałem, że jest to Tarzan z „Lorda Jima”. Ale czy tego rodzaju wrażenia nie podyktowała mi przestroga Bajeczki, że Tarzan jest zadurzony w pannie D.D. i tylko ze względu na jej osobę nie odpłynął do Ostródy?

Tajemniczy mężczyzna zniknął mi z oczu. Zapaliłem znów papierosa i wtedy jakaś inna sylwetka pojawiła się na sąsiednim wzgórzu. Potem zbiegła w wąwóz i zaczęła się wspinać ku mnie.

„Czarna Dama” — przebiegło mi przez myśl najwłaściwsze określenie dla zbliżającej się postaci. Bo okrywała ją czarna długa chusta, a ruchy miała tak lekkie i zgrabne, że wydawało się — jakiś duch bezszelestnie płynie nad ziemią.

Czarna dama dostrzegła ogień mojego papierosa i usłyszałem melodyjny głos:

— Czy to pan, Monsieur la Bagnolette?

— Tak — odpowiedziałem, odrywając plecy od pnia drzewa.

Podążyła do ucałowania ciepłą, małą rękę. Znów poczułem woń owych dziwnych, zachwycających perfum. Poprawiła na głowie czarną chustkę i przez kilka sekund jej jasne włosy błysnęły w mroku zapadającej nocy.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedziała śpiewnie. — Najpierw męczyła mnie pytaniami dziennikarka z pisma „Szauj zieleń”, a potem była kolacja. Na szczęście pan Domini kazał aktorom natychmiast pójść do łóżek, żebyśmy byli wypoczęci do jutrzejszych zdjęć. Reszta towarzystwa pozostała na kolacji. Mogłam niepostrzeżenie wyrwać się tutaj. Ale zimno, prawda?

Zadrzała pod swoją czarną chustą, jakby rzeczywiście było chłodno. A mnie wieczór wydawał się wyjątkowo ciepły.

— Komary brzęczą — poskarżyła się.

— To prawda — zgodziłem się.

Od strony jeziora rzeczywiście nieustannie nadlatywały te krwiożercze potwory zdolne zepsuć nawet najbardziej romantyczne spotkanie.

— Najlepiej będzie, jeśli zabiorę pana do siebie — powiedziała. — Nikt nas nie zauważy, bo znam tylne wejście. Wprowadzę nim pana.

Moja ręka pozostawała w ciepłej dłoni panny Diany, która mimo zapadających ciemności pewnie i szybko prowadziła mnie przez park w stronę pałacu. Nieustannie wdychałem zapach jej perfum — egzotyczny i upajający aż do zawrotu głowy. Gdy znaleźliśmy się tuż obok schodków wiodących na taras, panna D.D. zatrzymała się na chwilę i, zbliżając swoje usta do mego ucha, szepnęła:

— Nigdy nie miałam prawdziwego i bezinteresownego przyjaciela. Ci ludzie tam — wskazała wzrokiem oświetlone okna na parterze — pragną tylko dorobić się majątku na mojej urodzie i talencie. Pan jest inny. Wiele dobrego słyszałam o panu od Waldemara Batury.

— Od niego? — zdumiałem się.

Okazywało się, że Batura każdemu zupełnie co innego opowiadał o mojej osobie. Panu Domini przedstawił mnie jako podejrzanego typa powiązanego ze strasliwym gangiem „Niewidzialnych”. A pannie D.D. — jako człowieka bezinteresownego, romantycznego, wspaniałego materiału na przyjaciela.

Mnie zaś ostrzegał przed Dianą Denver, charakteryzując ją jako osobę o wielkich ambicjach i na domiar pełną urojeń. „Ciekawe, co powiedziała by mi o Bajeczce?” — pomyślałem.

— Chcę, abyśmy zostali przyjaciółmi — szepnęła Diana Denver i pogłaskała mnie po policzku.

Z wdzięcznością i ogromnym uczuciem ucałowałem jej dłoń. A potem Diana Denver powiodła mnie na taras, skąd wyszliśmy na mroczną, słabo oświetloną klatkę schodową. Przez uchylone drzwi bocznej sali doszedł nas brzęk szklanek i kieliszków oraz urywki głośnej rozmowy prowadzonej przez kilka osób. Zapewne to właśnie tam odbywała się kolacja wydana przez producenta. Ponad inne wybijał się donośny głos Wszędobylskiej Hanny z tygodnika „Szanuj zieleni”.

— Mieszkam w lewej wieży, na drugim piętrze — poinformowała mnie panna D.D.

Po pięknych drewnianych schodach wspięliśmy się na pierwsze piętro, dalej prowadził ciasny korytarzyk i schody oświetlone zakurzoną żarówką. Zatrzymaliśmy się przed grubymi dębowymi drzwiami.

Klucz tkwił w zamku. Panna D.D. przekreśliła go i weszliśmy do niedużego pokoju, w którym królowało ogromne staroświeckie łóżko z baldachimem.

U sufitu wisiał wspaniały mosiężny żyrandol, meble stojące pod ścianami były w najlepszym stylu. Cały zresztą pokój urządzone z wyrafinowanym smakiem.

— To sypialnia szalonego barona — wyjaśniła panna D.D. — Gdy zakończono tu robienie zdjęć, pan Domini dał mi ten pokój, ponieważ znajduje się na uboczu i jest wygodnie urządzone.

Zapaliła stojącą przy łóżku lampę z abażurem w kształcie kielicha tulipanu, dającą łagodne bladożółte światło.

Rozglądałem się po pokoju, oceniając wartość zebranych w nim mebli, a Diana Denver zdjęła okrywającą ją ciemną chustkę. Zobaczyłem, że jest w dzinsach i błękitnym sweterku z dużym dekoltem, przysłoniętym granatową apaszką w białe grochy.

— Napije się pan sherry? — zapytała.

Mój Boże, w iluż sensacyjnych filmach słyszałem pytanie: „Czy wypije pan kieliszek sherry?” Nigdy w życiu nie piłem sherry.

— Tak, oczywiście — wybąkałem.

Diana Denver podeszła do rzeźbionej szafeczki i wyjęła z niej butelkę oraz dwa kieliszki z grubo rżniętego szkła.

— Proszę bardzo, niech się pan rozgości — wskazała mi obszerny, niski fotel pod ścianą.

Rozsiadłem się w nim, a ona podała mi kieliszek pachnącego alkoholu.

— Na przyjęciu u Billa Arizony — powiedziała — Waldemar Batura doradził mi, abym się zwróciła o pomoc właśnie do pana, który już raz uratował mnie przed porywaczami. „Jestem przekonany — rzekł mi pan Batura — że jak każda wielka aktorka jest pani przewrażliwiona i historia z groźącym pani porwaniem została stworzona przez pani bujną imaginację. Niemniej jednak, jeśli pragnie pani większego poczucia bezpieczeństwa, nikt inny jak Monsieur la Bagnolette nie jest w stanie go pani zapewnić”. Tak twierdził i dlatego poprosiłam pana o to spotkanie. Jestem bowiem pewna, że grozi mi porwanie.

Byłem coraz bardziej oszołomiony. Batura wystawiający mi znakomite świadectwo, a zarazem ostrzegający pana Domini, że mogę być powiązany z porywaczami. Radzi Dianie Denver, aby do mnie zwróciła się o ochronę, a jednocześnie sugeruje panu Domini, że to z mojej strony może jej grozić niebezpieczeństwo. Coś tu nie jest w porządku. Ale co?

— Czy ma pani jakieś dane, aby podejrzewać, że istotnie ktoś chce panią porwać? — zapytałem.

— Nie jestem gorszą aktorką od tej, którą porwano w czasie kręcenia poprzedniego filmu pana Domini. Cieszę się zapewne mniejszą sławą, ale to się wkrótce zmieni. Porywacze zdają sobie sprawę, że Domini zapłaci każdą cenę, aby nie nastąpiła przerwa w zdjęciach. A poza tym. . . — zawiesiła głos — . . . wiem, że pan Domini dostał list z pogróżkami.

— To nie ma znaczenia — stwierdziłem uspokajająco. — Zawsze i wszędzie może się znaleźć jakiś łajdak, który usiłuje w nieuczciwy sposób zdobyć pieniądze. Łudzi się, że pogróżki wystarczą, aby pan Domini mu zapłacił. Do porwania jednak nie dojdzie. Nie ma u nas gangsterów i porywaczy w zachodnim stylu.

— Pociesza mnie pan — uśmiechnęła się do mnie promiennie i podeszła bliżej ze swym kieliszkiem sherry. — Wypijmy więc za naszą przyjaźń.

— Za naszą przyjaźń — powtórzyłem.

Wypiła, a ja uczyniłem to samo. Ale nie zdążyłem nawet ocenić smaku sherry, bo raptem ujrzałem, że za plecami panny D.D. bezszelestnie otworzyły się drzwi i stanął w nich zamaskowany mężczyzna w czarnej pelerynie i czarnym hiszpańskim kapeluszu na głowie. W ręce miał inkrustowany pistolet, chyba atrapę zrobioną dla celów filmowych.

— Och! — krzyknęła panna D.D., gdy zauważyła mój zdumiony wzrok i spojrzała za siebie.

Chciałem się zerwać z fotela i doskoczyć do owego mężczyzny, lecz nagle podłoga usunęła się spod moich stóp i wraz z fotelem poleciałem gdzieś w dół, w zupełną ciemność. Wydawało mi się, że to spadanie trwa niezwykle długo, jakbym zrzucony został w studnię bez dna, w rzeczywistości chyba trwało zaledwie moment; fotel raptem zatrzymał się i gwałtownie pochylił ku przodowi. Zdążyłem tylko osłonić twarz rękami przed zderzeniem z twardymi deskami podłogi. Uwolniony od ciężaru mego ciała fotel powrócił do dawnej pozycji i uniół się w górę, zamykając swoją podstawą kwadratowy otwór w suficie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

TAJEMNICZY POKÓJ • DIANA DENVER I PORYWACZE • BEZSILNOŚĆ • CZY JESTEM AKROBATA? • FILM I RZECZYWISTOŚĆ • ZDUMIENIE ŚWIĘTEGO • ROZWAŻANIA O PORWANIU • CO ROBIĆ DALEJ? • TEMPLER KRĘCI SZNUR • PAN TENDRON I JEGO APARAT FOTOGRAFICZNY • STRASZLIWA BÓJKA • ROZPACZ PANA ANGELA DOMINI • WYJAŚNIENIA I OSKARŻENIA • UCIECZKA Z PAŁACU • ZIMNA RĘKA • GDZIE UKRYTO AKTORKE? • W POŚCIGU

Leżałem na brudnej, pokrytej gruzem podłodze i moje oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności, a właściwie do półmroku, bowiem pomieszczenie, do którego wpadłem, miało wąskie pseudogotyckie okno z wybitą szybą i z dworu sączyło się jeszcze nieco światła.

Był to mały pokój, zupełnie pusty, o odrapanych ścianach. W kącie leżał otwarty worek z cementem, a od sufitu do podłogi wmontowane były dwie szyny, po których zjechał fotel z moją osobą. Ten cement i gruz świadczyły, że szyny wmontowano niedawno, zapewne dla potrzeb filmu. Przypomniałem sobie, że zgodnie ze scenariuszem szalony baron miał w swoim pałacu właśnie tego rodzaju sprytnie skonstruowane zapadnie, które wykorzystywał w walce ze Świętym. A więc ten, kto mnie wpakował do tego pomieszczenia, musiał znać urządzenia wprowadzone do pałacu w Karnitach.

W pokoju znajdowały się wąskie drzwi. Gdy je spostrzegłem, natychmiast zerwałem się z podłogi i chwyciłem za klamkę. Przekonałem się jednak, że są zamknięte na klucz, który tkwił w zamku od drugiej strony. Drzwi były dębowe — ramieniem takich nie wyważysz. Walnąłem w nie kilkakrotnie pięścią, ale grube deski tłumiły odgłos uderzeń i tylko pięść mnie rozbolała. Zważyłem, czy ktoś w pałacu zwróciłby uwagę na niezbyt głośny hałas, nawet gdybym w nie walił choćby i pół godziny. Zresztą nie miałem pojęcia, gdzie znajduje się ten pokój i czy w pobliżu ktoś mieszka.

Z kolei rzuciłem się do okna. Może przez nie można będzie wezwać pomocy?

Okno — jak już wspomniałem — było bardzo wąskie i miało wybitą szybę. Wyjrzałem na dwór. Zobaczyłem cichy, pogrążony w mroku park i jezioro. Z tego okna mógłbym długo i bezskutecznie wołać o pomoc, choć oczywiście istniała szansa, że ktoś będzie akurat tędy przechodził albo że mój krzyk dojdzie do uszu kogoś kręcącego się akurat przy arkadowym podejździe. Nocą, jak wiadomo, głos jest wyraźniej słyszalny. Postanowiłem tę nikłą szansę wykorzystać.

Już otwierałem usta, aby dobyć z siebie najgłośniejsze wołanie, gdy ujrzałem na dole, jakieś dziesięć metrów poniżej — cztery postacie. Trzy z nich były w czarnych pelerynach i hiszpańskich kapeluszach, czwarta miała na sobie czarny szal. Nie ulegało wątpliwości, że tą czwartą postacią była panna D.D., którą prowadzili jacyś trzej osobnicy. Twarzy ich nie rozpoznałem, choć chyba nie nosili masek; w mroku — ich oblicza były tylko szarymi plamami.

— Panno Diano! — krzyknąłem. — Co się stało? Dokąd pani idzie?

Panna D.D. zatrzymała się. Zadarła głowę w stronę okienka, przez które wyglądałem, i chciała coś powiedzieć, ale jeden z czarnych osobników zakrył jej usta dłonią, drugi pchnął dziewczynę, aby żwawiej ruszyła do przodu, a trzeci pogroził mi pięścią. Było oczywiste, że panna Denver nie szła z nimi z własnej woli, że została porwana. Bandyci prowadzili ją w głąb parku, może na jakąś boczną drogę, gdzie mogli ukryć samochód.

— Łajdaki! — zawołałem z góry, świadomy swojej bezsilności. — Znajdę was choćby na końcu świata! Nie umkniecie przede mną. Rozprawię się z wami. Ludzie, na pomoc! Ratunkuuuuuu!...

Ale oni udawali, że nie słyszą tych wrzasków, choć chyba ich zaniepokoiły. Przyspieszyli kroku i po chwili przepadli w ciemności między drzewami.

Tuż pod oknem dostrzegłem szeroki na stopę gzyms obiegający piętro pałacu. Gzyms znajdował się na wysokości przynajmniej ośmiu metrów od ziemi, upadek groził śmiercią, w najlepszym zaś razie — połamaniem nóg i rąk. Ale to była jakaś szansa ratunku. Oczywiście mogłem w dalszym ciągu wołać o pomoc. „Lecz czy Simon Templer postąpiłby w ten sposób? — przemknęło mi przez myśl. — Nie. On wylazłby na gzyms i, na podobieństwo muchy przyklepionej do ściany, powędrowałby do okna sąsiedniego pokoju, z którego już wyszedłby drzwiami, z radosnym uśmiechem na twarzy”.

Dziesiątki podobnych scen oglądałem w serialu telewizyjnym pod tytułem „Święty”. Należało tylko zdobyć się na odrobinę odwagi i zręczności.

Z trudem precyzyjnie się przecisnąłem przez wąskie okienko i sięgnąłem butami gzymsu. Zrobiłem to chyba zbyt gwałtownie, bo jedna z cegieł, być może obluzowana, urwała się i spadła. Na szczęście byłem jeszcze tuż pod oknem i zdołałem uchwycić się drewnianej ramy. Ale najadłem się strachu i aż spościłem z wrażenia.

Podciągnąłem nogę, która obsunęła się po ścianie, i postawiłem ją na cegle tkwiącej mocno w murze. Zdecydowałem, że odtąd będę najpierw sprawdzać

czubkiem buta, czy cegła, której zamierzam powierzyć ciężar swego ciała, jest dostatecznie solidna.

Ale dokąd wędrować? W lewo czy w prawo?

Trzymając się ramy okiennej, wsparty nogami na gzymsie, nieco odchyliłem ciało do tyłu i rozejrzałem się wzdłuż muru. Stwierdziłem, że po lewej ręce dzielą mnie od następnego okienka co najmniej dwa metry, a po prawej — dość duże okno znajduje się o półtora metra. Zdecydowałem więc, że zaryzykuję wędrowkę w prawą stronę, a gdy będę już przy tamtym oknie, wybiję szybę i wejść do pokoju.

Wstrzymałem oddech i, zamknąwszy oczy, spróbowałem zrobić pierwszy krok. Lecz z zamkniętymi oczami nie widziałem szczelin, w które mógłbym wbić palce. To oczy pozwalały wyszukiwać miejsca, gdzie deszcz i mróz osłabiły fugę między cegłami albo ją zgoła wypłukały. Tylko że nie sposób było uniknąć spojrzenia w dół. A wtedy zasychało mi w ustach i serce zaczynało bić gwałtownie. . .

Czy ktoś z was szedł kiedyś na wysokości ośmiu metrów, mając pod nogami występ o szerokości stopy? Nie? I bardzo dobrze. Ja też chyba drugi raz nie zaryzykowałbym czegoś podobnego, choć podobne sytuacje dość często pokazują w wielu filmach. Ale jak mi potem wyjaśnił Templer, przy tego typu zdjęciach rozpina się siatkę ochronną, upadek nie grozi nawet skaleczeniem.

Wydawało się, że okno, do którego zmierzam, znajduje się niemal na wyciągnięcie ręki. A przecież, gdy wyciągałem rękę, wciąż trafiałem na mur, a nie na drewnianą ramę okna. Ta wędrowka była tak długa i mozolna, jakby przyszło mi przebywać kilometry. Jeden mały krok po gzymsie i już bolały palce wbite w szczelinę muru, a człowieka ogarnia dziwne uczucie słabości. Ręce drętwieją, nogi drżą, w piersiach brak tchu.

Jeszcze jeden niewielki krok. . . Kawałek cegły ukruszył się i runął w dół. Przestraszyłem się i, przylepiony do ściany, długą chwilę uspokajałem łomot serca. Potem postawiłem nogę nieco dalej i zaryzykowałem przerzucenie na nią całego ciężaru ciała. Ta cegła tkwiła mocno w murze, nabrałem znowu odwagi. Odkryłem dość głęboką szczelinę, wcisnąłem w nią palce lewej ręki, a potem po omacku przesunąłem po ścianie prawą dłoń. I wtedy nareszcie wyczułem framugę upragnionego okna.

Odtąd wszystko poszło szybko i łatwo. Znowu dałem mały krok, mocniej chwyciłem się drewnianej ramy. Ale teraz nowy kłopot. Czym wybić szybę? Pięścią, żeby sobie poprzecinać żyły? Najlepiej butem, lecz jak zdjąć z nogi but, gdy się balansuje na wąskim gzymsie, osiem metrów nad ziemią? . . .

W tym momencie za szybą rozbłysło światło. Ujrzałem dość duży pokój, umywalkę za parawanem, tapczan i. . . Simona Templera w pasiastej pidżamie. Z pewnością zaniepokoił go szmer za oknem, zapalił więc nocną lampkę, wsunął stopy w pantofle i teraz szedł w moją stronę.

Zapukałem palcem w szybę. Zaintrygowany otworzył okno.

— Co pan tu robi? — zapytał uprzejmie.

Na twarzy miał zwykły, radosny, „templerowski” uśmiech. Za ten uśmiech otrzymywał ogromne honoraria od producentów filmowych.

— Nie słyszał pan mojego wezwania o pomoc? Krzyczałem z sąsiedniego okna. Z pokoju obok.

— Owszem. Słyszałem jakieś krzyki. Ale nie rozumiałem o co chodzi, bo ten ktoś wołał po polsku. Myślałem, że nawołują się stolarze, którzy budują dekoracje.

— Nie będziecie jutro filmować sceny z panną Denver. Została porwana — poinformowałem Templera, włączając przez okno do jego pokoju.

— Porwano Dianę? — uśmiech pierchnął mu z twarzy. — Jak to się stało? Proszę mi opowiedzieć, a ja się szybko ubiorę.

To mówiąc skoczył za parawan, a ja zdałem mu relację z wydarzeń i mojego w nich udziału. Wyszedł do mnie już w spodniach, koszuli i krótkiej skórzanej kurteczce.

— Przede wszystkim musimy zawiadomić o wszystkim naszego producenta. A potem, jeśli pan zechce, ruszymy w pościg za porywaczami. Zgoda? — zaproponował mi i wyciągnął rękę.

— Zgoda — odrzekłem i uściśnąłem jego prawicę.

Templer podszedł do drzwi, chwycił za klamkę.

I wtedy okazało się, że drzwi tego pokoju są również zamknięte na klucz. Od zewnątrz.

— Ach, więc to tak? — stwierdził ze zdumieniem. — Porywacze obawiali się, że mogą usłyszeć pana wołanie, i woleli zamknąć także i mnie. Nigdy się nie zamykam, a klucz zawsze tkwi w zamku po zewnętrznej stronie. Ale o tym fakcie wiedzą tylko ludzie pracujący w naszej ekipie. Innymi słowy, w porwanie panny Denver jest zamieszany ktoś z personelu filmowego.

— To oczywiste — dorzuciłem. — Czy ktoś spoza ekipy mógł znać działanie mechanizmu ukrytego pod fotelem? Warto jednak pamiętać, że to Diana Denver zaproponowała, abym na nim usiadł.

Templer zmarszczył czoło.

— Sugeruje pan, że Diana Denver uczestniczyła w przygotowaniu własnego porwania?

— Nie mam żadnej pewności — odparłem ostrożnie. — Z okna widziałem, jak ją popychali. Wyglądało na to, że nie idzie z własnej woli z porywaczami.

— O, to przecież aktorka. Potrafi zagrać rolę uprowadzanej — zaśmiał się Templer. — Takie porwanie, jeśli o nim napiszą w naszych gazetach, to znakomita reklama.

— Jeżeli ona uczestniczyła w tej hecy — powiedziałem przez zaciśnięte zęby — to znaczy, że zrobiła ze mnie największego osła na świecie.

— Bylibyśmy w podobnej sytuacji — odrzekł Templer. — Grałem w tamtym filmie, kiedy naprawdę porwano aktorkę. Gdy teraz Diana i pan Domini powiedzieli mi w tajemnicy, że to samo grozi również pannie Denver, bardzo się tym przejąłem i opiekowałem się nią, jak mogłem. Kilku ludzi zboksowałem tylko dlatego, że wydawali mi się porywaczami. Między innymi tych nad Jeziorem Drwęckim. Podsumowując: zrobiono z nas parę osłów. Mam nadzieję, że niezależnie od tego, co postanowi pan Domini, nie puścimy tej sprawy płazem. Nie jest jednak wykluczone, że Dianę Denver porwano naprawdę. I to bez jej zgody.

— To niemożliwe — pokręciłem głową. — U nas nie zdarzają się podobne historie. Nasza milicja działa bardzo sprawnie i wszelkie próby szantażu i porwań dla wymuszenia okupu kończyły się bardzo przykro dla ich autorów. Na Zachodzie kwitnie legalny handel bronią, u nas zezwolenia wydaje się z największą ostrożnością. A jakież to gangster i porywacz — bez broni? Ci, co prowadzili Dianę Denver, mieli staroświeckie pistolety, pochodzące zapewne z kolekcji szalonego barona. To kiepska komedia, drogi Templerze.

— A jeśli porywacze przyjechali z Zachodu?

— I przewieźli przez granicę broń, ba, może nawet pistolety maszynowe? I znaleźli tu współników, załatwili błyskawicznie melinę dla ukrycia porwanej aktorki? Nie, drogi Templerze, to są mrzonki. Gdy dowiedziałem się o tej sprawie, brałem pod uwagę, że mogą to być gościnne występy, ale odrzuciłem ten pomysł. Lepiej zastanówmy się, jak wyjść z tego pokoju.

Templer podrapał się w głowę.

— Grałem w dziesiątkach filmów, które zakładały podobne sytuacje. Zamknięte drzwi, których nie sposób wyważyć. Okno na wysokim piętrze. Zazwyczaj wydostawałem się w ten sposób, że skręcałem sznur z podartego koca, prześcieradeł i poszwy na kołdrę. Trudno, trzeba będzie jeszcze raz wziąć się do roboty. Jestem specjalistą w kręceniu sznurów z bielizny pościelowej — zachichotał. I naprawdę z ogromną wprawą podarł na długie pasma prześcieradło oraz poszwę, a potem z niezwykłą zręcznością zaczął kręcić z tego sznur. — Nie rozumiem jednego — rzekł. — Dlaczego właśnie pana wplątano w tę historię. Jeśli chcieli mieć świadka porwania, to każdy mógł być takim świadkiem. A jednak wszystko wskazuje, że ściągnięto pana tutaj specjalnie.

— Sprawił to, że tak powiem, czynnik subiektywny — odparłem. — Podejrzewam, że ktoś chciał się na mnie zemścić, mieszając mnie w tę komedię i czyniąc ze mnie bezsilnego świadka. Myślę, że Diana Denver nie kłamała tylko w jednej kwestii: nad Jeziorem Drwęckim miało rzeczywiście nastąpić porwanie, ale pańska interwencja i moje przybycie z pomocą uniemożliwiły to. „Porywacze” postanowili oduczyć mnie wtrącania się w nie swoje sprawy. Po tamtym wydarzeniu podrzucono na mój jacht pozłacaną rękawiczkę. Było to wyzwanie do walki. I zemścili się. Nie tylko, że nie mogłem uniemożliwić następnego porwania, ale stałem się jego bezsilnym świadkiem.

— Poślaczana rękawiczka? — zdumiał się Templer.

— A tak. Bo trzeba panu wiedzieć, że przybyłem w te strony, aby wyjaśnić historię anonimowego wiersza pod tytułem „Złota rękawica”.

— A więc ten ktoś musiał o tym wiedzieć.

— Oczywiście. Dlatego domyślam się, kto uczestniczy w porwaniu.

— Któż to taki?

— Wasz drugi scenograf, a mój przeciwnik od wielu lat. Waldemar Batura.

— On? Ten miły i sympatyczny dżentelmen, zresztą znakomity fachowiec?

— A tak. To rzeczywiście znakomity fachowiec — przytaknąłem z ironią. — Ale i tym razem, zdaje się, przebrał miarkę. Wpakuję go znów za kratki.

— Nic mu pan nie zrobi. Bo jeśli porwanie Diany Denver odbyło się za jej zgodą, dla reklamy, to ona w każdej chwili może oświadczyć, że na przykład, wyjechała z porywaczami na wycieczkę. Gdy porwana nie zgłasza pretensji, nie ma porwania i nie ma sprawy. No cóż, sznur jest już gotowy — przerwał swój wywód. — Myślę, że nie dosięgnie ziemi, ale jestem osobnikiem wygimnastykowanym i skaczę, jak kot na cztery łapy, nawet ze znacznej wysokości.

— Ja również — pochwaliłem się.

Uśmiechnął się, poklepał mnie po plecach.

— Wydaje mi się, że będziemy przyjaciółmi — rzekł i przerzucił sznur przez okno, umocowując jeden koniec do framugi.

Potem wskoczył na parapet i, zręcznie jak linoskoczek, zsunął się na ziemię. Mnie ta sama czynność zajęła trochę więcej czasu, ale przecież była to moja pierwsza rola w tego rodzaju scenie.

Zbliżaliśmy się właśnie do głównego wejścia, gdy przed pałac zajechał nowy, piękny citroen, z którego wysiadł szczupły mężczyzna w dżinsowych spodniach i dżinsowej koszuli, z ogromnym aparatem fotograficznym na ramieniu. Osobnik ten chyba wszędzie czuł się jak u siebie w domu. Lekko pogwizdując, natychmiast skierował się do pałacu; usłyszawszy głosy dobiegające z sali jadalnej, bezcere-monialnie, nie pukając, wszedł do wnętrza. A my weszliśmy za nim.

Przy gdańskim stole, w fotelach z wysokimi oparciami, zobaczyłem panią Jo-annę, Billa Arizonę, Wszędobyłską Hannę oraz pana Domini. Nieco z boku siedział Waldemar Batura, a przy nim jego dwaj goryle. Całe towarzystwo raczyło się winem. Najwięcej pustych butelek zauważyłem przed goryłami, co wskazywało, że większą mieli ochotę na trunki niż na pilnowanie aktorki.

Dla stworzenia odpowiedniego nastroju paliło się na stole kilka świec w mi-sterne rzeźbionych osiemnastowiecznych świecznikach. Czarny stół gdański i świeczniki niezbyt ze sobą harmonizowały, ale dawały wrażenie przepychu, w jakim zgodnie ze scenariuszem Billa Arizony przebywał szalony baron.

Przybysz zaprezentował się po francusku.

— Jestem przedstawicielem pisma „Ciné-télé-revue”. Przyjechałem z Paryża, aby przeprowadzić wywiad z Dianą Denver. Nazywam się Pierre Tendron.

Pan Domini zerwał się z fotela i z zawodową uprzejmością producenta, który powinien dbać o reklamę filmu, podreptał naprzeciw gościa i uściśnął mu rękę.

— Cieszę się bardzo, panie Tendron. Panna D.D. poszła już wypocząć, ale jutro rano znajdzie chwilę czasu na rozmowę. A teraz proszę do stołu.

Wspomniałem, że w jadalni paliły się tylko świece na stole, pod ścianami i przy drzwiach panował niemal półmrok. Nikt więc nie zauważył wejścia mojego i Templera, dopóki ten nie odezwał się:

— Porozmawiać z panną D.D. nie będzie łatwo. Właśnie przed chwilą została porwana.

Producent filmowy zatrzepotał rękami jak ptak, który zamierza wzlecieć, a potem chwycił się za serce.

— To niemożliwe. Nie wierzę. To by mnie zrujnowało. . .

— Ależ to nieprawdopodobne! — wykrzyknął Waldemar Batura. — Przecież przywiozłem dwóch goryli dla ochrony panny D.D.

Urwał, bo uświadomił sobie, że goryle siedzą obok niego, a więc panna D.D. mogła znaleźć się w niebezpieczeństwie. Jednocześnie przypomniał sobie, że rozmowa toczy się po angielsku, czyli goryle nie rozumieją, co się stało. Pośpiesznie wyjaśnił im sprawę po polsku, a wtedy obydwaj osiłki, z nogami ciężkimi od wina, z trudem podnieśli się z foteli.

— Gdzie jest śmiałek, który odważył się porwać tę pannę? — wybełkotali.

Batura powtórzył ich słowa po angielsku. I znowu odezwał się Templer:

— Sam chciałbym wiedzieć, gdzie jest ten śmiałek, a raczej ci śmiałkowie, bo porywaczy było aż trzech. Monsieur la Bagnolette był świadkiem porwania i opowie wszystko dokładnie.

To mówiąc przekręcił kontakt przy drzwiach i w jadalni rozbłysnął dziesiątkami żarówek duży żyrandol.

Stałem w potoku światła i mrugałem oczami, oślepiony blaskiem. Pan Tendron natychmiast wycelował we mnie swój aparat i, błyskając fleszem, fotografował mnie dokładnie. Mruczał przy tym z zadowoleniem:

— Pierre Tendron ma znakomitego nosa. Pierre Tendron jest zawsze tam, gdzie się dzieje coś ciekawego.

Potem skierował obiektyw aparatu na pana Domini, który usiadł przy stole z głową wspartą na ręce, w pozie zupełnej rezygnacji.

— Proszę odsłonić nieco twarz, panie Domini — bezlitośnie komenderował dziennikarz z „Ciné-télé-revue”. — Niech nasi czytelnicy zobaczą, jak wygląda oblicze zrozpaczonego producenta filmowego.

Błysnął flesz. A pan Domini, jakby tylko czekał, aż Tendron skończy robienie mu zdjęć, zerwał się od stołu z niezwykłą żywością. Wrzasnął na mnie:

— Skąd się pan tu wziął, u diabła?! Żądam wyjaśnień! Natychmiast!

I teatralnym gestem wyciągnął rękę, jak z pistoletu mierząc we mnie wskazującym palcem. Goryle zrozumieli to jednoznacznie: jestem porywaczem. Zata-

czając się podbiegli do mnie i chwycili mnie w swoje potężne łapy. Znalazłem się w nich jak w kleszczach.

— Puście mnie! — zawołałem do osiłków. — Puście mnie, bo nic nie powiem. A porywacze zyskają na czasie.

Ze zdenerwowania zapomniałem, że krzyczę po angielsku. Uratował mnie Batura, rozkazując gorylom po polsku:

— Puście go! Niech opowie, co się stało.

Ale oni trzymali mnie nadal jak w kleszczach, co do tego stopnia zdenerwowało Templera, że chwycił za kark jednego z nich i usiłował oderwać ode mnie.

Osiłek rozpoznał Templera i wyraz niezmiernej radości rozpląnął się po jego twarzy.

— Patrzcie no, sam Święty — stwierdził z satysfakcją. — Zawsze byłem ciekawy, czy on umie się bić naprawdę, czy też są to filmowe triki.

I rzucił się na Templera. Ten szybko zrobił unik. Rozpędzony osiłek wpadł na ścianę, odbił się od niej i poleciał na stół, przewracając świeczniki i butelki z winem. W tym czasie, mając jedną rękę oswobodzoną, chwyciłem drugiego osiłka za ramię i zrobiłem obrót w ten sposób, że gdyby chciał mnie dalej trzymać, jego ręka uległaby złamaniu. Puścił mnie wrzeszcząc.

— O rany, biją! Na pomoc! Biją! . . .

Odkoczyłem od niego, a on ruszył do ataku, z głową pochyloną jak nacierający byk. Gdy przebiegał obok Templera, ten podstawił mu nogę i osiłek straciwszy równowagę potoczył się aż pod ścianę, gdzie stała konsola z chińską wazą. Uderzył w konsolę, waza zakołysała się, a potem upadła na podłogę, rozpryskując się na dziesiątki kawałków.

— Boże drogi! — jęknął Waldemar Batura. — Tę wazę wypożyczyliśmy od prywatnego kolekcjonera. . .

Uzmysłowił sobie, że działalność osiłków może spowodować spustoszenie wśród zabytkowych rzeczy znajdujących się w jadalni. Wrzasnął więc na nich:

— Panowie, proszę o spokój. To nie są porywacze, tylko świadkowie porwania. Pozwólcie im złożyć wyjaśnienia.

Jego słowa z trudem torowały sobie drogę do świadomości goryli. Jeden z nich już miał znowu rzucić się na Templera, a drugi gotował się do ataku na mnie, ale ponowny okrzyk Batury zatrzymał ich. Sapiąc ciężko, z osłupiałymi minami patrzyli to na nas, to na rozbitą wazę, to znowu na Baturę i pana Domini, który — skamieniały — obserwował walkę. W jego spojrzeniu widziałem zawodowe skupienie: jak gdyby notował sobie w pamięci każdy gest i zastanawiał się, czy podobnej sceny nie wykorzystają potem w następnym odcinku serialu telewizyjnego. Pani Joanna zrobiła się blada, a Bill Arizona, nie ruszając się ze swego miejsca, nerwowo przetykał ślinę. Co zaś tyczy Wszędobylskiej Hanny, prawdopodobnie lubiła takie sytuacje, bo w czasie walki raz po raz tłukła pięścią w stół i wykrzykiwała jak kibic na meczu:

— Lewym go... Sierpowym, Panie Samochodzik... Podwójnego Nelsona...

Jedynie pan Tendron ani na moment nie stracił zimnej krwi. Uskakiwał przed pędzącymi osiłkami i nieustannie błyskał fleszem, naszą walkę uwieczniając na kliszy swego aparatu fotograficznego. Niestety, raptem skończył mu się film.

Sapiący z wściekłości goryle stali naprzeciw mnie i Templera, przygwożdżeni do podłogi rozkazem Batury, a pan Tendron, wkręciwszy szybko nowy film, dotknął ramienia jednego z nich i poprosił po francusku:

— Czy panowie nie mogliby powtórzyć ostatniego momentu? Może znajdzie się jeszcze jakaś druga waza? To było bardzo piękne.

Lecz pana Domini niewiele obchodziły zachwyty dziennikarza.

— Proszę o wyjaśnienia — zwrócił się do mnie. — Gdzie jest panna D.D.?

Krótkimi zdaniami zacząłem opowiadać przebieg wydarzeń. Najpierw o rozmowie z Dianą Denver w willi Billa Arizony, a potem o spotkaniu w parku pałacowym i zaproszeniu do pałacu.

W miarę jak opowiadałem, na twarzy pana Domini pojawiał się wyraz powątpiewania, później zaś już wyraźnego niedowierzania.

— Scenariusz, który pan nam zaprezentował — oświadczył — nie jest wart ani funta kłaków. Nie wierzę panu. Przyjmuję tylko do wiadomości, że moja aktorka została porwana. Nie mam jednak zamiaru alarmować milicji. Chcę odzyskać aktorkę, i to szybko. Proszę przekazać swoim mocodawcom, że jestem gotów do pertraktacji na temat wysokości okupu. To wszystko, co mam do powiedzenia. A teraz idę do swego pokoju, bo rozbolała mnie głowa i brzuch. Mam nerwicę żołądka.

Od drzwi zwrócił się jeszcze do pana Tendron:

— Mam nadzieję, że wiadomość o porwaniu aktorki nie zostanie przekazana do gazet, zanim nie zakończę pertraktacji z porywaczami.

Dziennikarz skinął głową.

— Ale w zamian za milczenie ja jeden będę miał prawo opublikować historię porwania.

— To się rozumie samo przez się — odparł pan Domini.

Nawet nie otworzyłem ust, aby zaprotestować przeciw bezsensownym sugestiom pana Domini. Bo przecież dał on wszystkim do zrozumienia, że uważa mnie za współnika porywaczy, za człowieka, który służy jakimś potężnym mocodawcom. To ja miałem im przekazać wiadomość, że Domini godzi się zapłacić okup.

— Ależ to w ogóle idiotyczne — odezwał się pan Lejwoda.

Wszędobyłska Hanna stwierdziła zaś z prawdziwą satysfakcją:

— A to się zdziwi dyrektor Marczak z Centralnego Zarządu Muzeów, gdy usłyszy ode mnie, jak to jego pracownik porywa piękne kobiety. Wiem, że Marczak nazywa mnie rabusiem sztuki ludowej. Odplacę mu się teraz za tę opinię.

Templer położył mi dłoń na ramieniu.

— Szkoda czasu, przyjacielu. Powinniśmy natychmiast ruszyć w pościg za porywaczami Diany.

Opuszczaliśmy jadalnię, kiedy Batura raptem jak gdyby oprzytomniał. Doszedł chyba do wniosku, że jeszcze nie dosyć mnie wplątał w tę historię i upokorzył, że nadeszła okazja, aby bezkarnie spuścić mi manto.

— To oni porwali Dianę Denver! — dramatycznym gestem wskazał nas gorylom. — Brać ich na przesłuchanie.

— Uciekajmy, ile sił w nogach! — krzyknąłem do Templera.

I pierwszy ruszyłem pędem za róg pałacu, a potem na ścieżkę prowadzącą do parku. Templer biegł tuż za mną, a za naszymi plecami rozlegały się nawoływania goryli:

— Przepadli w ciemnościach... Latarka elektryczna... Kto ma latarkę?...

Okrył nas mrok starych drzew, ale biegliśmy dalej, zatrzymaliśmy się dopiero w pobliżu cmentarzyka z grobowcami Albeyllów. Tutaj — oddzieleni od pałacu głębokim wąwozem — byliśmy nareszcie bezpieczni. Należało naradzić się, co robić dalej.

— Czy nie zastanawia pana, przyjacielu — odezwałem się do Świętego — że pan Pierre Tendron z Ciné-télé-revue” przybył do Karnit akurat w tym samym czasie, gdy porwano Dianę Denver?

— To rzeczywiście wygląda dość dziwnie. Aż taki zbieg okoliczności?

— Porwanie Diany Denver tylko wtedy będzie miało sens, jeśli wiadomość o nim przeniknie do prasy filmowej na całym świecie. Zorganizowano więc porwanie i wezwano pana Tendron. W ten sposób nie znana nikomu aktorka, Diana Denver, zwróci na siebie uwagę publiczności, co zwiększy zainteresowanie waszym nowym serialem i wpędzi panu Domini do kieszeni nowy plik dolarów.

— Sugeruje pan, że to Domini był głównym organizatorem porwania? — zdumiał się Święty.

— A któż by inny? Waldemar Batura wykonywał tylko jego polecenia. Za parę dni Diana Denver wróci do Karnit zdrowa i cała, a pan Domini stwierdzi, że stało się to na skutek opłacenia przez niego okupu. Diana Denver odegra przed panem Tendron wspaniałą scenę, opowiadając na przykład, że była więziona w jakiejś tajemniczej melinie, o której, niestety, nie potrafi opowiedzieć, gdyż przez cały czas miała zawiązane oczy. I wszyscy będą zadowoleni. Batura — ponieważ pan Domini weźmie go ze sobą za granicę. Diana Denver — ponieważ stanie się sławna. Domini — bo nie wyda ani grosza na reklamę, którą za darmo zrobi mu Tendron. A ten ostatni — z uwagi na honorarium, jakie za sensacyjną historię otrzyma od swej redakcji. Łatwo się domyślić, że nie będzie zbyt przywiązywał wagi do szczegółów porwania.

— Świetnie pomyślane — stwierdził Templer.

— Owszem. Genialnie. Nasza milicja dopiero z publikacji na Zachodzie dowie się o porwaniu aktorki. A kiedy przyjedzie do Karnit i zażąda od pana Domini

dokładnych wyjaśnień, ten wykręci się od zeznań, stwierdzając, że został przez porywaczy zobowiązany do tajemnicy i w obawie przed ich zemstą postanowił jej dochować.

Święty poklepał mnie po plecach.

— W takim razie w ogóle nie ma sprawy, przyjacielu. Idźmy każdy w swoją stronę. Dianie nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Możemy spać spokojnie.

— O, przepraszam bardzo — oburzyłem się — moim zdaniem jest sprawa i to poważna. Po pierwsze: zrobiono ze mnie durnia, a ja tego bardzo nie lubię. Po drugie: ta historia zmieni opinię o naszym kraju. Można będzie wysnuć wniosek, że i w Polsce porywacze działają na całego.

— Co chcesz uczynić, przyjacielu? — zaniepokoił się Święty. — Chyba nie zamierzasz poinformować o tej sprawie waszej milicji? To zaszkodziłoby panu Domini. Zrozum, ja pracuję dla niego. Los tego serialu także leży mi na sercu. Jeśli milicja ujawni historię porwania, nie tylko Domini, ale również i ja będę ośmieszony w opinii publicznej.

Tym razem to ja poklepałem go po plecach.

— Nie martw się, Templer — oświadczyłem poufale. — Rozumiem, że musi pan pilnować swego biznesu, a on cię wiąże z panem Domini i Dianą Denver. Nie zawiadomię milicji. Załatwię tę sprawę sam, we własnym zakresie.

— Jak to zrobisz?

— Po prostu postaram się odnaleźć Dianę Denver i przyprowadzę ją na zdjęcia filmowe.

— To świetnie! — ucieszył się Święty. — Jeśli zgodzisz się, chętnie ci pomogę. Nie mam może głowy do rozwiązywania zagadek, tak jak ty, bić się jednak potrafisz. A nie obejdzie się chyba bez bójek, prawda?

— Czuję się zaszczycony — ukloniłem się Świętemu.

— W takim razie zaczekaj tu na mnie, przyjacielu, Wróć do pałacu i zostaw mi liścik dla pana Domini, aby się nie niepokoił z powodu mojego zniknięcia. Powiadomię go, że ruszam w pościg za porywaczami.

Zniknął w ciemnościach, kierując się do pałacu, a ja oddaliłem się o dwa kroki od ścieżki i usiadłem za pnem starego parkowego drzewa. Od chwili porwania Diany Denver minęła godzina. Diana Denver i porywacze znajdowali się już chyba bardzo daleko. Dokąd pojechali? Nie sposób było tego ustalić, mieli dziesiątki możliwości, jako że Diana Denver nie była w rzeczywistości porwana, tylko poszła z nimi dobrowolnie. Mogli chociażby pojechać do hotelu w Iławie lub Ostródzie. Mogli także zatrzymać się z nią w specjalnie wynajętym mieszkaniu w jakiejś pobliskiej wczasowej miejscowości, gdzie widok nawet tak ładnej kobiety nie zwróciłby niczyjej uwagi i gdzie nie nazbyt rygorystycznie traktowano formalności meldunkowe.

Od czego więc należało zacząć? Oczywiście, od szukania śladu tutaj, w Karnicach, bo tu znajdował się Domini, mózg całej tej afery. Albo w pobliskim urzędzie

pocztowym, w którym łączono z pałacem wszystkie rozmowy telefoniczne. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że rzekomi porywacze, kiedy już odwiozą Dianę Denver w bezpieczne miejsce, zatelefonują do swego mocodawcy. Gdybym miał urodę Delona, zapewne bez trudu mógłbym nakłonić nie znaną mi jeszcze panienkę obsługującą centralkę, aby zdradziła, z jakich miejscowości i z jakich numerów w ciągu najbliższych kilku godzin zadzwoni ktoś do pana Domini.

Ale, ale... Wraz ze mną miał działać Templer! Któraż panienka z centrali telefonicznej oprze się jego urodzie?

Tak rozmyślałem, obserwując migające między drzewami błyski latarki elektrycznej. To goryle Waldemara Batury przeszukiwali park po drugiej stronie wąwozu. Podczas kolacji wypili sporo wina, nie wierzyłem więc, aby czynili poszukiwania dostatecznie gorliwie i przekroczyli wąwóz. Z największym spokojem zapaliłem papierosa, żeby dymem odpędzić stada krwiożerczych komarów.

Ciemność jeszcze zgęstniała, niebo zakryły niskie deszczowe chmury. Zrobiło się chłodniej. Zerwał się wiatr i zaszeleściły głośno liście krzaków i drzew porastających parkowe wzgórza. Ten szelest to cichł zupełnie, to znów narastał, niekiedy odnosiłem wrażenie, że zbliża się ku mnie ktoś niewidoczny w mroku i słyszę trzask gałązek pod czyimiś nogami. Spojrzawszy na zegarek, uświadomiłem sobie, że wkrótce nadejdzie północ. A tuż obok znajdował się cmentarzyk pełen starych, rozwalających się grobowców, tu gdzieś pochowano piękną Christę, która popełniła samobójstwo...

I nagle poczułem na swoim ramieniu czyjaś zimną dłoń.

— To ja, Bajeczka — usłyszałem głos dziewczyny.

Odwrociłem się gwałtownie.

— Śledziła mnie pani. Od jak dawna? — zapytałem ostro.

Opuściła głowę.

— Od dawna, Panie Samochodzik. Musiałam to zrobić, proszę mnie zrozumieć. Czułam, że to spotkanie z Dianą Denver jest tylko pułapką, że czekają pana kłopoty. A pan nie chciał posłuchać moich ostrzeżeń.

— Wie pani, co się stało?

— Porwano Dianę Denver. Słyszałam pana rozmowę z Templerelem.

— Niech pani nie kłamie, Bajeczko. Wiedziała pani o tym porwaniu dużo wcześniej. Dlatego ostrzegała mnie pani, abym nie szedł na spotkanie z panną D.D.

Dziewczyna chwyciła mnie za rękę.

— Nie, pan mnie niesłusznie oskarża. Domyślałam się tylko, że to się stanie tej nocy. Gdy dowiedziałam się o pierwszej, tej nieudanej próbie porwania Diany Denver, pokłóciłam się z Waldemarem Baturą i zerwałam z nim, ponieważ był zdecydowany powtórzyć tę historię. Myślałam, że będę spokojnie pracować przy filmie jako jego pomocnik i asystent kostiumologa, ale on przewidział i dla mnie rolę w ponownym porwaniu. Nie chciałam się zgodzić, choć to naraziło mnie na

utrata pracy, a nowej nie miałam. Wtedy postanowiłam odszukać pana. I to jest o mnie cała prawda.

Stwierdziłam, że dziewczyna drży. Może z chłodu, bo przecież tkwiła tu przez tyle czasu. A może ze zdenerwowania? Bezwiednie objąłem ją i pogłaskałem po ramieniu.

— Uspokój się, Bajeczko. — Powiedziałem jej: „ty”. — I odtąd mów mi prawdę, a wszystko będzie w porządku. Rozumiesz?

— Tak — szepnęła pokornie.

— Musiałaś chyba widzieć, jak prowadzono Dianę Denver. Dokąd oni poszli?

— W stronę Kanału Elbląskiego. Rozpoznałam ją mimo czarnego szala. Rozpoznałam także dwóch rekwizytorów, których zatrudnił przy filmie Waldek Batura. Ci ludzie od kilku lat pracują dla niego w handlu antykami. Podczas ostatnich dni wojny, gdy Christa Albedyll popełniła samobójstwo, okoliczna ludność okradła pałac i wiele cennych mebli można znaleźć w niedalekich wioskach. Rekwizytorzy pracowali więc nie tylko dla filmu, ale i dla Batury. Wykupowali meble i gromadzili w sobie tylko znanych miejscach. Batura zamierzał potem meble odrestaurować i sprzedawać z wielkim zyskiem.

— To znaczy, że Batura dysponuje tutaj jakąś meliną — stwierdziłam — i być może ukrył tam także Dianę Denver.

— To prawdopodobne. Ale ja nie znam tego miejsca. Mnie on nie wtajemniczył w takie sprawy.

— A kim był ten trzeci?

— Nie mam pojęcia. Było już ciemno, a poza tym tak groteskowo się poprzebierali w kostiumy z filmu. Aha, ci dwaj rekwizytorzy powrócili do pałacu pół godziny temu. . .

— Dlaczego mówisz o tym dopiero teraz? — zniecierpliwilem się. — To bardzo ważne: Diana Denver pozostała tylko z trzecim osobnikiem. I to znaczy, że rozstali się gdzieś niedaleko stąd. Powiadasz, że szli w kierunku Kanału Elbląskiego? A więc w kanale musiała czekać na nich jakaś łódź lub motorówka.

Simon Templar jak duch bezszelestnie wychynął z ciemności nocnych.

— Zostawiłem list dla pana Domini i jestem gotów — zameldował się.

W mroku nie od razu rozpoznał Bajeczkę.

— Zerwała z Baturą i teraz jest ze mną — wyjaśniłem Templerowi jej obecność w parku.

— To wspaniale — rzekł. — Będzie nas troje. Ale gdzie szukać Diany Denver?

— Zaprowadzili ją nad Kanał Elbląski. Jest ciemno. Może mają na łajbie reflektor i odpłynęli mimo mroku. A może pewni, że nie trafimy na ich trop, będą oczekiwać świtu. Jest szansa, że ich złapiemy.

Simon Templar z podziwem pokręcił głową.

— Jesteś naprawdę genialnym facetem, Monsieur la Bagnollette. Sądziłem, że tylko przechwalasz się mówiąc o odnalezieniu i przyprowadzeniu Diany Denver. Ale od tej chwili zaczynam w ciebie wierzyć bez zastrzeżeń.

— Chodź. Szkoda czasu na komplementy — powiedziałem.
I ruszyliśmy w pościg.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

KOGO SPOTKALIŚMY NA KANALE • JACHT-ZJAWA • W POŚCIGU ZA JACHEM PORYWACZY • WYRUSZAM PO WEHIKUŁ • NA KOGO NIE MOŻNA LICZYĆ • ROZMOWA O UKŁADACH • KTO ODNAJDZIE POETĘ? • POWRÓT JACHTÓW • „LORD JIM” NA HORYZONCIE • ZŁOŚLIWOŚĆ PRZEDMIOTÓW MARTWYCH • DRAMATYCZNE REGATY • TARZAN WYRZUCA KOSMETYKI • WALKA NA „LORDZIE JIMIE” • PODWÓJNY NELSON ŚWIĘTEGO • APASZKA W BIAŁE GROCHY • PRZEPROSINY I KLĘSKA

Wąską ścieżką, która wiła się wzdłuż brzegu jeziora, zbliżyliśmy się do Kanału Elbląskiego. Jego nasyp zamajaczył przed nami w ciemnościach — czarną, prostą smugą. Kazałem Templerowi i Bajeczce, aby zatrzymali się w krzakach nad wodą, a sam, na czworakach, wspiąłem się na nasyp i położyłem w gęstej i wysokie trawie. Po kanale bowiem rozchodziły się męskie głosy i słychać było pobrzękiwanie, jak gdyby ktoś zbierał blaszane garnki, kubki i talerze. Czyżby sprawdziły się moje przewidywania i łajba z Dianą Denver oczekiwała tu świtu? Ale według moich obliczeń porywacz powinien być tylko jeden, a słyszałem co najmniej trzy głosy. Nie mogłem jednak wykluczyć możliwości, że na łajbie oczekiwali na aktorkę jeszcze jacyś ludzie, choć nie bardzo chciało mi się wierzyć, aby Batura w sprawę porwania wtajemniczył aż taką ilość osób.

Z największą ostrożnością podczołgałem się nad samą wodę i wysunawszy głowę z wysokiej trawy, rozejrzałem się po kanale. Moje oczy oswojone już były z ciemnością, toteż natychmiast zauważyłem o piętnaście metrów ode mnie zakotwiczoną przy brzegu jakąś łódź żaglową. Mrok nie pozwalał rozróżnić, co to za rodzaj łódki, ale podłużny kształt wyraźnie rysował się na jaśniejszym tle wody. Widziałem także białą plamę zwiniętego na bomie żagla.

— Ten łobuz zrobił nam chyba dziurę w łajbie — usłyszałem młody głos.

— Dwie ostatnie szklanki spadły z półki i rozbiły się. Na szczęście talerze są blaszane, bo też by się rozbiły — dodał drugi młody głos.

— Takiego łobuza powinno się oddać w ręce milicji. . .

— A milicja zapyta, dlaczego nie mamy świateł na łodzi — ironicznie stwierdził trzeci głos.

— On też płynął bez świateł. . .

Mam dobrą pamięć słuchową, co jest bardzo potrzebne w zawodzie detektywa, podobnie jak pamięć wzrokowa oraz zdolność zapamiętywania twarzy i najróżniejszych szczegółów. Ci młodzi ludzie to byli piraci, którym na Widłagu odebrałem „Rogerą”. Zgodnie ze swoją zapowiedzią przyłynęli tu zapewne, aby zobaczyć, jak się robi zdjęcia do filmu, i w ciemnościach nocnych uderzył w ich starą omegę przepływający kanałem jacht lub statek. Czy wydarzenie to miało jakiś związek z porwaniem Diany Denver? Nie można było wykluczyć tej możliwości. A poza tym, kotwicząc w kanale, chłopcy musieli widzieć, czy nie cumowała w pobliżu jakaś inna łódź i czy nie weszła na nią kobieta w czarnej chuście.

Już bez poprzedniej ostrożności zbiegłem z nasypu i przywołałem swoich przyjaciół. We trójkę zbliżyliśmy się do brzegu kanału, do jachtu chłopaków.

— Cześć, piraci — pozdrowiłem ich. — Mam nadzieję, że już nie uprawiacie swojego haniebnego procederu?

Rozpoznali mnie natychmiast. Podobnie zaraz rozpoznali Templera. Okazało się, że w kanale kotwiczili już od wczorajszego ranka i z daleka przyglądali się zdjęciom filmowym robionym w Karnitach.

— Przed chwilą — opowiadali — jakiś łobuz uderzył w ciemnościach w naszą krypę. O mało jej nie rozwalił. Potłukł nam szklanki i uciekł.

— Czy oprócz was nie kotwiczyla tu jakaś inna łódź? — zapytałem.

— Byliśmy zupełnie sami. Dopiero przed dwiema godzinami, gdy już ułożyliśmy się do snu, nadpłynął na silniku Diesla jakiś duży jacht i zatrzymał się w pobliżu. To chyba on uderzył nas potem w ciemnościach.

— Jak nazywał się ów jacht? Czy nie „Lord Jim”? — indagowałem.

Już od dawna zrodziło się we mnie podejrzenie, że obecność „Lorda Jima” na jeziorze Dauby mogła mieć ścisły związek ze sprawą porwania Diany Denver. Bo w jakim celu Tarzan tkwił u wejścia do kanału? Dlaczego tak zaniepokoiła go obecność „Krasuli”? Czemu nie pozwolił nam zakotwiczyć w pobliżu swego jachtu? I czy to nie Tarzana rozpoznałem w osobniku, który szedł w stronę pałacu, gdy ja oczekiwałem na Dianę Denver w parku koło starych grobowców?

— Nie wiemy, jaką miał nazwę — odpowiedział najstarszy z chłopców. — Gdy przyłynął, my już leżeliśmy na swoich posłaniach i nikomu z nas nie chciało się podnieść głowy, aby zobaczyć, co to za statek. Dużo ich przecież wtedy przepływa. Dopiero gdy nas uderzył, zerwaliśmy się z legowisk. Ale on już oddalał się na silniku. Było ciemno. Wiem tylko, że to był duży, biały jacht.

— „Lord Jim” jest biały — stwierdziłem. Zrelacjonowałem Templerowi słowa chłopaków, a także opowiedziałem mu o spotkaniu z Tarzanem na jeziorze Dauby.

— Od początku podejrzewałem go o jakieś nieczne zamiary — rzekł Templer.

— „Lord Jim” przyplął tutaj późnym wieczorem i Tarzan poszedł do pałacu — zastanawiałem się głośno. — Być może to on był tym osobnikiem, który w hiszpańskim przebraniu zjawił się nagle w pokoju Diany Denver. Ale myślę, że to jednak sama panna D.D. uruchomiła mechanizm fotela i zrzuciła mnie o piętro niżej. Potem wraz z dwoma rekwizytorami przysła tutaj. Tarzan i Diana Denver wsiedli na jacht, a rekwizytorzy wrócili do pałacu. Tarzan był tak podekscytowany historią z porwaniem i obecnością Diany Denver, że w ciemnościach uderzył swoim jachtem w krype tych chłopaków. I uciekł.

— W jakim kierunku odpłynął? — zwróciłem się do piratów.

— Na jezioro Dauby.

— A stamtąd chyba dalej, na Jeziorak — stwierdziłem. — Biorąc pod uwagę, że płynie na silniku, jest już w Kradze albo może nawet zbliża się do Siemian.

— A więc nie ma nadziei, że go dogonimy — zmartwił się Templer.

— Taki duży jacht to nie igła w stogu siana. Gdybyśmy mieli do dyspozycji dwie albo trzy łajby, prędzej czy później musielibyśmy na niego trafić, płynąc wzdłuż brzegów w kilku kierunkach.

I postanowiłem piratów wtajemniczyć w historię porwania Diany Denver. Nie powiedziałem im tylko, że to porwanie prawdopodobnie odbyło się za jej zgodą. „Będą na pewno gorliwiej szukać »Lorda Jima«, sądząc, że tropią prawdziwych porywaczy” — pomyślałem.

— To wspinałe! — zachwycali się. — I pozwoli nam pan pomagać sobie i Templerowi w pościgu za porywaczami?

— Tak.

— I odda nam pan „Rogera”? Bo to będzie piracka akcja. Dopadniemy „Lorda Jima” i dokonamy abordażu.

— Oddam wam „Rogera”, ale musicie nas dostarczyć na „Krasulę”, która znajduje się na jeziorze Dauby — powiedziałem.

Wyjaśniłem Templerowi, że jeśli w Siemianach napotkamy „Notosa” inżyniera Dołęgowskiego, to będziemy mieli do dyspozycji aż trzy jachty. Dzięki temu „Lord Jim” nie ujdzie naszej uwagi.

Weszliśmy na starą omegę, chłopaki chwycili za pagaje i wkrótce dość wolno, ale przecież nieustannie zaczęliśmy się zbliżać do wyjścia z kanału.

— Czy zawiadomił pan o porwaniu milicję? — spytali mnie chłopcy.

— Nie zgodził się na to producent filmowy, ponieważ postanowił pertraktować z porywaczami — wyjaśniłem zgodnie z prawdą. — A my z panem Templerem postanowiliśmy, że sami uwolnimy Dianę Denver.

— Pan Templer jest specjalistą w takich sprawach — stwierdzili. — W niejednym odcinku „Świętego” załatwiał bez żadnego trudu podobne historie. Teraz, z pana i naszą pomocą, pójdzie mu o wiele łatwiej.

A więc myśleli, że to Templer odegra główną rolę w tej sprawie. Nie chciałem uchodzić za samozwańcę i tłumaczyć im, że Simon — jak dotąd — tylko

w filmach był bohaterem. Działał zawsze zgodnie ze scenariuszem napisanym przez ludzi w rodzaju Lejewody, którzy już z góry wyznaczali mu rolę zwycięzcy. Niestety, tym razem scenariusz porwania ułożył prawdopodobnie Waldemar Batura, a ten nie Templerowi ani tym bardziej mnie, lecz sobie wyznaczył rolę zwycięzcy.

Chłopcy mocno machali wiosłami. Najstarszy z nich miał na imię Jurek, a dwaj młodszy — Heniek i Mietek.

— Albo może ich pan nazywać Bolek i Lolek — rzekł do mnie Jurek. — Bo tak i ja ich nazywam.

Oczywiście, Lolkiem był ten piegowaty. To on żądał ode mnie zwrotu „Rogera” na czas pościgu za „Lordem Jimem”.

O pierwszej w nocy znaleźliśmy się koło „Krasuli”. Po „Lordzie Jimie” — zgodnie z naszymi oczekiwaniami — nie było ani śladu, co ostatecznie upewniło nas, że Tarzan brał udział w porwaniu aktorki. Pośpiesznie wraz z Bajeczką i Templerem przesiadłem się na mój jacht i teraz my także chwyciliśmy za pagaje, każąc chłopcom z omegi, aby płynęli naszym kilwaterem.

— I naprawdę ludzi się pan, że odnajdziecie Dianę Denver? — po raz pierwszy od dłuższego już czasu odezwała się Bajeczka. — A jeśli ona nie zechce wrócić do Karnit?

— Zmuszę ją — oświadczyłem twardo. — Nie pozwolę, aby sobie ze mnie kpiono. A poza tym nie chcę, aby zaczęła krążyć opinia, że w naszym kraju można bezkarnie porwać ludzi. A może żal pani — wróciłem znów do tej oficjalnej formy — że w przypadku odnalezienia Diany Denver dawny pani przyjaciel i ukochany, Waldemar Batura, nie wyjedzie z panem Domini na Zachód? Bo chyba producent filmowy nigdy nie daruje mu takiej kompromitacji.

Dziewczyna obraziła się.

— Zdaje mi się, że dałam już panu dowody swojej lojalności — odrzekła z goryczą.

— Owszem, ostrzegęła mnie pani przed pójściem na spotkanie z aktorką. Ale nie powiedziała mi pani, że pałac kryje różne pułapki. Gdybym wiedział o zapadni pod fotelem, nie dałbym się nabrać. Wiedziała pani o tym fotelu?

— Oczywiście. Przy mnie go ustawiono — wzruszyła ramionami. — Ale skąd mogłam przypuszczać, że panna Denver zaprosi pana do swego pokoju? Mówiłam panu, że nienawidzę przygód. A tymczasem zdaje się, że gotuje mi pan udział w nowej przygodzie, i to dość niezwykłej.

Zbliżaliśmy się właśnie do mostu, za którym rozciągała się Kraga.

— Tam biegnie szosa — wskazałem na most. — Dałem pani list polecający do znajomego proboszcza. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby pani tu wysiadła, zatrzymała jakiś wóz i pojechała odnawiać ołtarz kościelny...

Urwałem. Raptem przyszła mi do głowy znakomita myśl. Przypomniałem sobie o wehikule pozostawionym w Ostródzie. Teraz mój samochód mógł się przydać.

— Odwołuję swoją propozycję. Musi pani zostać na „Krasuli” — zdecydowałem. — Płynęła pani ze mną od domu Lejwody, zna pani trasę i poprowadzi Templera. Bo ja tu wyskoczę na brzeg. Spotkamy się za kilka godzin na przystanku, koło willi pana Lejwody.

— Popłynie pan z Bajeczką — poleciłem rozkazująco Templerowi. — Tylko proszę płynąć ostrożniej niż wtedy na Jeziorze Drwęckim. Ja muszę zdobyć jeszcze jeden środek lokomocji. Cześć, Simon — zawołałem, wyskakując na brzeg. — Do zobaczenia za kilka godzin u Billa Arizony.

O piątej nad ranem zabrała mnie do Boreczna cysterna jadąca po mleko. W godzinę później pustą ciężarówką zakładów mięsnych dojeżdżałem do Ostródy. A około ósmej zatrzymałem swój wehikuł przed domem pana Lejwody.

Dzień był słoneczny i dość wietrzny, od wczesnego ranka wiała czwórka, po jeziorze kręciło się mnóstwo białych i czerwonych żagli. Ale koło pomostu nie było ani mojej „Krasuli”, ani pirackiej omegi. Przy takim wietrze powinni byli już dawno przyplłynąć tutaj i oczekiwać na spotkanie ze mną. „Czyżby Templer był jednak naprawdę słabym żeglarzem i spowodował wywrotkę?” — zaniepokoiłem się.

„Notos” inżyniera Dołęgowskiego jeszcze nie odplynał. Załoga kończyła właśnie śniadanie, gdy wszedłem na jacht. W krótkich zdaniach opowiedziałem państwu Dołęgowskim i Kice o przygodzie, która mnie wczoraj spotkała, o porwaniu panny D.D. i o podejrzeniach związanych z „Lordem Jimem”. Wyjaśniłem również, że przybyłem tu swoim samochodem i czekam na „Krasulę”, którą przyplynąć ma Templer wraz z Bajeczką, oraz na starą omegę z trzema piratami.

— Jednym słowem, pragnie pan, żebyśmy pomogli w poszukiwaniach „Lorda Jima” — stwierdził pan Dołęgowski.

— Trzy jachty łatwiej będą go mogły znaleźć.

— A co mamy zrobić, jeśli spotkamy „Lorda Jima”? — zapytała pani Dołęgowska.

— Trzeba uwolnić Dianę Denver.

— Ależ to niebezpieczne! Porywacze mogą być uzbrojeni — przeraziła się.

Inżynier Dołęgowski należał do ludzi, których nie ponosi fantazja.

— Porwanie? — uśmiechnął się. — Prawdziwe porwanie? Nie wydaje mi się, aby pan Tomasz podejrzewał coś takiego. Prawdopodobnie mamy do czynienia z trikiem reklamowym zagranicznych filmowców. W przeciwnym razie pan Tomasz nie przyjechałby tu sam, ale po jeziorze krążyłyby milicyjne motorówki.

— Ma pan rację. Ale to, co jest dobre dla reklamy zachodniego filmu, nie zawsze dobre jest dla nas. Pan wie, co mam na myśli, prawda?

— Tak. Ale nie mam zamiaru bić się z porywaczami. Jeśli spotkamy „Lorda Jima”, ograniczę się do tego, że poinformuję pana, gdzie się on znajduje. Tylko jak przekazać informacje, skoro i pan będzie na jeziorze?

— Myślę, że skrzynką kontaktową może być pan Lejwoda albo Piotruś — powiedziałem. — Pójdę w tej sprawie do domu pisarza. Pan Lejwoda i Joanna wiedzą zresztą o porwaniu, bo byli wczoraj w Karnitach. Niestety, nie sprawiali wrażenia przejętych tą sprawą.

— To jasne! — roześmiał się pan Dołęgowski. — Niech pan się nie łudzi, że Lejwoda zrobi choćby krok, aby panu pomóc. Za bardzo zależny jest, jako Bill Arizona, od producenta filmowego. Nie zechce mu psuć szyków.

— Liczę przede wszystkim na Psychologa — odrzekłem, zeskakując z jachtu.

— A my, zdaje się, wkrótce trafimy na ślad poety! — krzyknął do mnie pan Dołęgowski, — Lejwoda zainteresował się tą sprawą. On dobrze zna tutejszą okolicę.

— Szczęść Boże! — odkrzyknąłem.

W domu pisarza otworzyła mi drzwi pani Jagoda.

— Pani Joanna jeszcze śpi. A Bill jest wściekły. Wstał o piątej i zabrał się do przerabiania scenariusza, tak jak sobie życzyła panna D.D. Na szczęście podobno ją porwano — tymi słowami powitała mnie gospodyni pisarza.

— Mam zamiar ją odnaleźć — oświadczyłem.

— Byle nie za szybko. Pan Bill nie zdążyłby przerobić scenariusza — stwierdziła opryskliwie. — Najlepiej pan zrobi, jeśli nie będzie mu przeszkadzał.

— Chcę się tylko zobaczyć z Piotrusiem — wyjaśniłem.

— Siedzi w salonie i ogląda Teleranek — zaprosiła mnie do wnętrza.

Rzeczywiście Piotruś, okutany w ogromny szlafrok pana Lejwody, siedział na fotelu i gapił się w ekran.

— Gorączka mi spadła. Ale ciągle czuję się nie najlepiej — powiedział, mrużąc do mnie znacząco lewym okiem.

Wyłączyłem telewizor i usiadłem w drugim fotelu, naprzeciw chłopca.

— Słyszałeś o porwaniu panny D.D.? Aktorka znajduje się prawdopodobnie na jachcie o nazwie „Lord Jim”. Będziemy jej szukać trzema łajbami, a ciebie chcę uczynić punktem przekazywania informacji. Zgadzasz się?

— Nie — odparł zdecydowanie. — Pan Lejwoda nie życzy sobie mieć z tą sprawą nic wspólnego. A ja muszę być lojalny. Z psychologicznego punktu widzenia narobiłbym wiele szkody. Pan Lejwoda może zniechęcić się do mnie, a tym samym i do mojej matki.

Zwiesiłem smętnie głowę.

— No, tak — mruknąłem. — Okazuje się, że prawie na nikogo nie można liczyć.

Gospodyni powiadomiła chyba pisarza o mojej wizycie, bo pan Lejwoda pojawił się w salonie.

— Witam pana — rzekł serdecznie. — Właśnie o niczym innym nie marzyłem, jak o spotkaniu z panem. Kilkakrotnie przeczytałem wiersz „Złota rękawica”. Jest piękny, urzekł mnie. Czy zgadza się pan, abym umieścił go w swej pracy o historii tych ziem?

— Oczywiście. Ale ja... — zacząłem.

Nie dał mi dokończyć.

— Może przejdziemy na taras — zaproponował. — Piotruś chce obejrzeć Teleranek. A ja od piątej zajmuję się przerabianiem scenariusza, wypaliłem mnóstwo papierosów i pragnę odetchnąć świeżym powietrzem.

Bez słowa protestu przystałem na jego propozycję, bo zrozumiałem, że pragnie chłopca pozostawić z daleka od tamtej historii.

Usiedliśmy na leżakach. Z tarasu widziałem jezioro i pływające po nim jachty. Ciągłe jednak nie dostrzegałem żagli „Krasuli” i pirackiej omegi.

— „Złota rękawica” jest naprawdę pięknym wierszem — zaczął pan Lejwoda. — W licznych antologiach poezji mazurskiej widnieje mnóstwo wierszy anonimowych autorów. Porównałem je z tekstem „Złotej rękawicy”...

— Porwano Dianę Denver i postanowiłem ją odnaleźć — przerwałem mu.

— Odradzam panu — rzekł. — W moim życiu napisałem piętnaście scenariuszy i powieści kryminalnych, w których ktoś kogoś porywa. Były to, moim zdaniem, zupełnie niezłe utwory. Można rzec, że stałem się nawet fachowcem w dziedzinie porwań. Oświadczam panu, że scenariusz porwania Diany Denver został zrobiony przez amatora, po partacku, nieudolnie. Nie godzi się zajmować podobnym brakeróbstwem. Panna D.D. znajdzie się sama, bez niczyjej pomocy. Wróćmy więc do „Złotej rękawicy”...

— Nie, proszę pana — przerwałem mu znowu. — Nie podzielam pana poglądu na tę sprawę. Scenarzysta napisał dla mnie rolę półgłówka, a co najgorsze, ja tę rolę odegrałem. Odnajdę Dianę Denver i przywlokę ją do Karnit.

— To jeszcze jeden dowód, że scenarzysta był amatorem. Takim osobnikiem, jak pan, nie wolno wyznaczać podobnych ról. Pan jest zawodowym detektywem, o ile wiem. Czy godzi się panu wojować z amatorami?

— Tu nie chodzi tylko o mnie, panie Lejwoda. Wiem także, że Diana Denver wkrótce wróci do Karnit cała i zdrowa. Ale Tendron rozgłosi po całym świecie o jej porwaniu i na Zachodzie będą myśleć, że u nas pod tym względem jest tak samo źle, jak u nich.

— Zgadzam się z panem. Niestety, nie zamierzam popadać w konflikt z panem Domini. Scenariusz do nowego odcinka „Świętego” nie jest moją ostatnią robotą dla tego producenta. Im dłużej więc myślę o całej sprawie, tym bardziej jestem przekonany, że żadnego porwania nie było. A w każdym razie mnie nic o tym nie wiadomo.

— Był pan wczoraj wieczorem w Karnitach. Słyszał pan historię o porwaniu, był pan świadkiem mojej i Templera bójki z gorylami Batury, słyszał pan oskarżenia, które pod moim adresem padły z ust pana Domini.

— To były żarty. Nie jest pan porywaczem, skoro w ogóle nie porwano Diany Denver. Jeśli zaś jest pan przekonany, że porwania dokonano istotnie, niech pan poinformuje o tym milicję. Nie mam nic przeciwko temu, aby pan Domini został ośmieszony, ale ja do tego ręki nie przyłożę.

— Nie mogę tego zrobić ze względu na Templera. To jego także ośmieszy. I w ogóle cały ten film.

— Ach, tak? — ironicznie uśmiechnął się pan Lejwoda. — Więc pan uznaje pewne układy towarzyskie. Chce pan być lojalny wobec Templera, ale mnie pan zachęca, abym nie był lojalny wobec pana Domini?

— Sam odnajdę Dianę Denver.

— Szczęść Boże — odparł pan Lejwoda, podobnie jak ja odpowiedziałem panu Dołęgowskiemu, gdy poinformował mnie, że być może wkrótce trafi na ślad poety. — Co zaś tyczy pięknego wiersza — powrócił do swego tematu — w tej sprawie poczyniłem trochę notatek. Zaraz przyniosę tu teczkę ze swoimi uwagami.

Podczas jego krótkiej nieobecności wszedł na taras pan Dołęgowski.

— No i co? Będziemy mieli skrzynkę kontaktową? — zapytał.

— To beznadziejne — wzruszyłem ramionami i opowiedziałem mu o swoich niefortunnych staraniach. — Mogę tylko liczyć na Templera, Bajeczkę i trzech piratów — zakończyłem.

— I na załogę „Notosa” — podkreślił pan Dołęgowski. — Ja nie jestem związany z panem Domini żadnymi układami towarzyskimi.

Nareszcie zza jednej z wysp wyłonił się żagiel „Krasuli”, a po chwili ujrziałem także starą omegę idącą tym samym kursem w kierunku naszego brzegu.

Wrócił Lejwoda, uprzejmie powitał inżyniera, usadowił go na trzcinowym fotelu, a sam zasiadł na leżaku i rozłożył skoroszyt, który przyniósł ze sobą.

— Jeśli pogoda dopisze, panie inżynierze — odezwał się — to po południu skoczmy „Notosem” w pewne miejsce, gdzie podobno przed laty mieszkał jakiś poeta.

— To świetnie! — zatarł ręce inżynier. — Bardzo mi zależy na tym, aby udowodnić córce, że nie bez powodu zajmuję kierownicze stanowisko. Lubię każdą sprawę doprowadzić do pomyślnego zakończenia.

— A więc zajmijmy się interesującą nas sprawą, drogi inżynierze — rozpoczął swój wywód pan Lejwoda, dając nie tylko mnie, ale i panu Dołęgowskiemu wyraźnie do zrozumienia, że nie istnieje dla niego historia porwania Diany Denver. — Wynotowałem z wiersza pewnego anonimowego poety fragment, który bardzo przypomina tekst „Złotej rękawicy”. Proszę posłuchać:

*Gdy mnie kto spyta, jakie jest nazwisko
Miejsca, gdzie szczęścia mógł zaznać na ziemi,
Gdzie kwiat ów zbierał garściami pełnymi,
Odpowiem: zwie się domowe ognisko.*

Radzę zwrócić uwagę — ciągnął pan Lejwoda — na sposób przenoszenia zdania z jednego wersu do drugiego. Nasz poeta pisał:

*... na mojej pieśni łańcuch dzwoni
niewoli...*

— Słusznie — przytaknął inżynier. — Istnieje tu pewne podobieństwo. Ale jeśli mnie pamięć nie myli, cytowany przez pana anonimowy wiersz pochodzi z tysiąc osiemset osiemdziesiątego czwartego roku, a „Złota rękawica” powstała w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym, czyli w pięćdziesiąt siedem lat później. Tych wierszy nie mógł chyba napisać ten sam człowiek. W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku musiałby mieć co najmniej osiemdziesiąt lat, a przed piętnastoma laty, gdy go widziałem, przynajmniej sto.

Wstałem z leżaka, bo „Krasula” i omega dobijały już do pomostu obok willi pana Lejwody.

— Przepraszam panów, ale muszę was opuścić — skłoniłem się i zbiegłem z tarasu do ogródka, a potem nad jezioro.

Templer wyjaśnił przyczynę ich opóźnionego przybycia do Siemian. Okazało się, że stara omega piratów, na skutek uderzenia przez dziób „Lorda Jima”, zaczęła przeciekać. Zatrzymali się w drodze i przy pomocy szmat i pakul jakoś załatali dziurę. Ale to zajęło im sporo czasu.

Ze znakomitym i popularnym aktorem pan Lejwoda bardzo się liczył. Zaraz więc w towarzystwie inżyniera Dołęgowskiego przyszedł także na pomost.

— Może jesteście głodni? — wypytywał. — Zapraszam wszystkich do siebie. Pani Jagoda robi śniadanie...

Ale w tym momencie Bajeczka, która miała znakomity wzrok, wskazała jakiś punkt na jeziorze.

— To chyba „Lord Jim”! Płynie od strony Jeziora Płaskiego i zmierza w tę stronę...

Skoczyłem do kabiny „Krasuli” po lornetkę. Tak, Bajeczka nie myliła się. To płynął „Lord Jim” i znajdował się właśnie na wysokości ośrodka wczasowego kopalni „Mysłowice”.

Wyjąłem z kieszeni w bluzie gwizdek bosmański i dmuchnąłem w niego z całej siły.

— Przed nami „Lord Jim”. Na łajby, koledzy! Musimy go schwytać. Na tym jachcie znajduje się Diana Denver.

Zatupotały kroki na pomoście. Piraci już sadowili się w swojej omedze. Pan Dołęgowski z największym pośpiechem pobiegł w kierunku swojego jachtu. Na brzegu pozostał jedynie Lejwoda, z pobłażliwym uśmiechem patrząc, jak krzątamy się przy wciąganiu żagla. Potem zawołał: — Powodzenia! — i powrócił do swojej willi.

Chłopcy z omegi pierwsi mieli jacht pod żaglami. Na „Krasuli” — jak na złość — skreśliła się liklina i w żaden sposób nie chciała posuwać się wzdłuż szpary w maszcie. Kilkakrotnie wraz z Templerem to wciągałem żagiel do połowy masztu, to znów opuszczałem, aby wyprostować liklinę. Od brzegu odbił już „Notos”, a my ciągle jeszcze nie mieliśmy Krasuli pod żaglami, taka bowiem bywa złośliwość przedmiotów martwych. Wreszcie — udało się. Zaknagowałem grot, Templer wciągnął fok, Bajeczka wy dostała z wody kotwicę i „Krasula” zaczęła powoli odchodzić od pomostu. Spojrzałem na zegarek, zbliżała się dwunasta.

Ostro świeciło słońce, na niebie nie widziało się żadnej chmurki, ale upał był łagodzony przez wiatr, który z południowego przeszedł na zachodni. Po jeziorze chodziły ostre szkwały; bliżej drugiego brzegu na rozpędzonych przez wiatr falach powstawały spienione grzywy.

Gdy mocowaliśmy się z żaglem, przez moment przeminięła mi myśl, aby „Krasulę” przekazać Templerowi, a samemu ruszyć w pościg wehikułem, który parkował pod domem Lejwody. Ale wehikuł był na wodzie zbyt powolny, nie miał żadnych szans przy jachcie, w którego żagle dmie wiatr.

Zasiadłem przy sterze, Templer chwycił szot grota, Bajeczka zasiadła na burcie z szotami foka. O dwadzieścia metrów przed nami płynęła już omega piratów. Widziałem, jak ku zdumieniu opalających się na brzegu wczasowiczów chłopcy wciągnęli na maszt czarną flagę z trupią czaszką. Gromadka dzieciaków, kąpiących się na płyciźnie, zaczęła wykrzykiwać:

— Patrzcie, piraci!... Piraci płyną!... Piraci!

Wiatr wiał od rufy i mogliśmy płynąć z dużą prędkością. „Lord Jim” posuwał się półwiatrem. Za kilkanaście minut kurs białego jachtu i naszych łajb powinien się przeciąć w pobliżu Wyspy Łąkowej, niemal naprzeciw willi pana Lejwody.

Wkrótce usłyszałem za swymi plecami głośny szum rozbijanej dziobem wody. To sunął „Notos”. Obejrzałem się i zobaczyłem Kikę, która z radości podskakiwała w kokpicie. Bo też i „Notos” coraz bardziej zbliżał się do nas, potem zrównał się z „Krasulą” i wreszcie zaczął ją nieco wyprzedzać. Skracał się również dystans między nami a omegą z „Rogerem” na topie. No cóż, stara omega z pocerowanymi żaglami nie wytrzymała konkurencji ani z „Krasulą”, ani z „Notosem”.

„Lord Jim” był już na tyle blisko, że widziałem samotnie siedzącego przy sterze Tarzana, który trzymał szot ogromnego grota — żagla o powierzchni chyba trzydzieści metrów kwadratowych. Foka Tarzan nie wciągnął, co wskazywało, że płynął bez pomocnika. Szyby bulajów jego jachtu połyskiwały w słońcu i trudno było stwierdzić, czy ktoś znajduje się w kabinie.

— Niech się pan zatrzyma! Proszę się zatrzymać! — krzyknąłem do Tarzana, złożąwszy dłonie w trąbkę, aby uczynić głos donośniejszym.

Również i z pirackiej omegi oraz z „Notosa” wymachiwano rękami w stronę „Lorda Jima”. Tarzan musiał domyślić się, że ludzie na trzech zbliżających się ku niemu łajbach chcą czegoś od niego, i powinien się zatrzymać, luzując grot.

Ani myślał posłuchać wezwania. Odniosłem nawet wrażenie, że zamierza wykorzystać wąski pas wody, jaki pozostał między brzegiem wyspy a dziobem nadpływającej „Krasuli”, i przemknąć nam przed nosem. Ale oto „Notos” zablokował mu drogę, całą swoją siedmiometrową burtą wpływając w ów wolny pas wody. Zaś piracka omega, po przekątnej, zbliżała się z prawej strony do „Lorda Jima”.

I wtedy Tarzan zrobił nieoczekiwany zwrot przez sztag. Manewr był dla nas zaskakujący, a Tarzan przeprowadził go tak znakomicie, że przemknął tuż przed dziobem nadpływającej omegi i lewym halssem ruszył ostro z powrotem.

Nasze trzy jachty nie potrzebowały robić zwrotów. Wystarczyło wybrać żagle, z pełnego wiatru przejść na półwiatr, wyostrzyć nieco sterem — i już szliśmy tym samym kursem, co „Lord Jim”.

Nastąpił wyścig jachtów, jak na regatach, choć każda z łajb była innej klasy.

„Lord Jim” miał trzydzieści metrów kwadratowych powierzchni żagla. Taka ogromna płachta otrzymuje potężne uderzenie wiatru. A przy tym zauważyliśmy, że Tarzan włączył silnik. I „Lord Jim” zaczął się od nas oddalać, powoli, ale systematycznie. Jego dziób orał fale, rufa pozostawiała szeroki, spieniony kilwater.

Najbliżej Tarzana płynął „Notos” inżyniera. Miał dwadzieścia dwa metry kwadratowe żagli, co z pozoru nie dawało mu żadnych szans dogonienia „Lorda Jima” czy nawet „Krasuli” z jej prawie dwudziestoma siedmioma metrami płótna. Ale żagle „Notosa” zostały uszyte w ten sposób, że połowa ich powierzchni przypadała na grot, a połowa na fok. Ten ostatni żagiel sięgał aż do topu, gdy na „Krasuli” był uczepiony dopiero pod jumpsalingiem, czyli znacznie niżej. Wielu doświadczonych żeglarzy twierdzi, że tak naprawdę szybkość jachtu zależy nie tyle od wielkości powierzchni głównego żagla, ile od wielkości i długości foka. Jacht bowiem uzyskuje dużą prędkość nie wtedy, gdy jest jedynie pchany przez wiatr, ale przede wszystkim wtedy, gdy jest jak gdyby „ciągniony” do przodu. Co to znaczy: „ciągniony do przodu”? Otóż między fokiem a grotem, na skutek działania wiatru, tworzy się jak gdyby próżnia powietrzna, która powoduje zasysanie grota. Żagiel jest wówczas nie tylko pchany przez uderzenie wiatru, ale także ciągnie go zasysające żagiel powietrze. Dopiero te dwie siły, działające na jacht, pozwalają mu uzyskać dużą prędkość.

Tuż za „Notosem” sunęła więc „Krasula”, która choć miała o wiele większy grot, to przecież niewiele mu pomagał mały i nisko zawieszony fok. A coraz dalej, hen w tyle, pozostawała piracka omega z jej piętnastoma metrami kwadratowymi pocerowanych żagli. Ale piraci nie dawali za wygraną i wciąż, płynęli naszym kursem.

„Lord Jim” wyprzedził nas już przynajmniej o pięćdziesiąt metrów. Bezsilnie patrzyłem, jak „Notos” metr po metrze oddala się od mego jachtu, choć niestety wcale nie zbliża się do „Lorda Jima”. Czyżby Tarzan miał umknąć i w dogodnym dla siebie miejscu wysadzić na ląd pannę Denver, aby potem z triumfującą miną pokazać nam pustą kabinę?

— Przeklęta łajbo! — zawołałem ze złością i uderzyłem dłonią w dach kabiny. — Nigdy nie stałaś się „Szkwałem”. Zawsze byłaś i pozostaniesz powolną „Krasulą”.

Wymyślałem „Krasuli” po polsku, ale Simon Templer zrozumiał mój gest.

— Wspomniał mi pan kiedyś o dodatkowym fok. Czy pan go ma na jachcie? — zapytał.

Stuknąłem się palcem w czoło. W nawale szybko następujących wydarzeń zupełnie zapomniałem, że w worku ukrytym w forpiku mam bliźniaczy fok.

Przekazałem ster Templerowi, który jednocześnie musiał teraz obsługiwać także grot, i wśliznąłem się pod pokład dziobowy. Po kilku minutach zapinałem raksy bliźniaczego foka na topsztagu, to jest stalowej linie łączącej szczyt masztu z dziobem.

Znowu chwyciłem ster, rozkazując Bajeczce, aby wybrała drugi fok i zamocowała jego szot na zaciskowej knadze.

W tym momencie odniosłem wrażenie, że podłoga leciutko drgnęła pod moimi nogami, cały jacht jakby westchnął cicho. Poświst wiatru na wantach i topwantach zmienił swoją melodię. Stała się ona wyraźniejsza i bardziej przenikliwa.

— On leci... Wznosi się w górę! — krzyknęła Bajeczka.

— Krowa nareszcie wpadła w ślizg — zawołał Simon Templer.

To zdanie zabrzmiało bardzo zabawnie, ale nie roześmiałem się. Byłem zbyt zdumiony tym, co wyprawiała „Krasula”. Ona już nie płynęła, ale po prostu ślizgała się po czubkach fal, od czasu do czasu taranując je dziobem i opryskując nas bryzgami białej piany. Miałem wrażenie, że unosimy się w powietrzu, że nasz jacht w ogóle nie dotyka wody, a białe płachty żagli to skrzydła białego łabędzia, który leci nisko nad jeziorem.

Zrównaliśmy się z „Notosem”. Był on szerszy o pół metra od „Krasuli”, co sprawiało, że stawiał większy opór fali. Jeszcze większą szerokość miał „Lord Jim”. Teraz gdy zapewniłem swojej łajbie dostateczną ilość żagli i chwyciła ona wiatr, w porównaniu z tamtymi jachtami przypominała ostrą strzałę, która — wypuszczona z jakiegoś ogromnego łuku — leci po czubkach fal.

Jeszcze chwila i „Notos” pozostał w tyle. Zapamiętałem twarz inżyniera Dołęgowskiego, która zastygła ze zdziwienia, uśmiech na ustach Kiki, jakby dziewczyna ucieszyła się z triumfu „Krasuli”. Tylko pani Dołęgowska z obojętną miną przypatrywała się, jak wyprzedzamy „Notosa”, bo też ona nie zdawała sobie sprawy, czym była przedtem „Krasula”.

„Niech pan na wszelki wypadek weźmie bliźniaczy fok — przypomniałem sobie słowa starego szkutnika. — Może ta łajba musi mieć dużo żagli, żeby odnaleźć w sobie duszę godną nazwy »Szkwał«?»

To były prorocze słowa. Stara łajba miała duszę „Szkwała”, ale zawsze pływała niedożaglona i dlatego była nieruchawą „Krasulą”. Mając wyższy maszt i większy grot, zaczęła pływać szybciej, ale w ślizg wchodziła dopiero przy bardzo dużym wietrze. Z bliźniaczym fokiem już przy trójce ślizgała się po wodzie.

Metr za metrem zbliżaliśmy się do „Lorda Jima”, który poprzez ogromne rozlewisko płynął w kierunku Czaplego Ostrowa.

Domyśliłem się, do czego zmierza Tarzan. Postanowił wyprowadzić nas na środek rozlewiska i kolejnym niespodziewanym zwrotem zawrócić w stronę Hławy. Między Czaplim Ostrowem a Hławą było co najmniej dwadzieścia kilometrów jeziora. Na takiej przestrzeni, wykorzystując swoją szybkość, mógł się od nas oddalić o kilometr. Wystarczyłoby mu czasu na cumowanie koło mostu w Hławie i pozbycie się pasażerki.

Ale „Krasula” nieubłagalnie podchodziła do „Lorda Jima”.

Stwierdził to i Tarzan. Odtąd często się oglądał. Raptem na moment porzucił ster i szot grota, zniknął w kabinie, a potem zaczął coś wyrzucać do wody.

— Co on robi? — z niepokojem zapytałem Templera.

— Proszę nie zwracać na niego uwagi! — odkrzyknął. — Chodzi mu na pewno o to, abyśmy zajęli się wyławianiem tych przedmiotów z wody i opóźnili pościg.

Przypomniała mi się bajka o uciekinierze, który rzucał za siebie to grzebień, to znów wstążkę, a wtedy przed ścigającymi wyrastał nagle potężny las albo zagradzała im drogę szeroka rzeka. „Nie, nie dam się nabrać na chwyt Tarzana” — pomyślałem.

— To są kosmetyki. Buteleczki z kosmetykami — oświadczyła Bajeczka, gdy w pewnej odległości mijaliśmy kołyszące się na fali przedmioty niesione przez wiatr w stronę wschodniego brzegu.

Już tylko dziesięć metrów dzieliło nas od „Lorda Jima”. Już tylko pięć metrów... Dwa metry... I zrównaliśmy się z białym jachtem.

Znowu oddałem Templerowi ster, a sam chwyciłem leżący na kokpicie bosak, złapałem nim za burtę „Lorda Jima” i od tej chwili pędziliśmy razem, jak gdyby spleceni w uścisku. On ciągnął nas, a my jego.

Tarzan porzucił ster i szot grota, usiłując oderwać ząb bosaka od burty swego jachtu. Jego grot od razu stanął w łopocie, jacht zwolnił swój pęd, płynął już tylko na silniku. Wykorzystał to Templer i dobił burtą „Krasuli” do boku „Lorda Jima”. A wtedy jednym skokiem znalazłem się w kokpicie białego jachtu.

— Bandyci!... Bandyci!... — krzyknął Tarzan i rzucił się na mnie.

Nagłym uderzeniem głowy przewrócił mnie na dno jachtu. Na szczęście pośliznął się na podłodze mokrej od bryzgów wody i uderzenie było słabe. Potoczyłem się jednak aż pod drzwi kabiny.

Tarzan był o wiele silniejszy niż ja. Bardziej muskularny i wysportowany. Gdy leżałem na podłodze, znowu podbiegł i, mrużąc coś z wściekłością, chwycił mnie za gardło.

Ale Templer również błyskawicznie znalazł się na „Lordzie Jimie” i skoczył Tarzanowi na plecy. Pozbawiona sternika „Krasula” zaczęła oddalać się od „Lorda Jima”.

Tarzan zluzował uścisk dłoni na moim gardle. Podwójny nelson Templera sparaliżował go ostatecznie, po chwili leżał już na deskach podłogi, trzymany silnym chwytem Świętego.

— Niech pan przeszukaabinę — rozkazał Templer.

Kopnąłem drzwi kabiny i wpadłem do niej jak bomba. Ale kabina była pusta. Otworzyłem małe drzwiczki do forpiku, lecz i tam nikogo nie znalazłem. Leżały tylko zwoje lin i dwie skrzynki konserw mięsnych.

Wróciłem do kabiny i jeszcze raz uważnie rozejrzałem się po czterech pustych kojach.

Na jednej z nich, tej z prawej strony, najniższej, zobaczyłem granatową apaszkę w białe grochy. Taką apaszkę miała Diana Denver, w chwili gdy spotkała się ze mną w parku w Karnitach.

Przyłożyłem apaszkę do nosa i poczułem znajomy, upajający zapach perfum panny D.D.

Wyszedłem do kokpitu.

— Tylko ta apaszka została po panie Denver. Niestety, jej już tu nie ma. . .

I wyłączyłem silnik Diesla, bo pozbawiony sternika „Lord Jim” miotał się na wodzie, zataczając szerokie kręgi.

Nadpłynął „Notos” i inżynier Dołęgowski sprawnie dobił do białego jachtu, ubezpieczywszy burty swojej łajby grubym zwojem liny. Zauważyłem, że w odległości około dwustu metrów Bajeczka ściąga żagle na „Krasuli”. Po minucie z drugiej strony dobili do nas także piraci i ze straszliwym wrzaskiem wdarli się na „Lorda Jima”. Ale ich pomoc była już niepotrzebna.

Simon Templer „rozwiązał” swojego podwójnego nelsona.

— Porwałś Dianę Denver! Gdzie ona jest? Mów! — krzyknął po angielsku do Tarzana, który zaczął gramolić się z podłogi.

Tarzan zwrócił się do mnie, szukając pomocy.

— Panie — zawołał bełkotliwie — pan wie, że ja nie umiem po angielsku! Czego ten Święty chce ode mnie? To wariat, proszę pana. Może znowu posądza mnie o to, że chciałem porwać Dianę Denver? Pamiętaj pan, co było wtedy na Jeziorze Drwęckim?

— Dianę Denver porwano naprawdę. Była na pańskim jachcie. Jako dowód może służyć jej apaszka. . .

Tarzan zrobił zdziwioną minę.

— Porwano pannę D.D.? I panowie myślą, że ja mam z tym coś wspólnego? Ależ to nonsens. Jestem niewinny.

— A ta apaszka? — machałem mu nią przed nosem.

— Jest tutaj od dawna — wzruszył ramionami. — Przecież na „Lordzie Jimie” robiono zdjęcia do filmu. Pani Denver spędziła tu sporo czasu. Pozostawiła i apaszkę, i swoje kosmetyki. Apaszkę potraktowałem jako pamiątkę, lubię bowiem bardzo pannę D.D.

— W tej apaszcze była w chwili porwania — stwierdziłem.

— Może miała kilka takich samych? Ta leży u mnie od tygodnia.

Tarzan bronił się sprytnie. Panna D.D. rzeczywiście wiele godzin spędziła na „Lordzie Jimie” i mogła pozostawić w kabinie swoje kosmetyki, a także apaszkę. Nie było także wykluczone, że podobnych apaszek miała kilka.

— Dlaczego pan się nie zatrzymał, gdy osaczyliśmy pana w Siemianach? — zapytałem. — Zaczął pan uciekać przed nami. Czy tak postępuje człowiek, który nie ma nic złego na sumieniu?

Tarzan milczał przez chwilę, namyślając się nad odpowiedzią. Bezradnie rozglądał się po naszych twarzach, spojrzął w niebo, na maszty naszych żaglówek. I raptem jakby go jakaś myśl olśniła. Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu.

— To przez ten piracki sztandar — wskazał na „Rogera” trzepoczącego na maszcie starej omegi. — Zobaczyłem, że płynie w moim kierunku omega ze znakiem piratów, a w niej siedzi aż trzech wyrostków. Pomyślałem, że chcą na mnie napaść, więc wolałem uciec.

— Niech pan nie gada głupstw — rozżłościłem się. — Piracki napad na środku jeziora, na oczach dziesiątków żeglarzy?

— A jednak tak było. Nie należę do ludzi odważnych — skromnie spuścił oczy Tarzan.

Pomyślałem: „I udowodnij mu, że się nie przestraszył”.

— A nas pan nie zauważył? Ani „Krasuli”, ani „Notosa”, z których także dawano znaki, aby się pan zatrzymał?

— Nie, z początku was nie zauważyłem — potrząsnął głową Tarzan — tylko tę piracką omegę. Dopiero później, gdy cała trójka zaczęła mnie ścigać. Pomyślałem, że jesteście w spółce z piratami i wolałem uciec.

— A dlaczego rzucił pan do wody kosmetyki? Chciał się pan pozbyć „dowodów rzeczowych”.

— Zamierzałem opóźnić waszą pogoń. Myślałem, że zechcecie wyłowić z wody te przedmioty, a ja w tym czasie ucieknę. Albowiem gdy zobaczyłem na „Krasuli” pana Templera, to już całkiem głowę straciłem. Przewidywałem, że on znowu mnie o coś podejrzewa i weźmie się do bicia.

Kłamał. Bezczelnie kłamał. Ale robił to z ręcznie. Odparował każdy nasz zarzut, wyjaśnił każde nasze podejrzenie. A przecież było oczywiste, że Diana Denver jeszcze nie tak dawno znajdowała się w kabinie „Lorda Jima”. Mógł zatrzymać się na nasz rozkaz i pokazać nam pustą kabinę. Wołał jednak uciekać. Dlaczego? Bo panna D.D. była gdzieś blisko i postanowił dać jej czas na ukrycie się.

Zdałem Templerowi relację z przebiegu rozmowy, ponieważ toczyła się ona po polsku.

— On bezczelnie kłamie! — zawołał Templer i chciał się znów rzucić na Tarzana.

Powstrzymałem go.

— To już nic nie da, przyjacielu. Musimy Tarzana puścić wolno i nawet przeprosić za napad. Wiem jednak, że Diana Denver jeszcze niedawno znajdowała się gdzieś w pobliżu.

— Tak, ma pan rację — mruknął Templer.

A Tarzan zwrócił się do mnie z pretensją.

— Pan widzi, że Święty chce mnie bez żadnego powodu znowu bić. On mnie po prostu nienawidzi, tylko zupełnie nie rozumiem dlaczego.

— Bo pan jest bezczelnym kłamcą — powiedziałem. — Niestety, nie potrafimy panu udowodnić udziału w porwaniu Diany Denver, gdyż nie zastaliśmy jej na „Lordzie Jimie”. W tej sytuacji przepraszamy pana za napad. Ewentualnie może pan złożyć na nas skargę w najbliższym posterunku Milicji Obywatelskiej.

Na twarzy Tarzana pojawił się wyraz ogromnej dobroduszości.

— Ależ ja wcale się na was nie gniewam, panowie. I nie zamierzam wnosić żadnych skarg. Doskonale rozumiem przyczynę waszego postępowania. Porwano pannę D.D., jesteście tak tym faktem poruszeni, że potraciliście głowy i napadliście na niewinnego człowieka. Gdybym mógł się wam na coś przydać...

Udaliśmy, że nie słyszymy jego bezczelnej propozycji. Porywacz, który proponuje pomoc przy poszukiwaniach porwanej? Tego jeszcze nie było nawet w żadnym odcinku serialu „Święty”.

W tym czasie dobiła do „Lorda Jima” „Krasula”, którą Bajeczka popychała krótkim wiosłem. Przeszliśmy z Templerem na moją łajbę, od burty „Lorda Jima” odbiła piracka omega, a także „Notos”. Obydwa jachty skierowały się do Siemian.

— Wciągać żagle! — rozkazałem Templerowi i Bajeczce.

— Bliźniaczy fok także? — zapytała dziewczyna.

— Do licha z bliźniaczym fokiem. Po co on nam teraz? — burknąłem gniewnie. — Nie mamy się dokąd spieszyć.

I wolno popłynęliśmy w stronę domu pana Lejwody, przeżywając gorycz kłęski.

Gdy po jakimś czasie obejrzałem się, stwierdziłem, że Tarzanowi odechciało się żeglowania. Zrzucił żagiel i tylko na silniku płynął wolno naszym kursem.

Było mi już zupełnie obojętne, dokąd się udaje, albowiem on już chyba wypełnił swoje zadanie. Dostarczył pannę D.D. z Karnit na miejsce, w którym prawdopodobnie przejął ją ktoś inny i zaprowadził do z góry wybranej kryjówki.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

DLACZEGO NIE MIAŁEM APETYTU • NARESZCIE INFORMACJA O „ZŁOTEJ RĘKAWICY” • TEMPLER WYCOFUJE SIĘ Z GRY • TENDRON FOTOGRAFUJE „STRASZYDŁO” • NOWA PROPOZYCJA BATURY • WIEM, GDZIE UKRYTO AKTORKE • KTO BĘDZIE PIERWSZY? • POŚCIG NA SZOSIE • PŁYNĘ PRZEZ ZATOKĘ • MAŁY DOMEK NAD JEZIOREM • PERTRAKTACJE Z PANEM DOMINI • ODNALEZIENIE DIANY DENVER • TERESA MANSWELL

Bajeczka uchyliła drzwi kabiny i powiedziała do mnie:

— Niechże pan coś zje, na Boga. Przyrządziłam obiad pożywny i chyba smaczny, a pan nie chce niczego tknąć. I co ja mam teraz zrobić z jedzeniem? Wyrzucić je rybom?

— Wszystko jedno — mruknąłem.

— Sprawia mi pan kłopot. . .

— Przynajmniej nareszcie ma się pani o kogo kłopotać. Pani to podobno bardzo lubi.

— Och, niech pan nie będzie aż taki złośliwy — stwierdziła smutno i opuściłaabinę, gdzie od dłuższego już czasu leżałem na koi i w bezsilnej złości przewracałem się z boku na bok.

„Krasula” cumowała przy brzegu obok domu pana Lejwody. Wiatr i fale kołysały łagodnie jachtem, a ja tkwiłem na materacu, to wlepiając oczy w niski sufit, to kryjąc twarz w poduszce. Bolały mnie żebra, w które mocno uderzył głową Tarzan, lecz jeszcze bardziej nękała mnie zraniona duma. Czułem się wyprowadzony w pole, przeżyłem klęskę, i to na oczach takiego człowieka, jak Święty.

Niespełna półtorej godziny temu w nie znanym mi kierunku odpłynął „Notos”, zabierając na pokład także Joannę i pana Lejwodę. Ten ostatni, ubrany w elegancki biały garnitur, wszedł z wielką godnością na jacht, objuczony jakimś mapami. Pani Joanna patrzyła w niego z uwielbieniem, a on miał minę, która sugerowała, że jest już na tropie anonimowego poety.

„Akurat go znajdziecie. Wydaje się wam, że to takie proste, jak w Warszawie na Marszałkowskiej zapytać o sklep z obuwem” — myślałem ze złością, choć, dalipan, zależało mi przecież na tym, żeby trafili do domu poety. Tym bardziej że mimo wszystko polubiłem pana Lejwodę. Przed odpłynięciem odwiedził mnie na „Krasuli” i oświadczył, że w jego willi pozostaje pani Jagoda i że mogę korzystać zarówno z kuchni, jak i z łazienki czy telewizora, w ogóle ze wszystkich domowych udogodnień. Zaproponował mi także, abym swój wehikuł wstawił do jego garażu, bo ma garaż bardzo przestronny, na dwa samochody. Odpowiedziałem mu grzecznie, że mój wehikuł przyzwyczajony jest do nocowania pod gołym niebem. Byłem naprawdę rad, kiedy odszedł, gdyż bałem się, że nie powstrzymam się, aby nie wyładować na nim miotającej mną złości.

Jeszcze wcześniej odpłynęli piraci, bardzo niezadowoleni, że znowu odebrałem im „Rogera”. Ale nie okazali tego.

— Pan jest miły facet, Panie Samochodzik — oświadczyli mi na pożegnanie. — Dobrze pan nakładł Tarzanowi. A ta aktorka chyba się znajdzie, prawda?

— Tak, na pewno się znajdzie. Cała i zdrowa — mruknąłem. — A co do tego Tarzana, to nie ja jemu, tylko on mnie „nakładł”, jak to wy określacie.

— To był bardzo piękny rejs — rzekł Jurek. — Szkoda, że musimy już ruszać do Iławy, aby zwrócić tę starą krypę. Przeżyliśmy trochę przygód jako piraci, zobaczyliśmy jak robi się serial z cyklu „Święty”, i poznaliśmy osobiście Simona Templera, który każdemu z nas dał autograf. A od pana Lejwody otrzymaliśmy książkę pod tytułem „Jak schwytać mordercę”.

— I za cóż to on wam dał swoją książkę? — zdziwiłem się aż taką uprzejmością pisarza.

— Dowiedział się, że jesteśmy z Iławy. Zapytał, czy nie znamy jakichś bajek albo legend z tych okolic. Opowiedzieliśmy mu więc legendę o złotej rękawicy.

— O złotej rękawicy?...

— Nie zna pan tej legendy? Jest bardzo krótka. Było to pod Grunwaldem albo też w czasach późniejszych, w okresie rządów Kazimierza Jagiellończyka, który też walczył z Krzyżakami. Otóż wśród rycerzy krzyżackich znajdował się pewien zagranicznik, rycerz możnego rodu i bardzo dumny. W jego rodzie, z pokolenia na pokolenie, noszono na prawej dłoni zrobioną ze złota rękawicę, którą rzucało przeciwnikowi, gdy chciano go wyzwąć na pojedynek. I rycerz ten rzucił złotą rękawicę jednemu z polskich wojowników. Podobno gdzieś w okolicach Iławy odbył się pojedynek. Polski rycerz pokonał butnego zagranicznika, Krzyżacy potem przegrali bitwę, a dumnego zagranicznika polscy rycerze pochowali z wielkimi honorami i z jego złotą rękawicą.

— A gdzie go pochowali? — zapytałem z bijącym sercem.

— Ba, tego nikt nie wie. Pewnie w jakimś kościele albo w grobowcu. Ale w czasie wojny wiele grobowców zniszczono. Byli tacy, co szukali tej rękawicy, ale nikt jej nie znalazł. My też próbowaliśmy ją odnaleźć. Może to tylko legenda?

— Może to tylko legenda — powtórzyłem.
Ale myślałem co innego. Pamiętałem przecież słowa poety:

*I znowu polski rycerz dumnie
podejmie złotą rękawicę.
Widziałem ją w blaszanej trumnie,
gdzie wróg rozbitą miał przyłbicę.*

Nie, poeta ludowy nie zmyślił tego. Autor wiersza „Złota rękawica” był prostym człowiekiem i opisywał to, co czuł i co oglądał. On widział złotą rękawicę w blaszanej trumnie. Widział także rozbitą przyłbicę pokonanego rycerza. Ale gdzie je widział?

— Dziękuję wam, chłopcy — uściśnąłem im ręce i tak rozstaliśmy się.

A ja, mimo że nareszcie usłyszałem historię złotej rękawicy, powróciłem na koję z poczuciem przegranej. Bo ileż wysiłku włożyłem w to, aby dowiedzieć się czegoś o złotej rękawicy! Iluż ludzi pytałem o jej historię! O legendę lub baśń. O najdrobniejszą informację. A historia złotej rękawicy była tuż, znali ją ci trzej chłopcy z Ławy. Zdarza się tak w pracy detektywa, że całymi tygodniami szuka wyjaśnienia jakiegoś faktu, a rozwiązanie znajduje się o krok.

Przyszła na brzeg pani Jagoda i zaprosiła mnie na kawę. W drodze do willi zwierzyła mi się:

— Chyba jednak pozostanę u pana Lejwody, jeśli nawet pobiorą się z panią Joanną. Powiedział mi, że nikt tak dobrze, jak ja, nie nadaje się do jego eksperymentów kryminalnych.

— Ma pani na myśli wasze rozmowy o morderstwach?

— To jest bardzo ważna sprawa dla autora tego rodzaju powieści — dumnie oświadczyła pani Jagoda. — Żeby pan wiedział, ile razy byłam zabijana. Albo też odgrywałam rolę detektywa. Pan Lejwoda próbował to robić z panią Joanną, ale ona nie bardzo się do tego nadaje. Powiedziała mu, że nawet w wyobraźni przykro jej jest ginąć w okrutny sposób. A ja to bardzo lubię. Przyjemnie jest żyć, a jednocześnie czytać, jak się zostało zabitym.

Nic na to nie powiedziałem. Różnym ludziom różne rzeczy sprawiają przyjemność, a nowoczesny człowiek powinien być tolerancyjny i rozumieć, że każdy człowiek jest inny.

W domu pisarza siedział w fotelu przy telefonie Templer i czekał na połączenie z Karnitami. Pomyślałem, że może tak jeszcze długo czekać, bo łatwiej u nas połączyć się telefonicznie z Paryżem czy Nowym Jorkiem niż z miejscowością znajdującą się w odległości trzydziestu kilometrów.

— Chcę poprosić pana Domini, żeby przysłał po mnie samochód — wyjaśnił.

— No tak, rozumiem — pokiwałem głową. — Innymi słowy, rezygnuje pan z poszukiwań Diany Denver.

— A pan? — odparł zaczepnie. — Czy wie pan, w jakim kierunku wznowić poszukiwania? Jeśli wskaże mi pan choć najniklejszy ślad, gotów jestem panu towarzyszyć.

— Sądziłem, że pan lubi przeżywać przygody nie tylko na ekranie, lecz i w życiu. Nietrudno chodzić po gzymsach, gdy ma się pod sobą rozpiętą siatkę bezpieczeństwa. Nietrudno rozwiązywać zagadki, gdy zostały one ułożone przez scenarzystę. Ale w życiu, pan wie, w prawdziwym życiu wszystko wygląda inaczej.

Mówiąc to czułem, że jestem dla Templera trochę niesprawiedliwy. On przecież nie uchylał się od przeżycia prawdziwej przygody, po prostu nie widział już dla nas żadnych szans.

Nie obraził się. Klepnął mnie przyjacielsko w plecy i stwierdził:

— Jeszcze raz powtarzam, proszę mi wskazać choćby drobny ślad. . .

— Ona nie może być daleko. Przecież mówiliśmy o tym, że Tarzan nie zatrzymał się na nasze wezwanie, bo chciał jej dać czas na ukrycie się. A więc kryjówka Diany Denver znajduje się w pobliżu.

— Ba! — roześmiał się. — Jezioro ma prawie trzydzieści kilometrów długości i bardzo urozmaiconą linię brzegową. Ileż tu wiosek, lasów, zakamarków. . .

— Takiej osoby, jak Diana Denver, nie kryje się w lesie. A poza tym „Lord Jim” płynął od strony północnej. A więc w północnej części Jezioraka trzeba szukać aktorki.

Zabrzączał telefon.

— Tak, jestem u pana Lejwody — wołał do telefonu Simon Templer. — Naprawdę, proszę się o mnie nie niepokoić, panie Domini, a jedynie przysłać po mnie samochód. Owszem, trafiliśmy na ślad Diany. Znajdowała się prawdopodobnie na „Lordzie Jimie”, który nie powrócił jeszcze do Ostródy, tylko wciąż krąży po jeziorze i wczoraj był w pobliżu Karnit. Ależ nie, panie Domini, naprawdę nie chcę panu utrudniać porozumienia z porywaczami. . .

Udawał, że nie domyśla się roli, jaką w porwaniu aktorki odgrywa sam pan Domini. No cóż, nie chciał sobie psuć stosunków z człowiekiem, który płacił mu za grę w filmie.

Pomyślałem, że nie mam prawa nakłaniać Templera do dalszych poszukiwań Diany Denver. Żył przecież z aktorstwa i był zależny od producentów filmowych. Za chwilę pan Domini przyśle po niego samochód i Święty powróci grzecznie do Karnit, aby walczyć z szalonym baronem, przeciwnikiem, którego wymyślił dla niego Lejwoda.

Opuściłem willę pisarza, nie pożegnawszy się z Templerem — rozmowa telefoniczna z panem Domini nabierała dla aktora nieprzyjemnego charakteru. Wynioskowałem z jego wyjaśnień, że Domini ostro go strofuje. Woląłem nie być świadkiem upokarzających tłumaczeń Templera.

Przed willą natknąłem się na pana Tendron, który przyjechał właśnie swoim Citroënem i akurat wysiadał z samochodu.

Tendron jak zwykle dźwigał na ramieniu ogromny aparat fotograficzny z lampą błyskową i teleobiektywem podobnym do armaty.

— Witam porywacza! — zawołał do mnie serdecznie. — Oczywiście, ani przez chwilę nie wierzyłem, że pan brał udział w porwaniu tej aktoreczki. Muszę panu wyjawić, że nie mam wielkiego mniemania o talencie panny D.D. Ale cóż, porywacze nie wnikają w sprawy talentu. Im wystarczy, że pan Domini jest bogatym producentem, że zależy mu na zakończeniu filmu i musi mieć aktorkę na planie. A co do pana, wspaniale wyszedł pan na zdjęciach, walcząc z goryłami mister Batury. To była piękna, męska walka. Uważam, że Domini powinien pana zaangażować do filmu. Ale z panem Domini nie można się dogadać. Głowa mu pęka od zmartwień, czeka na sygnał porywaczy. W Karnitach nudno, więc przyjechałem tutaj, aby przeprowadzić wywiad z Billem Arizoną.

— Niestety, nie ma go w domu. Ale jest Templer — wspomniałem.

— Ach, Templer? To świetnie. W takim razie z nim utnę pogawędkę dla naszego tygodnika. Ale, ale... Chwileczkę! Muszę sfotografować to straszdyło...

— To nie jest straszdyło — warknąłem — tylko mój samochód.

Albowiem przedmiotem nagłego zainteresowania pana Tendron stał się mój wehikuł.

— Pański samochód?... — wyjąkał Pierre Tendron, trzepocząc powiekami zdumionych oczu. — Przepraszam bardzo, ale w ogóle nie przypuszczałem, że tą machiną można jeździć. Pan się chyba nie obrazi, że uwiecznię ją na zdjęciu?

— Oczywiście, że się nie obrażę. To samochód i naprawdę jeździ — oświadczyłem z dumą.

— Tak, tak, wierzę panu — bez przekonania zgodził się ze mną Tendron. — Przepraszam, że jestem natrętny, ale kim pan właściwie jest? Jaki pan uprawia zawód?

— Jestem muzealnikiem.

— Rozumiem. To wyjaśnia wszystko. Co za wspaniały temat do gazety! Muzealnicy jeżdżą muzealnymi samochodami. Cudowne, wspaniałe, nadzwyczajne! Tylko w tak egzotycznych krajach, jak Polska, można trafić na podobnie niezwykły temat. Oczywiście, wehikuł jeździ na gaz drzewny, propan-butan albo jakieś inne tajemnicze paliwo?

— Nie. Na benzynę — stwierdziłem krótko.

— Rozumiem, rozumiem. Maksymalna szybkość około czterdziestu kilometrów na godzinę — pomrukiwał pan Tendron, nastawiając obiektyw aparatu na mój wehikuł.

Robił przy tym zabawne miny, to przykucał, to znów prostował się, to zbliżał się do samochodu, to znów od niego raptownie odskakiwał, jakby wehikuł miał za chwilę wybuchnąć. Zajęty fotografowaniem nawet nie usłyszał mojej informacji, że samochód osiąga szybkość dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę i ma silnik Ferrari 410.

— Czy może pan stanąć przy swoim wehikule? — zaproponował mi. — Napiszę w gazecie: „Znany polski muzealnik skonstruował niezwykley wehikuł poruszany przy pomocy tajemniczej energii”. To zainteresuje producentów samochodów na całym świecie. Wszyscy poszukują paliwa, które zastąpiłoby tradycyjną benzynę.

— Ależ to nieprawda! — oburzyłem się. — Mówiłem już panu, że mój wehikuł spala benzynę.

— Proszę się tym nie martwić! — zawołał Tendron. — Wkrótce nadejdzie tak zwany sezon ogórkowy, okres „kaczek dziennikarskich”. Pan wie, że potwór z Loch Ness, który zawsze wypływa na powierzchnię gazet o tej porze roku, już się nieco znudził czytelnikom. Może ten wehikuł ich zainteresuje? Wyobrażam sobie to poruszenie wśród producentów samochodów: „Tajemniczy wehikuł tajemniczego konstruktora z Polski”.

— Nie — odrzekłem twardo. — Nie przyłożę ręki do takiej bujdy.

I z dumnie wypiętą piersią ruszyłem na brzeg jeziora, do swego jachtu.

Położyłem się na koi i leżałem przyzywając swoją klęskę. Bajeczka w tym czasie przyrządziła obiad, ale — jak wiecie — jeść nie chciałem.

— Tyle się namęczyłam, a pan nie chce skosztować — dziewczyna znowu weszła do kabiny i próbowała wydobyć mnie z odrętwienia.

To było dość dziwne uczucie. Jakby moje myśli uciekały w różnych kierunkach, rozbiegły się po kilku płaszczyznach jednocześnie. Coś w rodzaju bólu sprawiało mi wysiłek, aby je zebrać, zgłębić do końca sprawę porwania Diany Denver i wiele innych kwestii. Tak, tych spraw było kilka i może dlatego myśli moje rozpierzchły się we wszystkie strony.

— Czy pan naprawdę nie jest głodny? — spytała Bajeczka. — Myślę, że Diana Denver nie jest warta, aby tak się pan o nią martwił.

Sięgnąłem na półkę i zdjąłem z niej pomalowaną na złoty kolor skórzaną rękawiczkę.

— Chcę wiedzieć, dlaczego Batura kazał pani podzucić mi tę rękawicę? Co kryło się za tym gestem?

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Mówiłam to już panu — westchnęła. — Kazał mi tylko wybadać, czemu pan rozpoczyna ten rejs, skoro, jak twierdził, odnalazł pan już dom poety. Poleciał mi także podzucić panu rękawiczkę.

— A pani nie zapytała, dlaczego ma to pani zrobić?

— Wtedy jeszcze bez szemrania wykonywałam wszystkie jego polecenia. Wydaje mi się teraz, że domyślałam się przyczyny tego gestu. Pan dopiero dzisiaj poznał legendę o złotej rękawicy. Natomiast on wpadł na nią znacznie wcześniej. Tę legendę opowiedział mu ktoś w Karnitach, jakiś miejscowy robotnik rolny. Batura domyślał się, że pan nie ustanie w wysiłkach, aby zgłębić tajemnicę wiersza. Może pragnął pana ostrzec, chciał spowodować, żeby pan porzucił tę sprawę?...

I raptem stało się coś dziwnego. W moim mózgu jak gdyby opadła jakaś zamknięta dotąd klapka i zobaczyłem swoje sprawy w niezwykle jaskrawym świetle.

— Wiem, gdzie jest panna Denver — nieoczekiwanie rzuciłem przez zaciśnięte zęby.

Bajeczka spojrzała na mnie z niedowierzaniem. Ale ja naprawdę domyślałem się, gdzie ukryto Dianę Denver. Powiedział mi o tym kierunek, z którego przy płynął „Lord Jim”. Podsunęła mi to także świadomość, że i Batura wiedział od dawna, gdzie żył autor „Złotej rękawicy”.

I już miałem wyjawić Bajeczce miejsce pobytu aktorki, gdy z brzegu usłyszałem głos pani Jagody:

— Proszą pana, przyjechał pan Domini i chce z panem porozmawiać, może pan pozwoli do nas, do domu.

Wyjrzałem z kabiny.

— Jeśli Domini ma do mnie interes, niech przyjdzie tutaj, na jacht.

— Jest z nim pan Batura. Chcą z panem porozmawiać na osobności. Pan Templer także na pana czeka. . .

— Batura? — ucieszyłem się. — Batura przyjechał z panem Domini? To zmienia postać rzeczy. Bardzo chętnie zamienię z nim kilka słów.

Narzuciłem na siebie welwetową kurteczkę i sprawdziłem, czy mam w kieszeni kluczyki od wehikułu. Bajeczka położyła mi dłoń na ramieniu.

— Niech pan nie idzie na tę rozmowę. Może to koleina pułapka? Jeśli z panem Domini jest Batura, można się spodziewać najgorszego.

— A co mi mogą zrobić? — odparłem beztrasko. — Oskarżyć o współudział w porwaniu Diany Denver? Ależ to śmieszne, nikt w to nie uwierzy.

Podwinąwszy nogawki spodni, skoczyłem z jachtu na płyciznę. To samo zrobiła Bajeczka.

— Nie puszczę pana samego — stwierdziła. — Już raz to zrobiłam i naraził się pan na kłopoty. Pan nawet nie wyobraża sobie, jak pełnym fałszu człowiekiem jest Batura.

Roześmiałem się.

— Być może czeka mnie nowa przygoda, a pani, Bajeczko, nie lubi przygód. Radzę zostać na jachcie.

— Nienawidzę przygód — skinęła głową — ale chcę, aby ta historia skończyła się dobrze. I dla pana, i dla mnie. Zdecydowałam więc, że pójdę z panem.

Czymś bezcelowym byłoby dyskutować z nią dłużej. A poza tym pomyślałem, że jej obecność przy mnie może okazać się korzystna. Była wprowadzona w ciemne interesy Batury, choć nie o wszystkich chyba wiedziała i nie o wszystkich zechciała mi powiedzieć. Jest nadzieja, że przy niej Batura nie odważy się ciągnąć dalej swojej podwójnej czy też potrójnej gry.

W uliczce obok domu Lejwody parkował piękny turbo Waldemara Batury. Tuż za nim stał citroen pana Tendron, a dalej mój wehikuł. Batura przywiózł nie tylko pana Domini, ale i dwóch swoich goryli, którzy teraz leżeli na skrawku trawy w ogródku i żuli gumę, leniwie poruszając szczękami.

Zobaczywszy mnie, na chwilę zamarli, a potem jeden z nich rzekł do drugiego, ale tak, żebym usłyszał:

— Ten facet to nie żaden porywacz, to obiekt muzealny. O mało go nie stłukliśmy, jak tę chińską wazę. Widziałeś jego samochód? Facet zbudował wóz z puszek po konserwach.

Drugi zaśmiał się grubym głosem i znowu zaczęli żuć gumę, a ja i Bajeczka przeszliśmy obok nich i zadzwoniliśmy do drzwi.

W dużym pokoju z telewizorem siedziało w fotelach czterech mężczyzn: Batura, Domini, Templer i pan Tendron. Na stoliczku obok foteli pani Jagoda postawiła szklanki z mocną herbatą, a przed panem Domini — duży kieliszek koniaku.

Producent filmowy, kiedy nas ujrzał, podniósł się i podszedł do mnie z wyciągniętą ręką.

— Chciałem pana przeprosić za moje wczorajsze zachowanie i oskarżenie, które nie miało sensu — oświadczył.

Podąłem mu rękę, bo tak zawsze reaguję na słowa przeprosin. Nie umiem długo trzymać w sercu urazy.

Batura, zobaczywszy Bajeczkę w moim towarzystwie, aż usta zacisnęła ze złości. Aby zamaskować gniew, szybko przyniósł z drugiego pokoju krzesło dla niej. Podsuwając je dziewczynie, syknął:

— Zdradziłaś mnie. . .

Bajeczka odpowiedziała:

— Zerwałam z tobą, ale cię nie zdradziłam.

Jej dalsze słowa zagłuszył pan Domini.

— Pragnę pana poinformować, że wreszcie otrzymałem wiadomość od porywaczy i porozumiałem się z nimi. Jutro rano mój pełnomocnik w Londynie przekaże pięćdziesiąt tysięcy funtów szterlingów ich przedstawicielowi. W zamian za to Diana Denver powróci jutro rano na plan filmu. Sprawę uważam za zakończoną i jeszcze raz przepraszam pana za moje niewłaściwe zachowanie.

— Czy ma pan list od porywaczy? — zapytałem.

— Nie. . . — zmieszał się pan Domini. — Porozumieli się ze mną telefonicznie.

— Uważam, że powinno się powiadomić tutejszą milicję — odezwał się pan Tendron. — Poszukiwania wyglądają wtedy bardziej dramatycznie i dają więcej materiału do gazety.

Pan Domini aż poczerwieniał z oburzenia.

— Pan myśli tylko o swoich artykułach. Mnie natomiast zależy na szybkim zakończeniu zdjęć. Nikt nie może mieć do mnie pretensji, że ułożyłem się z porywaczami.

Nie chciałem pana Tendron wprowadzać w kulisy sprawy porwania Diany Denver. Po polsku odezwałem się do Batury:

— Rzuciłeś mi rękawicę. Podjąłem ją i jestem gotów do walki.

Batura złapał się za głowę udając wielkie zdziwienie.

— Zupełnie fałszywie, Tomaszu, zrozumiałeś mój gest. Wcale nie oznaczał, że wyzywam cię na pojedynek. Chodziło o coś innego. O ugodę. Zdawałem sobie sprawę, że trapi cię zagadka wiersza „Złota rękawica”, a ponieważ ja domyślam się, gdzie jest prawdziwa złota rękawica, po incydencie nad Jeziorem Drwęckim złożyłem ci propozycję: za cenę złotej rękawicy, tej prawdziwej, nie wtrącaj się w nasze filmowe sprawy. . .

— Ach, więc to tak. . . — mruknąłem.

— Na ugodę jeszcze nie jest za późno — rzekł Batura. — Pozostaw nam sprawę panny D.D., a wskażę ci miejsce, gdzie prawdopodobnie znajduje się złota rękawica. Ta prawdziwa. Z piętnastego wieku. Wiele wysiłku włożyłem w jej odnalezienie, ale wszystko to przekreślę, jeśli pozostawisz w spokoju nasze filmowe sprawy. Zaprzyjaźniłem się z panem Domini i mam nadzieję, że będę mógł pracować w jego innych filmach.

— Kłamiesz, Waldemar — rzuciłem mu prosto w twarz. — Twój gest z rękawicą zrozumiałem właściwie. To było wyzwanie na pojedynek. A twoim szermierczym sztychem stało się wciągnięcie mnie w sprawę porwania Diany Denver. Teraz jednak postanowiłeś mnie wyeliminować z walki, ponieważ czujesz się zagrożony. Ale ja znajdę tę rękawicę bez twojej pomocy. I znajdę także Dianę Denver. Właściwie to już wiem, gdzie ją ukryliście. Oświadczam ci, że nie dopuszczę do tego, aby w prasie zagranicznej ukazały się artykuły pana Tendron o tym, że w naszym kraju mogą bezkarnie działać porywacze. Dlatego radzę ci porozmawiać na osobności z panem Domini. Daję wam szansę. Niech on wyjawi ze skrucą panu Tendron, że Diana Denver obraziła się z powodu nieuwzględnienia jej życzeń co do zmian w scenariuszu filmowym, a jako osoba znana z fanaberii — po prostu wzięła sobie dwudniowy urlop i samowolnie przeniosła się do „Novotelu” w Olsztynie. I tam ją znajdziecie. To piękny hotel dla cudzoziemców, którzy chcą zwiedzać Mazury.

— Ty blagujesz, Tomaszu — warknął Batura. — Nie masz pojęcia, gdzie porywacze ukrywają Dianę Denver.

Uznałem, że dalsza dyskusja z Baturą jest zbyteczna. Zawołałem rozkazująco do Templera:

— Roger, wiem, gdzie jest Diana Denver. Wstawaj z fotela, jedziemy po nią. . .

I wybiegłem przez taras do swego wehikułu. Za mną wyskoczyła Bajeczka, a tuż za nią Templer.

Goryle przestali na moment żuć gumę i z odrobiną zaniepokojenia obserwowali, jak otwieram drzwi wehikułu, obok mnie sadowi się Templer, a z tyłu — Bajeczka. Uruchomiłem silnik. Z willi wypadli Batura i głośno posapujący pan Domini.

— Jazda! Do wozu! — wrzasnął Batura na swoich goryli. — Musimy zatrzymać tamten samochód.

— O, to nie będzie trudne — wypluł gumę pierwszy z goryli.

I obydwaj, leniwie, podnieśli się z trawy.

— Szybciej, idioci! — krzyknął na nich rozwścieczony Batura. — Czy nie zdajecie sobie sprawy, że to niezwykle szybki samochód?

W lusterku wstecznym widziałem, że swego citroena dopadł także pan Tendron. Na pewno nic nie pojął z mojej rozmowy z Baturą, ale gdy tak nagle wybiegliśmy z Templerem i Bajeczką, a za nami pognali Batura i pan Domini, zdał sobie sprawę, że zapowiada się coś niezwyklego, sensacyjnego.

Wyjechałem na szosę i skierowałem się przez Siemiany w stronę skrzyżowania koło leśniczówki Bukownica. Z początku sunąłem wolno, bo na całej szerokości szosy, niczym na jakiejś promenadzie, spacerowało mnóstwo wczasowiczów. Potem dodałem gazu, szosa bowiem biegła dalej przez las, przez zupełnie bezludne okolice. Licznik wskazywał, że dawno przekroczyłem dozwoloną szybkość. Wiedziałem jednak, że Batura niewiele będzie sobie robił z przepisów drogowych, byle tylko uniemożliwić mi dotarcie do Diany Denver. Gdy zacząłem hamować zbliżając się do Bukownicy, strzałka szybkościomierza wskazywała sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, a przecież w tyle widziałem turbo Batury, a nieco dalej — citroena pana Tendron.

Teraz skręciłem w prawo i, utrzymując szybkość sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, przejechałem przez Jerzwałd, z piskiem opon wzięłem zakręt w środku wioski i wyskoczyłem na Zalewo. Tu znowu przycisnąłem pedał gazu, ale liczne zakręty i wąska szosa uniemożliwiały rozwinięcie całej szybkości. Turbo Batury zbliżało się do mnie powoli, lecz nieustannie, zapewne Batura wolał ryzykować życie, niżeli pozwolić mi na ujawnienie miejsca ukrycia aktorki.

— Masz wspaniały wóz, Tomaszu — stwierdził Templer. — Mój jaguar jest chyba znacznie wolniejszy. Czy możesz zdradzić mi jego tajemnicę?

— Ma silnik Ferrari 410, robiony na specjalne zamówienie.

— Ach, tak — uśmiechnął się.

Zaczęliśmy sobie mówić po imieniu. Stało się to niejako mimochodem. Ja pierwszy zawołałem do niego: „Roger, wiem, gdzie jest Diana Denver”, a on to podchwycił z zadowoleniem.

— Trzymajcie się, hamuję! — zawołałem, gdy zobaczyłem lśniąca między drzewami wodę, jedną z odnóg wielkiego Jezioraka.

Skręciłem raptownie w polną drogę, gdzie znajdowały się liczne zapadliny wypełnione wodą. Zwolniłem znacznie, mimo to resory wozu skrzypiały przerażająco, a głowami uderzaliśmy w brezentowy dach wehikułu.

Ale mój samochód robił własnoręcznie wujek wynalazca, resory były z grubego żelaza, oprócz tego wehikuł miał potężne sprężyny i amortyzatory. Z politowaniem myślałem o szybkim, pięknym, ale jakże delikatnym turbo Waldemara Batury i nisko zawieszonym Citroënie pana Tendron. Na wyboistej drodze pozostały daleko w tyle.

Oto kolejna wioska i znowu pełna wybojów droga biegnąca wzdłuż dość wysokiej skarpy jeziora.

Trach... trach... wrrr, wrrr — zaskrzypiały resory, raz po raz nasze głowy stykały się z brezentem dachu. Lecz wciąż parliśmy naprzód, rozbryzgując wokół wielkie strugi czarnego błota.

— A jednak myślę, że mój jaguar jest lepszy — stwierdził Simon Templer — bo wygodniej się w nim siedzi. Jak na angielskiej kanapie. A w twoim można sobie wnętrzości wytrząsnąć.

— To prawda. Widziałem w wielu filmach, jak gnasz jaguarem po bezdrożach. Mój wehikuł jednak ma wiele innych zalet.

Zagrodziła nam drogę dość spora zatoka. Po lewej ręce miałem świetny zjazd do wody i bez namysłu zrobiłem skręt kierownicą. Zanim Templer zdążył coś powiedzieć, przód wehikułu spadł na spokojną toń jeziora tak mocno, że aż woda chlupnęła na przednią szybę. Po chwili płynęliśmy szybko, pozostawiając za sobą spieniony kilwater. Dzięki temu jeszcze bardziej oddaliłem się od Batury, który musiał ładem omijać zatoczkę.

— Masz rację — stwierdził z uznaniem Święty. — Twój wehikuł jest zadziwiający. Muszę powiedzieć panu Domini, żeby i mnie do następnego odcinka serialu kazał sporządzić podobny samochód. Templer w takim wspaniałym gruchocie, tego jeszcze nie było.

— Nie musisz mu mówić o zaletach mojego wehikułu. Jadą za nami, więc wszystko widział. Myślę jednak, że go to wcale nie ucieszyło.

— Tak. Ale pomysł wykorzystania takiego samochodu w filmie na pewno go ucieszy.

Przepełniliśmy zatokę i znowu wydostaliśmy się na wyboistą drogę. Teraz pokazał się skraj lasu i tablica: *Zakaz wjazdu*, z dopiskiem: *Nie dotyczy administracji lasów państwowych*. Byłem tu na wiosnę, zwiedzałem cały ten teren. W pobliżu znajdowała się plantacja nasienna sosny, gdzie specjalnie wyselekcjonowane gatunki drzew, owocując, dawały cenne nasiona. Dlatego zakazano wjazdu na ten obszar.

Ale ja miałem sprawę niezwyklej wagi i musiałem dotrzeć do położonego tuż nad następną zatoką drewnianego domku krytego trzcina, gdzie przed ośmiu laty umarł Gustaw Kodrąb, poeta i malarz ludowy, autor wiersza „Złota rękawica”.

Trafiłem na ten dom na początku kwietnia, w dwa tygodnie po nieudanej wyprawie z panią Joanną. Chałupa Kodrąba była od dawna nie zamieszкана i znajdowała się w ruinie. Strzecha z trzciny wprawdzie chroniła wnętrze przed deszczem i śniegiem, ale drewniane ściany były spróchniałe, w pustych izdebkach walały się śmieci, wiatr hulał przez dziurawe okna. Córkę Gustawa Kodrąba odnalazłem w Olsztynie, już jako osobę w średnim wieku, zamężną, kierowniczkę jednego z dużych sklepów spożywczych. Przekazała mi ona historię swojego ojca, zeszyt z jego wierszami i kilka obrazów na płótnie, bardzo zresztą ładnych, z motywami jeziora, nad którym wyrósł i żył przez siedemdziesiąt lat. Wszystkie te rzeczy oddałem Muzeum Mazurskiemu w Olsztynie. Dom Gustawa Kodrąba, jako nie nadający się do remontu, miał być wkrótce rozebrany, gdyż cały ten teren przekazano nadleśnictwu pod rozszerzającą się wciąż plantację nasienną.

Co do samego Gustawa Kodrąba, to okazało się, że najpierw — podobnie jak Kajka — był cieślą. Potem został także blacharzem — pokrywał blachą dachy budowanych domów, dorabiał rynny. Sam nigdy nie uważał się za poetę czy malarza, tworzył dla przyjemności. Dlatego też nigdy, nawet po wyzwoleniu, gdy polskość na tych ziemiach zabrzmiała pełnym głosem, nie pomyślał, aby wydrukować swoje wiersze, pokazać obrazy. Prawdopodobnie raz tylko pochwalił się swoim wierszem — przed turystami, którzy piętnaście lat temu wpłynęli do zatoki jachtem.

Wyboista droga oddaliła się od jeziora, a potem — przy kilku starych wierzbach — znowu skręciła ku wodzie. Tutaj zatrzymałem wehikuł. O kilkadziesiąt metrów dalej, za krzakami tarniny, znajdował się dom Kodrąba. Mój instynkt detektywa nakazywał zachowanie ostrożności.

O, jakże była uzasadniona! Wyjrzawszy zza krzaków, ujrzałem coś zdumiewającego. Oto dom poety miał okna starannie zabite nowymi i jeszcze świeżymi bielą deskami, nowe drzwi z mocnym zamkiem. A przy brzegu, w pobliżu domu poety, cumował „Notos” inżyniera Dołęgowskiego i łódź motorowa. Przez ogromne pole pokrzyw kroczyła Straszliwa Hanna z wiosłem w dłoni. Tuż za nią szedł pan Lejwoda, potem — Joanna, Kika, pani Dołęgowska i jej mąż. Nie zauważyli mnie.

— Tak, to tutaj — grzmiała basem Wszędobylska Hanna. — Pan Lejwoda miał dobrego nosa i trafił tam, gdzie nie potrafił dotrzeć nawet Pan Samochodzik.

— A to się zdziwi pan Tomasz, gdy dowie się o naszym odkryciu — cieszyła się głośno Kika.

Inżynier Dołęgowski mówił z dumą do córki:

— Widzisz, Lusu, że twój ojciec, jeśli zechce, potrafi wiele dokonać. Udowodniłem ci, że jestem dobrym żeglarzem. A i sprytu w poszukiwaniach także mi nie brakuje. No, gdyby nie informacje pana Lejwody, który mieszka w tych stronach, być może nie udało by się nam wpaść na ślad poety. . .

— Och, pan mi przypisuje zbyt wiele zasług — bronił się pisarz.

I tak rozmawiając, obeszli dom obrośnięty ogromnymi pokrzywami.

Tymczasem na wyboistej drodze za wehikułem zatrzymał się turbo i wyskoczyli z niego Batura, Domini oraz dwaj goryle. Odwróciłem się i położyłem palec na ustach, nakazując zachowanie ciszy.

— Obok domu, gdzie ukryto Dianę Denver, jest sporo osób — odezwałem się po angielsku. — Pan Lejwoda, dziennikarka z pisma „Szanuj zieleni”, inżynier Dołęgowski i inni. Mogę za chwilę wyjść zza krzaków, zbliżyć się do nich, zaproponować im wspólne wyłamanie desek zakrywających okna i uwolnienie Diany Denver. Oczywiście wszystko natychmiast się wyda, a Tendron opublikuje artykuły o tym, jak to producent filmowy, chcąc zainteresować świat kiepską aktorką, sam zainscenizował jej porwanie.

— Niech pan tego nie robi! — jęknął Domini. — Zapłacę panu tysiąc funtów.

— On nie przyjmie pieniędzy, panie Domini — odezwał się w moim imieniu Templer. — Niech pan nie obraża mego przyjaciela.

Domini spojrzał błagalnie na Świętego.

— Skoro jest pana przyjacielem, to niech pan na niego wpłynie, aby mnie nie kompromitował.

Templer dotknął mego ramienia.

— Nie zrobisz tego, prawda? Ośmieszając pana Domini i Dianę Denver, ośmieszysz także i mnie.

Skinąłem głową.

— W porządku, panowie. Nigdy ani mi przez myśl nie przeszło, aby narażać was na kłopoty. Nawet już na ten temat rozmawiałem z Baturą, ale on nie chciał pójść na żadne ustępstwa. Moja propozycja brzmi następująco: za chwilę stąd odejdziecie i poinformujecie pana Tendron, że nie było żadnego porwania. Kapryśna i niezrównoważona panna D.D., żeby zrobić wam na złość, uciekła do „Novotelu”. A propos, gdzie jest pan Tendron?

— Utknął w kałuży błota — wyjaśnił Batura.

— A więc pojedziecie do niego, pomożecie mu wyciągnąć wóz z błota i potem, nie spiesząc się, ruszycie do Olsztyna. W tym czasie zaproszę pannę Denver do mego wehikułu i krótszą drogą, przez jezioro, dostanę się na olsztyńską szosę. Znajdę się w „Novotelu” przed wami. Tam Diana Denver poinformuje francuskiego dziennikarza, dlaczego uciekła z Karnit, a pan Domini przyrzeknie jej, że wprowadzi zmiany do scenariusza zgodnie z jej życzeniami. Najważniejsze: nie było żadnego porwania.

— Zgadzam się. Zgadzam się na wszystko — ucieszył się pan Domini.

— A może jednak, Tomaszu, w zamian za informację o złotej rękawicy... — zaczął Batura.

Ale pan Domini przerwał mu ostro:

— Przyjąłem warunki tego pana. Koniec dyskusji. Zawracamy, panie Batura. Spotkamy się w „Novotelu”.

— I zabierzcie pana Templera, aby pan Tendron nie nabrał podejrzeń. A także Bajeczkę — powiedziałem. — Myślę, że będzie najlepiej, jeśli porozmawiam z Dianą Denver bez żadnych świadków.

— W porządku — zgodził się Domini. — Siadamy do wozu i odjeżdżamy. Tylko co będzie z tymi, którzy kręcą się koło domku? Z Billem Arizoną i innymi?

— Oni na pewno zaraz sobie pójdą — zapewniłem go. — A teraz proszę o klucz do domku Kodrąba — wyciągnąłem rękę w stronę Batury.

Waldek zawahał się.

— Tam są różne moje rzeczy... — mruknął.

— Domyślam się. Stare meble, które skupywaliście od tutejszych mieszkańców. Większość tych mebli pochodzi z pałacu w Karnitach, który rozszabrowano w czasie działań wojennych. Nic z tych rzeczy ci nie zginie. Skupywanie starych mebli nie jest, jak wiesz, karalne. Najwyżej, jeśli któryś z mebli okaże się cenny, zapewnisz nam prawo pierwokupu. Trzeba wielu zabytkowych przedmiotów do warszawskiego Zamku, ale wątpię, czy te, które tu zgromadziłeś, będą się do niego nadawały.

— No jazda, daj mu pan klucz! — warknął Domini.

I Batura, rad nierad, dał mi klucz do domku Kodrąba.

— Jeszcze się policzymy, Tomaszu! — syknął ze złością.

Wyglądał na bardzo rozgniewanego — w przeciwieństwie do pana Domini, który spoglądał na mnie nawet z sympatią i raz po raz zacierał ręce z zadowoleniem. Mimo że nakazałem mu pośpiech, wcale się nie kwapił do zajęcia miejsca w samochodzie Batury i wciąż dreptał koło mnie. Wreszcie nie wytrzymał i poklepał mnie po plecach.

— Historia z porwaniem Diany to głupstwo, proszę pana — oświadczył. — Mogło być porwanie, może teraz nie być porwania. Ani nie zarobiłem, ani nie straciłem na tym interesie jednego lira, dolara czy funta. Natomiast teraz, dzięki panu, zarobię mnóstwo pieniędzy.

— Co pan ma na myśli?

— Pana samochód. To wspaniały pomysł. Nie widziałem takiego gruchota w żadnym filmie. Gonimy pana, a pan: hyc, do wody. Świetne! Znakomite! Kupuję pana wehikuł.

— Wehikułu nie sprzedam — stwierdziłem dumnie.

— Nie szkodzi. W wytwórni zrobią mi lepszy. Ale o tym później. Kupuję tylko pomysł — to mówiąc jeszcze raz poklepał mnie po plecach i nareszcie wsiadł do turbo.

Lejwoda i jego grupa zakończyli już zewnętrzną lustrację domku poety. Wszędobylską Hannę, która była w szortach, poparzyły pokrzywy i drapała się po nogach ze złością.

— Wracam na łódkę — oświadczyła gromko. — Dom jest zamknięty na klucz, a chyba nie macie zamiaru wyłamywać zamka albo odrywać desek z okien.

— Słusznie — przytaknął pan Lejwoda. — Wydaje mi się, że jutro będziemy mieli dość czasu, aby pełną informację o właścicielu i dawnym mieszkańcu tego domu zdobyć w Urzędzie Gminnym.

I nie spiesząc się pomaszerowali nad wodę. Część z nich usadowiła się w „Notosie”, a Wszędobyłska Hanna, wciąż drapiąc się po nogach, zajęła miejsce w łodzi motorowej. Jej mąż tkwił tam z melancholijną miną. On jeden nie poszedł obejrzeć domu poety, w ogóle nie ruszył się z miejsca i w zadumie spoglądał na jezioro. Zapewne rozkoszował się jedną z tych nielicznych chwil, gdy nie musiał słuchać rozkazów swej przedsiębiorczej małżonki. Ale jego spokój już się skończył.

— Nie śpij z otwartymi oczami! — krzyknęła Wszędobyłska Hanna. — Nawet, nie ruszyłeś się z łódki, a mnie poparzyły pokrzywy.

— To czemu tam chodziłaś? — zapytał.

— Dla dobrej sprawy, rozumiesz? Napiszę artykuł o nieznanym poecie. Zapuszczaj silnik, płyniemy do pana Lejwody. Na pewno spotkamy tam Pana Samochodzika. Nareszcie utnę mu nosa. To ja odkryłam dom poety, którego on szukał bezskutecznie.

— A pan Lejwoda? — zwrócił jej uwagę małżonek.

— Pan Lejwoda przybił do brzegu jako drugi. A więc palma pierwszeństwa mnie się należy.

— „Notos” musiał halsować, nie mógł więc przybić przed nami — ponownie zwrócił jej uwagę małżonek.

— To nie ma znaczenia — grzmiała „Wszędobyłska Hanna. — Ważne jest, kto pierwszy postawił nogę na brzegu.

„Notos” odpłynął gnany pomyślnym wiatrem od rufy. Wkrótce zagdakał silnik łodzi motorowej. Zostałem na brzegu jeziora sam i już śmiało wyszedłem zza krzaków tarniny. Omijając las pokrzyw, odnalazłem wąską ścieżkę do domu i stanąłem u jego drzwi. Włożyłem klucz do zamka, przekręciłem. . . I wtedy usłyszałem melodyjny głos Diany Denver:

— Czy to pan, panie Batura? Jacyś ludzie kręcili się tu przed chwilą, więc nawet światło zgasiałam, żeby mnie nie zauważyli. Ale zdaje się, że odeszli, zaraz zapalę lampę.

Błysnął płomyk zapalki i zobaczyłem Dianę Denver tak zajęta zapalaniem lampy naftowej, że nawet nie zwróciła uwagi na moją osobę. Zapewne tylko Batura miał klucz od domku i była przekonana, że to on przyszedł, aby dotrzymać jej towarzystwa.

Chata Kodrąba miała tylko jedną dużą izbę. Wysprzątano ją naprędce i pobielono wapnem. Pełno tu było starych mebli, które rekwizytorzy Batury skupowali od okolicznych mieszkańców. Były to przeważnie ciężkie niemieckie meble z dziewiętnastego wieku. Żaden z tych przedmiotów nie miał wartości muzealnej,

ale ponieważ panowała moda retro, Batura — po odświeżeniu ich — mógł zarobić sporo pieniędzy.

— Okropnie się nudzę, panie Batura — powiedziała Diana Denver, podkreślając knot lampy. — Czy długo jeszcze będziecie mnie tu więzić?

— Myślę, że już w tej chwili jest pani wolna — oświadczyłem.

Obejrzała się gwałtownie w moją stronę.

— Ach, to pan, Monsieur la Bagnolette! — zawołała ze zdumieniem. — Co pan tu robi? Skąd wziął pan klucz do tego domu?

— Dostałem od Batury. Wraz z panem Domini doszliśmy do przekonania, że nikt pani nie porwał. Po prostu poirytowana faktem, że producent filmowy nie chce przystosować scenariusza do pani wymagań, zrobiła pani sobie krótki urlop i bez opowiadania się wyjechała do „Novotelu”.

— Do „Novotelu”? — wyjąkała. — Przecież ja jestem tutaj.

— Słusznie — przytaknąłem. — Ale zaraz pojedziemy do „Novotelu”. To bardzo wytworny hotel dla obcokrajowców. Wkrótce przybędzie tam pan Domini, a także dziennikarz z „Ciné-télé-revue”, niejaki Tendron, który barwnie opíše pani kaprysy. Notabene, producent filmowy zgodził się wprowadzić zmiany do scenariusza zgodnie z pani życzeniem. Bo musi pani zrozumieć, panno Denver, że w naszym kraju nie pragniemy wprowadzać mody na porwania. Bardzo tego nie lubimy.

Zdaje się, że natychmiast zrozumiała, co mam na myśli. Bez słowa zebrała z jakiegoś kulawego, pokraccznego stolika swoje damskie drobiazgi — kosmetyki, szczotkę do włosów i czarną chustkę. Potem z dumnie podniesioną głową opuściła domek Kodrąba, a ja zgasilem lampę naftową i starannie zamknąłem drzwi na klucz.

Poprowadziłem ją ścieżką wśród lasu pokrzyw i wskazałem swój wehikuł.

— To ja mam takim czymś jechać? — roześmiała się. — A czy ten wóz się nie rozpadnie?

— Nie — odparłem sucho — to dobry wehikuł. Przed kwadransem pan Domini chciał go kupić ode mnie dla Templera.

— Ach, tak? — zdziwiła się. — Pan Domini robi zawsze świetne interesy, więc to musi być naprawdę dobry samochód.

Była chyba jednak zupełnie dobrą aktorką, bo wyraz jej twarzy zmieniał się błyskawicznie. Zasiadła w wehikule już pogodna, a nawet uśmiechnięta.

Raz po raz zerkąła na mnie kokietyjnie, ale ponieważ udawałem, że tego nie dostrzegam, i z pochmurną miną prowadziłem samochód po wyboistej drodze, stwierdziła:

— W gruncie rzeczy jest pan moim wybawicielem. Wyrwał mnie pan z tej okropnej ciemnicy. Czy pan wie, że tam były myszy?

— To stary dom — mruknąłem.

— Mówiąc prawdę, jestem szczerze rada, że jadę do porządnego hotelu, w którym nie ma myszy. Cała ta historia z porwaniem to był pomysł pana Domini, który uważa, że jestem za mało znana i trzeba mnie uczynić popularną. Batura mówił mi, że pan jest bardzo niebezpiecznym człowiekiem, ale chyba nie pomyślał, że pan rozszyfruje tę sprawę. A mnie spodobał się pan od pierwszego wejrzenia i było mi bardzo przykro, gdy przy pomocy fotela-zapadni musiałam pana posłać o piętro niżej. Mam nadzieję, że upadek nie był bolesny?

— Nic mi się nie stało.

— Ach, proszę się na mnie nie gniewać! — niespodziewanie pocałowała mnie w policzek. — Chcę, abyśmy zostali przyjaciółmi, Monsieur la Bagnolette. Może spędzimy razem krótki weekend po skończeniu zdjęć? Przyjmę pana zaproszenie.

Wzruszyłem ramionami.

— Nie miałbym pani dokąd zaprosić. Jestem skromnie zarabiającym urzędnikiem.

— Ach, pan ma o mnie błędne wyobrażenie. Jestem mało wymagającą dziewczyną. Te wszystkie kaprysy i wielkie miny są tylko na pokaz. Najlepiej czuję się w skromnej sukience, bez peruki i bez sztucznych rzęs. . .

To mówiąc zdjęła perukę i oderwała długie, jedwabiste rzęsy. I wtedy zobaczyłem krótko przystryżoną blondynkę o zupełnie przeciętnej urodzie. Byłem tak zdumiony tą nagłą jej przemianą, że o mało nie zjechałem z drogi do jeziora.

— Ostrożnie, na Boga, bo się potopimy! — krzyknęła przerażona.

— Mój samochód świetnie pływa — odparłem. — To przecież amfibia.

I popłynąłem przez zatokę, skracając sobie kawał drogi. Diana Denver była zachwycona.

— A może zamiast do „Novotelu” ruszymy gdzieś indziej? Prosto przed siebie — zaproponowała.

— To niemożliwe — pokręciłem głową — stałbym się wówczas porywaczem, a jak pani mówiłem, porwania nie są w naszym stylu. Proszę założyć perukę i przykleić rzęsy. W hotelu będzie pani musiała udzielić wyjaśnień panu Tendron, który panią obfotografuje dla swoich czytelników.

— A potem? — zapytała.

— A potem. . . — zastanowiłem się. — Skończy pani zdjęcia do filmu.

— A potem?

— Pewnego wieczoru wymknie się pani z hotelu i wsiądzie do tajemniczego wehikułu, który w sąsiedniej uliczce będzie czekał na panią. Zresztą może zamiast samochodu będzie to mały, skromny jacht zakotwiczony w pobliskiej przystani.

— Pan Domini podniesie alarm, że zostałam porwana — roześmiała się.

— Zostawi pani dla niego kartkę: „Wracam za trzy dni. Diana Denver”.

— Nie — pokręciła głową.

— Nie chce pani skorzystać z mego zaproszenia?

— Nie podpiszę listu: Diana Denver, tylko: Teresa Manswell, bo tak naprawdę się nazywam — roześmiała się znowu, wciągając na głowę blond perukę.

— Spędzimy razem cudowne chwile — powiedziałem w rozmarzeniu i nagle rzekłem twardo: — A teraz, droga Tereso, powiedz mi, kto namówił cię do zażądania zmian w scenariuszu filmowym. I powiedz mi także, jak mają wyglądać te zmiany. . .

ROZDZIAŁ DWUNASTY

CEREMONIA PRZY GROBIE • „I WY WRÓCICIE TU ŁABĘ-
DZIEM” • CO SIĘ STAŁO Z BAJECZKĄ? • ROZSTANIE • TRUD-
NY WYBÓR • SPOTKANIE Z PANEM Z BRÓDKĄ • NOWY
ROZDZIAŁ TEJ SAMEJ PRZYGODY • ZNOWU DIANA DE-
NVER I „LORD JIM” • NIEPOKOJE I OBAWY • LIST DO TEM-
PLERA • ZOSTAJĘ PORWANY • TAJEMNICZY WYBAWICIELE
• W PODZIEMNEJ KRYPCIE • WŁAMANIE • BATURA ZNAJ-
DUJE RĘKAWICĘ

Diana Denver, „odnaleziona” w „Novotelu”, udzieliła dziennikarzowi „Ciné-
-telé-revue” wywiadu, w którym wyjaśniła, z jakich powodów zdecydowała się
przerwać zdjęcia i wyjechać bez uprzedzenia. Świat filmowy dowiedział się, że
producent nie chciał zgodzić się na przeprowadzenie w scenariuszu zmian uwy-
puklających osobę młodej aktorki. Przestraszony jej zniknięciem — przystał na te
zmiany i oto młoda aktorka powróciła na plan filmowy. Wkrótce cała ekipa miała
się przenieść do Hawy, na tak zwane w języku filmowym: „dokrętki”, uwzględ-
niające właśnie możliwość lepszego ukazania dramatycznego talentu panny D.D.

A grono moich przyjaciół i ja pewnego popołudnia znaleźliśmy się na malut-
kim cmentarzyku położonym o kilometr od domku Kodrąba.

Kto ciekaw — może ten cmentarzyk odszukać, znajduje się w pobliżu planta-
cji nasiennej, na dużym półwyspie za wsią Matyty. Na cmentarzyku już nie grze-
bie się zmarłych, ponieważ w pobliżu nie ma prawie żadnych domów, a grunta
zalesiono. Rozebrano już także dom poety, ale mieszkańcy Matyt oraz niektórzy
leśnicy mogą wskazać miejsce, gdzie ongiś się znajdował. Jak wspomniałem, był
to budynek tak spróchniały, że nie nadawał się nawet do remontu.

Było ciepło, pogodne popołudnie. Przywieźliśmy ze sobą krzyż z brzozowych
drągów i tabliczkę z napisem: *Tu spoczywa Gustaw Kodrąb, poeta ludowy*. Odn-
owiliśmy grób autora „Złotej rękawicy”, zasadziliśmy na nim kwiaty i obłożyliśmy
go darnią.

Staliśmy gromadką przy grobie poety — pani Joanna, Piotruś, pan Lejwoda,
Wszędobylska Hanna, inżynier Dołęgowski, jego żona i Lusja, która miała ładny

głos i wyrecytowała wiersz „Złota rękawica”. Wtórował jej daleki krzyk mew na jeziorze i młody brzeziniak delikatnie szemrał drobnymi listkami.

*Jezioro moje, w twoje tonie
z ojczystych słów oddaję śpiew.
Jak kamień krzywdy wiersz zatonie.
Czy kiedyś zabrzmi jękiem mew?
Ojczyzno moja, ponad tonią
żurawi zwątpień krzyk jesieni.
Do starych gniazd dostępu bronią,
trzcin szable. Aż się los odmieni.
I znowu polski rycerz dumnie
podejmie złotą rękawicę.
Widziałem ją w blaszanej trumnie,
gdzie wróg rozbitą miał przyłbicę.
I wy wróćcie tu łabędziem
w łopocie żagli białych skrzydeł,
mój grób z brzozowym krzyżem będzie
jak z Grottgerowych malowideł.
Zarzućcie w tonie nocne sieci
po pieśni sen ukryty w fali.
A jeśli grobu nie znajdziecie,
zechciejcie chociaż wiersz ocalić.*

Tak recytowała Lusia, a my mieliśmy świadomość, że ocalony został wiersz poety i że na jego grobie jest krzyż brzozowy, jak tego autor „Złotej rękawicy” pragnął. I przyплыliśmy tu na jachtach o żaglach podobnych do skrzydeł łabędzich.

Skromna ceremonia przy grobie Kodrąba nie tylko nas wzruszyła, ale także jak gdyby zbliżyła nas ku sobie. W niepamięć poszła uraza, jaką niektórzy zaczęli do mnie żywić, gdy dowiedzieli się, że dom Kodrąba odkryłem jeszcze na wiosnę. Zrozumieli, że nie pragnąłem nikogo okłamać, zachęcając do poszukiwań poety, że zależało mi, aby oprócz jego domu, jego nazwiska i jego grobu odnaleźli coś jeszcze. To, co trudno nazwać, ale co kryje się w każdym z nas. Owo pragnienie poezji będące wyrazem poszukiwań w sobie czegoś lepszego.

Po tej ceremonii przy grobie poety — rozstaliśmy się.

„Notos” zabrał niemal wszystkich uczestników łącznie z Wszędobylską Haną, która uzyskała — jako pierwsza — prawo opublikowania tekstu wiersza i wiadomości o odkryciu grobu ludowego poety mazurskiego. Pan Lejewoda zaprosił nas wszystkich do swojej willi na całe lato. Ustalono już, że jego ślub z panią Joanną odbędzie się pod koniec lipca, gdy załatwi ona zwolnienie z pracy, i że

zamieszkają na stałe w jego domu w Siemianach. Obiecałem być na tym ślubie, ale podobnie jak państwo Dołęgowscy nie skorzystałem z zaproszenia, aby spędzić lato w willi nad jeziorem. Państwu Dołęgowskim, a także Lusi zasmakowały podróże i noclegi na jachcie. Zresztą dyrektorowi Dołęgowskiemu kończył się wkrótce urlop i musiał wracać do Warszawy. Zaprzyjaźniwszy się jednak z panem Lejwodą mógł swój jacht pozostawić przy jego przystani i dojeżdżać tutaj na wolne soboty i niedziele.

Żegnany przez wszystkich bardzo serdecznie — odpłynąłem samotnie na „Krasuli” i późnym wieczorem, trzy dni po sławetnym rozwikłaniu sprawy porwania panny D.D., zacumowałem jacht w Iławie, w tym samym miejscu, gdzie rozpoczęła się niniejsza opowieść.

Zapytacie zapewne: a gdzie Bajeczka? Czemu nie było jej na ceremonii u grobu poety?

No cóż, nie wszystkie historie w życiu układają się tak, jak by sobie tego życzyli czytelnicy.

O naszym rozstaniu z Bajeczką zdecydował chyba fakt, że nie ukryłem przed nią treści mojej ostatniej rozmowy z Dianą Denver. Bajeczka nie mogła mi darować, że choć panna D.D. zrobiła mi tyle przykrości, to jednak potrafiłem jej przebaczyć i nawet umówiłem się z nią na wspólny weekend.

— Jest pan niepoprawny — oświadczyła pogardliwie. — Czy naprawdę do tego stopnia zawróciła panu w głowie ta aktorka, że wierzy pan w jej szczerą przyjaźń?

— Przygoda się jeszcze nie skończyła — odrzekłem. — Kto wie, może najważniejszy moment jest jeszcze przed nami?

— Nie przed nami, tylko przed panem — wzruszyła ramionami. — Ja bowiem, jak panu zawsze mówiłam, nie cierpię przygód.

— A ja nie wyobrażam sobie bez nich życia — burknąłem, bo bardzo polubiłem Bajeczkę, a nie chciałem tego okazać.

Albowiem mężczyzna musi być niekiedy twardy i stanowczy, aby doprowadzić do końca to, co go frapuje. Dziewczyna powinna mieć świadomość, że są sprawy, z których prawdziwy mężczyzna nigdy nie zrezygnuje, nawet za cenę wygodnego życia na jachcie, przyrządzanych punktualnie obiadków, śniadań i kolacji.

Bajeczka uniosła się ambicją.

— Skoro woli pan przygody niż mnie — zawołała trochę zbyt głośno i histerycznie — pakuję swój worek i żegnam się z pańską „Krasulą”!

To mówiąc, rzeczywiście zaczęła pakować swoje rzeczy.

Świadkiem tej sceny był Simon Templer, bo rozgrywała się ona na jeziorze Dauby, w pobliżu Karnit, a on, korzystając z przerwy w zdjęciach, odwiedził nas na jachcie.

Templer wziął mnie na stronę i po przyjacielsku spróbował zmienić moją decyzję.

— Nie rób głupstw, Tomaszu — tłumaczył. — Bajeczka jest przemiłą dziewczyną i nie powinieneś się z nią rozstawać. Nie lubi przygód, to prawda, ale przecież przygody chyba się już skończyły. A może coś jeszcze kryjesz w zanadrzu?

— Tak — odparłem krótko.

— Spodziewasz się trzeciej próby porwania Diany Denver? — zdumiał się.

— Nie. Mam jednak przeczucie, że Batura nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

Bajeczka stanęła przed nami z workiem podróżnym w rękę.

— Cześć, Panie Samochodzik — wyciągnęła do mnie rękę.

Głos jej trochę się łamał.

— Nie mogę pani odwieźć na stację, bo wehikuł zostawiłem u pana Lejwody.

— Dziękuję. To zbytek uprzejmości — odparła. — Pójdę pieszo do Karnit. Może Waldek Batura okaże się tak samo wielkoduszny wobec mnie, jak pan okazał się wobec Diany Denver, i z Karnit podwiezie mnie do Ostródy.

Zarzuciła worek na plecy i wyskoczyła z jachtu na ląd.

— Pani pozwoli, że wezmę worek i odprowadzę panią do Karnit — ofiarował się Templer.

Gdy odeszli, zrobiło mi się przykro i poczułem się bardzo samotny. Chciałem nawet wyskoczyć na ląd, pobiec za nimi, przeprosić Bajeczkę i zawrócić ją z drogi. Ale nie mogłem jej przyrzec, że będziemy odtąd beztróska pływać po jeziorze, kąpać się, opalać, unikając jakichkolwiek przygód. Przeciwnie — miałem już przed sobą wyraźny i konkretny cel podróży, w Iławie powinien na mnie czekać pewien człowiek, a wraz z nim niezwykła, frapująca przygoda. Tam także byłem umówiony z Dianą Denver. Bajeczka ze swoją niechęcią do przygód mogła się stać dla mnie jak kula u nogi, paraliżująca każde przedsięwzięcie.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Rozmyślałem o sobie. O tym, że chyba nigdy nie będę miał swojej dziewczyny, zawsze pozostanę samotny. Niczego nie nauczyła mnie lekcja z panią Joanną, która wolała pana Lejwodę, ponieważ mógł jej zapewnić spokój i stabilizację, a ja byłem dla niej jedynie dorosłym chłopcem uwielbiającym przygody. Ta sama historia powtórzyła się z Bajeczką. Odeszła, ponieważ nie chciałem zrezygnować z nowej przygody. Czy spotkam kiedyś dziewczynę, która będzie dzielić ze mną moje zainteresowania i zaakceptuje mój tryb życia?

Nie byłem w stanie zapewnić Bajeczce beztróskiego pływania po jeziorach. Należałem do ludzi czynu, którzy dobrze czują się jedynie wtedy, gdy działają. Wiedziałem, że — nawet pływając niby to bez celu po mazurskich szlakach wodnych — prędzej czy później spostrzegę coś, co mnie zafrapuje, co będzie wymagało mojej interwencji, że wdam się w jakąś historię, która znowu zaprowadzi mnie na szlak kolejnej przygody. A zresztą czy ta z Dianą Denver, Templerem,

panem Domini i Baturą była już zakończona? Czy miałem prawo z czystym sumieniem powiedzieć sobie: dość, koniec, sprawa została zamknięta? To przecież właśnie Bajeczka podrzuciła mi pomalowaną na złoty kolor skórzaną rękawicę i ja przyjąłem wezwanie do walki. Poślaczana rękawica leżała wciąż w moim jachcie...

Nazajutrz, pod wieczór, ujrzałem Hawę i na ostatnich, coraz lżejszych podmuchach wiatru skierowałem dziób „Krasuli” do miejsca, gdzie przed niewieloma dniami poznałem Bajeczkę. Teraz po drewnianych deskach chwiejnego pomostu nerwowo przechadzał się wysoki, szczupły mężczyzna z bródką i w grubych okularach. A tuż obok, na lądzie, parkował fiat 125p.

— Myślałem, że już się pana nie doczekam, panie Tomaszu — z wyrzutem powitał mnie pan z bródką. — Od trzech godzin tkwię tu i czekam na pana.

— Jacht to nie samochód — stwierdziłem. — Wszystko zależy od siły i kierunku wiatru. A poza tym miał pan się najpierw rozgościć w hotelu i dopiero potem przyjść na przystań. Tak umawialiśmy się przez telefon.

— Ba, hotel — wzruszył ramionami. — Wszystkie miejsca w hotelu i w domkach kempingowych POSTiW-u zostały zarezerwowane dla ekipy filmowej, która ma tu przybyć jutro rano. Coś mi się zdaje, że ja i dwóch pracowników będziemy spać w samochodzie.

— A mnie się zdaje, że w ogóle nie będziemy spali tej nocy — powiedziałem, cumując jacht przy pomoście.

— Pański telefon ściągnął mnie z urlopu. Jeśli ta sprawa nie okaże się interesująca, moja żona będzie czuła do pana wielką urazę. Zepsuł nam pan wczasy. Czy nie można było tej sprawy przełożyć na później?

— Mamy do czynienia z Baturą. Słyszał pan chyba o nim?

— Owszem, coś niecoś — uśmiechnął się. — Ale o ile wiem, on się ustakował.

— Tak — mruknąłem. — Pracuje w filmie. Jest scenografem w jednym z nowych odcinków „Świętego”.

— Ach, to zmienia postać rzeczy — pokiwał głową.

Zamknąłem drzwiczki kabiny, założyłem na nie kłódkę i poszliśmy do parkującego fiata, gdzie siedziało dwóch poziewujących mężczyzn. Już w czwórkę ruszyliśmy w kierunku Starego Miasta.

Wróciłem na jacht po kilku godzinach — rozczarowany i zły. Pan z bródką okazał się człowiekiem niezdolnym do podjęcia poważnej decyzji „bez uzgodnienia z Warszawą”. Odjechał do Olsztyna, pocieszając mnie:

— Niech pan będzie spokojny, panie Tomaszu. Najdalej pojutrze przyjedziemy tu znowu i wszystko się wyjaśni.

— Ba, pojutrze — powtórzyłem z goryczą.

— Mam nadzieję, że zabezpieczyliśmy wszystko należycie i nie będzie żadnych niespodzianek. Przykro mi, ale niestety ani pan, ani ja nie możemy sami doprowadzić tej sprawy do końca.

Miał rację. Ale myśl, że dopiero pojutrze wyjaśni się trapiąca mnie zagadka, irytowała mnie i niepokoiła. Obawiałem się, że poniosę klęskę, ba, ośmieszę się przed ludźmi, których zdanie bardzo sobie ceniłem.

Zasnąłem dopiero przed świtem i obudziłem się koło południa, gdy na jeziorze panował ruch — w tę i z powrotem sunęły jachty, łodzie motorowe i kajaki. W Iławie trwał zwykły wczesowy dzień, choć, niestety, pozbawiony słońca. Całe niebo zasnuwane było chmurami, zanosило się na deszcz. Wkrótce przy pomoście cumowało już osiem jachtów, którymi z różnych stron jeziora nadpłynęli żeglarze, aby zrobić w mieście zakupy.

Kończyłem golenie, gdy drobnym krokiem, tupiąc głośno czółenkami na wysokim obcasie, nadeszła Diana Denver ubrana w białą obcisłą suknię z ogromnym dekoltem. Wyglądała jak Marilyn Monroe.

— Okazuje się, że mam świetną orientację — zaszczebiotała. — Od razu po przyjeździe do Iławy odnalazłam pana.

— Powiedziałem przecież: w przystani.

Odłożyłem brzytwę, i wyskoczyłem z jachtu na pomost, aby pomóc Dianie wejść do kokpitu. Wyznaję, że po raz pierwszy w życiu zdarzyło mi się widzieć kobietę wchodzącą w pantoflach z wysokimi obcasami na jacht. Ale Diana wyglądała przepięknie — znowu aż zakreśliło mi się w głowie, gdy poczułem oszalamiający zapach jej egzotycznych perfum.

— Mieszkam w domku numer trzy tuż za kawiarnią, która nazywa się „Leśna” — opowiadała. — To ładny, piętrowy, murowany domek kempingowy. Zajęłam parter. Na górze miał zamieszkać Roger Moore, ale się rozmyślił. Boczy się na mnie od pewnego czasu, może dlatego, że dopisano tę nową scenę i będzie miał trochę więcej roboty. Nie chcę o nim mówić nic złego, ale czy nie odbił panu dziewczyny?

— Co takiego? — zdumiałem się?

— Na „Krasuli” mieszkała z panem dziewczyna, która przez jakiś czas, pamiętam, pracowała przy naszym filmie.

— Bajeczka?

— Nie wiem, jak się nazywa. Templer przywiózł ją ze sobą do Iławy. I chociaż podobno wszystkie domki kempingowe i miejsca w hotelu są zajęte, tak oczarował recepcjonistki, że załatwił dziewczynie jakiś wolny kąt w hotelu. Bo pan chyba rozumie, że nie może się afiszować z żadną dziewczyną. Jest z nami pan Tendron z „Ciné-télé-revue” i roztrąbiłby od razu na cały świat nowy romans Templera. A Simon boi się tego rodzaju plotek.

— A pani? — zapytałem.

— Ma pan na myśli nas? No, cóż — pogardliwie wydeła usteczka — przecież spotykamy się w konspiracji, prawda? Zresztą, im więcej będzie o mnie różnego rodzaju plotek, tym lepiej. Jestem początkującą aktorką.

„Templer i Bajeczka. No, no, no...” — pomyślałem z zazdrością.

Diana Denver szykowała się już do odejścia.

— Zaczynamy koło dwudziestej — poinformowała mnie — ale czeka mnie godzinna charakteryzacja. Zdjęcia postanowiono robić w nocy, ponieważ przez cały dzień kościół musi być otwarty dla wiernych. O osiemnastej robotnicy podniosą płytę przed głównym ołtarzem i elektrycy wejdą do podziemi z kablami i reflektorami. Niech pan sobie wyobrazi mroczne, pełne kurzu krypty, rozwalające się trumny, kościotrupy. A wśród nich ja, Diana Denver, w białej wieczorowej sukni, uwięziona przez szalonego barona i zdana na jego łaskę i niełaskę. Widzowie przeżyją chwilę grozy.

— O tak, na pewno — zgodziłem się.

— Simon Templer uwolni mnie z podziemi, a wszystko to potrwa, jak twierdzi inżynier, najwyżej do dwunastej w nocy. Potem odwiozą nas do mieszkań. Rozcharakteryzuję się błyskawicznie, chwycę walizkę ze swoimi rzeczami i przybiegnę do pana. Popłyniemy na kilka dni w cudowny rejs po jeziorze. To już koniec pracy, więc nikt nie będzie miał pretensji, że się urwałam. Zresztą zostawię list do pana Domini.

— Czy to konieczne, aby pani przybiegała tutaj o pierwszej — zakłopotalem się. — Mam jeszcze coś do załatwienia.

— W nocy?

— Niestety, także i w nocy — stwierdziłem, nie wdając się w szczegóły. — Dlatego może będzie lepiej, jeśli umówimy się na jutro koło południa?

— To niemożliwe — pokręciła przecząco główką w jasnej peruce. — Za dnia pan Domini albo ktoś inny z mojego otoczenia może zauważyć, że się wymykam z walizką w rękę. Zatrzymają mnie. Jedyłą szansę ucieczki daje mi nocna ciemność. Zresztą nie musimy zaraz odpływać. Pan załatwi swoje nocne sprawy, a ja prześlę się w kokpicie. Odpłyniemy, kiedy pan będzie mógł.

— No, cóż — zastanowiłem się. — Taka sytuacja odpowiada mi. Ale czy na pewno zostawi pani list wyjaśniający, że po prostu wybrała się pani ze mną na wycieczkę? W przeciwnym razie gotowi pomyśleć, że panią, teraz już naprawdę, brutalnie porwano. Nie zamierzam znowu wplątywać się w kłopoty.

— Pan mi nie ufa? — szepnęła. — Sądzi pan, że kryję urazę za tamtą historię? To był bardzo głupi pomysł pana Domini. Gdy pomyślę, że być może przesłuchiwałyby mnie potem milicja, że musiałabym składać zeznania, opowiadać o porywaczach, aż zimno mi się robi. Dzięki panu wszystko skończyło się pomyślnie. Tendron i tak napisze artykuł do „Ciné-télé-revue”. Przedstawi mnie jako młodą, ale stanowczą aktorkę, bardzo wymagającą wobec siebie i producenta. To dla mnie większa korzyść niż historia z porwaniem...

Urwała i kurczowo chwyciła mnie za rękę. Zobaczyłem, że z przerażeniem patrzy na jezioro. Pobiegłem oczami za jej wzrokiem i zobaczyłem „Lorda Jima”, który na pełnych żaglach kierował się ku przeciwnemu brzegowi, gdzie także kotwiczyło już kilka turystycznych jachtów.

— Co on tutaj robi? — wyjąkała.

W milczeniu obserwowaliśmy, jak Tarzan zaczyna zrzucać żagle, co wskazywało, że będzie tu cumował.

— Czyżby szykowało się kolejne porwanie? — zakpiłem, patrząc uważnie w piękną twarz Diany Denver.

— To niemożliwe. Nie wyraziłam zgody na coś takiego — powiedziała wyraźnie zaniepokojona widokiem „Lorda Jima”.

Może była wspaniałą aktorką i potrafiła tak znakomicie udawać? Chyba jednak nie. Czułem, że wyraz zdumienia i niepokoju, który u niej widziałem, był szczery.

— Boję się — szepnęła.

Także we mnie widok „Lorda Jima” budził nieokreślone obawy.

— Zmieńmy nieco plan — zdecydowałem. — To nie pani przyjdzie do mnie na przystań, tylko ja będę czekał na panią o pierwszej w nocy przy wyjściu z ośrodka kempingowego. Ukryję się po drugiej stronie szosy, między drzewami nad brzegiem jeziora. Myślę, że na przestrzeni tych kilkudziesięciu metrów od pani domku do miejsca, gdzie będę czekał, nic pani nie grozi.

— Dobrze — kiwnęła głową. — A teraz muszę wracać do siebie.

To mówiąc pocałowała mnie w policzek. Zaproponowałem, że ją odprowadzę. Zgodziła się, bo chyba nikomu nie mogło z tego powodu przyjść do głowy, że planujemy wspólny kilkudniowy rejs.

Spacer z Dianą Denver stanowił dla mnie nie lada przyjemność, dał mi dużo męskiej satysfakcji. Szedłem obok niej dumny jak paw, bo zwracała ona ogólną uwagę. Mijały nas dziesiątki par, setki wczasowiczów i wczasowiczek, ale wszystkie wyglądały przy Dianie Denver jak szare myszki obok kwitnącej georginii. Dziewczęta i kobiety ubrane były przeważnie w dżinsowe sukienki, dżinsowe spodnie i bluzki, nawet czepki miały uszyte z dżinsowego materiału. Panna Denver w swej białej obcisłej sukience, z gołymi ramionami, wydawała się wyjątkowa i przez to zachwycająca.

W bramie ośrodka kempingowego jeszcze raz mnie pocałowała. A gdy odeszła swym rozkołysanym krokiem, w kiosku „Ruchu” kupiłem papier listowy i napiłem do Templera.

Uwaga. Do Itawy przyплыł „Lord Jim”. Należy oczekiwać jakiegoś nowego draństwa.

Tomasz

Zakleiliśmy kopertę i dałem list panience w recepcji ośrodka, prosząc, aby natychmiast dostarczyła go Templerowi.

— Oczywiście, proszę pana — z radością przyjęła moje polecenie.

Zjadłem obiad w restauracji „Czapla”, a potem wróciłem na jacht, skąd mogłem obserwować „Lorda Jima”.

„Lord Jim” robił wrażenie opustoszałego. Tarzan chyba gdzieś poszedł. Może na obiad, a może na spotkanie z Baturą lub panem Domini. „To oczywiście, że szykują jakąś kolejną hecę — rozmyślałem. — Tej nocy ma nastąpić zakończenie zdjęć do filmu. «Lord Jim» od dawna powinien być w Ostródzie, zwrócony właścicielowi. Dlaczego przyplął do Hawy?”

Przetrawiałem w myślach informację o Bajeczce — choć twierdziła, że tak bardzo zależy jej na samodzielnej pracy, nie skorzystała z mego listu i nie pojechała odnawiać ołtarza kościelnego, lecz przybyła z Templerem do Hawy. „No cóż, to bardzo przystojny mężczyzna” — podsumowałem tę sprawę, bo tylko takie jej wyjaśnienie przychodziło mi do głowy.

Późnym wieczorem przespacerowałem się na Stare Miasto, w okolice zabytkowego kościoła zbudowanego z czerwonej cegły. Kościół ten postawili Krzyżacy jeszcze w czternastym wieku, jak dwunawowy, z wieżą, którą przebudowano w wieku szesnastym. Pod głównym ołtarzem są podziemne krypty, gdzie znajduje się wiele starych trumien, drewnianych i blaszanych, kryjących szczątki ludzi nieznanego już dziś ani z imienia, ani z nazwiska.

Ubiegłej nocy byłem w tych podziemiach, odnalazłem dwie blaszane trumny. Można się było zorientować, że jedna z nich była już otwierana, ale potem zamknięto ją na powrót i obrzeża zalano gorącą cyną. Druga też była otwierana, ale — co stwierdziliśmy po starannych oględzinach — wieko jej nie było tak dokładnie przytwierdzone. Zajrzeliśmy więc do niej — zobaczyliśmy szkielet kobiety, która zmarła przy połogu, w trumnie spoczywał także szkielecik niemowlęcia. Prawdopodobnie była to kobieta z rodu hrabiów Finckensteinów lub Boyenów, bo do nich należała ta krypta.

Na otwarcie drugiej trumny nie zgodził się konserwator wojewódzki, ów szczupły pan z bródką, uznał, że postąpilibyśmy wbrew przepisom. Należało do otwarcia trumny zaprosić specjalistów z Przedsiębiorstwa Konserwacji Zabytków, antropologa, archeologa, eksperta od konserwacji tkanin. Podjął decyzję, że tą trumną zajmujemy się po przybyciu specjalistycznej ekipy z Warszawy.

A tymczasem do podziemnych krypt zejść mieli filmowcy, którzy wcześniej otrzymali na to zgodę od proboszcza i od tegoż samego wojewódzkiego konserwatora zabytków. Nie widział on uprzednio żadnych przeciwwskazań i zezwolił, aby ekipa filmowa robiła zdjęcia w podziemiach, a teraz nijako mu było cofnąć zezwolenie.

Założyliśmy potężną kłódkę na drewnianych drzwiach zamykających dostęp do krypty z najstarszymi trumnami, pozostawiając dla zdjęć pozostałe krypty. Ale

czy nawet najpotężniejsza kłódka mogła powstrzymać Baturę, który najpewniej pragnął mi sprzątnąć sprzed nosa złotą rękawicę?

Myślałem: „sprzątnąć sprzed nosa”, tak jakbym miał pewność, że ta trumna kryje zwłoki rycerza ze złotą rękawicą. Lecz poza zwrotką z wiersza Gustawa Kodrąba — przez długi czas nie było żadnych danych, aby twierdzić, że złota rękawica w rzeczywistości istnieje. A i ten fragment wiersza też można było traktować tylko jako literacki obrazek.

Ale wkrótce po odkryciu przeze mnie domu Kodrąba, to jest późną wiosną, informacja z wiersza poety została potwierdzona przez archiwum w Olsztynie. Okazało się, że w 1939 roku niejaki Kruger, bogaty gospodarz z okolic Boreczna, miejscowy szef NSDAP, zdecydował się sprawdzić treść legendy, krążącej wśród polskiej i niemieckiej ludności, o rycerzu ze złotą rękawicą. Wezwał do siebie rzemieślnika, który kiedyś pokrywał mu blachą dach na oborze, i kazał mu otworzyć metalowe trumny w jakimś kościele. Tym przedsięwzięciem Kruger pochwalił się swoim przełożonym, napisał nawet list do gauleitera Prus Wschodnich, osławionego Ericha Kocha. I dostał od niego telegram: *Zamknąć trumny i zatuszować całą sprawę*. Albowiem Erich Koch był sprytniejszy od Krugera i wiedział, że odkrycie złotej rękawicy na dłoni pokonanego niemieckiego rycerza nie przyniesie dobrego efektu propagandowego. A raczej przeciwnie. . .

W archiwum zachowała się depesza Ericha Kocha wraz z notatką o całej sprawie. Brakowało jednak informacji, w jakiej miejscowości otwierano trumny.

Moja uwaga skupiła się na kościele w Borecznie. Kierowałem się sugestią, że to właśnie Boreczno kryje rozwiązanie zagadki, przecież w okolicach Boreczna miał swoje gospodarstwo ów Kruger. Kościół w Borecznie był bardzo stary. Niestety, nie odkryłem w nim wejścia do podziemi. . .

Materiały zawarte w archiwach dostępne są dla wielu. Nietrudno było Baturze dotrzeć do depeszy gauleitera Kocha. Od Diany Denver, gdy wiozłem ją do Olsztyna, dowiedziałem się, że Batura zaproponował robienie dodatkowych zdjęć w podziemiach kościoła w Iławie, położonej o dwadzieścia kilometrów od Boreczna. . . A ja zamierzałem skierować swoją uwagę na stare kościoły w Zalewie, w Dobrzykach, w Suszu. Nie przyszło mi do głowy, aby zainteresować się Iławą, miejscem tak licznie odwiedzanym przez turystów. Sądziłem, że gdyby tam leżał rycerz ze złotą rękawicą, legenda o nim byłaby powszechnie znana. . .

Omyliłem się. A może nie? Może to pomylił się Batura i ta druga blaszana trumna nie kryje rozwiązania zagadki legendy o rycerzu ze złotą rękawicą? . . .

„Za kilka godzin tajemnica wyjaśni się ostatecznie” — myślałem, spacerując po uliczce, obok iławskiego kościoła.

Przechadzało się tam również dwóch milicjantów, którzy pilnowali, aby gapie nie przeszkadzali filmowcom w pracy. Przed kościołem warczał agregat dostarczający grubymi kablami prąd elektryczny do podziemi. Aktorów podwieszono

dużym samochodem i natychmiast zniknęli oni we wnętrzu świątyni. Rozczarowani gapie powoli rozchodzili się do domów.

Ja również po pewnym czasie odszedłem. Ale zanim pomaszerowałem na przystań, do „Krasuli”, odbyłem krótki spacer na skwer z pomnikiem Żeromskiego. Tuż obok skweru cumował „Lord Jim”. Stwierdziłem, że biały jacht ma starannie zwinięte żagle. Nic nie wskazywało na to, aby miał tej nocy odpłynąć. Drzwi do kabiny były zamknięte. Odniosłem wrażenie, że Tarzana nie ma na jachcie, choć równie dobrze mógł już spać za tymi zamkniętymi drzwiami.

Wróciłem na „Krasulę” i ułożyłem się wygodnie na koi. Obudziło mnie pukanie kropel deszczu po dachu kabiny. Niezbyt uroczo zapowiadała się moja wyprawa z Dianą Denver, ale do rana było jeszcze daleko. W dzień mogło się wypogodzić.

Umyłem twarz w zimnej wodzie z jeziora. Wypiłem szklanekę mocnej kawy i o pół do pierwszej w nocy zszedłem z jachtu na przystań. Noc była ciemna, wzdłuż ulicy Sienkiewicza świeciły się jednak latarnie. Gdy byłem na moście, minęła mnie oszklona nysa, w której — zdawało mi się — zobaczyłem jasną głowę Diany Denver.

Nie spiesząc się, wolniutkim krokiem zbliżyłem się do piętrowej nowoczesnej kawiarni „Leśna”. Obok był wjazd do ogrodzonego siatką ośrodka kempingowego. Stały tam domki murowane i drewniane oraz rozciągało się pole namiotowe i parking dla samochodów ukryty na małym wzgórku w zieleni drzew.

Zatrzymałem się naprzeciw wyjścia z ośrodka, po drugiej stronie ulicy, która biegła brzegiem jeziora. Rosły tu stare drzewa o grubych pniach. Oparłem się o jeden z nich i zapaliłem papierosa, czekając na pojawienie się Diany Denver. Musiała się przecież rozcharakteryzować, a to zajmuje trochę czasu.

Pomyślałem, że właśnie teraz Waldemar Batura ma jedyną sposobność, aby spenetrować trumny w podziemiach. Odjechali aktorzy, być może odesłał także na krótki wypoczynek elektryków. I oto pozostał w kościele sam, bez żadnych świadków.

W podziemnych kryptach jest wiele trumien, drewnianych i z blachy cynkowej. Ale Batura nie jest głupcem, nie będzie się zajmował otwieraniem każdej po kolei. On na pewno wie — podobnie jak i ja — że blaszana trumna kryjąca zwłoki rycerza ze złotą rękawicą była otwierana przed trzydziestu paru laty. Będzie szukał tylko trumny ze śladami otwierania i zamykania. Ale tej trumny nie ma w kryptach udostępnionych filmowcom. Czy Batura odważy się wyłamać drewniane drzwi, na których wisi duża kłódka?

Jeżeli zrobi to — wpadnie w zastawioną przeze mnie pułapkę. Gdy odprowadzę Dianę Denver na swój jacht, pobiegnę do kościoła, otworzę drzwi kluczem, który mam w kieszeni (zapasowe klucze dał mi wczoraj proboszcz), i nakryję go na gorącym uczynku włamania. Gorzko pożałuje, że odważył się rzucić mi wyzwanie połączoną rękawicą...

Tak rozmyślałem, wsparty o pień drzewa. Dookoła trwała cisza, deszcz siał na liście drzew nadbrzeżnych, ulicą z rzadka przejeżdżały samochody osobowe.

W pewnej chwili usłyszałem od strony jeziora cichy łomot pracującego diesla. Nadpływał jakiś jacht. Może „Lord Jim”, bo on miał dieslowski silnik.

Ogarnęło mnie uczucie niepokoju. Zgasilem papierosa i czekałem w ogromnym napięciu. Łoskot motoru narastał, zbliżał się, jacht był już niedaleko miejsca, gdzie stałem. Nagle silnik umilkł. Ciemność nie pozwalała dojrzeć sylwetki jachtu, lampa uliczna oświetlała jedynie chodnik i jezdnię, jezioro pozostawiając w mroku.

Doszedłem do wniosku, że mój niepokój jest nieuzasadniony. Tuż obok znajdowała się przecież przystań PTTK, do której wpływało mnóstwo jachtów. I oto właśnie mógł przybyć jeden z nich, po prostu jakiś spóźnialski powracał z rejsu na spoczynek. Nie tylko „Lord Jim” miał silnik diesla.

Usłyszałem wreszcie stukot pantofelków na płytach chodnika. A potem w blasku ulicznej latarni ujrzałem sylwetkę Diany Denver. Okutana była w czarną chustę i niosła małą walizeczkę. Panna D.D. spieszyła, aby spędzić ze mną kilkudniowy urlop.

Prawdopodobnie obawiając się, że może ją ktoś zauważyć i zatrzymać, omięła krąg światła rzucany przez latarnię i szła na krawędzi ciemności.

Wyszedłem z mroku drzew.

— Jestem tutaj — powiedziałem dość głośno.

Zatrzymała się, a potem zaczęła przechodzić jezdnię.

Zauważyłem, że trochę utyka, jakby nałożyła za ciasne pantofelki.

Zbliżyliśmy się do siebie. W ciemności zamajaczyła jasna plama jej twarzy. . .

Raptem, szybkim ruchem, panna D.D. ściągnęła z głowy czarną chustę i narzuciła mi ją na głowę! Zaskoczony, z początku nawet nie bronilem się. A gdy zacząłem walczyć z omotującą mnie chustą, usłyszałem tupot kroków i męski okrzyk:

— Mam go! Pomóż mi go związać.

Dwie pary silnych męskich ramion przytrzymały mnie, oplatały sznurem, zaciskając chustę na ustach, abym nie mógł wołać o pomoc.

To nie była Diana Denver, to był mężczyzna w damskich pantoflach, okryty jej czarną dużą chustą. . .

Nie na wiele zdała się moja obrona i szarpanie w więzach. Spętany jak baran, z głową owiniętą grubym materiałem, czułem, że gdzieś mnie wloką, chyba z ulicy na brzeg jeziora.

Ktoś gwizdnął głośno. Z daleka odpowiedział taki sam gwizd, załomotał silnik.

Teraz już nie miałem wątpliwości. Na jeziorze czaił się „Lord Jim”. Podpłynął teraz bliżej brzegu. Opryszki, klnąc cicho, wleźli do wody i jak worek rzucili mnie do kokpitu.

— Pokręć się trochę po jeziorze — usłyszałem głos, który przypominał mi jednego z goryli Batury — a nad ranem wyrzuć go na brzeg wyspy. Zluzuj mu więzy, żeby się sam mógł rozwiązać. Znajdzie jakąś łódkę, która mu umożliwi powrót do Itawy. Musimy mieć kilka godzin swobody na spenetrowanie podziemi.

Myślę, że słowa te skierowane były do Tarzana, ale on nie odezwał się. Znowu zachlupotała woda, zapewne goryle Batury powracali na brzeg.

„Lord Jim” dygotał od łomotu silnika. Podpłynął jednak za blisko brzegu i, jak się okazało, osiadł na mieliznie. Usłyszałem, że miecz szoruje o dno jeziora. Tarzan zaklął i usiłował ściągnąć jacht z mielizny, włączając wsteczny bieg. Manewr ten nie przyniósł jednak rezultatu i Tarzan wlaź do kabiny, aby podnieść miecz. W tym momencie doszedł mych uszu cichy plusk wody, a po chwili odniosłem wrażenie, że ktoś jeszcze wszedł na jacht i czyjeś ręce musnęły moje więzy. Ale wrażenie to minęło błyskawicznie. Tarzan wyszedł z kabiny, chwycił ster, dodał gazu i jacht zsunął się z mielizny.

Nie wiem, jak długo płynęliśmy. Może pięć, może dziesięć minut.

Raptem usłyszałem zdumiony okrzyk Tarzana:

— Znowu ten wariat! Ratunku, udusi mnie!... Ratunku, mordują!...

Czyjeś ręce przecięły sznury, którymi byłem związany. Zdarłem z głowy czarną chustę Diany Denver i w nikłym blasku lampki umieszczonej na maszcie „Lorda Jima” ujrzałem... Bajeczkę. To ona wyzwoliła mnie z więzów.

Na rufie Simon Templer trzymał w żelaznym uścisku Tarzana. Na szczęście przestał on już wrzeszczeć, bo Święty zatkał mu dłońią usta. Doskoczyłem do nich i pomogłem Templerowi związać Tarzana tymi samymi sznurami, którymi goryle Batury mnie oplątali.

— Dziękuję — zwróciłem się do Bajeczki i Templera. — Gdyby nie wasza pomoc, krążyłbym teraz na tym jachcie, spętany jak baran, którego zamierzają ostrzyc.

— Ostrzegałam pana — stwierdziła triumfalnie Bajeczka. — Z taką kobietą, jak Diana Denver, trudno się przyjaźnić. Dlatego poprosiłam pana Moore’a, żeby zabrał mnie z sobą do Itawy.

— Od momentu, kiedy dostałem od ciebie list, że przyplłynął „Lord Jim” — opowiadał Templer — Bajeczka nie spuszczała z oka jachtu, a ja obserwowałem Dianę. Po zdjęciach powróciliśmy z Dianą do ośrodka kempingowego. Z okien swego pokoju zauważyłem w pewnej chwili, że z domku, w którym mieszka Diana, wyszedł ktoś z jej walizką w ręce. Ten ktoś był opatulony jej czarną chustą i nosił przyciasne damskie pantofle. Od razu domyśliłem się, że to nie Diana i że ów osobnik chce przed kimś odgrywać rolę panny D.D. Aby się o tym upewnić, zajrzałem do mieszkania Diany i zastałem ją mocno śpiącą. Musiano jej podać jakiś silny środek nasenny w drodze z planu filmowego do domu. Pobiegłem krok w krok za tajemniczą „dumą”. W tym samym czasie na ulicy koło ośrodka pojawiła się Bajeczka, która obserwowała „Lorda Jima”. Nagle usłyszeliśmy twój

okrzyk i zobaczyliśmy, że dwóch osiłków obezwładnia cię. Wiedziałem, że nie poradzę sobie z nimi dwoma. Ale nadpłynął „Lord Jim”, oni przenieśli cię na jacht i odeszli. Cichutko wskoczyliśmy na „Lorda Jima” i ukryliśmy się na dziobie. Gdy jacht znalazł się w pewnej odległości od brzegu, rzuciłem się na Tarzana. Nie rozumiem, dlaczego zainscenizowano tę historię? Czyżby tym razem ciebie usiłowano porwać? W jakim celu? Dla reklamy? Dla okupu?

— Nie mam pieniędzy — roześmiałem się. — Skieruj jacht na przystań, gdzie cumuje „Krasula”, wyjaśnię wam wszystko po drodze.

Templer prowadził „Lorda Jima”, a ja opowiedziałem im całą historię złotej rękawicy i niecnych poczynań Batury, który postanowił usunąć mnie tej nocy na bezpieczną odległość, aby móc spokojnie przeszukać podziemia kościoła.

— Diana Denver znowu pana zdradziła — oświadczyła Bajeczka.

— Tak nie wolno mówić — tym razem Templer zaczął bronić aktorki. — Jejen wskazuje na to, że była nieświadoma roli, jaką miała spełnić. Myślę, że po prostu wygadała się przed Baturą o spotkaniu z Tomaszem i on wykorzystał to do swoich celów.

— Czy nie tak, drogi Tarzanie? — zwróciłem się po polsku do obezwładnionego młodzieńca, który nic nie rozumiał z naszej rozmowy.

— Nie znam angielskiego — mruknął niechętnie Tarzan. — Wiem tylko, że nie mam do Templera szczęścia. Zawsze mnie bije...

— To chyba dlatego, że nie możesz sobie z nim porozmawiać — zakpiłem.

„Lord Jim” zatrzymał się obok „Krasuli”. Bajeczka i Templer wyskoczyli na drewniany pomost, a ja powiedziałem do Tarzana:

— Co wolisz, przyjacielu? Leżeć na dnie kokpitu aż do rana czy odpłynąć do Ostródy?

— Wolę popłynąć do Ostródy — jęknął radośnie.

— A jeśli nas oszukasz i zawrócisz, aby ostrzec Baturę? — zapytałem.

— Nawet nie wiem, gdzie jest ten kościół, który mieli przeszukać — przysięgał Tarzan. — Kazali mi, po wysadzeniu pana na wyspie, pruć prosto do Ostródy. Pan Batura miał się ze mną tam spotkać i zapłacić za korzystanie z jachtu.

— W porządku, odpływaj, kolego.

Po chwili ostrzegawcze światełka „Lorda Jima” rozplynęły się w ciemnościach. A my szybkim krokiem ruszyliśmy w stronę kościoła. Zbliżała się trzecia w nocy.

Zapasowym kluczem otworzyłem boczne drzwi i na palcach przeszliśmy przez nawę, kierując się do ołtarza. Z prostokątnego otworu ze schodami do podziemi sączyło się nikłe światło. Zapewne Batura nie korzystał z reflektorów filmowych, bo do tego należałoby uruchomić znajdujący się na zewnątrz agregat, tylko posługiwał się jakąś silną latarnią bateryjną. To nam ułatwiło sytuację. W półmroku zeszliliśmy ostrożnie po kamiennych stopniach do podziemnego kory-

tarza i ukryliśmy się za załomem muru. Widać stąd było skrawek drzwi zamkniętych przeze mnie na kłódkę. Na tym skrawku ruszały się cienie trzech osób.

Do naszych uszu doszedł gniewny głos Waldemara Batury:

— Chwaliliście się, że macie nie tylko silne mięśnie, ale potraficie także otworzyć każdy zamek. A tymczasem nie możecie sobie poradzić ze zwykłą kłódką.

— Najlepiej ją przepiłować — doradzał jeden z goryli.

— O tak. I Samochodzik oskarży nas o włamanie — rozsierdził się Batura. — Tłumaczyłem wam, że nie wolno nam pozostawić żadnych śladów. Blaszaną trumnę otworzymy metalową mechaniczną piłką. I potem ją zalutujemy. Macie elektryczną lutownicę?

— Oczywiście, mistrzu — odparł drugi z goryli. — Myśli pan, że w tej trumnie jest złota rękawica?

— Tak przypuszczam — stwierdził Batura. — W krypcie znajdują się dwie blaszane trumny. Jeśli dopisze nam szczęście, być może od razu w pierwszej znajdziemy złotą rękawicę. Inaczej trzeba będzie dobrać się i do drugiej trumny. No, co z tą kłódką?

Nastała chwila ciszy, ktoś głośno sapnął, coś zgrzytnęło.

— Nareszcie, mistrzu! — oświadczył radośnie pierwszy z goryli.

Wysunęliśmy nieco głowy zza muru i zobaczyliśmy, że Batura i jego pomocnicy otwierają ciężkie drzwi zamykające boczną kryptę. Potem Batura wziął latarnię elektryczną i razem z gorylami zniknął nam z oczu.

— Do stu tysięcy czartów! — doszedł nas jego wrzask. — W krypcie jest tylko jedna trumna, a powinny być dwie. Na ziemi widać jeszcze ślad po drugiej trumnie.

— A tę, co tu jest, ktoś niedawno otwierał. Świeża cyna. Można by powiedzieć, że wieko wczoraj zacynowane — stwierdził drugi z goryli.

Pierwszy zawołał:

— Panie Batura, złota rękawica! Na ziemi leży.

— Gdzie? Co? Jaka rękawica? — gorączkowo pytał Batura.

Któryś z goryli zapewne podniósł z ziemi rękawicę i podał ją Baturze. Usłyszeliśmy, jak ten cisnął nią z wściekłością o ziemię.

— Do diabła! To nie jest złota rękawica, tylko zwykła, skórzana rękawiczka, którą własnoręcznie pomalowałem na złoty kolor i kazałem podrzucić Samochodzikowi. On tu już był i sprzątnął nam przed nosa prawdziwą złotą rękawicę. . .

Długo czekałem na tę chwilę, ale nawet w najśmielszych marzeniach nie przewidywałem, że będzie ona wypełniona tak zabawną treścią. Głośno parsknąłem śmiechem, pociągnąłem za sobą Bajeczkę i Templera i weszliśmy razem do krypty. Dwaj goryle aż oczy wytrzeszczyli ze zdumienia, przecież przed godziną własnoręcznie załadowali mnie na „Lorda Jima”.

— Mylisz się — powiedziałem do Batury. — Jeszcze nie znalazłem złotej rękawicy.

— Nie było jej w drugiej trumnie? — zapytał ze szczerą i niewinną ciekawością. Jak gdyby nic się nie stało: nie włamał się do krypty, nie usiłował mnie uwięzić...

— Sprawa dziś się wyjaśni — odrzekłem. — Wczoraj w nocy wynieśliśmy trumnę z krypty i pozostawiliśmy ją w bocznym pomieszczeniu, obok zakrystii. Konserwator wojewódzki nie chciał otwierać trumny bez pomocy fachowców.

— Tam musi być złota rękawica — stwierdził Batura. — Gustaw Kodrąb nie kłamał.

— Ja też tak sędzę — kiwnąłem głową. — A teraz wynoście się z krypty i pozwólcie, że znowu ją zamknę.

Wyszli z opuszczonymi głowami. Zatrzasnął na drzwiach zamek kłódki, dorzuciłem:

— Mam świadków — wskazałem Templera i Bajeczkę — że dokonaliście włamania do krypty podziemnej. Ale nie będę z tego robił żadnej sprawy. Nie chcę, aby pracę ekip filmowych otaczało podejrzenie, że działają wśród nich złodzieje i włamywacze. Dlatego tym razem ci się upiekło, Waldek.

To mówiąc dałem znak Bajeczce i Templerowi, że opuszczamy podziemie.

Gdy znaleźliśmy się na Rynku Starego Miasta, już zaczynało świtać. Świeże powietrze otumańiło Bajeczkę, ziewnęła głośno.

— Pozwólcie, że was pożegnam — rzekła. — Jestem okropnie śpiąca. Do zobaczenia, panie Tomaszu — kiwnęła mi ręką. — Do zobaczenia, panie Moore — uśmiechnęła się do Templera.

Odeszła w stronę hotelu, a my ruszyliśmy nad brzeg jeziora, gdzie biegła uliczka prowadząca do ośrodka kempingowego.

Koło przystani Templer i ja uścisnęliśmy sobie dłonie.

— Przeproś w moim imieniu Dianę — powiedziałem mu przy rozstaniu — za to, że nie udał się nam wspólny wyjazd. Naprawdę to nie moja wina.

— Myślę, że ona będzie spała aż do południa — roześmiał się Templer. — Zaniepokojony pan Domini wpadnie do jej pokoju, odczyta list, który pozostawiła na stole, i oczywiście nigdzie jej nie puści. Bo mamy już zamówione miejsca w samolocie. W południe odjeżdżamy samochodem do Warszawy, a potem samolotem do Londynu. Cieszę się, że cię poznałem, Tomaszu. Dzięki tobie przeżyłem nareszcie prawdziwą przygodę.

To mówiąc uścisnął mnie mocno i odszedł — szczupły, wysportowany blondyn z radosnym uśmiechem na twarzy. Taki sam, jakiego tylekroć widziałem w filmie, i myślę, że jeszcze nie raz zobaczę, przeżywającego dramatyczne wydarzenia.

Lubię bowiem oglądać takie filmy, mimo że nie opowiadają prawdziwych historii.

ZAKOŃCZENIE

Otwarcie trzech cynowych sarkofagów książąt pomorskich, które znajdowały się w kościele w Słupsku, wzbudziło w Polsce ogromną sensację. Cała niemal prasa donosiła szczegółowo o tym, jak wyglądały szczątki zwłok, ubranie, a nawet ozdoby i klejnoty zmarłej przed trzystu laty księżnej Anny Gryfitki de Croy, jej syna Ernesta oraz księżniczki Katarzyny Urszuli. W publikacjach prasowych ukazano ważące po pięćset kilogramów, przepięknie przyozdobione sarkofagi, które poddano renowacji w warszawskiej pracowni Przedsiębiorstwa Konserwacji Zabytków. Biżuterię, znaną w trumnach, jak również zachowaną odzież przekazano słupskiemu muzeum. Można tam zobaczyć przepiękny, duży, złoty pierścień z brylantem i mniejszy pierścienek z piętnastoma brylancikami, opaskę skózaną łączoną ze złotem, dwie złote bransolety kunsztownej roboty, przedmioty o dużej wartości materialnej i zabytkowej.

O otwarciu starej trumny w kościele iławskim — nie napisano w prasie ani słowa. Nie przyjechali tu dziennikarze i fotoreporterzy. Bo też nie był to żaden cudownie zdobiony sarkofag, tylko zwykła blaszana trumna. W jej otwarciu, oprócz konserwatora wojewódzkiego i mnie, wzięli udział czterej specjaliści sprowadzeni z Warszawy oraz... Waldemar Batura.

Zanim duży robur z napisem „Przedsiębiorstwo Konserwacji Zabytków” zjechał w południe przed kościół iławski, dość długo czekałem na niego, spacerując po kościelnym wzgórzu. I wtedy to podszedł do mnie Waldemar Batura.

— Nie odjeżdżasz wraz z ekipą filmową? — zdziwiłem się.

— Jadę dopiero wieczorem. Muszę dopilnować, aby dokładnie zebrano cały sprzęt — wyjaśnił. — I korzystając z okazji, że tu jeszcze jestem, chciałbym cię prosić, abyś mi pozwolił wziąć udział w otwarciu starej trumny. Podobnie jak ty usiłowałem rozgryźć treść wiersza anonimowego poety, w tydzień po tobie odnalazłem jego dom. Z początku myślałem, że ustalając nazwisko poety, trafię na ślad nie odkrytego dotąd artysty i zarobię na ludowej twórczości, która jest teraz modna. Ale potem, jak wiesz, dostałem pracę w filmie zagranicznym, zarobiłem sporo grosza, a także, korzystając z okazji, skupiłem po wsiach trochę starych mebli. W sprawie złotej rękawicy pociągała mnie rywalizacja z tobą, chęć

przekonania i siebie, i ciebie, że jestem lepszy, zdolniejszy, mam większy talent detektywistyczny. No cóż, nie udało mi się, choć byłem o krok od celu.

— Wyznaję szczerze, że byłeś w tej sprawie lepszy i sprytniejszy ode mnie — powiedziałem. — Na swoje usprawiedliwienie mam jedynie fakt, że zajmowałem się nie tylko poszukiwaniem złotej rękawicy, ale chciałem także, aby pewni ludzie odnaleźli siebie samych. Wygrałem, ponieważ ty miałeś utrudnione zadanie. Musiałeś doprowadzić do zmian w scenariuszu, żeby dostać się do podziemnych krypt, a ja mogłem działać otwarcie, z pomocą konserwatora wojewódzkiego. Tym większy mam dla ciebie podziw. Historia ze zmianą scenariusza to był prawdziwy majstersztyk.

— Miałem też sporo innych kłopotów. Domini koniecznie chciał wylansować Dianę Denver i zmusił mnie do zorganizowania jej porwania. Obiecywał, że zaprosi mnie do pracy przy dalszych odcinkach „Świętego”. Teraz już o tym nie wspomina, bo historia się nie udała, i to z twojego powodu. No cóż, dam sobie radę bez pana Domini — zaśmiał się.

Ale zaraz spowaźniał.

— A jednak trawi mnie ciekawość, czy trumna rzeczywiście kryje zwłoki rycerza ze złotą rękawicą.

— Mnie też trawi ten sam niepokój. I dlatego zamiast wypocząć po nocnych przeżyciach, już od rana krążę koło kościoła i czekam na specjalistów z pekazetu.

— Pozwolisz mi uczestniczyć w otwarciu trumny? — zapytał.

— Ależ oczywiście — skinąłem głową. — Zbyt dużo wysiłku włożyłeś w rozwiązanie tej zagadki, aby teraz nie mieć żadnej satysfakcji. Można powiedzieć: niemal jednocześnie, jak gdyby razem, a raczej przeciw sobie, wyjaśniliśmy tę sprawę.

W godzinę później podniesione zostało wieko blaszanej trumny. Na zetlanej materii, która kiedyś była zapewne płaszczem rycerskim, leżały zwłoki rycerza w piętnastowiecznej zbroi. Strzaskany hełm był już mocno przerdzewiały, a z uchylonej przyłbicy patrzyły na nas czarne oczodoły, czaszka szczyrzyła duże żółte zęby. Pancierz zachowany był dość dobrze. W świetnym stanie okazał się obosieczny miecz i metalowe nagolenniki. Złożone na piersiach dłonie skryte były w ogromnych rękawicach.

Na pierwszy rzut oka rękawice wydawały się jednakowe, bo pokrywał je kurz. Ale gdy dmuchnęliśmy na prawą, kurz rozwiął się i błysnął złoty metal.

Złota rękawica. Zrobiona była ze skóry, dość grubej i mocno już zniszczonej. Na skórzane palce naciągnięto złote obrączki, podobne złote obręcze obejmowały dłoń i kiść dłoni. Poszczególne małe obrączki i duże obręcze połączone były złotymi łańcuszkami, które umożliwiały ruch palców, zginanie całej dłoni. Rękawica musiała być bardzo ciężka, już samo uderzenie nią w odkrytą głowę mogło powalić człowieka na ziemię. I chyba dość dobrze chroniła dłoń przed nożem lub draśnięciem miecza.

— Tak oto ma pan swoją złotą rękawicę — oświadczył z zachwytem konserwator wojewódzki. — Poeta Gustaw Kodrąb, bo tak, o ile pamiętam, nazywał się autor tego wiersza, który mi pan recytował, mówił prawdę. Oczywiście, w tej chwili trudno powiedzieć, czy był to rycerz niemiecki, francuski lub flamandzki. Na razie niczego nie będziemy tu ruszać. Nakryjemy wieko i całą trumnę przewieziemy do Warszawy.

— Tak — skinął głową jeden z fachowców. — Zbroję trzeba będzie starannie oczyścić i poddać zabiegom konserwacyjnym. Myślę, że wtedy odkryjemy na zbroi herb albo jakieś inne znaki, które pozwolą ustalić rodowód tego rycerza. Zwłoki odeślemy w trumnie i zostaną one z powrotem umieszczone w podziemiach kościoła w Iławie, a zbroję i oczywiście złotą rękawicę przekazemy muzeum. Któremu — trudno w tej chwili powiedzieć. Myślę, że najlepsze miejsce to Muzeum Wojska Polskiego.

— Wolałbym, aby ta zbroja i rękawica znalazły się w ekspozycji muzealnej na miejscu bitwy pod Grunwaldem — powiedziałem.

— No cóż, o tym zadecydują władze zwierzchnie — rzekł konserwator.

Jeszcze raz spojrzałem na złotą rękawicę, która okrywała prawą dłoń rycerza, a potem rzuciłem okiem na hełm. W dwóch miejscach nosił ślad, jakby go porąbano toporem lub bardzo ciężkim mieczem. Myślę, że ślady uderzenia nosiła także i czaszka rycerza. Czy prawdę mówiła legenda, że był to niemiecki dumny rycerz, który pod nogi jednego z polskich rycerzy rzucił swoją złotą rękawicę i w ten sposób wyzwał go do walki? A potem legł ze strzaskaną głową. I czy działo się to pod Grunwaldem, czy w okresie, gdy Kazimierz Jagiellończyk wojował z Krzyżakami?

Historię o dwóch mieczach przysłanych Jagielle przez Krzyżaków zna każdy mieszkaniec Polski, bo została zapisana przez Długosza. Historii o złotej rękawicy chyba żaden kronikarz nie zapisał, przetrwała tylko w ustnej legendzie i ludowej poezji.

Ale teraz już i Wy ją znacie. Przypomnijcie ją sobie, gdy będziecie odwiedzać Iławę i zobaczycie na wzgórzu wysoką wieżę starego kościoła.

* * *

Na Wielkiej Żuławie skończył się chyba turnus wczasowy, bo znowu między wyspą i przystanią kursowały motorówki, przewożące obładowanych walizkami wczasowiczów. Ale tym razem wożono ich z wyspy na przystań, a ludzie byli wypoczęci, opaleni, zadowoleni z życia.

Minęło już dawno południe, zza chmur wyszło słońce i zaczęło świecić ostro, intensywnie, jakby chciało nadrobić nieobecność. Uzupełniłem zapasy żywności i czekałem na wiatr, który poniósłby mnie na północ. Jeszcze nie wiedziałem, jak

wykorzystam pozostałą część urlopu. Czy będę pływał bez celu po Jezioraku, od czasu do czasu odwiedzając pana Lejwodę, czy też — i tę możliwość rozważyłem — Kanałem Elbląskim będę próbował dostać się nad Zalew Wiślany.

Dopiero pod wieczór po jeziorze zaczęły chodzić najpierw drobne, a później coraz silniejsze szkwały.

Już miałem podnieść główny żagiel i odwiązać cumę, gdy na deskach opustoszałego o tej porze pomostu głośno zatupały kroki i zjawiała się dziewczyna w haftowanej bluzce i w szerokiej spódnicy z żółtymi słonecznikami. Trzymała w ręku podróżny worek.

— Dzień dobry, a raczej dobry wieczór — powitała mnie z uśmiechem. — Już myślałam, że nie zastanę nikogo, kto mógłby mnie zabrać na łódź.

— Ale dokąd pani chce płynąć?

— Wszystko mi jedno — bezceremonialnie rzuciła worek na dno kokpitu.

— O — stwierdziłem z udanym zdumieniem — zmieniła pani plany. Bo o ile pamiętam, poprzednio chciała się pani dostać jedynie na Wielką Żuławę.

— Ostatnio rzeczywiście spuściłam trochę z tonu — westchnęła. — A może przeciwnie, wzrosły moje wymagania? Dawniej chciałam płynąć tylko na wyspę, a teraz dalej i dalej, jak najdalej.

— Od czego?

— Od przygód — oświadczyła.

Roześmiałem się.

— W porządku, Bajeczko. Mam nadzieję, że nie czeka nas już żadna przygoda.